

Waldemar Łysiak

RZECZPOSPOLITA KŁAMCÓW

SALON

Spis treści:

Zamiast noty edytorskiej

Część I — WSTĘP czyli „ — *Wkurza mnie dosłownie wszystko!*”.

Część II — SALON WPŁYWU

1. Salon historyczny
2. „*Dzieci Sartre'a*”.
3. „*Coś w mózgu*”.
4. „*Salon*” PRL-u — część I (prostytucja)
5. „*Salon*” PRL-u — część II (klika i alibi)
6. W stronę Sartre'a
7. „*Opozycja koncesjonowana*”.
8. Elitarne dziuple i centra

Część III — MALEFICUS MAXIMUS

1. Zło
2. Od trockizmu do KOR-u
3. Pieski przydrożne
4. Tajny cyrograf „*świnka*”
5. Przejęcie władzy
6. Budowanie zrębów

Część IV — CZTERECH JEŹDźCÓW „*SALONU*”

1. Czerwony harcerz
2. Gensek honorowy
3. Postępowy katolik
4. Święty guru

Część V — „*SALONU*” GRZECHY GŁÓWNE

1. Klientela
2. „*Polityczna poprawność*”.
3. „*Murzynek Bambo*” a sprawa polska
4. „*Salon*” ci wszystko wybaczy
5. „*Caritas maior iustitia*”
6. Elegancja tolerancja
7. Rozdźwięki wśród tolerastów

Część VI — DYKTAT KULTUROWY „*SALONU*”.

1. „*Terroryzm intelektualny*”

2. „*No pasaran!*”
3. Cenzura
4. „ — *Panu już dziękujemy!* „
5. Laur Nobla daj mi luby!
6. Literacki geniusz, „*Mirek* „
7. Promocja, czyli „*przemysł kreowania polskich Kunder*”
8. Desperados

ZAKOŃCZENIE

© Copyright by Waldemar Łysiak 2004

[copyright autora obejmuje również wszystkie rozwiązania graficzne i typograficzne książki]

Wydanie I Warszawa 2004

Opracowanie typograficzne i graficzne: Waldemar Łysiak i Adam Wojtasik

Projekt okładki: Adam Wojtasik

Redakcja techniczna: Adam Wojtasik

WYDAWNICTWO NOBILIS — Krzysztof Sobieraj ul. Dominikańska 33, 02-738 Warszawa, tel./fax:

853-12-61, e-mail: nobilis_l@wp.pl

ISBN 83-917612-5-8

Skład i łamanie: Wydawnictwo Key Text, Warszawa

Druk: Łódzka Drukarnia Dziełowa SA 90-215 Łódź ul Rewolucji 1905 r. nr 45

Zamiast noty edytorskiej

Zamiast noty edytorskiej chcemy dać tylko krótki cytat. Pasuje on do niejednej z książek Waldemara Łysiaka, lecz do żadnej innej jego książki tak bardzo, jak do tej, którą właśnie oddajemy w ręce Czytelników. Dziewięć lat temu amerykański (polonijny) publicysta i edytor, Józef Dudkiewicz, rzeki:

„Pisarz tak wrażliwy jak Łysiak jest genialnym sejsmografem nastrojów społecznych, wydobywa i wypowiada to, co skryte jest głęboko, jeszcze nie artykułowane, niepokoi, porusza, a nawet kieruje zbiorowymi emocjami (...) W polskiej tradycji uważa się, że jeżeli naród nie może mówić własnym głosem, Bóg zsyła mu pisarza. On mówi za naród i w imieniu narodu”.

*Pamięci Zbigniewa Herberta książkę tę poświęcam
„niech nie opuszcza ciebie twoja siostra Pogarda
dla szpiclów katów i tchórzy (...)
i nie przebaczej zaiste nie w twojej mocy
przebaczaj w imieniu tych których zdradzono o świcie”
Zbigniew Herbert, „Pan Cogito”
„Nie masz ze złymi pokoju”
Jean de La Fontaine*

Część I

WSTĘP

czyli „— *Wkurza mnie dosłownie wszystko*”

— Wkurza mnie dosłownie wszystko! Ale najbardziej wkurzają mnie Zośka i telewizja. I Zośka, i telewizja, mówią mi, że nie jestem stuprocentowym mężczyzną. Według Zośki powinienem zwolnić lub przynajmniej zastrzelić mojego szefa, a według telewizji powinienem cały czas wymierzać ciosy karate i grać z broni maszynowej do wielu bezczelnych osób, robiąc przy tym przerwy dla akrobatycznego seksu lub dla lizania silikonu o rozmiarach piłek futbolowych. No i powinienem być kulturystą, jak ci telewizyjni mężczyźni, którzy są zawsze opaleni i uśmiechają się dwiema koliai idealnie równych, śnieżnobiałych zębów.

Kto tak mówi ? Tak mówi niejeden mający jakąś Zośkę i łykający zglobalizowaną telewizję mieszkaniec naszego globu, lecz nie Polak. Polak mówi cosik innego, kiedy zaczyna od słów:

„— *Wkurza mnie dosłownie wszystko!*”. Polaka bowiem wkurzają problemy ważniejszej rangi niż głupi-wredny-skąpy szef i wyścigowy megaerotyzm supersamców i supersamic, lansowany przez media jako zwykła norma gatunku „*homo sapiens*”. Polaka wkurza wielostronna mocarstwowość jego niepodległej ojczyzny, wypracowana mozolnie w ciągu piętnastu lat kultywowania suwerenności (1989-2004). Między innymi:

- **Mocarstwowość aferalna.** III Rzeczpospolita jest absolutnym rekordzistą świata pod względem mnogości i częstotliwości występowania afer finansowych z udziałem sfer rządzących i wyższych szczebli administracji. Liczba tych kryminalnych afer w stosunku do liczby ludności daje imponujący wskaźnik procentowy — mocarstwowy tout court.

- **Mocarstwowość parlamentarna.** III Rzeczpospolita ma funkcjonujący parlament, mimo iż ogromna większość posłów tudzież senatorów to analfabeci, półanalfabeci oraz wszelkiej maści szumowiny. Tylko prawdziwe mocarstwo jest w stanie przetrzymać taki poziom parlamentaryzmu.

- **Mocarstwowość korupcyjna.** III Rzeczpospolita (obok kilku krajów Czarnej Afryki) plasuje się na samym wierzchołku potęg łapówkarskich, gdyż bez trudu (a często i bez możliwości uniknięcia tego) kupuje się w niej wszystkich, od gliniarza i biurokraty niskiego szczebla, przez sędziego, prokuratora i członka administracji każdego szczebla, do funkcjonariusza rangi

rządowej i do ustawodawcy czyli do Sejmu włącznie (exemplum ustawa o grach losowych).

- **Mocarstwowość kooperacyjna.** Rodzimi politycy i urzędnicy nagminnie kooperują z gangsterami, gangsterzy z policją, a policja z każdym, kto wręczy stówę lub więcej, czemu parasol dają tzw. „służby”, wobec którego to układu legendarna siatka powiązań i model skuteczności mafii sycylijskiej są mizernym przedszkolem systemowo-strukturalnej kooperacji.

- **Mocarstwowość myśliwska.** W III Rzeczypospolitej nie ma ludzi kuloodpornych, bez kłopotów odstrzeliwuje się każdego, z premierami (exemplum były premier Jaroszewicz), ministrami (exemplum Dębski czy Sekuła) tudzież komendantami głównymi policji (exemplum Papała) włącznie. Czasami tylko broń myśliwską zastępują wnyki płócienne bądź sznurowe (exemplum regularne „samobójstwa” popełniane wewnątrz cel przez tzw. „głównych świadków” w sprawach kryminalnych grożących zdemaskowaniem politykom szczebla rządowego).

- **Mocarstwowość walutowa.** III Rzeczpospolita ma walutę dużo silniejszą od permanentnie słabnącej waluty USA, co Amerykanom nakręca eksport (wiadomo, że im słabsza waluta, tym zyskowniejszy eksport), a sternikom polskiego monetaryzmu (L. Balcerowicz i spółka) winduje dumę i stopę życiową. A. Kaletsky („The Times”): *„Dla gospodarki uzależnionej od eksportu silna waluta to pocałunek śmierci (...) Amerykański biznes kwitnie dzięki niskiemu kursowi dolara”*. Znaczącym rewersem tej walutowej mocarstwowości III RP jest fakt, iż Polska to bezkonkurencyjne Eldorado dla międzynarodowych spekulantów walutowych, których „krótkoterminowe kapitały spekulacyjne” determinują (łatają dorywczo) polski budżet, z gigantyczną szkodą dla bieżących i dla perspektywicznych finansów państwa, a cudzoziemskim spekulantom przynoszą szybkie fortuny.

- **Mocarstwowość eksportowa.** III Rzeczpospolita eksportuje rekordową liczbę czarnej siły roboczej do europejskich krajów rozwiniętych i za ocean.

- **Mocarstwowość zatrudnieniowa.** Aż 80% Polaków nadających się do pracy zdobyło zatrudnienie! Co prawda większość z nich ma pracę bardzo źle płatną, lecz 80% to jest liczba!

- **Mocarstwowość egzystencjalna.** Aż 50% polskich rodzin nie egzystuje w strefie ubóstwa, i aż 70% polskiego społeczeństwa nie egzystuje na granicy wegetacji biologicznej z braku środków do życia!

- **Mocarstwowość postępowo-artystyczna.** Antykatolicko ukrzyżowany przez polską artystkę penis jako sztandarowe (bo najgłośniejsze) dzieło sztuki III RP, dające nam bardzo wysoką pozycję w rankingu

kulturowym „postępowej ludzkości”, którego kryteria wyznacza międzynarodowa awangarda.

- **Mocarstwowość sportowa.** Polski góral, skaczący na nartach, parokrotnie zwyciężył wszystkich konkurentów z kilku krajów uprawiających tę dyscyplinę sportową.

Owa wieloraka preżność państwowa (którą ino nadmienilem, bo można długo wskazywać jej filary) coraz to wyrywa Polakom warknięcie: „ — *Wkurza mnie dosłownie wszystko!*”. Gdy na początku lipca tego roku (2004) zebrał się wewnątrz salki warszawskiego Stowarzyszenia Studiów i Inicjatyw Społecznych tłumek patriotów, znany pisarz-satyryk, M. Wolski, rzekł dziennikarzom: „ — *Przyszło nas tak wielu, ponieważ każdego z nas krew zalewa pięć razy w tygodniu. A mnie może nawet częściej, kiedy widzę co się dzieje w kraju z wywalczoną wolnością!*”. Jak ten czas leci! Wywalczyliśmy ją półtorej dekady temu!

Piętnaście lat to dużo czasu. Co prawda tuż przed tymi latami wasalna Polska (PRL) odnotowała dekadencję gospodarczą (głęboki kryzys ekonomiczny lat 80-ych XX stulecia) i zbiedniała koszmarnie (kartki zaopatrzeniowe, ocet na półkach sklepowych), lecz piętnaście lat to wystarczająca ilość czasu, by suwerennie i mądrze się rządzić — rozkwitnąć. Niemcy (NRF) w ciągu piętnastu lat (1949-1964) dźwignęli się ze schyłkowowojennej i pokłeskowej nędzy do stanu kwitnącego, lecz mieli polityków (K. Adenauer) i ekonomistów (L. Erhard) klasy super. Kogo miała przez swoje piętnaście wiosen (1989-2004) III Rzeczpospolita? Przez cały ten czas rządzili nią kombinatorzy i nieudacznicy, dlatego Ojczyzna dalej jest europejskim krajem drugiej kategorii, na cokolwiek nie spojrzymy: krajem nędznych szos trzeciej (prowincjonalnej) i czwartej (śmiertelnej) klasy; krajem nędznych pensji i nędznego prawodawstwa (utrudniającego rozwój, a krępującego sprawiedliwość); krajem nędznych (wręcz katastrofalnych) systemów ubezpieczeń, oświaty i służby zdrowia; krajem nędznych „stróżów prawa” (nie odróżniających łuski pistoletowej od czołgowej); krajem nędznych polityków (nie odróżniających interesów państwa od interesów szwagra); itd.

Ze wszystkich tych fatalnych atrybutów III Rzeczypospolitej, jako główną (gdyż bazową, źródłową) „czarną dziurę” trzeba wskazać tzw. „czynnik ludzki”: rządzących, którzy sprzeniewierzyli się (jedni premedytacyjnie, inni mimowolnie, dzięki własnej głupocie) swemu posłannictwu, ergo: powinnościom człowieka sprawującego władzę. Są one klarowne, a ich definicja nie wymaga wielu słów. Cesarz Napoleon ujął je krótką (i całkowicie wyczerpującą) formułą: „*Zadaniem rządzących jest prawidłowe*

administrowanie tudzież krzewienie gospodarki, kultury, nauki, moralności, sprawiedliwości i dobrobytu”. Wszystko. Polska, wyzwolona (staraniem prezydenta R. Reagana i „Solidarności”) z tłamszącego komunizmu sterowanego przez Moskwę, i funkcjonująca długie piętnaście lat jako suwerenna III Rzeczpospolita, nie dorobiła się niczego prócz owej suwerenności (czyli prócz samostanowienia terytorialnego, demokracji elekcyjnej, swobody prywatnej działalności ekonomicznej i wolności słowa). Żadnych plusów ujętych przez definicję Bonapartego: ani dużej, konkurencyjnej gospodarki (wyjątki, jak Orlen, tylko potwierdzają czarną regułę), ani rzetelnej administracji, ani chwalebnej kultury, ani przyzwoitej nauki, ani moralności, sprawiedliwości i dobrobytu. Ani nawet cywilizowanych szos. Powiedźcie Francuzowi, Hindusowi czy Włochowi, że największe terytorialnie państwo wschodniej Europy, któremu doskwiera brak dobrych dróg, przez ostatnie piętnaście lat zdołało wybudować ledwie sto kilkadziesiąt kilometrów autostrad, a on umrze ze śmiechu. To jest jak symbol całej sytuacji — całej dzisiejszej kondycji państwa polskiego.

Czemu kilkadziesiątomilionowego kraju nie stać na więcej niż parę mikroskopijnych odcinków autostrad? Bo władza nie ma pieniędzy. Nie ma na drogi, na służbę zdrowia, na rozwój nauki, na renty, na zasiłki, na godziwe pensje dla maluczkich — na wszystko (ma tylko na sowite emerytury dla dawnej „*nomenklatury*” i dla komunistycznych oprawców — esbeków, politruków, wszelakich „*mundurowych*” — tu forsa leje się strumieniem, ci nie płaczą). Cóż, wpływy do budżetu są zbyt małe! — mówi władza (każda władza w ciągu minionego piętnastolecia). Fakt, są zbyt małe. Ale prawda jest taka, że byłyby wręcz „zbyt duże” (jakkolwiek bulwersujące czy cudacko to brzmi), gdyby notorycznie nie tracono miliardów.

Przyczyn idiotycznego bądź łajdackiego tracenia przez państwo polskie miliardów złotych można wskazać mnóstwo, lecz trzy główne to absurdalnie rozbuchany moloch etatowo-dietowy prominentów (od kancelarii premiera do rad samorządowych), prywatyzacja i aferyzacja. Pierwszy grzech główny z wyżej wzmiankowanych: mamy szesnaście województw, gdy starczyłoby kilka; mamy horrendalną (zupełnie bezsensowną) liczbę powiatów; mamy przeogromny Sejm i duży Senat (odchudzenie każdego o co najmniej 50% radykalnie poprawiłoby ich funkcjonalność); mamy zbyt liczne i zbyt komórkowe (czytaj: etatowo) rozdęte ministerstwa, pełne multiplikujących się „*gabinetów*”, mamy dziesiątki państwowych Agencji, Funduszy, Rad oraz innych, równie niepotrzebnych instytucji, które bez żadnego pożytku dla ludzi ssą wielkie pieniądze. Cały ten monstrualny system parlamentarnej i administracyjnej biurokracji, w której wszędzie funkcje i etaty się dublują

(exemplum Rada Polityki Pieniężnej, struktury wojewódzkie, itd.), jest synekurowo-farmazońską maszynką do połykania bajońskich pieniędzy, które zamiast wzmacniać państwo i ułatwiać życie społeczeństwu — utrzymują tylko (i to utrzymują luksusowo) nieprzebrane rzesze „znajomych królika”. Wszystkie te sowite (eufemizm, gdyż bardzo często: arcylukratywne) płace, premie, nagrody, odprawy, diety, rekompensaty, „zwroty kosztów”, etc., etc., etc. — to kolosalna studnia bez dna, permanentnie masakrująca budżet. Sekundują temu rytualne wręcz procedury tracenia olbrzymich sum w ramach prywatyzacji i aferyzacji:

Pierwotna prywatyzacja majątku postpeerelowskiego (czyli „uwłaszczeniowa” prywatyzacja fabryk przez ludzi starego, czerwonego reżimu) dawała państwu wpływy komiczne, bo było to prywatyzowanie hucpiarskie, właściwie rozdawnictwo „samym swoim” lub sprzedaż za bezcen, a późniejsza „przetargowa” prywatyzacja (sprzedawanie, głównie cudzoziemcom, metodą przetargów) dawała wpływy mocno zaniżone (gdyż wyprzedawano głupio lub łapówkarsko — często „zwyciężała” firma oferująca mniej, a przegrywała ta, która proponowała dużo więcej). Do tego rozliczne mega-afery, setki głośnych afer — od „afery FOZZ”, przez „markową”, „rublową”, „bankową”, „alkoholową”, „papierosową”, „benzynową”, etc., etc., aż do najświeższej (lato 2004), tej ze sprzętem medycznym, plus afery ciche, nieumiedialnione — zabrały państwu (czyli społeczeństwu) setki miliardów złotych! Łącznie — sumy tak gigantyczne, że ich połowa uczyniłaby III Rzeczpospolitą krainą „płynącą mlekiem i miodem”. Tymczasem stało się odwrotnie — kraj płynie szambem. Nie jest to wina przypadku, losu, zbiegu okoliczności, naturalnych kłopotów „transformacji”, pecha, fatum, kiepskiej koniunktury międzynarodowej, klęsk żywiołowych czy bezlitosnej Opatrzności Bożej, tylko takich a nie innych ludzi rozdających polskie karty, vulgo: sprawujących w Polsce rządy. Już dekadę temu (1994) publicznie wyraziłem marzenie, iż kiedyś „władzę w dręczonym, ośmieszonym i prostytuowanym kraju przejmie siła honoru, wyznająca kult polskiej racji stanu oraz prymat służebności wobec człowieka. Ci, którzy dziś władają, są lokajami diabła”. Scharakteryzowałem ich wtedy następująco (odwołując się metaforycznie do trzech wielkich dzieł literackich):

„Budują ztodziejsko-bananowy ustroik, w którym «folwark zwierzęcy» przybiera dla zamydlenia oczu trochę bardziej ludzką twarz dzięki humorystycznym elementom «komedii ludzkiej». Orwell + Balzac + Hugo, gdyż, kapitanowie dryfującej łajby to «nędznicy». Spryciarze, których przeszłością jest prosowiecka agenturalność bądź kolaboracja ideologiczna, a terażniejszością władza zachapana dzięki trikowi z «okrągłym stołem». Nie

mają żadnych talentów do wznoszenia autentycznych struktur praworządności. Co gorsza — nie mają nawet chęci budowania czegoś przyzwoitego. Mają tylko genetyczne cwaniactwo, lepkie łapy, zgniłe sumienia i gęby pełne uspokajających frazesów. Ta sama, co niegdyś, «dyktatura ciemniaków», wzbogacona o współudział szulerów dyplomowanych. Zamiast pracy dla rozwoju, zamiast realizowania znośnej codzienności i projektowania szlachetnej wizji dla milionów ludzi — kompletny pat, kreujący wszechobecną upiorność. Upiorna gospodarka, upiorna administracja i sejmokracja, upiorna jurysdykcja, upiorna korupcja, upiorna przestępczość, upiorne dziury szos i domowych budżetów — pełny rozkład funkcjonalności, sprawiedliwości, moralności, zdrowego rozsądku oraz szacunku wobec prawdy i prawa. Upiorni spryciarze-grabarze na belwederskich, sejmowych, rządowych, wojewódzkich, miejskich, gminnych i bankowych-tronach. Upiorny kraj, w którym życie to koszmar sen — czysta upiorność. Cóż zawiniła Polska losowi, że oddał ją w pacht takim ludziom ?

Pytanie egzaltowane? Bez wątplenia. Lecz egzaltacja płynąca z rozwścieczonej duszy jest mniej karygodna niż hipokryzja płynąca z ich pysków nawykłych do łgarstw, do tumanienia grabionego przez nich ludu. Tak jak histeria buntownika ma wartość większą od historii tworzonej przez komediowych łotrzyków, którzy sprawują rządy lekceważąc Dekalog”.

Minęło dziesięć lat. Czy oprócz jednego słowa („belwederskich” — prezydent już nie mieszka w Belwederze) musiałbym cokolwiek zmienić w powyższym tekście dając go dzisiaj do gazety jako recenzję obecnego stanu państwa i obecnej konduity tegoż państwa sterników? Nic! I wcale nie wygląda to tak tragicznie tylko na prowincji, gdzie nędza jest dziś straszna, przekraczająca wszelkie wyobrażenia tych grup sytych mieszcuchów, którzy sądzą, że odwiedzają prowincję, kiedy jadą do swoich relaksowych dacz mazurskich. Weźmy duże miasto, Poznań, stolicę Wielkopolski, zamożniejszej przecież aniżeli tzw. „Polska B” (Polska wschodnia). Rzeszów czy Białystok nigdy nie przestały marzyć o dobrobycie Poznaniaków. Tymczasem najnowsze dane (2004) mówią, iż w Poznaniu 85% rodzin wielodzietnych (czworo dzieci lub więcej) żyje poniżej minimum socjalnego, 53% poniżej minimum ubóstwa, i 38% poniżej minimum egzystencji ! Co pozwala zrozumieć czemu 73 % rodaków tęskni do PRL-u — wtedy było im lepiej! Kto jest temu winny?

Winowajcom — różowemu „Salonowi” — poświęcam tę książkę. Ramy czasowe (1989-2004) nie wynikają tylko z faktu, iż piszę ją właśnie w roku 2004. To nie jest przypadkowe piętnaście lat. Rok 1989 dał początek III Rzeczypospolitej, a rok 2004 dał swoistą klamrę — Polska wstąpiła do Unii Europejskiej, częściowo tracąc odzyskaną piętnaście lat wcześniej

suwerenność. Zaczął się nowy etap, będący logiczną konsekwencją procesów globalizujących, unifikujących, kosmopolityzujących (czy jak je tam zwać), trwających już od dawna. Od jak dawna? W sferze ideologii: od pańwiatowego zakusu spiskujących „*mędrców Syjonu*”, bądź od Leninowsko-Stalinowskiej chętki, by zbolszewizować całą ludzkość („... *gdy związek nasz bratni ogarnie ludzki ród!*”, „*Komunizm zmiecie wszystkie granice!*”, etc.), a bardziej serio mówiąc — od McLuhanowskiej teorii-przepowiedni względem „*wioski globalnej*”. Zaś praktycznie: od zburzenia muru berlińskiego i od rozpowszechnienia Internetu. Prognozy głoszą (exemplum tezy wybitnej socjolożki i politolożki, prof. J. Staniszkis), że schyłek metafizyki państwa narodowego i postępujący uwiąd jego znaczenia doprowadzą jeszcze w naszym stuleciu do zaniku państw, a być może również do zaniku społeczeństw narodowych. Jedni (exemplum polski socjolog, prof. Z. Bauman) myślą, iż wkrótce nie zdoła się w ramach jednego państwa zapewnić obywatelom wolności, bezpieczeństwa i dobrobytu, więc utrzymywanie swobód demokratycznych i dawanie ludziom pracy będzie wymagało struktur większych, ponadnarodowych, globalnych. Inni (konserwatyści, tradycjonałiści) biadają, iż zmierzch państwa całkowicie suwerennego będzie Apokalipsą ludów. Lecz i oni widzą, że niełatwo będzie utrzymać dawny porządek świata, vulgo: egzystować na interglobe (internetowym globie) „*po staremu*”. Każdy to widzi.

Jedni zrozumieli to wcześniej, inni dopiero teraz, z chwilą wstąpienia Polski do Unii. Ja byłem wśród tych, którzy zrozumieli (co nie znaczy, że się ucieszyli) wcześniej. Wcale nie dlatego, że jestem taki mądrała, lecz dlatego, że byłem kibicem najbardziej uniwersalnego sportu świata — futbolu. Futbol radykalnie się zmienił pod każdym względem — i pod względem trybun, i pod względem murawy. Kiedy chodziłem na stadion jako smarkacz (z ojcem), jako gołowąs (z gronem kolegów) i jako wąsacz (z żoną) — obok siedziała elita artystów i aktorów (K. Rudzki, G. Holoubek i inni). Mecz to było kulturalne święto. Później wszyscy kulturalni uciekli z trybun, bo nikt nie lubi obrywać szklaną butelką w czerep. Dzisiaj na mecze piłkarskie jeździ i chodzi już wyłącznie bandycka dzicz, nie po to, by obserwować grę, tylko by dewastować kolej państwową i autobusy, dyskutować ze sobą łańcuchami, nożami, „*bejsbolami*”, „*francuzami*”, prętami i siekierami, a wspólnie przywalać mundurowym „*psom*”, którzy zresztą boją się „*kiboli*” panicznie. Ale jeszcze bardziej zmieniła się murawa stadionu, dokładniej zaś ci, którzy po niej biegają — przestali być narodowi.

Dziesiątki lat drużyny ligowe i reprezentacje państwowe były jednolite narodowo, stanowiąc swoiste (sportowe) delegatury i zworniki patriotyzmu.

Człowiek był dumny, kiedy wygrywali „*nasi*”. Kibicowało się „*swoim*”, rodakom (jakże to „*szowinistycznie*” dzisiaj brzmi, z punktu widzenia regulaminów „*poprawności politycznej*”). Hiszpanie grali przeciwko Anglikom („*Angolom*”), Niemcy („*Szkopy*”) przeciw Francuzom („*Żabojadom*”), Czesi („*Pepiki*”) przeciw Włochom („*Makaroniarzom*”), et cetera. Później międzynarodowe władze futbolu umiędzynarodowiły drużyny klubowe, ale tylko kosmetycznie, zezwalając, by w klubie grało dwóch cudzoziemskich piłkarzy. Nacisk dużych pieniędzy, które daje piłka, zniósł po pewnym czasie wszelkie ograniczenia i bariery, dlatego dzisiaj niejedna drużyna klubowa ma w składzie więcej cudzoziemców niż autochtonów, i więcej kopaczy czarnoskórych, śniadoskórych lub żółtoskórych niż białych. Wśród elity klubowej nie ma już drużyn narodowych par excellence. Definitywne internacjonalizowanie stało się faktem, gdy za sprawą różnych sztuczek z imigracją i z obywatelstwem („*naturalizacja*” etc.) reprezentacje państwowe Europy poczerniały od przedstawicieli tropikalnych wysp i Czarnego Łądu (Anglia, Francja, Holandia itd.) tudzież zmużłamanizowały się od wyznawców islamu (Niemcy, kraje skandynawskie itd.). Często widzimy, że 50% reprezentacji brytyjskiej składa się z Murzynów; w reprezentacji francuskiej 80% czarnoskórych muzułmanów jest normą, a zdarzało się już, że wybiegała ona na boisko bez jednego białego! Pan Molier umarł za wcześnie, on by to dobrze skomentował. Fredro też by miał twórczą inspirację, gdyby widział jak w reprezentacji Lechistanu biega czarnoskóry (ksywka od kibiców: „*Czarnecki*”) Polonus rodem z Kenii, a może z Nigerii lub innego regionu nadwiślańskiego. Mnie to bardziej wstydzi niż złości, czego proszę nie mylić z rasizmem (jedyne rasizm wyznaję wobec rasy ludzi wrednych, bez względu na kolor skóry) — ma to tylko związek z czymś, co zwę „*elementarną przyzwoitością*”, no i z nostalgią. Żał mi tamtych czasów, gdy drużyny (klubowe i państwowe) reprezentowały jedenastoosobowo kraj swoich przodków — swój historycznie rodzinny kraj. Było w tym coś pięknego, romantycznego, patriotycznego. Coś nie tylko dla oczu, lecz i dla serca. Kiedy się to zmieniło radykalnie w tyglu globalnej koktajlizacji i kosmopolityzacji — zrozumiałem (kilkanaście lat temu!), że futbolowa rewolucja to jedynie próg rewolucji światowej (w pierwszym rozpędzie europejskiej) o charakterze analogicznym. Jej finalnym europejskim akordem będzie przerobienie Wieży Eiffla na minaret meczetu.

Ta rewolucja, czy raczej rewolucyjna ewolucja, doprowadziła Polskę do Unii Europejskiej, czyli do kołchozu, gdzie patriotyzm może sobie być klubowy, lecz nie narodowy, a suwerenność duchowa, lecz już nie jurysdykcyjno-administracyjna. Polacy zgodzili się na to w sposób

demokratyczny — głosowaniem. Nie poszedłem głosować; wcale nie dlatego, że byłem przeciwny wstąpieniu mojego kraju do Unii, tylko dlatego, że nie potrafiłem we własnym rozumie i we własnym sumieniu rozstrzygnąć co będzie lepsze, akceptacja czy odmowa. Widziałem pewne „za”, i widziałem pewne „przeciw”; jedno i drugie równoważyły się jak szale wagi, której ramię tkwi poziomo. Mając tę ambiwalencję, wolałem nie przykładać ręki. Wskutek tego zachowałem czyste sumienie. Dzisiaj postąpiłbym inaczej — z czystym sumieniem oddałbym głos. Gdyby drugie referendum było dzisiaj — głosowałbym przeciwko wstąpieniu bez wahania. Nie wstępuje się do jaskini szulerów. Nie zezwala na to scalająca Dekalog maksyma (przykazanie przykazań): „*Pewnych rzeczy się nie robi!*”.

Molestowano cię, byś rozegrał mecz piłki nożnej, wchodząc do drużyny kompletowanej przez twoich sąsiadów. Zgodziłeś się, bo zagwarantowano ci (pisemnie!), że w wybranej spośród tychże sąsiadów jedenastce będziesz grał jako napastnik. Tuż po pierwszym gwizdku sędziego inni (co silniejsi) członkowie drużyny, owi sympatyczni sąsiedzi, którzy cię namówili, każą ci zejść z boiska, wyznaczając funkcję podającego piłki, jakie wyleciały na out. A w przerwie mógłbyś przynieść graczom piwo. Po meczu zaś wysprzątać szatnię. Dowcipni sąsiedzi, prawda? Jeżeli dla któregoś Czytelnika futbolowa metafora jest zbyt zawila, użyję drugiej, karcianej. Namówiono cię, byś został członkiem klubu pokerowego, zapoznano z regułami gry i podpisano z tobą umowę. Gdy już siedziałeś przy stoliku, oznajmiono ci, że w każdym rozdaniu dostaniesz jedynie trzy karty, a przewidziany regułami gry komplet kart (pięć) będą dostawali tylko gracze silniejsi od ciebie muskulaturą, na co masz się zgodzić, bo inaczej zostaniesz uznany za chuligana i możesz być represjonowany. Dowcipne, prawda? Taki właśnie dowcip zrobiono Polsce.

Sterujący Europą lewaccy farmazoni (Francuzi, Niemcy i Belgowie) znętili Polaków traktatem Nicejskim, czyli wizją związku suwerennych państw, wśród których Polska miałaby mocną rangę elektorską, vulgo: decyzyjną. Dlatego głosujący w sprawie akcesji Polacy opowiedzieli się za akcesją: za Unią funkcjonującą według Nicejskiego traktatu — traktatu, który sygnowali wszyscy partnerzy. Tymczasem, tuż po naszym przystąpieniu do Unii, jej wcześniejsi członkowie oznajmili Warszawie (wskutek dyktatu Francuzów, Niemców i Belgów), że Nicea przestała się im podobać, więc arbitralnie uznają tamten pakt za nieważny. Miast niego, będzie obowiązywała wykreowana przez nich konstytucja unijna, która radykalnie zmniejsza polską siłę głosu, czyli deklasuje Polskę — wyrzuca nasz kraj z grona państw rozgrywających, spychając go do grona ciurów. Tym sposobem Paryż, Berlin, Bruksela and Co. złamały swoje obietnice (wabiki) wobec Polski (który to już

raz w historii Zachód cynicznie Polskę okłamał?), gwiżdżąc na paragrafy świeżo sygnowanego traktatu. Co zrobił wobec tego „przekreću” (szantażu-dyktatu) warszawski rząd? Komunistyczny rząd M. Belki podpisał się pod tą szczwaną intrygą unijnych hochsztaplerów (czerwiec 2004), „dając d...”! Użyłem kolokwializmu rodem z rynsztoka, bo wprowadzono nas do Rynsztoka — do europejskiej szulerni, gdzie lewicowi zachodni kłamcy, niczym farmazońskie lumpy, kochają „dymać frajerów”.

Konstytucja unijna, przyjęta przez wszystkie rządy (ale miejmy nadzieję, że nie przez wszystkie społeczeństwa — będą jeszcze referenda konstytucyjne!), daje kilku „rozgrywającym” państwom (zwłaszcza Francji i Niemcom) pozycję unijnych hegemonów, którzy mogą lekceważyć dużo z tego, co zostało ich rękami podpisane. Klasyczny przykład już dokonany to bezkarne złamanie przez Francję i Niemcy wymogów tzw. Paktu Stabilizacyjnego, który zabrania przekraczać trzyprocentowy deficyt państwa, a przekraczającemu grozi surową finansową karą. Paryż i Berlin przekroczyły (2003) i nie zostały ukarane wcale, co jest zrozumiałe, bo w przyrodzie rzadko się zdarza, by słabszy mógł karać silniejszego. Ów precedens bezspornie dowiódł, że — jak w każdej zdemoralizowanej ferajnie — zakazowe prawo obowiązuje tylko maluczkich, nigdy gigantów. Inne precedensy (rozliczne afery łapówkarskie i kumoterskie na szczytach biurokracji unijnej) dowiodły już, że ta struktura i jej formalna stolica (Bruksela) są równie zdegenerowane jak wszystkie centralistyczne biurokracje systemów, w których malwersacja stanowi regułę, a kłamstwo gra rolę „*modus operandi*” (sposobu działania). Tylko między latami 1995 a 1999 wykryto wewnątrz UE półtora tysiąca afer i nadużyć, na łączną kwotę 950 milionów euro! Tylko za kadencji J. Santera jako przewodniczącego Komisji Europejskiej jego unijni komisarze (siedemnastu ludzi) dopuścili się co najmniej 27 wielkich złodziejskich, łapówkarskich i spekulacyjnych „przekreću” (27 wykryto). Skorumpowany moloch europejski cuchnie jak każdy centralistyczny demokratyzm-autokratyzm.

Przez niespełna pół wieku taką dyspozycyjno-nakazową centralą dla Polski i dla kilku KDL-ów („*Krajów Demokracji Ludowej*”) była Moskwa. Teraz jest nią dla prawie całej Europy Bruksela, jej unijna biurokracja, która ma działać wedle traktatu konstytucyjnego, a ten równie głęboko jak dyktat Kremla ogranicza suwerenność państwową członków Unii. Powie ktoś: demonizujesz, eurosceptyku, przecież Unia to nie czerwony system nakazowo-rozdzielczy — to kapitalizm, liberalizm i wolny rynek! Czyżby? M. Słomczyński: „*Gospodarka UE jest daleka nie tylko od zasad liberalnych, lecz także od zasad bardzo nawet ograniczonej gospodarki wolnorynkowej. Dopłaty, kwoty*

produkcyjne, kontrola handlu, podział rynków zbytu, wszechobecna biurokracja, itd. — to odwzorowanie przez UE gospodarki nakazowo-rozdzielczej realnego socjalizmu”.

Wspomniana „wszechobecna biurokracja UE” będzie dyrygowała nie tylko gospodarką — będzie, wedle konstytucji, rozdawała karty w każdej dziedzinie funkcjonowania każdego kraju. Nie chcąc, by zarzucono mi antyunijny subiektywizm — miast wyszczególniania wątpliwości czy obiekcji własnym językiem, cytuję szacowny „**The Economist**”, który z chwilą przyjęcia konstytucji przez rządy pisał: „*Formalnie Unia będzie działać tylko w sprawach «ponadkrajowych». Wszelako każda kwestia «ponadkrajowa» rzutuje na politykę wewnętrzną krajów-członków, nie wyłączając polityki zagranicznej, społecznej, środowiskowej (ekologia) czy podatkowej. Owszem, kraje mają możliwość weta w czterdziestu «obszarach», lecz każde weto może być odrzucone liczbą głosów przez silniejszych. Brukseli oddano w pacht rozliczne aspekty sądownictwa i kodeksu karnego, problemy azyłowe, migracyjne oraz związane z przepływem siły roboczej, uregulowania dotyczące sfery socjalnej państw-członków, itd. Zatem Unia będzie miała prerogatywy we wszystkich niemal «obszarach» i możliwości rozszerzania tych prerogatyw. Weźmy choćby kwestię podatkową. Co prawda konstytucja unijna mówi o podatkach od firm i podatkach typu VAT, lecz któż wzbrowni Brukseli rozszerzyć te regulacje na podatki od dochodów osobistych? Są to kwestie tak istotne dla polityki wewnętrznej każdego państwa, iż każdy suwerenny rząd winien się sprzeciwić pozbawianiu swych wyborców prawa decydowania o nich samych”.*

„**Financial Times**” sumował krytykę identycznie, pisząc, że tylko dzięki radykalnemu zreperowaniu (to jest usensownieniu, i uprzyzwoiceniu, i odtotalizowaniu) tej fatalnej konstytucji „*wyborcy zyskaliby wreszcie poczucie, że Europa biurokratów i bankierów może być w każdej chwili rozliczona przez zwykłych obywateli*”. Czyż nie o to chodzi w demokracji? Unijny demokratyzm ma się do demokracji mniej więcej tak, jak miała się do demokracji bolszewicka „*demokracja ludowa*”, a do prawidłowej ekonomii — „*gospodarka socjalistyczna*”. Co rodzi obawę, że zamieniając Moskwę na Brukselę — „*zamienił stryjek siekierkę na kijek*”.

Wśród eurosceptyków Unia budzi wiele obaw, nie wyłączając gastronomicznych (vide szokujące czasami, a czasami komiczne regulacje i restrykcje wobec lokalnych przysmaków, mierzenie krzywizny bananów i długości ogórków, etc.) tudzież terytorialnych. Polscy eurosceptycy boją się zwłaszcza o nasze Ziemie Zachodnie, traktując unifikację Europy jako niemiecki spisek, który umożliwi „*Szwabom*” pokojową restytucję dawnych niemieckich terenów metodą gier prawnych, gdy metoda wojenna jest obecnie

niemodna i niewykonalna. Co wcale nie musi być oszołomską „spiskową teorią dziejów”, bo historia wielokrotnie już dowiodła, iż „spiskowa teoria dziejów” ma permanentną skłonność do zamieniania się w spiskową praktykę dziejów. Mnożące się niemieckie organizacje (Powiernictwo Pruskie, Ziomkostwo Ślązaków, Związek Wypędzonych itp.), które twardo i coraz bezczelniej żądają zwrotu niemieckich „majątków” (czyli, mówiąc klarownie: polskich Ziemi Odzyskanych), liczą na to, że prawodawstwo UE da im je przejąć, a politycy niemieccy wypowiadają się w tej materii mętnie, mydląc oczy. Euroentuzjasta ceni niedawne słowa kanclerza G. Schrödera, iż Berlin nie będzie akceptował i wspomagał dążeń do zwrotu. Ów euroentuzjasta zapomina (lub nie wie), że ten sam Schröder wcześniej rzekł „ziomkostwom”.

„— *Bądźcie cierpliwi, ja wam zwrócę wschodnie landy. Zaufajcie mojej metodzie*”. Dlatego dzisiaj sytuacja zrobiła się taka, iż nawet liberalny „**Newsweek**” (piórem W. Korzyckiego) piętnuje terytorialne żądania Niemców (2004): „*Wygląda na to, że zwolennicy zbliżenia polsko-niemieckiego nie docenili potrzeby uregulowań prawnych. Skupiając się przez minione dziesięciolecia na wybaczeniu i proszeniu o wybaczenie, i taktownie czekając aż niezabliźnione rany przeszłości same się zagoją, zostawiliśmy pożywkę dla gangreny, która dziś rozprzestrzenia się z zaskakującą szybkością*”. Unijna konstytucja nie rozprasza takich obaw — raczej obawy potęguje. Między innymi przez rozwlekłość, zawilość i mętny język swych paragrafów, dzięki czemu możliwe są różne triki z „interpretacją”.

Wzorem bezbłędnej konstytucji jest konstytucja USA. Krótka, lapidarna, klarowna — samo sedno. Natomiast pisana biurokratycznym żargonem konstytucja unijna to dwustustronicowy (!) gniot o 450 (!) artykułach, z którego normalni ludzie rozumieją mało. Przez swą bełkotliwość ułatwia ona kręactwo „interpretacyjne” i generalnie sprawia, że — jak się wyraził znany niemiecki filozof, J. Habermas — „*Elity polityczne będą teraz mogły realizować co chcą nad głowami ludów*”. „**Financial Times**”:

„*Autorzy konstytucji unijnej niczego się nie nauczyli od amerykańskich „ojców-założycieli», których dzieło to jasny i zwięzły dokument*”. Unijny dokument jest równie jasny co hieroglify faraonów. Dam przykład. Oto fragment pewnego bardzo istotnego paragrafu: „*Zgodnie z traktatem Amsterdamskim, postanowiono o przeniesieniu JHA z trzeciego filaru do pierwszego, z automatyczną klauzulą przejściową*”. Tłumaczenie tego hieroglifu (alias wyrażenie jego treści po ludzku) brzmi tak: sprawy wewnętrzne, również związane z sądownictwem, mogą być rozpatrywane na poziomie europejskim, a więc ponadkrajowym (czyli ograniczającym,

uszczipającym bądź wręcz lekceważącym suwerenność kraju w wielu dziedzinach).

Kto zmaistrował tę „*eurokonstytucję*”, dzielącą członków Unii po orwellowsku (na „*równych*” i „*równiejszych*”), a będącą zbiorem praw zaspokajających głównie ambicje Francji i Niemiec? Europejski lewicowy „*Salon*” — różowe (lewicujące) towarzystwo, które od dawna wyznacza polityczno-obyczajowy tudzież laicki kurs „*starego kontynentu*” dzięki licznym ławom rządowym i przede wszystkim dzięki swej nieomal monopolistycznej sile opiniotwórczej (medialnej), indoktrynującej miliony ludzi lewacko-ateistyczną, modernistyczno-leseferyczną, tolerancjonistyczno-utopijną, tresującą świadomość formułą 3 x „*po*” („*postępowa polityczna poprawność*”). Przynosi ona autentyczny, znany medycynie, „*paraliż postępowy*” — rosnący paraliż mózgow i sumień dużej części europejskiego stada. Ale właśnie o to lewackim dyrygentom idzie — o łatwość sterowania bydlęciem ludzkim, tak gminnym, jak i (zwłaszcza) wykształconym, fakultetowym, mającym się (całkowicie niesłusznie) za ludzi inteligentnych, a nie tylko za formalnych inteligentów.

Jako naczelny redagował „*eurokonstytucję*”, były prezydent Francji, V. Giscard-d'Estaing (klasyczny przykład rozpowszechnionego we Francji, kryptolewicowego „*postępowca*”, grającego centrystę bądź centroprawicowego liberała, jak choćby obecny prezydent, J. Chirac), który miał dużo współpracowników i doradców z kilkunastu krajów, jednak wśród tych pomagierów nie widziano autentycznych prawicowców, konserwatystów, tradycjonalistów (prawicowe rządy Hiszpanii czy Włoch wniosły jedynie poprawki, dla kosmetyki). Nic więc dziwnego, że teraz lewica zazwyczaj wychwala „*eurokonstytucję*”, a prawica ją toleruje (exemplum Włochy), gani (exemplum Holandia) lub przeklina jako skandaliczny knot (exemplum Anglia). Również w Polsce zachwyty deklarują czerwoni (SLD, SdPi, UP) i różowi (UW), gdy cała opozycja wiesza psy na tym dokumencie i na sygnatariuszu, którym był pupil prezydenta A. Kwaśniewskiego, premier M. Belka. Nie musiał sygnować bez walki o polskie interesy — konstytucja wcale nie musiała być uchwalona w czerwcu 2004 (premier Irlandii, B. Ahern, obejmując kilka miesięcy wcześniej prezydenturę Unii, głosił, iż nie sądzi, by „*eurokonstytucja*” została uchwalona już w roku 2004). To fakt, że Hiszpanie, sterroryzowani przez muzułmańskich ludobójców, błyskawicznie wymienili sobie rząd na lewicowy, i Warszawa straciła sojusznika negocjacyjnego, lecz to nie powód, by haniebnie, w dzikim pośpiechu, kapitulować przed Niemcami i Francją. Zwłaszcza co doliczby należnych Polsce głosów i co do braku Chrześcijaństwa wewnątrz preambuły konstytucyjnej.

Koroną niemoralności „eurokonstytucji” jest milczenie preambuły głównego dokumentu jednoczącej się Europy na temat głównego fundamentu Europy, jakim było Chrześcijaństwo. Cała kultura i cywilizacja europejska tworzyły się, wzrastały i krzepły w oparciu o tę wiarę — bez niej byłyby zupełnie inne, vulgo: Europa byłaby zupełnie inna. Negowanie tego (przemilczenie jest w tym wypadku aktem brutalnej wprost negacji) to sprawa nikczemna. A. Besancon (antylewicowy filozof francuski): „*Coś, co nazywamy Europą, uformowało się na terenie panowania Kościoła rzymskiego z obrządkiem łacińskim. Takie są fakty. Ich negowanie przez wojujący laicyzm jest zniekształcaniem przeszłości. Zły to znak, że zaprzeczamy prawdzie*”. Amerykanin K. L. Woodward: „*Jakiego rodzaju przyszłość może być udziałem zjednoczonej Europy, jeżeli wypiera się ona swej własnej przeszłości?*”. Woodward ostrzegłbym, że to samo się szykuje i w jego kraju, w zjednoczonej Ameryce (United States), bo Amerykanie również zaczynają się wypierać — oto właśnie Sąd Apelacyjny Kalifornii nakazał usunąć z pustyni Mojave wielki żelbetowy krzyż (wzniesiony tam A. D. 1934 ku czci amerykańskich żołnierzy, którzy zginęli podczas I Wojny Światowej), bo raził uczucia... buddystów! W Europie krzyż i cały Chrystianizm najwcześniej zaczęły razić przesiąkniętych Wolterem Francuzów, którzy od ponad stu lat tak dziarsko swój kraj laicyzują (mieli już kilka rządów masońskich jawnie, wręcz formalnie!), że wspomniany piórem Besancona „*wojujący laicyzm*” zrobił stolicę Francji metropolią europejskiego antychrześcijańskiego zaciętrzewienia.

Francja i Niemcy przeforsowały pominięcie Chrześcijaństwa w preambule konstytucji również ze strachu: są obecnie dwoma najbardziej zmuzułmanizowanymi (nie licząc potureckich Bałkanów) krajami starej Europy. Kiedyś król Młot, a później król Sobieski wstrzymali inwazję islamu na zachodnią Europę. Dzisiaj kontynent europejski stał się bezbronny. K. Grzybowska: „*Zgoda na wyłączenie wartości chrześcijańskich z preambuły jest poddaniem się próbie narzucenia wszystkim nam światopoglądu laickiego, ateistycznego, odebraniem Europie duszy i jej prawdziwych korzeni. Jest również ustępstwem na rzecz mniejszości muzułmańskich, z którymi przywódcy kilku krajów, a najbardziej Niemiec i Francji, muszą się liczyć, i których po prostu się boją*”. Czego wystraszył się premier Rzeczypospolitej, że przyklepał swym podpisem formułę antychrześcijańską? Może gniewu swego protektora, bo „*Aleksander Kwaśniewski jest antyklerykałem i nie kryje tego*”. Czyja to opinia? Opinia eksperta i naocznego świadka, Francuza J. Segueli, specjalisty od kampanii wyborczych, którego zaangażował sztab wyborczy Kwaśniewskiego, i który tak solidnie pomógł Kwaśniewskiemu, że zyskał

miano „architekta triumfu Olka”. Seguela opublikował kilka lat później wspomnienia ze swej roboty dla Kwaśniewskiego, ujawniając różne pikantne szczegóły, między innymi fakt, że ciągle musiał tłumić antykościelność pretendenta: „Musiałem go wciąż namawiać do oparcia się pokusom wsadzania Kościołowi szpili przy każdej okazji”. Szpila wsadzona Kościołowi jednym podpisem przez premiera arcykatolickiego kraju ma duży ciężar. Sam M. Belka to bagatelizuje, mówiąc (konferencja prasowa), że „nie ucierpią na tym ani chrześcijaństwo, ani bóg”. Co do Boga ma rację; co do Chrześcijaństwa — też chyba ma rację; lecz Europa ucierpi na tym bez wątpienia (patrz „**Zakończenie**” książki).

Pytanie: czy Rzeczpospolita ucierpi, czy zyska jako członek Unii? W przyszłości być może ekonomicznie zyska; chwilowo cierpi dalej, tak jak cierpiała przez piętnaście minionych lat. Dzięki wyzwoleniu z pęt komunizmu miała być ogólna poprawa, a jest bonanza dla garstki uprzywilejowanych, chwiejna stabilizacja („da się żyć”) dla nielicznych, i piekło niekończącej się „transformacji” (wegetacja) dla większości, stąd większość rodaków mówi: „— Wkurza mnie dosłownie wszystko! „. Wszystko, czyli „perpetuum mobile” niesprawiedliwości, rosnącego ubóstwa, szalejącego złodziejstwa i dominującego w życiu publicznym kłamstwa. To nie przypadek, że — jak wykazał tegoroczny (2004) sondaż — 71% Polaków twierdzi, iż za PRL-u

kłamstwa było w życiu publicznym mniej! Według tych cierpiących ludzi — kłamcy ery komunizmu (przecież systemu kłamliwego „*ex definitione*”) mogliby się uczyć łąać od kłamców wyzwolonej Polski, vulgo: III RP została zakłamana totalnie. Gdyby ankietarzy zapytali rozgoryczonych i wściekłych: kto tak okłamuje społeczeństwo? — usłyszeliby, że politycy wszelakiego sortu. Premierzy, ministrowie, wojewodowie, burmistrzowie, parlamentarzyści, radni, etc. — horda demokratycznie wybieranych mandarynów i kacyków, tudzież ich kolesiów i kumotrów „ciągnących do siebie” metodą rozkradania majątku państwowego, dzielenia wpływów podatkowych, łykania dotacji, pseudokredytowania, itd., itp. (jako że każdy taki cwaniak jest bezpośrednim lub pośrednim produktem urn — w Polsce głosuje coraz mniejszy elektorat, co się zwie fachowo: „*zniechęceniem elektoratu*”). To oni są wszystkiemu winni! — krzyczą masy. Łapownicy, pijawki, darmozjady, karierowicze, wydrwigrosze, bufony, Dyzmy z piekła rodem — nowi „*Oni*”, banda kłamców, „*góra*”! Prawdziwego, głównego, źródłowego, genezowego winowajcę i króla kłamców — różowy „*Salon*” — wskazałby mało kto spośród ankietowanych. Dlatego ja chcę im go wskazać tą książką.

Naturalnie — obywatele wykształceni, myślący i bystrzy, bez ściągawki wiedzą, że złe elity polityczne (administracyjne, partyjne, sejmowe, rządowe et

cetera) to tylko zauważalny łatwo trąd lub widoczna gołym okiem wysypka skórna, gdy źródło choroby tkwi głębiej, w innej elicie — elicie decydującego wpływu. O tej ukrytej elicie mówiła już dwanaście lat temu (1992) szefowa emigracyjnego pisma „**Echo — Niezależny Tygodnik Polski**” (Toronto), G. Farmus: „*Polski układ polityczny ma w środku jakiś niedostrzegalny gołym okiem stalowy trzon, jakieś spoiwo niewiadomego pochodzenia, które ujawnia się w momentach konfliktów. Okazuje się, że jest pewna grupa ludzi, która tym wszystkim steruje*”. Steruje i deprawuje — nie tylko polityków, lecz i masy ludzi. Nawet lewicujący B. Margueritte (spolszczony Francuz) przyznał dekadę temu: „*Wyśmienitym sposobem zagwarantowania władzy pewnych grup, pewnych elit, jest podejmowana szeroko próba deprawowania ludzi, co czyni ich podatnymi na wszelkie manipulacje*”. Ten właśnie mechanizm i te „*pewne grupy, pewne elity*” — chcę wskazać moją książką.

Kłopot ze wskazywaniem nie będzie merytoryczny (dowodów i argumentów jest aż nadto), tylko rynkowy. By wskazać super-klamcę biedniejszemu społeczeństwu (owym trzem czwartym bądź czterem piątym społeczeństwa, którym w III Rzeczypospolitej wiedzie się tak źle, iż szorstki „*kraj demokracji ludowej*” jawi się im krainą rajy, stąd bez uśmiechu powtarzają dowcip: „*lepiej już było*”) — trzeba tym ludziom sprzedać napisaną książkę. Jednak „*tym ludziom*” brak pieniędzy na mleko i na skarpetki dla dzieciaków, więc żadnej książki nie kupią, choćby kosztowała kilka złotych. Mówię o ludziach czytających dawniej (o belfrach, studentach, absolwentach, pielęgniarzach, niższej rangi medykach, urzędnikach, itp.), którzy dzisiaj wegetują. Sprzedaż książek malała co roku przez te piętnaście lat — była to piętnastoletnia „*krzywa opadająca*”, z każdym rokiem mniejsze nakłady. Im bardziej wzrastała pauperyzacja społeczeństwa, tym słabiej sprzedawał się druk — to są naczynia połączone. Swoją rolę gra tu również urynkowanie kosztów: koszty tzw. „*przygotowalni*”, papieru oraz druku, plus marże hurtowników i księgarzy (a więc łącznie rynkowa cena książki) są w Polsce porównywalne z kosztami produkcji i dystrybucji (a więc z ceną książki) na Zachodzie, tymczasem płace, emerytury i renty są wielokrotnie mniejsze niż tam. Krach definitywny nastąpił późną wiosną 2004, gdy równoczesne wejście Polski do Unii i skok cen benzyny wywołały lawinowy wzrost cen żywności i nie tylko (podrożenie kredytów, inflacja etc.). Wówczas „*ostatni Mohikanie*” czytelnictwa zaczęli omijać księgarnie. Hurtownicy książkowi masowo bankrutują, księgarze też (w mojej dzielnicy, na Saskiej Kępie, padła właśnie przedostatnia księgarnia — została już tylko jedna); bessa księgarska przypomina legendarny krach z Wall Street. Bóg wie dla ilu ludzi (dla ilu niedobitków) piszę tę książkę.

Mam zresztą wrażenie, iż to nie ja winienem ją pisać, ale ktoś inny, bardziej utalentowany. Znam co najmniej sześciu ludzi, którzy napisaliby ją lepiej. M. Ogórek lub M. Rybiński — wirtuozi satyry felietonowej — zrobiliby sobie z tematu cudowne „jaja”, gdyby chcieli, jednak pierwszy na pewno nie chciałby, bo pracuje dla flagowej gazety „Salonu”, organu A. Michnika, zaś drugi też chyba nie ryzykowałby, bo pracuje dla „Rzeczypospolitej”, która się o „Salon” ociera, wykazując instynkt samozachowawczy „comme il faut”. Cudownie wypatroszyłby „Salon” rymami satyryk-poeta, M. Wolski, ale tu dla jednej tylko (choć już wyblakłej) gwiazdy „Salonu” — dla „pana Tadeusza” Mazowieckiego — trzeba byłoby użyć niewiele mniej rymów niż w „Panu Tadeuszu”, więc pewnie Wolskiemu nie chce się aż tak rymotwórczo harować. Również J. Szpotański, autor kapitalnych kontrpeerelowskich satyr pisanych sekretnie za czasów PRL-u („Cisi i gęgacze”, etc.) — rymami wrzuciłby „Salon” do wychodka, czyli tam, gdzie jego miejsce. Brawurowo mogłoby się rozprawić z „Salonem” pióro wybornego publicysty i pisarza, R. A. Ziemkiewicza, który niegdyś smażył pyszne anty salonowe felietony (będę je cytował), lecz teraz szef jego rodzimej „Gazety Polskiej”, P. Wierzbicki, tak lizusowsko kokietuje Michnika, że autorzy publikujący w „GP” mają „szlaban” na flekowanie „Salonu” (wolno im ciężko dokładać tylko Lepperowi, Millerowi i innym czerwonym) — nie wiem, czy to formalny zakaz szefa, czy autocenzura odkąd „Gazeta Wyborcza” publikuje felietony Wierzbickiego. No i wreszcie S. Kisielewski — „Kisiel”! Każdy, kto zna „Dzienniki” „Kisiela”, wie, że mógłby on roznieść na strzępy swym bezlitosnym, ostrym niby brzytwa piórem, cały różowy „Salon”. Mógłby — i nie mógłby. Wpierw powiem dlaczego mógłby to zrobić jak nikt inny.

„Kisiel” pisał diariusz w latach 1968-1980. Formalnie pisał „do szuflady” (o czym wielokrotnie wspomina, wyrażając obawę, iż prędzej czy później bezpieka skonfiskuje zapiski), lecz jak każdy piszący twórca (był kompozytorem, publicystą i literatem) musiał brać pod uwagę, że kiedyś doczekają się druku. Ciche pisarstwo (antykomunistyczne pisanie w erze komunizmu) nie zmienia faktu, że człowiek tworzący piórem nigdy nie pisze wyłącznie „sobie a muzom” lub tylko dla własnych wnuków — zawsze smaruje dla szerszego grona odbiorców, choćby jeszcze nienarodzonych, i choćby realia polityczne miały uniemożliwić druk przez wiele lat. Czy jest to świadome, czy podświadome — nie ma znaczenia. Znaczenie ma wszakże inny fakt: takie notatki pisane bez szansy rychłego druku (a „Kisiel” nie przewidział, iż komunizm padnie nim upłynie wiek XX) — czyli, z punktu widzenia bieżącej logiki, istotnie pisane „do szuflady” — są zawsze swobodniejsze vel prawdomówniejsze, bardziej bezkompromisowe, gdyż

piszącego nie krępuje autocenzura stricte polityczna tudzież (co może i ważniejsze) autocenzura towarzyska (środowiskowa) oraz żadne hamulce obyczajowe tego rodzaju, który dziś zwiemy „*polityczną poprawnością*”. Stąd kolosalna różnica między tymi notatkami a późniejszym (później pisanym, lecz wcześniej wydanym) „**Abecadłem Kisiela**”, gdzie — jak eufemizował w przedmowie do „**Dzienników**” L. B. Gorzeniewski — „*czytelnik znajdzie sądy o ludziach bardziej wyważone*”. Co znaczy: już ufryzowane (ocenzurowane koneksjami i uwikłaniami towarzyskimi autora), bo tę rzecz „*Kisiel*” pisał (dyktował) „*z perspektywy końca PRL-u*”, licząc na jej rychłe upublicznienie drukiem. Zatem jedynie „**Dzienniki**”, wydane pięć lat po śmierci autora, są ekspozycją mówionej przezeń bezlitośnie „*prawdy, całej prawdy i niczego jak tylko prawdy*”. „*Kisiel*” zmarł w 1991, miał więc trzy lata wolnej Polski — 1989, 1990 i 1991 — by samemu zdecydować o ich druku, lecz się nie odważył (na edycję zezwoliły roku 1995 jego dzieci, we wstępie, dla świętego spokoju, zastrzegając, że różne sądy ojca „*z perspektywy czasu wydać się mogą zbyt surowe*”). Notabene — mógłby to „*Kisiel*” sam opublikować już dużo wcześniej, korzystając z wydawnictw emigracyjnych, lub w kraju roku 1981, kiedy wystraszona przez „Solidarność” cenzura (kto dziś jeszcze o tym pamięta?) właściwie nie działała, puszczano do druku wszystko (ja wówczas publikowałem m.in. kilkuodcinkowy artykuł na temat... cenzury i jej represji, pt. „**Cenzuriada**”). Lecz się nie odważył, mniej ze względów polityczno-ustrojowych — bardziej ze strachu przed „*Salonem*”. Diariusz „*Kisiela*” bowiem jest treściowo tyle samo antykomunistyczny, co antysalonowy — wprost krzyżuje wielu koryfeuszy „*Salonu*”.

Również język kisielowego diariusza jest tak „*niepoprawny*”, że z punktu widzenia dzisiejszych „*postępowych*” kryteriów stawia włosy na głowie. Nie chodzi o to, że czasami padają tam „*wyrazy*”, (często bez wykropkowania !): „*ch..*”, „*k...*”. „*p*” itp., lecz normalne słowa, które pod naciskiem każdego różowego „*Salonu*” (rodzimego, europejskiego, światowego) zostały surowo zakazane, więc dzisiaj nawet konserwatyści-tradycjoniści boją się ich używać, gdyż długoletnie już lewicowe odium rzucone na dawne słownictwo działa kneblująco, wytwarzając podświadomą autocenzurę, której uniknąć nie sposób. Dziś się pisze: „*gej*”, „*homoseksualista*” czy „*kochający inaczej*”, „*Kisiel*” diariuszowy nie stosuje żadnych eufemizmów, tylko pisze: „*pederasta*”, „*ciota*”, „*pedał*”, „*wstrętny pedzio*” (no i z lubością przytacza kawały antypedalskie; exemplum: „*W Ameryce wzięto do wojska wszystkich pederastów. Po co? Żeby zająć Rosję od tyłu!*”). Kanalie gani wprost, pisząc: „*bydlę*”, „*skurwysyn*”, „*świnia*”, „*stara świnia*”, itp. Murzynów zwie „*Murzynami*” lub „*czarnymi*” (mnóstwo jest w „**Dziennikach**” złośliwości na

temat Murzynów), co brzmi dzisiaj wobec „Afroamerykanów”, „Afrykanów”, „mieszkańców Afryki” bardzo obraźliwie. I wreszcie — horrendum horrendorum — zamiast pisać: „Polak pochodzenia żydowskiego”, „Polak z rodziny żydowskiej” itp., lub (jeszcze lepiej, a właściwie najlepiej) w ogóle rezygnować ze wskazywania korzeni rodzinnych czy też rasowych, „Kisiel” notorycznie traktuje ludzi pochodzenia niegojskiego per: „Semita”, „Żyd”, „głupi Żyd”, „stary Żyd”, „typ rabinistyczny”, itp.

Czy był antysemitą? Nic z tych rzeczy, i to nie dlatego, że miał serdecznych kumpli Żydów (antysemici też mają), lecz dlatego, że prawdziwym antysemityzmem gardził jak każdy przyzwoity człowiek. Zdawał sobie wszelako sprawę, że owa częsta w diariuszu krytyka peerelowskich „Żydów” (aparaczyków tudzież opozycjonistów lub pseudoopozycjonistów dominujących w ówczesnym „Salonie”) wygląda niczym antysemityzm, więc tak ją komentował: „*I oto sam mówię po antysemitku — każdy ma widać swój antysemityzm, na jaki go stać*”. To prawda — każdy ma taki antysemityzm, na jaki go stać. Żydzi również. Wielu stuprocentowych Żydów było „zoologicznymi antysemitami”, choćby autor „**Kapitatu**”, K. Marks, który wyklinał „żydowskie szachrajstwo” i samo „żydostwo” używając słów cięższych od tych, jakich Hitler użył w „**Mein Kampf**” (sic!). Pisarz W. Wirpsza wspominał, że znany aforysta, Żyd S. J. Lec. swego adwersarza, znanego krytyka literackiego, Żyda A. Sandauera, zwał „*parchem*” i na Wirpszę krzyczał (głośno, publicznie, w bibliotece Związków Literatów): „ — *Bo to jest ten twój antysemityzm, że ty Żyda od parcha nie odróżniasz!*.”

Cytując „*Kisiela*”, urwałem jego wypowiedź tyczącą antysemityzmu; teraz już daję pełny cytat: „*I oto sam mówię po antysemitku — każdy ma widać swój antysemityzm, na jaki go stać. Przypomina mi to endecką, przedwojenną piosenkę, śpiewaną na nutę majufesa. «Same Żydy, same Żydy, ta ra ra ram! Jak się pozbyć tej ohydy, ta ra ra ram!».* Fu! Ale prorocze”. Prorocze było dlań m.in. to, że „*Semici*” zdominowali w PRL-u „górze” obu stron barykady — w stalinowskim PRL-u wierchuszkę represyjną (bezpieczniacką), a w „odwilżowym” PRL-u czołówkę dysydencką (czyli salonową), co następująco tłumaczył: „*Właściwie prawie wszyscy Żydzi zaczęli to z początku robić — taki ich instynkt, żeby być w przodzie...*” (kropki nie moje, lecz autora). O typowym „Żydzie” peerelowskiego „Salonu” wyraził twardy sąd: „*Kiedyś stalinista i literacki ubek, potem wygłupił się w telewizji służalstwem (...), donosiciel i szpicel, postać arcynędzna, ale jakoś nie mam doń pretensji toć i pluskwa jest stworzeniem bożym. Skoro tylu sprytnych Żydów z Dzielnej i Nalewek zginęło w gazie, daruję jednemu, że przeżył i wciela w sobie spryt tamtych wszystkich. A niech se żyje.*’..”

Ciarki przechodzą, gdy się to czyta. Tak samo przechodzą, gdy się czyta książkę S. Remuszki o „**Gazecie Wyborczej**”. Remuszko był przyjacielem A. Michnika, uruchamiał razem z nim „GW” i przez rok współredagował. Tylko rok. Nie wytrzymał królującego w redakcji zalewu kłamstwa i hipokryzji, złożył dymisję (1990), a dziewięć lat później (1999) opublikował zbiór dokumentów na temat „GW” („**Gazeta Wyborcza**». **Początki i okolice. Kalejdoskop**”), pisząc przy końcu: *„Co się zaś tyczy antysemityzmu, to, po pierwsze, jestem antysemitą z całą nieubłaganą pewnością, ponieważ w tym zbioru neglizuję «Gazetkę», a jak głosi złośliwa (antysemicka) zaśpiewka: «Gazetka, gazetka, nikt nie ma w niej napletka...» (...) Przed rozpoczęciem pracy w «Gazecie Wyborczej» wręcz oburzałem się, gdy ktoś w mojej przytomności wyraził się krytycznie o Żydach. Jeden rok spędzony w tej redakcji był lekcją co się zowie, święty mógłby utracić wiarę! I choć wciąż mam zaszczyt cieszyć się starą przyjaźnią paru wspaniałych Polaków żydowskiego pochodzenia, to dziś, poznając od czasu do czasu nowe osoby tej proveniencji, zachowuję — by tak rzec — dodatkową ostrożność (...) Według «Wyborczej», wszystko, co świadczy o jakichkolwiek charakterystycznych cechach pewnych żydowskich środowisk, jest przejawem antysemityzmu”*.

Wróćmy do „Kisiela” i jego „antysemickich” zapisków. Peerelowski „Salon” obrywa na kartach diariusza często, choć nie pada tam ów termin (ten termin pojawił się w publicystyce dopiero około połowy lat 90-ych XX stulecia). „Kisiel” wystawił surowe cenzurki tak zagranicznym ikonom „Salonu” (vide Paryżanin J. Giedroyc), jak i krajowym (vide patron A. Michnika, A. Słonimski, czy J. Turowicz, szef „**Tygodnika Powszechnego**”, będącego „krakówkową” ekspozyturą kościelnej przybudówki „Salonu”). Salonowe werdykty-dogmaty miażdżył bezpardonowo. Exemplum anatema, którą lewicowcy rzucili (obowiązuje ona w „Salonie” i dzisiaj) na „faszystowskie” rządy generała Franco. „Kisiel” kontrował: *„Generał Franco to jeden z największych polityków europejskich. Dla Hiszpanii zrobił masę, bo: 1) ocalił ją przed komunizmem, 2) ocalił ją przed hitleryzmem, 3) ocalił ją przed wojną, nie przystępując do niej jak idiota Mussolini, 4) przeczekał powojenne ataki aliantów, po czym wprowadził Hiszpanię do sojuszu zachodniego, co dało jej dzisiaj koniunkturę i «cud gospodarczy». W polityce liczą się prawdziwe dokonania, nie zaś bufonada i puste słowa jak u de Gaulle'a”*. Itp., itd. — można tak cytować długo (trochę cytatów dam jeszcze w innych rozdziałach mej książki). Nic dziwnego, że kiedy „Dzienniki” się ukazały (1996) — „Salon” dostał amoku. Lawiną „recenzji” karcono „Kisiela” za zdradę, za brednie, za ślepotę, za ksenofobię, za niesprawiedliwe sądy, krzywdzące ludzi bez skazy, etc., etc. Lecz to ujadanie trwało krótko,

wściekłość raptownie zgasła, jakby przyszyły inne dyspozycje, zdano sobie bowiem sprawę, że trupa nie można zabić, przeciwnie — wyklinając można go tylko wskrzesić, gdyż egzorcyzmująca nagonka jest superreklamą, dzięki której ludzie masowo biegną do księgarń po ten pasztet.

Wyraziłem opinię, że „*Kisiel*” mógłby lepiej niż inni sportretować „*Salon*”, a zarazem nie mógłby. Skąd ta sprzeczność? Stąd, że „**Dzienniki**” mają wyraźną cezurę — jest nią rok 1976 (rok Radomia i Ursusa). Diariusz lat 1968-1975 — to czyniona ostrym piórem, bezpardonowa wiwisekcja-jatka całej lewicy, tak rządowej (czerwonej), jak i dysydenckiej (różowej). Potem to się zmieniło. Zwłaszcza wobec A. Michnika, jego współpracowników, współwyznawców i giermków. W diariuszu sprzed roku 1976 co i rusz czytamy, że środowisko Michnika to „*ludzie zaczadzeni marksizmem*”, „*marksizujący Semici*”, „*niedobitki marksistowskich rabinów we wschodniej Europie*”, plus proroczą obawę: „*Znów jakieś marksistyczne szakale przygotowują się, aby nami rządzić*”. Po roku 1975 „*marksistyczne szakale*” prezentują się u „*Kisiela*” inaczej — są teraz gronem miłych i chwackich zuchów. Widać to i w „**Dziennikach**”, i w „**Abecadle Kisiela**”. Czy dlatego, że Michnik zlecił mu napisanie przedmowy do swej książki i zezwolił publikować w korowskich pismach (co było dla „*Kisiela*” bardzo istotne, bo reżimowa cenzura nie dawała mu zarabiać publicystyką legalną)? Czy może również przez pewne kompleksy, które sprawiły, że wolał sympatyzować z opozycją lewacką, a nie z tą twardą, bezkompromisową, bezukładową opozycją antykomunistyczną, której żadne marksizmy się nie imały?

Figury tych nielicznych twórców o dużych nazwiskach (Herbert czy Herling-Grudziński), którzy nie chcieli akceptować żadnej reformy socjalizmu (żadnego „*socjalizmu z ludzką twarzą*”) i żadnej pseudoopozycji („*opozycji koncesjonowanej*”), więc wszelakiemu lewactwu mówili krótko: paszoł won! — po roku 1976 już tylko denerwowały „*Kisiela*”, człowieka wcześniej piętnującego próby naprawiania PRL-u jako „*kompletną bzdurę*”, a próby dogadywania się z reżimowcami jako „*dyskusje rabiniczne*”! Ku naszemu zdumieniu ten „drugi” „*Kisiel*” mówi o Herlingu: „*Nadaje polityczną linię taką powstańczą, moralną, buntowniczą, a ja mu tłumaczę, że zostaniemy w Związku Sowieckim do śmierci, więc żeby nie zawracał głowy* „; i o Herbercie: „*Wydał mi się zarozumiały za bardzo, i jakiś taki... nie wiem... no, wywyższający swoją moralność ponad innych. Czego ja nie lubię, bo wszyscy jesteśmy wychowani przez Stalina i nie ma się co tak bardzo wywyższać*”. Tymczasem ludzi rzeczywiście „*wychowanych przez Stalina*” (Herbert i Herling byli tego wychowu zaprzeczeniem) — jak Michnik, Kuroń, Geremek, Koźniewski czy Mazowiecki — „drugi” „*Kisiel*” chwali! Jeszcze w 1973 roku

T. Mazowiecki to dla „Kisiela” typowy „zniewolony umysł”, a w roku 1988 już sama poczciwość. Kuroń zaś (dawniej „marksistyczny szakal”) to „wybitny taktik”, Michnik — „człowiek ciekawy, błyskotliwy i odważny”, etc. Parę lat wcześniej „pierwszy” „Kisiel” określał ich lewackie głądzenia mianem idiotyzmów.

Skąd ta zmiana? Nie wiem. Wiem tylko, że „pierwszy” „Kisiel” (ten sprzed roku 1976) mógłby bezkonkurencyjnie załatwić swym piórem cały „Salon” (i peerelowski, i postpeerelowski), a „drugi” „Kisiel” już raczej nie. Dlatego napisałem, że mógłby i nie mógłby. Nie mógłby, oczywiście, także z tego powodu, że zmarł A. D. 1991. Czy gdyby pożył kilkanaście lat dłużej, zdołałby się wściec widząc jak A. Michnik biesiaduje kumplowsko z czerwonymi oprawcami (Jaruzelskim, Kiszczakiem i resztą) tudzież z propagandystami (Urbanem i resztą)? Być może — tego się nie dowiemy. Wiemy jedynie, że to wysoce prawdopodobne,

gdyż zdążył przynajmniej trochę wkurzyć się na Michnika. Tuż przed śmiercią powiedział (dla „Młodej Polski”): „ — *Ostatnio nie bardzo przyjaźnię się z Michnikiem. Widujemy się raz na pół roku i raczej się kłócimy. Kochałem go niemal w okresie KOR-u, to było wspaniale. Natomiast to, co on teraz mówi i pisze, jest bardzo często bez sensu (...) Przecież ten dzisiejszy Michnik to totalitarysta*”.

Więc — być może. Ale umarł trzynaście lat temu. Zatem padło na mnie, ba ja jeszcze żyję, a swych przekonań wobec „Salonu” nie zmieniłem nigdy (nie spacyfikowałem w duchu „politycznej poprawności” czy wymogów koniunktury) ani o jotę. Wciąż (już piętnaście lat) wkurza mnie dosłownie wszystko, co ci ludzie robią wewnątrz i zewnątrz „wyzwolonego” kraju. Dalsze rozdziały mojej książki będą więc protestem przeciwko władzotwórczemu i opiniotwórczemu terrorowi, który szerzą ci ludzie. Będę je pisał z pobudek nie tylko idealistycznych, lecz i pragmatycznych. Jak bowiem głosi J. Sevilla (autor dzieła „**Terroryzm intelektualny**”): „*Lepiej być po stronie prawdy, gdyż prawda wyzwala*”. Wielki francuski pisarz, A. Camus, rzekł wcześniej to samo: „*Być wolnym, to móc nie kłamać*”. Dla mnie to się w tej książce przekłada na: móc bez ogródek walić prawdę o głównych dystrybutorach kłamstwa, czyli o dysponentach różowego „Salonu”. Wymaluję ich „werystyczny portret zbiorowy” (takiej terminologii używa historiografia sztuki wobec konterfektów grupowych holenderskiego Baroku). Znienawidzą mnie jeszcze bardziej, ale kij im w oko — „*Prawda przeciw światu!*”, mówi celtycka dewiza.

Część II

SALON WPLYWU

1. Salon historyczny

Cóż to jest: salon? Przeciętny ankietowany odpowie, że jest to główne pomieszczenie, główna (reprezentacyjna) komnata pałacu domu, mieszkania, wszelakiego przyzwoitego lokum. Solidniej wykształcony człowiek, którego o to pytają, zauważy, że termin ma również inne znaczenia, mniej lub bardziej metaforyczne („salon fryzjerski”, „salon handlowy”, „salon wystawowy” itp.). Najlepiej edukowany człowiek wskaże jeszcze jeden obszar znaczeniowy terminu, obszar wysublimowany i już trochę archaiczny, tycaący towarzyskich i światopoglądowych kręgów. Spójrzmy do leksykonu: „Salon (przestarzałe) — a) Elitarne zebranie towarzyskie odbywające się stale w danym domu. b) Grono uczestników tych spotkań”. Bogatsze kompendium wyjaśni też profanowi, iż pierwociną Salonów (wolę, dla odróżnienia od „salonu kosmetycznego”, stosować tu dużą literę) były „salony artystyczne” lub „salony literackie” dawnych stuleci, a więc miejsca regularnych zebrań światka elitarnego — intelektualnego, artystycznego, literackiego, naukowego, politycznego itp. Mówiąc ciut dosadniej: każdy taki Salon był sitwą opinio-twórczą, będą więc używał wobec nich nazwy: Salon Wpływu. Pierwsza kontrowersja tyczy chronologii i zawiera się w pytaniu: kiedy powstały takie wpływowe towarzystwa-środowiska?

Zdominowanie kultury europejskiej tudzież myśli intelektualnej Europy (od XVIII wieku do początków wieku XX) przez Francję, plus gigantyczny wpływ, który na całą racjonalistyczną świadomość Europejczyków wywarło francuskie Oświecenie — to chyba główna przyczyna sytuowania (przez historyków) korzeni Salonu Wpływu nad Sekwaną wieku XVIII. Nie sądzę, aby było to słuszne. Każda epoka (również każda cywilizacja starożytna) musiały mieć tego typu koterie stale się ze sobą kontaktujące na gruncie towarzysko-strategicznym, vulgo: nie tylko dla rozrywki **czy** zabicia czasu, lecz i dla montowania mód, prądów, sposobów działalności, czy też wpływów lobbystycznych kształtujących władzę i lansujących figury, bądź metod twórczych kreujących zbiorowy gust, ukierunkowujących opinię publiczną etc. Starożytnych kamaryl tego rodzaju nie znamy, lecz już renesansowe czy barokowe (a więc wyprzedzające mocno francuski XVIII-wieczny Salon Wpływu) dobrze znamy:

O różnych salonowych sitwach politycznych można całe tomy pisać, jednak nawet gdybyśmy się skupili włącznie na „salonie intelektualno-artystycznym”, czy (jeszcze bardziej wąsko) na „salonie literackim” — znajdujemy mnóstwo przypadków wcześniejszych aniżeli Salony Francji XVIII-wiecznej. Ich matecznikami były choćby dwory wielkich włoskich

magnatów Odrodzenia, przede wszystkim florenckich Medyceuszów (to środowisko uczyniło Florencję kolebką i królową włoskiego Renesansu, a właściwie całego Renesansu Europy), lecz także Sforzów (Mediolan), Gonzagów (Mantua), Este'ów (Ferrara) czy Montefeltrów (Urbino). „*Salon literacki*” prowadziła w swej posiadłości (Wiltshire) pani M. Sidney hrabina Pembroke (początek XVII wieku), tak znakomita literatka doby Elżbietańskiej, iż dzisiaj toczono są dyskusje scjentyczne wokół hipotezy, że światła Mary była współautorką dzieł Szekspira, bądź wręcz ich prawdziwą autorką. Prof. G. Waller z nowojorskiego Purchase College nazwał ten Salon „*wylęgarnią rewolucji literackiej*”. Notabene — kobiety (nie zawsze literatki lub artystki) bardzo często były gospodyniami Salonów (dawały zbierającej się socjocie intelektualnej, czy gronu dyskutantów, pomieszczenie, wyżywienie i właściwą oprawę w swych rezydencjach), lecz jak widać, nawet ta tradycja niekoniecznie jest francuska.

O ile Salon hrabiny Pembroke stał się „*wylęgarnią rewolucji literackiej*”, o tyle francuskie Salony XVIII wieku stały się wylęgarnią rewolucji politycznej (Rewolucji Francuskiej) — przygotowały grunt ideologiczny dla gilotyn Robespierre'a. Zaczęło się to wszystko „niewinnie”, trochę literacko, a trochę erotycznie, we Francji i w Niemczech XVII wieku. We Francji, bo francuski autor, H. d'Urfé, spłodził romans pt. „*Astrea*”, gdzie setka czułych bohaterów i bohaterek zbiera się, by głosić sobie sentymentalne frazesy. Romans zrobił furorę w całej Europie; niemiecka arystokracja tak się nim przejęła, że zaczęła te fikcyjne literackie zgromadzenia małpować na gruncie salonowym czyli realnym, pod nazwą „*Akademia Prawdziwych Kochanków*”. Francuzi nie chcieli być gorsi, i tak powstał pierwszy francuski Salon — „*Hotel de Rambouillet*” (przed 1644). Historyk obyczajów, W. Łoziński, pisze (1920): „*Wpływ, który salon markizy de Rambouillet wywarł na obyczaje, na stosunki towarzyskie, a nawet na literaturę swego czasu, był bardzo znaczny*”.

W XVIII i w XIX wieku Salony francuskie rozmnożyły się niczym króliki. Gospodarzami-organizatorami byli mężczyźni (P. Th. Holbach, Ch. Nodier, V. Hugo i in.) lub rolę tę pełniły kobiety (panie de Lambert, de Tencin, de Staël, Recamier i in.). Analogicznie zresztą (choć z opóźnieniem) działo się w zapatrzonej we Francję Warszawie (Salony T. Mostowskiego, W. Krasieńskiego, A. Nakwaskiej, K. Lewockiej, pań Łuszczewskich i in.). Ewolucja francuskich Salonów przebiegała od seksu do polityki, przy stale formalnym szyldzie literatury, sztuki, etc. Pierwsze francuskie Salony były areną frywolnych kontaktów pod pretekstem kontaktów dyskusyjno-literackich (tak jak i rokokowe teatry, które bardziej stanowiły miejsce schadzek niżli miejsce kontemplowania sztuk; Casanova kpił wówczas, że większość arystokratów

została poczęta w lożach teatralnych i operowych). Salony ery Neoklasycyzmu były już piekielnie rozpolitykowane — nie bez przyczyny cesarz Napoleon wygnał do Szwajcarii panią H. de Staël, w której Salonie zbierała się cała opozycja antybonapartystowska, by knuć i pod pozorem dyskusji literackich kontaktować się z agentami brytyjskiego wywiadu. Jednak główną rolę polityczną odegrały francuskie Salony wcześniej, u schyłku XVIII wieku, przygotowując dyskusjami i literaturą (krytyczną tudzież propagandową) wybuch Rewolucji. Jako prekursorski taki Salon historycy wskazują „salon pani Geoffrin”.

Pani Geoffrin nie była arystokratką, lecz mieszczańką (Rewolucja Francuska też nie była rewolucją herbową, lecz burżuazyjną). Dzięki majątkowi męża otworzyła Salon wszechpotężny, ściągając doń nie tylko śmietankę politykujących Francuzów (Monteskiusz, Wolter, d'Alembert e tutti quanti) — również cudzoziemców (Hume, Franklin, Walpole etc.). Niemiecki historyk kultury i obyczajów, M. Boehn, pisze: *„Wszyscy obcy, przybywający do Paryża, zabiegali, by móc wejść tam”*. W. Łoziński pisze to samo: *„Wszystkie kraje były tu reprezentowane. Dom pani Geoffrin był kluczem do całego światka towarzyskiego w Paryżu. Kto przyjmowany był chętnie przez nią, ten nabywał tym samym patent wykształcenia i towarzyskiej oglady, otrzymywał paszport do wszystkich innych salonów. Nic więc dziwnego, że każdy cudzoziemiec przybywający do Paryża, chcąc poznać wszystko co w nim było świetnego i znakomitego, starał się najpierw dostać do salonu pani Geoffrin. Z tego też powodu Sainte-Beuve nazywa salon ten «wielkim centrum i rendez-vous wieku». Na takich «rendez-vous» europejskich w salonie pani Geoffrin nie brakło też i Polaków. Do znakomitych cudzoziemców, których spotykano u pani Geoffrin, należał i Stanisław Poniatowski, późniejszy król polski. Pani Geoffrin była poniekąd pierwszą jego nauczycielką i mentorką, i — niestety lichego wychowała nam króla”*. Owszem, lichego, bo cały czas zapatrzonego w Petersburg, tak jak dwieście lat później, u krańca PRL-u, prominentni członkowie polskiego dysydenckiego „Salonu” zapatrzeni byli w Moskwę (vide rozdział 4 części III).

Wyraźne są też analogie między francuskimi salonowcami (lewicującą lub wprost lewicową elitą intelektualną) tamtych, schyłkowoburbońskich czasów, a różowymi salonowcami III Rzeczypospolitej. Intelektualistów ówczesnej Francji zwano „filozofami” (nie istniały wtedy terminy „intelektualiści”, „inteligenci”. „inteligencja twórcza” etc.). Tak oto przedstawia ich M. Boehn („Rokoko we Francji”): *„Filozofowie mówili wprawdzie o masach ludowych i mniemali, że działają na ich korzyść, ale o ludzie nie mieli wprost pojęcia i nie utrzymywali z nim żadnych stosunków (...) Zapomniano zupełnie, że klasy*

niższe stworzone są z tego samego materiału co i wyższe, że w owej chwili składały się one z ludzi bezustannie uciskanych, poniewieranych i gnębionych, że ludzie ci w ciągu całego życia mieli na oczach rozrzutność innych ludzi, ich nadużycia i niesprawiedliwość i że na pokrycie kosztów wszystkich tych nadużyć oni właśnie pracować musieli”*. Czyż nie taki jest również, wypisz wymaluj, dzisiejszy stosunek między inteligentnym „Salonem” III Rzeczypospolitej a biedującą większością narodu? Miał świętą rację G. Nanning, który na początku lat 90-ych XX wieku autokrytycznie scharakteryzował własną klasę, lewicową inteligencję pisząc m.in.: „Bezmyślność, oschłość, zgodne wyśmiewanie Kościoła, a przede wszystkim brak serca i odwagi, by dojrzeć sytuację, w jakiej znajduje się naród”.

*—Tłum.P.Hulka-Laskowski.

Kilkunastoletni okres między Salonem pani Geoffrin a Rewolucją wypełniło w Paryżu kilka Salonów, coraz bardziej upolitycznianych. Masoni (prekursorzy dzisiejszej lewicy, nienawidzący Kościoła równie mocno co ona), rozmaitej maści libertyni (wolnomyśliciele), „filozofowie”, adwokaci, literaci i biurokraci (przyszli Jakobini), słowem wszelka ateistyczna lewackość — retorycznie „ruszali z posad bryłę świata”, podpalając słowami lont. Słowami kuszącymi jak rajskie jabłko, exemplum firmowe zawołanie masonów („Wolność, równość, braterstwo”), które później stało się hasłem paryskich rewolucjonistów-gilotynowców. Te ich przedrewolucyjne Salony stworzyły wówczas coś większego — „Salon”. Już nie konkretny Salon w salonie mającym pawiment, drzwi, ściany, okna i sufit, lecz ponadsalonowy światopoglądowy „Salon”, jednoczący wszystkie konkretne Salony Wpływu, obejmujący całe buntowniczo filozofujące środowisko inteligentne i promieniujący na całą Europę. Jego ponadlokalna siła propagandowa — siła salonowego Paryża — była znaczna. M. Boehn: „Umysł francuski, który w wieku XVIII cały świat uzależnił od siebie, znajdował ogniska skupiające w kołach towarzyskich. Duch francuski zrodził się w salonie i rozpowszechnił się, przechodząc z jednego do drugiego, dopóki nie obiegił całego świata (...) Tylko Paryż mógł stać się ośrodkiem życia umysłowego w rozmiarach, jakich dotychczas nie znano, gdyż jednoczył w sobie wszystkie korzyści, jakie daje fakt, że w stolicy gromadzili się ludzie najwybitniejsi. Wszyscy oni znali się, obcowali ze sobą (...) Ruch umysłowy zbliżał najróżniejsze koła i przyczynił się do wytworzenia warstwy społecznej, w której jako w elicie jednoczyły się wszystkie wybitniejsze umysły”*. Tę „warstwę społeczną” obdarzono później (dopiero w XX stuleciu) mianem „środowiska inteligencji” vel „środowiska

intelektualistów” — lewicowych, rzecz jasna, bo czyż inteligencja ludzka w ogóle może być prawicowa?

* — Tłum. P. Hulka-Laskowski.

2. „Dzieci Sartre’a”

Termin „*inteligencja*” to w znaczeniu psychologicznym zespół zdolności umysłowych człowieka. Natomiast w znaczeniu socjologicznym to warstwa społeczna. Jako pierwszy użył owego drugiego znaczenia... Polak, K. Libelt (1844); jako drugi... Rosjanin, W. G. Bieliński (1846); jako trzeci... również Rosjanin, P. D. Bobrykin (~ 1860). Lecz do powszechnego użycia termin taki wszedł dopiero po I Wojnie Światowej, a rangę encyklopedyczną i swoiście klanową zyskał po II Wojnie. Rodzime encyklopedie przedwojenne zupełnie go nie stosują, z jednym wyjątkiem — „**Encyklopedia Ultima Thule**” (1933) daje przy zakończeniu hasła psychologicznego „*Inteligencja*” krótką notkę:

„*W znaczeniu zbiorowym inteligencją nazywa się ogół ludzi mniej lub więcej wykształconych*”. Tymczasem we wszystkich encyklopediach drugiej połowy XX wieku to znaczenie dostaje już odrębne hasła, spore w dużych kompendiach lub lapidarne w jednotomowych (exemplum „**Mała Encyklopedia PWN**”:

„*Inteligencja — warstwa ludzi wykształconych, zajmujących się zawodowo pracą umysłową; zależnie od poziomu wykształcenia, kwalifikacji intelektualnych i umiejętności pełnią funkcje naukowe, kulturalne, organizatorskie, ideologiczne*”. W PRL-u zaszeregowanie: „*inteligencja pracująca*” brzmiało dla tak zaszeregowanych nobilitujące, i w III Rzeczypospolitej „*inteligencja*” to wciąż brzmi dumnie, bo wyróżnia z tłumu „*robotli*” i „*chamów*”. Gdy A. Michnik oznajmił dekadę temu dziennikarzom „**Polityki**”: „ — *Ja jestem polskim inteligentem!* (redakcja dała tę frazę na pierwszej stronie jako tytuł całego wywiadu) — była to i deklaracja, i dewiza środowiskowa. Taki bełkot nie zostałby jednak zrozumiany przez ludzi Zachodu (Francuzów, Włochów, Anglików, Amerykanów itd.). Dlaczego? Z przyczyn właśnie terminologicznych.

Napisałem, że hasła rozpatrujące kwestie „*inteligencji*” socjologicznej znajdujemy we wszystkich encyklopediach. Czy we wszystkich encyklopediach świata? Otóż nie. Tylko w encyklopediach środkowo-wschodniej Europy, Rosji i niektórych krajów Ameryki Łacińskiej tudzież Afryki, bo encyklopedie Zachodu nie znają takiego socjologicznego pojęcia, stosują wyłącznie termin: „*intelektualiści*”. Według badaczy problemu różnica bierze się z odmiennego tempa rozwoju gospodarczego — stosunki społeczno-ekonomiczne regionów świata zapóźnionych, wolniej usuwających feudalizm,

trudniej przyswajających sobie nowoczesne formy gospodarki, wytworzyły edukowaną warstwę „*inteligentów*”, podczas gdy tam, gdzie zatriumfował kapitalizm (i gdzie nastąpiła „*instytucjonalizacja kategorii zawodowych pracowników umysłowych*”), o szerokiej warstwie społecznej się nie mówi, a szerokiej elicie umysłowej daje się miano „*intelektualistów*” (w Polsce to miano daje się wąskiej elicie twórczej).

Sama ta kategoria ludzi jest prastara — czyż Arystoteles nie był intelektualistą? Jednak dwieście kilkadziesiąt lat temu, wraz z eksplozją Oświecenia, zyskała ona nowe znaczenie — znaczenie świeckie, ateistyczne (kontrkościelne), czyli (mówiąc dzisiejszym językiem) — lewicowe. Dlatego wybitny brytyjski historyk, P. Johnson, swą głośną pracę „**Intelektualiści**” („**Intellectuals**”, 1988), w której obnażył całą nędzę etyczną (a po części również rozumową) sztandarowych figur lewicy intelektualnej (Marks, Brecht, Sartre, Russell etc.), zaczyna tak: „*Przez ponad dwa ostatnie stulecia wpływ intelektualistów stale wzrastał. «Awans» świeckiego intelektualisty był rzeczywiście kluczowym czynnikiem w kształtowaniu świata nowożytnego. Oceniane w dalekiej perspektywie historii, zjawisko to jest pod wieloma względami nowe (...) W wieku XVIII, wraz z upadkiem władzy duchownej, pojawił się nowy typ mentora, chętny wypełnić pustkę i zdobyć posłuch społeczeństwa. Świecki intelektualista mógł być deistą, sceptykiem lub ateistą. Od samego początku głosił, że poświęca się dla dobra rodzaju ludzkiego i ma obowiązek ulepszania świata. Nie czuł się związany żadnym dekalogiem religii objawionej*”*

* — Tlum. A. Piber.

Z tym ostatnim zdaniem trudno się zgodzić, gdyż marksizm był swoistą „*religią objawioną*” — chociaż świecką, to fundamentalnie doktrynalną (podobnie jak jego bękart, bolszewizm, vulgo: leninizm plus stalinizm), a czołowi intelektualiści XX wieku wyznawali marksizm i komunizm, lewicując na wszelki możliwy sposób. Lewicowy intelektualizm lat 1989-2004, któremu poświęcam tę książkę, został ukształtowany przez dominującą wewnątrz warstw inteligenckich i środowisk intelektualnych lewicowość (przez lewacki Salon Wpływu, czyli przez euro-amerykański „*Salon*”) XX stulecia, stąd miniony wiek jest bardzo ważny dla analizowania problemu. Lista lewicujących i lewackich koryfeuszy tamtej epoki (w tym mnóstwo obdarzonych Noblem) zapełniłaby cały tom, tedy wymienię tylko przykładowe grono twórców: P. Picasso, P. Neruda, Le Corbusier, G. B. Shaw, J. P. Sartre, L. Aragon, E. Triolet, E. Herriot, H. Barbusse, U. Sinclair, E. Dmytryk, E. Kazan, R. Rolland, B. Kellerman, S. Zweig, A. Gide, H. Laxness, S. Quasimodo, etc.,

etc. Byli „*humanistami*”, gęby mieli pełne wzniosłych frazesów o „*szczęściu ludów*”, a chociaż znali większość potworności komunizmu, nie wyłączając państwowego terroru i ludobójstwa — hołdowali Stalina i swoimi talentami sławili komunizm jako raj.

Francuski uczyony, S. Leys, zapytany przez dziennikarzy „**Paris Match**”: skąd bierze się na Zachodzie ta fascynacja intelektualistów komunizmem i Rosją — odparł (1983); „ — *To stara historia. Proszę sobie przypomnieć postawę inteligencji europejskiej w latach trzydziestych. Mówiono wtedy o Stalinie dokładnie to, co trzydzieści lat później o Mao. A przecież często byli to ludzie, których trudno nazwać głupcami. Wśród wielbicieli Stalina była prawdziwa elita intelektualna, ludzie wykształceni, utalentowani, świątli. Myślę, że motywami takiego postępowania są różne. Są pobudki tych, którzy stają po stronie Stalina czy Mao dlatego, że dysponują oni wielką potęgą, i że można skorzystać z odprysków tej potęgi oraz tej chwały za cenę pochlebstw i panegiryków. Jest to zjawisko niepokojące, lecz niestety rozpowszechnione wśród intelektualistów: korne zginanie karku przed tyranią, kult siły i władzy. Ale może też występować zjawisko przeniesienia uczuć religijnych. Stalinizm i maoizm niektórych ludzi można wytłumaczyć tylko w kategoriach religijnych. Ludzie, którzy utracili prawdziwą wiarę, szukają substytutów, bo potrzebują w coś wierzyć*”.

„*W kategoriach religijnych*” tłumaczy się również same systemy totalistyczne. Szwajcarski konserwatywny filozof, D. de Rougemont, pisał („**Udział diabła**”): „*System jest totalitarny, jeśli dąży do radykalnego scentralizowania wszelkich władz, świeckich i wszelkiego autorytetu duchowego. Przekształca się on wtedy w religię polityczną lub w politykę zbliżoną charakterem do religii. I to tym łatwiej, że religii, jaką przyjmuje, całkowicie obca jest wszelka transcendencja, a jej czysto doczesne cele nie tylko nie są już rozbieżne ze zwykłymi celami polityki, lecz wręcz pokrywają się z nimi*”*. XX wiek udowodnił to lepiej niż jakikolwiek wcześniejszy (dużo lepiej niż choćby absolutyzmy XVII wieku, nie wyłączając rządów „*króla-Słońce*”, czyli Ludwika XIV). Możemy, oczywiście, sięgać do Dżyngis-chana i porównywać, ale zostańmy raczej przy czasach nam bliższych, zwłaszcza przy paralelach między wiekiem XVIII a XIX stuleciem, porównując rusofilię intelektualistów obu epok.

*—Ttum.A.Prybes.

Rusofilia ma szczególnie twardą i głęboko zakorzenioną tradycję we francuskim Salonie Wpływu. Mimo że barbarzyńska XVIII-wieczna Rosja Katarzyny II była wówczas najbardziej represyjnym państwem globu, bo

prawo i cywilizację pisał w niej knut — czołowi francuscy „*humaniści*” kształtujący wtedy opinię publiczną, vulgo: czołowi paryscy salonowcy Oświecenia (Volter, Diderot, d'Alembert itp.) konsekwentnie gloryfikowali carycę jako arcykapłankę wolności, sprawiedliwości i humanizmu, mieniąc ją „*Słońcem Północy*”, wbrew najdrastyczniejszym okropnościom (chwalili nawet rozbiór Polski, twierdząc, że carat zagarnął Polskę, aby ją wyzwolić!). Jedyne ich alibi to fakt, że nie znali Rosji autopsyjnie, nie jeździli tam, łykali więc petersburską propagandę z łatwowiernością durniów. Dlatego kilkadziesiąt lat później inny Francuz, markiz A. de Custine, który wojażował po Rosji długo, opublikował na jej temat książkę (1846) będącą bestsellerem przez kolejne półtora stulecia (choć relacja de Custine'a charakteryzowała carat sprzed roku 1840, w XX wieku wybitny amerykański rusycysta, G. Kennan, uznał ją za „*najlepszą książkę ze wszystkich, jakie poświęcono Rosji... Stalina i jego następców*”!). Otóż de Custine, widząc zaszczepioną przez paryski „*Salon*” poziom rusofilii francuskiej, dał receptę-odtrutkę na tę ciężką chorobę umysłową, pisząc tak: „*Każdemu, kto nie będzie kontent z Francji czy z własnego życia, radźcie jechać do Rosji. To podróż użyteczna dla każdego cudzoziemca. Ktokolwiek przyjrzy się temu krajowi, temu więzieniu bez wytchnienia, będzie zadowolony z życia w każdym innym miejscu*”.

Różnica między francuskim „*Salonem*” epoki Oświecenia a francuskim „*Salonem*” XX wieku była pod tym względem taka, że elita francuskich intelektualistów minionego stulecia jeździła do Rosji na różne stalinowskie Kongresy, Zjazdy Młodzieży czy Meetingi Pokoju, i widziała całą sowiecką potworność. Wszelako między pismami jednych i drugich różnicy nie ma żadnej! J. P. Sartre, kiedy wrócił z Sowietów (1954) i chwalił ten system, usłyszał od dziennikarza, że „*coś tu chyba nie tak*”, bo przecież Rosjanom nie wolno nawet wyjeżdżać za granicę z ich kraju-łagru. Skwitował to (zupełnie serio) twierdzeniem, że Rosjanie nie jeżdżą za granicę tylko dlatego, iż nie chcą, gdyż uważają swój kraj za najpiękniejszy, więc wolą siedzieć w domu!

Chociaż prawie wszyscy francuscy salonowcy XX stulecia łgali równie bezczelnie, przytoczyłem właśnie Sartre'a, bo jest on figurą kluczową. O ile w XVIII wieku taką figurą był niekoronowany monarcha paryskiego „*Salonu*” wolnomyślicieli, superlibertyn, „*filozof*” Wolter, o tyle w pierwszych dekadach drugiej połowy XX wieku tę samą rolę pełnił filozof Sartre. Nastąpiła tu klasyczna „*powtórka z rozrywki*” zwana również „*czkawką historii*”, ergo: reaktywacja libertyńskiego „*Salonu*” (ulubione haselko Sartre'a i jego muzy, pani S. de Beauvoir: „*Zabrania się zabraniać!*”). Szanując sugestię S. Leysa, iż tego typu zjawiska „*można tłumaczyć tylko w kategoriach religijnych*” — powiedziałbym, że Wolter był arcykapłanem „*objawionej*”

religii” francuskiego „Salonu” swoich czasów, zaś Sartre arcykapłanem lewicowej wiary „Salonu” swoich czasów. Jako prorok egzystencjalizmu, ten filozofujący pisarz i publicysta stał się niekwestionowanym guru całej światowej (a już zwłaszcza europejskiej) lewicy intelektualnej, bożkiem, któremu bito ciągle pokłony i którego każde słowo, choćby najgłupsze, było przez co najmniej trzydzieści lat traktowane jako „słowo objawione” — „*nec plus ultra*” (łacińskie: szczyt perfekcji, wierzchołek prawdy). Konfrontacji swego ukochanego egzystencjalizmu z marksizmem dokonał w „**Rozważaniach o kwestii żydowskiej**”, dając tam m.in. miażdżące baty wszelkim antysemitom, nie tylko faktycznym, lecz i potencjalnym, czym trochę przegiał pałę, gdyż noworodki nie poczuwały się zbyt. Założył pismo „**Les Temps Modernes**” („**Czasy Współczesne**”), długo będące jego główną trybuną, z której szerzył tezę, iż współczesność musi być lewacka i żadna inna. Nie wytrwał wszakże przy czerwieni jednego rodzaju — zrazu stalinista, po buncie anarchistycznym roku 1968 przerzucił się na maoizm, a później na gosyizm, czyli na tę formę lewicowego ekstremizmu, która zaowocowała wkrótce terroryzmem. Sartre uchodzi (słusznie) za duchowego ojca takich harcówników gosyizmu jak osławiony D. Cohn-Bendit, lecz właściwie całe pokolenie tamtych czasów to były „*dzieci Sartre'a*”, nie tylko zresztą w Europie, czego jaskrawym przykładem ludobójca Pol Pot, który dla lewackiej utopii wymordował co najmniej jedną trzecią Kambodżan (co najmniej dwa miliony ludzi), a studiował lewackość w sartrowskim Paryżu, czyli „*Salonie*” Sartre'a. Zjeżdżali do tego „Salonu” wszyscy lewicowi młodzi-gniewni świata, i znowu można to uznać za powtórkę z historii — powtórkę franc-*Salonu* XVIII-wiecznego. M. Boehn pisze o paryskim „*Salonie*” czasów Woltera, że „*był nie tylko ośrodkiem towarzyskim, lecz po prostu instytucją społeczną, a co do wpływów, przewyższał siłę dzisiejszych gazet. Wszystko, co cudzoziemcy widzieli w tym salonie, było dla nich istnym objawieniem miarodajnego ducha francuskiego*”, *. Analogicznie rzecz wyglądała za czasów Sartre'a. Wśród garnących się doń cudzoziemców nie brakowało i Polaków. Wizyty składał mu patron i pracodawca A. Michnika, wolnomularz (łoża „Kopernik”) A. Słonimski. Z „*Kisielowego*” diariusza czerpiemy taką m.in. wiedzę: „*Michnik wybiera się za granicę, dostał paszport (!!), miał zaproszenie Sartre'a*”, „*Michnik dostał paszport do Francji na zaproszenie Sartre'a*”, itp. Notabene — o samej Francji „*Kisiel*” pisał krótko: „*Francja to kurwa*”, a Michnika porównywał w 1968 z Cohn-Benditem: „*Cohn-Bendit, coś w rodzaju naszego Michnika*”, „... *Cohn-Benditów (Michników)*”, itd. Sam Michnik mówił później (1988) do Cohn-Bendita: „ — *Nie będę ukrywał, że coś mieliśmy*

wspólnego z trockizmem”. Ano mieli (patrz rozdział 2 części III). Było to „*coś w mózgu*”.

* — Tłum. P. Hulka-Laskowski.

3. „*Coś w mózgu*”

Noblista Cz. Miłosz, komentując służalczy wobec czerwonego reżimu etap swego życia, powiedział: „ — *Uprawiałem prostytutkę*” (S. Wygodzki rzekł na swój temat dokładnie to samo). Owa deklaracja tyczy wszystkich intelektualistów hołdujących i reklamujących komunistyczny totalitaryzm, więc gdy dziesięć lat temu opublikowałem artykuł pt. „**Blaski i nędze intelektualistów**”, nie bez przyczyny dałem mu jako motto tytuł sławnej powieści Balzaca „**Blaski i nędze życia kurtyzany**”. Ale tu powstaje pytanie: jak to możliwe, że ludzie „*z definicji*” najrozumniejsi, umysłowa elita gatunku ludzkiego, ci, którzy formują opiniotwórczy „*Salon*”, grając „*moralne autorytety*”, przywdziewając skórę mentorów ludzkości i mechaników reperujących świat, tak łatwo i tak ochoczo stają się sługusami diabła, wyznawcami kłamstwa, szerzycielami głupot wprost piramidalnych? P. Johnson dał ostatniemu rozdziałowi swej książki „**Intelektualiści**” tytuł „**Odłot rozumu**”, konkludując: „*Intelektualistom przytrafia się groźna umysłowa menopauza, którą można nazwać odłotem rozumu*”. R. A. Ziemkiewicz nazwał rzecz podobnie (1992): „*To po prostu coś w mózgu. Jakiś obluzowany styk*”. Ów „*obluzowany styk*”, którego efektem jest „*odłot rozumu*”, czyni lewicowych intelektualistów ludzi ekstremalnie niebezpiecznych jako opiniotwórców, belfrów i sterników. Teza Kartezjusza, że „*wszelka niedorzeczność znajdzie swego mecenasa wśród filozofów*”, pasująca bardziej do „*filozofów*” (intelektualistów) ery „*Siècle des Lumières*” niż do prawdziwych filozofów — bezbłędnie pasuje również do intelektualnej lewicy wieku XX. Każda bowiem bzdura, choćby drastycznie kretyńska, znajdowała wyznawcę wśród zachodnich piewców komunizmu, będących gwiazdami lewicowego „*Salonu*”. Chcecie drastycznego przykładu? Kilkanaście lat temu prof. D. Goldfrank, podczas prelekcji w waszyngtońskim Instytucie Kennana, uczenie dowodził, że Rosja nigdy nie była siłą imperialistyczną! Chcecie świeższego przykładu? Kilka lat temu lewicowi „*eksperci*”, pracujący dla lewicującej rozgłośni BBC, ogłosili Marksa „*myślicielem tysiąclecia*”!

Gdy diagnozując Salon Wpływu rzucamy terminami: „*odłot rozumu*”, „*obluzowany styk mózgu*” itp. — wchodzimy na teren psychiatryczny par excellence. Ciekawą analogią wydaje mi się tu równie potężna co „*Salon*”, równie wpływowa siła, jaką jest korporacja vel koncern finansowo-przemysłowy, będący międzynarodowym wodzirejem dzisiejszej fazy kapitalizmu. W Wielkiej Brytanii i USA furorę zrobił właśnie (2004) film

dokumentalny pt. „**The Corporation**”. Recenzując go, tygodnik „**The Economist**” pisał: *„Już w XIX wieku ustawodawstwo amerykańskie zaczęło traktować firmy jako osoby prawne. Twórcy dokumentu (M. Achbach, J. Bakan i J. Abbott) zadali więc pytanie: skoro korporacja może być traktowana jako osoba, to jaki typ osobowości prezentuje? Odpowiedź, którą uzyskali, jest przerażająca. To psychopata. A dlaczego? Ponieważ zachowuje się w sposób typowy dla psychopaty. Korporacja działa brutalnie, zawsze podkreśla swą szczególną pozycję, głosi na prawo i lewo, że jest najlepsza, góruje nad innymi. Nie odczuwa empatii, odmawia wzięcia odpowiedzialności za swoje czyny i nie ma wyrzutów sumienia. Kontaktuje się z innymi wyłącznie powierzchownie, pokazując wykreowaną wizję samej siebie”**. Toczka w toczkę autorytet z opiniotwórczego „*Salonu*” lewicowych intelektualistów, i cały lewicowy „*Salon*”, nie trzeba zmieniać choćby jednego słowa tej diagnozy. „**The Economist**” tak zakończył kluczowy passus: *„Konkluzja filmu jest jednoznaczna — jeśli potraktować korporację jako osobę, jest to jednostka klinicznie obłąkana. Gdybyśmy mieli do czynienia z prawdziwym człowiekiem, należałoby go leczyć w szpitalu”**.

* — Tłum. D. Kaźmierski.

Paralela psychiatryczna między tak zdiagnozowanym koncernem a lewicowym „*Salonem*” wydaje mi się słuszna również dlatego, że wszystkie wariacka goszczą rozlicznych Napoleonów i Jezusów Chrystusów starających się uprawiać mesjanizm, a według P. Johnsona, badacza grzechów głównych środowiska intelektualistów, każdy lewicowy mędrak *„czuje się powołany do odgrywania roli Mesjasza, pragnie być prorokiem, tworzyć religię i przekształcać świat oraz ludzkość”*. Co mi przypomina refleksję autentycznego Napoleona: *„ — Między wzniosłością a śmiesznością jeden tylko krok”*, tudzież radę biblijną (starotestamentową): *„Bacz, byś nie zgłupiał od mądrości swojej!”*. Problem salonowego mesjanizmu to wszakże choroba nie wyłącznie do żartów, również do analizy scjentyzycznej, gdy obiektem badań staje się kwestia pewnej nieśmiertelnej chimery — *„utopii”*.

Stymulowana wpływem Sartre'a *„faustowska transakcja z komunizmem”* wielu intelektualistów XX stulecia (zwana też *„ukąszeniem sartrowskim”*, przez analogię z wcześniejszym, porzekadłowym już *„ukąszeniem heglowskim”*, tyczącym marksizmu). miała wsparcie w odwiecznej inklinacji tej warstwy ludzi do odgórnych metod budowania rajy ziemskiego. S. Leys wymieniał jako przyczyny lewackiego prostytuowania się intelektualistów: konformizm-oportunizm i *„przenoszenie uczuć religijnych”*,. lecz zapomniał o utopiofilii, którą każdy były komunista czy sympatyk komunizmu (sługus

komunizmu, piewca komunizmu itp.) może dziś wzniośle tłumaczyć swój błąd. Utopiofilia bowiem to przecież nic innego jak szlachetne marzycielstwo — czy wolno zabraniać człowiekowi marzeń? A zwłaszcza marzenia o naprawie ludzkości, która wciąż ma tyle wad? Encyklopedyczna wykładnia utopiofilii też zawiera słowo „marzenie”; cytuję **Wielką Encyklopedię Powszechną PWN** (1969): „*Utopia — wizje idealnego społeczeństwa (...); wszelkie ideologie społeczno-polityczne, głoszące radykalne programy i postulaty przebudowy społeczeństwa (...), oparte na marzeniach o jakimś idealnym ustroju społecznym i na krytyce aktualnej rzeczywistości z punktu widzenia głoszonego ideału*”. Tygodnik „**Marianne**” (2000): „*Orwell w swoim «Roku 1984» dał opis takiego «ideału», dostarczając broni przeciw analogicznym obłędom*”.

„*Analogiczne obłędy*” zaczęły się już w Starożytności (Platon, Ksenofont, Arystoteles). P. Girard: „*Od Platona myśliciele marzyli o idealnym społeczeństwie lub państwie. Na ogół, gdy tylko marzenie się spełniło, we wzniesionym gmachu czekał koszmar*”. Girard dodaje: „*Wszyscy utopiści mają jedną cechę wspólną, a mianowicie przekonanie, iż tylko oni posiadli Prawdę, jedną i jedyną, zaś kres ludzkich niedoli nastąpi wówczas, gdy władzę obejmą filozofowie, mózgowcy, lub też gdy władcy będą filozofować*... W „**Państwie**” filozofa Platona jest jasna wizja: obywatele idealnego „polis” (miasta-państwa) mieli podlegać rygorystycznym, restrykcyjnym (totalistycznym) prawom, skazującym bezwolne społeczeństwo na szczęście, zakazującym lenistwa, wprowadzającym drobiazgową kontrolę wszystkich ludzi, wyjąwszy poetów, gdyż tych by tam w ogóle nie tolerowano (ustawowe przepędzanie każdego, kto uprawia poezję). Równie ciekawa była „**Utopia**”, czyli wizja Th. Morusa, od której bierze się sam termin (utopia to greckie „ou” plus „topos” — miejsce, którego nie ma). Morusowska „**Prawdziwie złota książeczka o najlepszym urządzeniu państwa i o nowej wyspie Utopii**” (1516) reklamowała idealny ustrój na fikcyjnej wyspie Utopia, zakładając nieustanną harówkę umundurowanych (siermiężnie obywateli, którzy nie mają prawa do pieniędzy, do własności, do emigracji i do protestu. Jeszcze śmieiej antycypował bolszewizm, w swym „**Mieście słońca**” (1602), inny renesansowiec, T. Campanella, proponując (jak Marks czy Lenin) „*społeczeństwo bezklasowe*”, zupełną likwidację własności prywatnej i „*rządy mędrców*”. Wtedy i później było takich pomysłów mniej lub bardziej radykalnych, mnóstwo („**Nowa Atlantyda**” F. Bacona, i in.). Niektóre cudownie przeginały, jak choćby „*falanster*” francuskiego myśliciela, Ch. Fouriera („**Phalanstère**” pierwsza połowa XIX wieku), czyli propozycja komuny, w której nie tylko wszystkie dobra, ale i wszystkie kobiety byłyby

wspólną własnością (co niejednej bardzo by się podobało). Marks i Engels (obdarzający Fouriera sympatią) nazywali to „*socjalizmem utopijnym*” i „*komunizmem utopijnym*”.

Jak widać — intelektualiści zawsze mieli słabość do totalizmu. „*Utopie wiodą prostą drogą do totalitaryzmu*” („**Marianne**”); „*Utopijne «idealne państwa» byłyby dużo gorsze niż istniejące społeczeństwa ze wszystkimi ich wadami*” (M. A. Burnier); „*Te koncepcje to istne gułagi rządzone przez mędrków o szumnych tytułach*” (P. Girard). Takie werdykty nie zostały poddyktowane analizą teoretyczną, lecz praktyką, która sprawdziła wszystkie realizowane utopie, od rewolucyjno-egalitarystycznej gminy „*anabaptystów z Münster*” (pierwsza połowa wieku XVI), kierowanej przez J. de Leyde, który się ogłosił „*królem Syjonu*” (nieustanne masakry, represje, poligamia itp.), aż do komunizmu Lenina i Stalina, tudzież goszyzmu sorbonisty Pol Pota, który ludobójczo wprowadzał lewacką utopię „*Angkar*”. mieniąc się „*Bratem numer 1*” (czyli skromnie, po proletariacku, bo mógł przecież przybrać orwellowskie miano: „*Wielki Brat*”).

Autor „**Intelektualistów**”, P. Johnson, nie mógł, rzecz prosta, pominąć zagadnień współczesnego mesjanizmu tudzież „*inżynierii społecznej*”— poświęcił krytyce utopiofilii XX-wiecznego „*Salonu*” sporo fragmentów (cytuję kilka wybranych): „*Intelektualiści dziwnie się łudzą, że mogą rozwiązać odwieczne problemy ludzkości za jednym zamachem, wprowadzając nowy system. Wszystkie systemy inżynierii społecznej były pierwotnie stworzone przez intelektualistów (...) Intelektualista dąży do realizacji abstrakcyjnych idei kosztem ludzi. Bezduszna tyrania idei jest najgorszą postacią despotyzmu (...) Nasze tragiczne stulecie, które widziało tyle milionów niewinnych istnień poświęconych realizacji planów poprawienia losów ludzkości, udzieliło nam nauki: strzeżcie się intelektualistów!*”. Zaraz potem Johnson dodał, że chodzi mu o cały Salon Wpływu, o całe środowisko, regularnie się kontaktujące i zbierające: „*Strzeżcie się komitetów, konferencji i porozumień intelektualistów! Nie wierzcie oświadczeniom wychodzącym z ich zwartych szeregów. Nie traktujcie ich opinii poważnie (...) Intelektualiści często są bowiem skrajnymi konformistami, poruszającymi się w obrębie koła nakreślonego przez tych, których aprobaty szukają i których cenią. To właśnie czyni ich, «en masse», tak niebezpiecznymi, bo umożliwia im tworzenie klimatu opinii i powszechnych ortodoksji, które same często rodzą irracjonalne i niszczące kierunki działania*”. Wszystko to pisał o intelektualistach lewicowych, puentując: „*Lewica jest zdolna do popełniania niesprawiedliwości w stopniu dotychczas prawie nieznanym, i gotowa jest stłumić prawdę w imię lansowanej przez siebie wyższej prawdy*”*

*— Tłum. A. Piber.

Owo „*tłumienie prawdy*” Szwajcar de Rougemont nazywał „*upadlaniem prawdy*”, pisząc: „*Tu dotykamy tajemnicy zła. Ojcem własnego kłamstwa jest ten, kto je płodzi, kto przez swe własne uczynki poczyną je, dokonując gwałtu na prawdzie, którą upodliwszy porzuca, aby umarła wydając na świat potwora (...) Odkrywamy tu być może ostateczną rację kłamstwa: jest nią zawsze pragnienie utopijnej niewinności. Zwykle kłamstwo było jedynie rozmijaniem się z prawdą lub jej zaprzeczaniem. Prawda pozostawała prawdą i występowała jako nasz sędzia. Ale kłamstwo diabelskie odrzuca sędziego. Bierze się wyłącznie z samego siebie; rozrasta się samoistnie jak rakowata komórka, puszczając w świat ten sofizmat, przejmujący trwogą naszą najgłębszą istotę: kłamstwo, że nie ma prawdy*”* („**Udział diabła**”).

* — Tłum. A. Frybes.

Padło tu właściwe słowo: sofizmat. Sofizmat to rozumowanie z pozoru bezbłędne, w którym jednak tkwi błąd lub celowy fałsz, trudny nieraz do wykrycia, a nadający pozory prawdziwości nonsownemu lub kłamliwemu twierdzeniu. Mesjanizujący intelektualisci uwielbiają posługiwać się retoryką sofizmatyczną, gdyż nic lepiej nie bałamuci prostaczków, półinteligentów i głupców. Pisząc o B. Russellu, który był wojującym ateistą, socjalistą, długoletnim supergwiazdorem „*Salonu*” XX stulecia, i „*całe swoje życie spędził na mówieniu ludziom co winni myśleć oraz czynić*” — Johnson zatytułował rozdział: „**Russell — przykład logicznych bzdur**”.

To właśnie dzięki tym „*logicznym bzdur*om” — dzięki sofizmatom — członkowie lewicowego „*Salonu*” stają się instruktorami opinii publicznej (de Rougemont nazwał ich „*kierownikami nieświadomości zbiorowej*”), a rozgłos zyskują dzięki lewicującym mediom, które zdominowały świat medialny. W Polsce trwa to od pół wieku. Z. Herbert: „*Geneza obecnej zapaści semantycznej sięga lat 50-ych. «Wierni dialektyce» są po dobrym treningu. Dobry marksista, podobnie jak dobry sofista, z równym powodzeniem będzie bronił niewinności Heleny [Trojańskiej — W. Ł.], jak i udowadniał, że była dziwką*”. Z równym powodzeniem, gdyż publika wierzy we wszystko co jest produktem intelektualnego autorytetu. Powszechna ludzka wiara w mądrość i prawość sławnych (lansowanych przez media) figur to ciągła współprzyczyna katastrof i kłopotów dotyczących ludzkość. Jeden z bohaterów mojej powieści „**Statek**” mówi:

— Wielkie nazwiska uprawdopodobniają największe idiotyzmy, gdyż tłum ma naiwną pewność, że wielcy ludzie bredzić nie mogą.

Mogą, i co gorsza chcą to robić, i robią, z różnych przyczyn, przez konformizm, przez pragmatyczną nikiemność, przez duży zysk i przez owo „coś w mózgu”, które grzeczniejsi niż Johnson, Ziemkiewicz czy ja nazywają delikatniej (exemplum R. Legutko, mówiący o „schematyzmie myślenia Michnika” tudzież o „intelektualnej niemocy Michnika”). Coś w mózgu, a pustka w sercu. Dlatego nimi gardzę — inteligencką lewicą. Lewicowcy (czerwoni) i lewicujący (różowi) to nie są ludzie honoru i wielkiego ducha. Ludzie honoru, ludzie wielkiego ducha, to ci, co nie sprzedają się za wszawe srebrniki, nie gną karków, by mieć święty spokój, nie łżą, nie pajacują, i gwizdzą na błaznów, których tłum otumanionych wymoczków uczynił (głosowaniem) lewicową władzą. Sama erudycja, biegła szczekaczka i dobre koneksje środowiskowe nie robią jeszcze prawdziwego intelektualisty. Lewicowi intelektualiści wykorzystują słowa tak, jak złodziej wykorzystuje ciemność. Sama zresztą lewicowość to dosyć, by kwestionować intelektualne pretensje lewusa. Nie można być człowiekiem przyzwoitym mając czerwone lub różowe zboczenie, i nie można być człowiekiem rozsądnym mając popaprane „coś w mózgu”.

Czym jest zatem prawdziwy intelektualizm, który przecież istnieje? Na czym polega? Nie wiem na czym on polega. Być może na dojrzywaniu tych inteligentnych ludzi, którzy czytali wszystko, dowiedzieli się wszystkiego, zrozumieli każdą rzecz, by wreszcie się przekonać, iż wzorem wielkich erudytów nie wiedzą nic. Mam wrażenie, że jego cechą koronną jest ten wieczny, pesymistyczny niepokój, ten ciągły nastrój wątpienia i rozterki samotniczej, ten permanentny klimat podróży przez własną niedoskonałość ku bezludnym wyspom wtajemniczenia, o którym Słowacki rzekł tak pięknie, iż nie umiałbym dodać nic prócz milczącego zachwyty:

..... *Gdzie jadę ? Powie drugie canto.*

Tymczasem pierwsze odpowiedzieć musi,

Skąd się wybrałem, po co i dlaczego ?

Chrystusa diabeł kusił, i mnie kusi;

Na wieży świata postawił smutnego

Życia nicością, i pokazał wszędzie

Pustynie, mówiąc: «tam ci lepiej będzie»,,.

To też jest „coś w mózgu”. Ale coś zupełnie innego.

4. „Salon” PRL-u — część I (prostytucja)

Napisałem: „*To nie są ludzie honoru*”. Nigdy ludźmi honoru nie byli, a takich pojęć jak sumienie czy honor bali się niczym diabeł wody święconej. Gdy ucichła II Wojna, i Polska musiała zostać krainą komunistyczną, bo od hitlerizmu nie wyzwoliły jej czołgi generała Pattona, tylko czołgi marszałka

Żukowa — honor Sarmatów próbowały jeszcze ratować „bandy leśne”, żołnierze AK oraz WiN, co się Sowiecom bardzo nie podobało. W ogóle nie podobały się im wszelkie polskie działania mające za hasło „Bóg, honor, ojczyzna”, również historyczne, a już zwłaszcza wszelkie walki przeciw Rosji (powstania narodowowyzwoleńcze, wojny napoleońskie itp.), zwali je więc szyderczo „bohaterszczyzną”, czyli samobójczą burdomanią, tak jak im przykazali klasycy marksizmu. Roku 1851 guru „proletariuszy wszystkich krajów”, F. Engels, pisał do arcyguru lewicowców, K. Marksa:

„Polacy nigdy nic nie działali w historii prócz wyglupiania się walecznością i pochopnego wywoływania burd. Trudno byłoby wskazać polski czyn o historycznym znaczeniu (...) Nieśmiertelna była u Polaków tylko ich zwadliwość bez żadnego powodu”. To bezprzyczynowe pieniactwo miało za fundament honor patriotyczny, dlatego z tym honorem należało się porachować. Wydrwiwano więc honor i ludzi honoru, patriotów. Poezja była tu ważnym orężem. Rozprawienie się z tradycyjnym polskim honorem wojującym zlecono satyrycznemu poecie, J. Minkiewiczowi, i ten się wywiązał:

*„Dziejów Polski tenorem
było: ginąć z honorem.
Każdy życiem szafował bez żenad...
Pradziadowie i ojce
rażno szli w samobojce:
tylko ten sławę miał, kto był denat.*

*Ten dziedziczny nasz konik
znany z dawnych jest kronik,
w których próżno byś danych chciał ścisłych...
Treść tych dziejów — to mięta,
jedno tam się pamięta:
Wandę — chlup! — co wskoczyła do Wisły...*

*Topi się Poniatowski...
Ginie Wołodyjowski
(dla podobnych powodów, choć wcześniej...)
Bohaterów korowód
po śmierć zwraca się do wód —
i w historii, i w książkach, i w pieśni.*

Trędowata i Halka,

*i Wokulski (patrz: Lalka)...
Smętny zawsze był los polskich natur:
albo — jak honor każe —
z lubym iść przed ołtarze,
albo zginąć! Bo tertium non datur.*

*Dziś, gdy już naród przebrnął
poprzez śmierć niepotrzebną,
gdy pracuje radośnie i żyźnie,
proponuję: a może
trochę mniej o honorze?
Dajmy odeń odpocząć ojczyźnie!”.*

Dali. Intelktualiści pokroju Minkiewicza (absolutna większość rodzimych intelektualistów) utworzyli wtedy peerelowski „Salon”, który miał honor za nic. Był to odgórnie sterowany Salon Wpływu, tumaniący na żądanie bezpieki „masy pracujące radośnie i żyźnie”. Wyjątki były tak nieliczne (L. Tyrmand, Z. Herbert, G. Herling-Grudziński, S. Kisielewski, J. Narbutt), iż palców jednej ręki starcza. Przy czym od razu chcę sprecyzować, że mówiąc o „Salonie” PRL-u — mówię o sitwie lat 1945-1968. Później ów „Salon” został zdominowany (czy raczej: zluzowany, zastąpiony) przez „Salon” antypeerelowski (co nie znaczy, że antylewicowy), vulgo: przez „koncesjonowaną” frondę dysydencką lewicowych intelektualistów. Ten drugi „Salon” doby peerelowskiej, który był ojcem, a właściwie starszym bratem dzisiejszego „Salonu” (czy może jeszcze ściślej: dzisiejszy, post-peerelowski „Salon” jest kontynuacją tego drugiego) — scharakteryzuję w 6 rozdziale. Teraz tylko zauważmy, że oba „Salony” doby PRL-u — i proreżimowy, i dysydencki — wyznawały lewicowość, hołdując socjalizm jako ideę i Socjalizm jako formę rządów. Czym zaś jest państwowy Socjalizm (tak komuniści nazywali swój dyktat)? „Socjalizm jest uciskaniem społeczeństwa przy użyciu elit inteligenckich, które dadzą się do tego zatrudnić” — powiedział słusznie Z. Kubiak.

Jak to się zaczęło? „Faustowska transakcja z komunizmem” polskich intelektualistów, których część wcale nie była przed Wojną lewicowa, zaczęła się normalnie, po faustowsku: przyszedł Mefisto. Mefisto zwał się wtedy Urzędem Bezpieczeństwa (UB). Z. Herbert wypunktował genezę cyrografu rozmawiając z J. Trznadlem; czytamy o tym w książce „**Hańba domowa**”:

„ — *Ekipa agentów potrzebowała na gwałt inteligencji, elity*”. Tak więc ekipa agentów przyszła do grona Faustów z propozycją — zaproponowali

transakcję. J. Sypuła-Gliwa: *„Normalna transakcja. Dawali całkiem dużo: mieszkania, towar w powojennej rzeczywistości deficytowy, przydziały czasowe w domach związkowych w Sopocie i Zakopanem, przyjęcia w Urzędzie Rady Ministrów, nagrody państwowe, ordery, a przede wszystkim nakłady, które pisarzom dzisiejszej doby mogą się tylko przyśnić — 150 tysięcy egzemplarzy, 200 tysięcy, pieniądze, pieniądze. A w zamian? W zamian tak niewiele, garść słów, ciepła myśl w nowym wierszu, jakiś podpis pod deklaracją, protest «obrońców pokoju», depecha z okazji czerwonej rocznicy, tylko słowa i myśli»*.

„Ciepła myśl w nowym wierszu”... Na początek, towarzyszu pisarzu, o Leninie. Albo: towarzyszko poetko. Więc W. Szymborska pisze wiersz **„Lenin”**, gdzie ludobójca Lenin to *„nowego człowieczeństwa Adam”*. Taka ciepła myśl, pośród innych myśli pachnących identycznie. K. I. Gałczyński:

*„Przysięgam: Już nigdy nie będę słaby,
pióro w promień przemienię i niech się promieni.
Oto nowe stulecie. A tylko dwie sylaby:
LENIN”*.

Po śmierci megaludobójcy, Stalina (prawie sto milionów ofiar!), *„Salon”* chóralnie zapłakuje się na śmierć. Trzeba, towarzysze twórcy, podkreślić, iż nie umarł — wykazać nieśmiertelność. Wykazują. A. Międzyrzecki:

*„Płakaliśmy w Warszawie,
Na Śląsku, na dumnym Helu,
I przysięgaliśmy sprawie,
I przysięgaliśmy dziełu.
Uderzą jak erkaemy
Nasze górnicze świdry.
Odeszli Stalin i Lenin,
Ale nie umrą nigdy”*.

Pewnie, że nie umrą. Nie umrą póki my żyjemy. J. Ficowski tym właśnie pocieszał *„lud”*, gdy zabrakło Stalina:

*„Czyś mi ojcem był moim rodzonym,
Że stanąłem i stoję jak wryty
W tym dniu zimnym i nagle zgaszonym
Jak planeta strącona z orbity ?*

*Gdzieś głęboko w sercu ukrywałem
Promyk wiary dziecięco naiwnej,
Że śmierć z Twoim nie spotka się Ciałem
I że Ono nigdy nie ostygnie.*

*Jutro przyjdzie agitator z Partii —
Powie głosem drgającym z rozpaczy,
Żeś nie umarł, bo pełniemy warty
W służbie życia, któreś Ty wyznaczył.*

*Jutro w ciszy nabrzmiałej boleścią,
Na tysiącach Akademii w świecie,
Megafony fabryczne obwieszczą
Twój testament i Twoje Stulecie.*

*Chciałbym umieć swą boleść obrócić
W siłę, w dzielność, w partyjną wytrwałość,
I nie płaczem, ale walką uczcić
Pamięć Twoją — jak młodym przystało!”.*

O właśnie, towarzysze twórcy — „*partyjną wytrwałość*”! Partię, która przewodzi narodowi, musicie sławić bez ustanku. No to siup, sławimy! W. Szymborska:

*„Partia. Należać do niej,
z nią działać, z nią marzyć,
z nią w planach nieulekłych
z nią w trosce bezsennej —
wierz mi, to najpiękniejsze,
co się może zdarzyć”.*

Najpiękniejsze, co się zdarzało, to była też Armia Czerwona, walka z „*zachodnim imperializmem*” tudzież z „*zaplutymi karłami reakcji*” nad Wisłą (AK, WiN, itp.), ubecja bohatercko strzegąca „*praworządności*”, towarzysze Bierut, Ochab, Berman, Gomułka i spółka, braterstwo z ZSRR i NRD, a przede wszystkim rajska codzienność PRL-u. Lawina poematów, hymnów, chorałów, dytyrambów, tym gorętszych, im cięższy był terror i paskudniejsza wegetacja społeczeństwa. K. I. Gałczyński:

„Kto umie z siebie jak słońce

*ziemi dać światłość wszystkim,
ten właśnie jest bolszewikiem,
ten właśnie jest komunistą”.*

Lub S. J. Lec:

*„Deszcz gwiazd czerwonych serca zmęczone użyźnił
i zorza flag codziennie w oczach dzień nam budzi”.*

Dzień robił się nocą, a noc dniem (gdy do drzwi pukała bezpieka). Czerwone robiło się białym, a białe czerwonym. Pisarze, poeci i publicyści mogą wmówić wszystko — to magia słów. Mefistofeles Goethe'ego wie co głosi, kiedy twierdzi:

*„Słowem się tnie jak ostrza świstem,
Słowami tworzyć można system,
Słowom skwapliwie się dowierza „ *.*

*—— Tłum F. Konopka.

Tworzyli słowami system. Miliony słów, tysiące srebrników, setki kłamców. J. Pawlas: *„Inteligencja, która sprzeniewierzyła się swemu powołaniu, indoktrynując i deprawując społeczeństwo, stała się profitentem systemu”*. S. Murzański (więzień PRL-u, autor pracy **„Między kompromisem a zdradą”**): *„Oportunistycznie usposobiona inteligencja objęła uczelnie, prasę, wydawnictwa, radio, tworząc nową świadomość społeczną, fałszując obraz przeszłości”*. Ich haniebny dorobek przypomniany zostanie później (lata 90-e) w licznych monografiach i antologiach (S. Kobierzycki, **„Liber lizusorum”**; A. Roman, **„Paranoja, zapis choroby”**; W. P. Szymański, **„Uroki dworu”**; B. Urbankowski, **„Czerwona msza”**, itp.), które budzą furie żyjących jeszcze dinozaurów tamtego „Salonu” i wściekają dzisiejszy, różowy „Salon”, lecz pozwalają ludziom zapoznać się z bezmiarem nikczemności peerelowskich opiniotwórców. Wszyscy oni, jak ten norwidowski ptasior, *„śpiewali wiosnę, gdy dokoła zima”*. Herbert: *„ — To było małe, głupie, nędzne, zakłamanie”*.

Lenin prawidłowo określał tych zachodnich intelektualistów, członków europejskiego „Salonu”, którzy po całym świecie sławili bolszewicką Rosję jako zdrowy kraj — nazywał ich (wśród swoich) *„pożytecznymi idiotami”*. Członkowie peerelowskiego „Salonu” też byli bardzo pożyteczni, lecz w przeciwieństwie do tamtych (często nieświadomych) nie byli idiotami, tylko

cwaniakami — widzieli całe zło, widzieli wszystko, kłamali zatem z premedytacją, świadomie. Chodziło o dubeltowy zysk: reżim dawał „Salonowi” to, czego każdy „Salon” pragnie najbardziej i bez czego żaden „Salon” nie byłby Salonem Wpływu — „rząd dusz” w kulturze oraz w edukowaniu społeczeństwa — i jeszcze płacił za to luksusowymi warunkami bytu tudzież gotówką. No i tulił do piersi. Z. Herbert: „ — *Artystów podniecała nowa władza, że taka prosta, przystępna i swojska. Zaproszenie do Belwederu, nagrody, rozmowa z Bierutem. Surowy pan, ale sprawiedliwy, podziemie wytłukł, ale nas kocha. Co to wszystko właściwie miało znaczyć? Duże nakłady i podpisywanie książek, kwiatek w celofanie, wieczór autorski, pięć tysięcy ospałych, zmęczonych robotników przychodzi i bije brawo towarzyszowi pisarzowi. Pycha rosła. Życie artystów było idyllą, podszytą co prawda strachem, że można zlecieć w ten okropny dół, gdzie żyło realne społeczeństwo. Kluby, domy wypoczynkowe, wysoki standard, salon literacki pani Nałkowskiej, wyjazdy za granicę. Nigdzie w świecie realnego kapitalizmu nie powodziło się pisarzowi tak dobrze. Przeciętny literat na Zachodzie nie może utrzymać się z literatury. O, tu jest pies pogrzebany! Musi być profesorem uniwersytetu, bidaka, jak ma odpowiednie wykształcenie, albo pracować w banku, jak Eliot. Ktoś, kto tam decyduje się pisać, podejmuje ogromne ryzyko, natomiast tutaj opływał w honory, żył w dostatku, znacznie powyżej przeciętnego poziomu fachowca z innej branży. Ryzyko było tylko polityczne — wyczuć wiatry”.*

Bo też role były nie tylko salonowe, artystyczne, lecz i polityczne (z natury rzeczy), zaś czasami i stanowiska bywały polityczne. Rozmaici ludzie pióra, jak przypomniał Herbert, „*poszli w dyplomację*” (K. Pruszyński, M. Żuławski, A. Słonimski, S. Kot, T. Breza, J. Putrament, Cz. Miłosz i in.). Czyli w prostytucję funkcjonariuszowską. Stąd owo: „ — *Uprawiałem prostytucję*” Miłosza. Egzystowanie „Salonu” jako burdelu, i reżimu jako alfonsa bądź burdelmamy, rodzi kolejną platformę nazewniczą, gdzie zresztą „*wielki językoznawca*”, towarzysz Stalin, był prekursorem. O ile bowiem zachodni salonowcy, którzy chwalili wczesny reżim bolszewicki dzięki swej ślepotcie i głupocie, mogli być przez Lenina zwani „*pożytecznymi idiotami*”, o tyle później Stalin używał wobec ich następców, którzy świadomie kłamali chwając sowiecki raj, terminu krótszego: „*kurwy*”. Miano to idealnie pasuje również do członków peerelowskiego „Salonu”. Ale członkowie różowego „Salonu” (Michnik, Geremek et consortes) twierdzą, że trzeba to kurewstwo tamtym wybaczyć. Słusznie. U Defoe'a („**Moll Flanders**”) stara prostytutka mówi: „*Jeżeli cokolwiek pozwala wybaczyć kurwienie się, to tylko korzyści, jakie ono przynosi*”.

Gdy już tak cytuję klasyków rzucających „*mięsem*” na literę „*k*”, zacytuje klasyka znowu. G. Orwell rzekł: „*Raz się skurwisz — kurwą zostaniesz*”.

5. „*Salon*” PRL-u — część II (klika i alibi)

Lupanar peerelowskiego „*Salonu*” dawał inteligencji twórczej korzyści nie tylko dzięki jej współpracy z reżimem, lecz i dzięki wewnątrzsalonowym kontaktom towarzyskim, które cementowały to środowisko wedle reguł charakterystycznych dla każdej sitwy i każdego zamtuza: mimo wzajemnej rywalizacji, czy różnych ansów, fochów, resentymentów wobec siebie — byli (jak wszelki „*Salon*”) swoistą „rodzinną” grupą mafijną. Chociaż nie byli szczerze „*towarzystwem wzajemnej adoracji*” (nawet wtedy, gdy pisali entuzjastyczne recenzje dziełom kolegów-konkurentów), lecz tworzyli kawiarniane „*towarzycho*” spotykające się bez ustanku, razem pijące, plotkujące, ustalające doraźne strategie czy alianse, etc. „*Warstwa społeczna*” oznaczała zarazem

„*warstwę towarzyską*”, co zresztą precyzuje jasno encyklopedia PWN-u, używając takiej terminologii (hasło „*Inteligencja*”, 1965): „*W literaturze socjologicznej spotyka się ponadto próby wyodrębnienia inteligencji przez odwołanie się do jej określonych cech jako specyficznej warstwy społecznej — «warstwy towarzyskiej»*„. To stara definicja. Już W. Łoziński, nieomal sto lat temu, pisał o Salonach Wpływu: „*Salon, ten kwiat nowożytnej towarzyskości*”. Dzisiaj W. P. Szymański („*Uroki dworu*”, 1994) zwie „*Salon*” PRL-u „*dobrym towarzystwem*”, a S. Murzański („*Między kompromisem a zdradą*”, 1993) precyzuje: „*Poeci, powieściopisarze, nie działali w tamtych latach w osamotnieniu. Prócz powołanych do tego przez władzę organów, wspierali ich dziennikarze, publicyści, krytycy. Każdy robił co mógł, by wokół pojawiających się dzieł stworzyć atmosferę sprzyjającą ich właściwej percepcji (...) Ów krąg stalinowskiego piekła, jakim była kultura tego okresu, zaludniał tłum artystów, literatów i naukowców*”.

Gdy już padło słowo „*naukowców*” — warto dla przypomnienia zauważyć, iż żaden Salon Wpływu nie składa się tylko z „*literatów*”. To również elita innych „*pracowników umysłowych*”, choćby plastyków (przypomnijcie sobie probolszewickie, „*antyimperialistyczne*” karykatury E. Lipińskiego czy Sz. Kobylińskiego), reżyserów (przypomnijcie sobie A. Wajdę kręcącego „*Pokolenie*”), aktorów (przypomnijcie sobie A. Łapickiego, entuzjastycznego lektora stalinowskich kronik filmowych, oraz G. Holoubka, maszerującego dziarsko w 1-majowych pochodach i machającego radośnie do trybuny reżimowych bonzów), tudzież „*ludzi nauki*” (exemplum podpisana przez same sławy odezwa Stowarzyszenia Historyków Sztuki, która z okazji krakowskiego procesu księży piętnowała „*zdradę*” biskupów, „*wrogich Polsce*”).

Ludowej elementów hierarchii kościelnej”, nawołując do „kształtowania nowej, socjalistycznej kultury i sztuki”). Efektem działań Salonu Wpływu kooperującego z władzą były m.in. nominacje funkcyjne (stanowiska redaktorów naczelnych gazet, szefów wydawnictw, przewodniczących organizacji i stowarzyszeń kulturalnych, etc.), nie wyłączając foteli akademickich i nominacji profesorskich. R. A. Ziemkiewicz: „*Za PRL-u rzutowała na nie «polityka», jak uprzejmie nazywano wówczas dyspozycyjność wobec reżimu, oraz środowiskowe układy. Obecnie te drugie wysunęły się na plan pierwszy*”. Vulgo: więzy towarzyskie, salonowe par excellence. Ziemkiewicz uprecyzynił to następująco: „*Żeby zostać profesorem, trzeba być mile widzianym wśród profesorów*”. Tak samo było wśród adwokatów, co również trwa do dzisiaj (stąd niedawna krytyczna dyskusja prasowa nad „dziedziczością” pokoleniową w hermetycznym dla nieustosunkowanych w środowisku adwokackim). Jeden przykład ilustruje całą tę salonową gangrenę lepiej niż rzeki słów: J. Łojek, najwybitniejszy polski historyk doby późnego PRL-u, radykalnie opozycyjny wobec wymogów „*metodologii marksistowskiej*”, nigdy nie dostał profesorskiej nominacji!

Wszystko to funkcjonowało zgodnie z odwiecznymi regułami gry przestępczo-kumoterskiej; tak działa każda koteria, masoneria, mafia, ferajna, sitwa, klika. W. P. Szymański bez ogródek nazwał „*Salon*” PRL-u kliką, pisząc, że tamto „*dobrane towarzystwo było jedną wielką kliką, istniejącą tylko na różnych poziomach*”. I dodał: „*Życie w obrębie kliki jest życiem wygodnym i bezpiecznym. Życie w obrębie kliki dzięki chyba nie tylko bolszewickiemu zniewoleniu...*”. Zgadza się, nie tylko — również dzięki uwikłaniom towarzyskim, środowiskowym, dzięki uczestnictwu w zbiorowym tańcu pawii tamtych lat. Chęć podobania się każdemu, przemożna żądza aplauzu, najpierw środowiskowego, dopiero później publicznego. M. von Ebner-Eschenbach:

„*Nic bardziej nie czyni człowieka tchórzliwym i pozbawionym sumienia, niż chęć podobania się wszystkim*”. Swoisty „*savoir-vivre*” towarzystwa „*warszawkowo-krakówkowego*”. Przypomina mi się tu książka wspomnieniowa A. Chciuka pt. „**Atlantyda. Opowieść o Wielkim Księstwie Bałaku**” (2002). Jest tam kilka świetnych rad życiowych, które dał autorowi jego ojciec — m.in. żeby unikać głupiego towarzystwa („*... broń swego czasu, nie daj się terroryzować polskiemu pojęciu dobrego wychowania*”), żeby rozsądnie selekcjonować otoczenie („*Lepszych trzech mądrych wrogów niż stu fałszywych, letnich i mało lojalnych przyjaciół*”), i żeby nie ustępować, gdy trzeba się przeciwstawić („*Bo tylko w walce człowiek rośnie, inaczej jęlczeje w taniutkim smrodku*”). „*Kisiel*”, charakteryzując peerelowski „*Salon*”, odwołał się właśnie do tego smrodu („*Trzeba im kupić szklany nocnik — żeby zobaczyli*

co narobili”), zaś wspominki salonowców tłumaczących się później sofistycznie i wybiórczo z „życia towarzyskiego” (L. Tyrmand wprowadził ów termin swą antysalonową powieścią „**Życie towarzyskie i uczuciowe**”, 1967) — sumował używając również skatologicznej paraleli: „*Życie w odbycie, czyli pamiętnik gówna*”.

„*Faustowska transakcja z komunizmem*” vel „*zdrada klerków*” (termin ukuty dzięki tytułowi książki J. Bandy), czyli prostytutka rodzimej inteligencji twórczej po II Wojnie Światowej, była przez winowajców i przez ich epigonów (przez różowy „*Salon*”) tłumaczona (wybielana) wielorako. Najciekawszą koncepcję obrończą wysunął mecenas A. Michnik, wskazując humanistyczno-humanitarną przyczynę: chęć zablokowania... antysemityzmu ! Na słowo nie uwierzyłyby mi tutaj nikt o zdrowych zmysłach (może tylko ktoś pijany jak bela), więc muszę posłużyć się cytatem. A. D. 1978 Michnik opublikował tekst „**Intelektualiści i komunizm w Polsce po roku 1945**”, tłumacząc: „*Przed ówczesną inteligencją stanęła alternatywa: albo obóz rewolucji jako konieczność dziejowa, albo obóz reakcji, antysemityzm typu oenerowskiego, pałkarski, często ludobójczy, często czerpiący z wzorów hitlerowskiego rasizmu*”. Mecenasowi wyraźnie „*something pojebałoś'*”, lub może zapomniał (ta wybiórcza pamięć!), że to właśnie „*obóz rewolucji*” (reżim stalinowski) zorganizował „*pogrom kielecki*” (ręka NKWD), a później antyżydowskie represje pomarcowe (1968-1970), wcześniej zaś bezpieka najęła do współpracy rządowo-opiniotwórczej B. Piaseckiego, figurę wręcz symboliczną wśród antysemickich „*pałkarzy oenerowskiego typu*”! Czymś jeszcze gorszym było, iż tak a nie inaczej ustawiając problem — mecenas zdawał się sugerować, że gwiazdozbiór peerelowskiego „*Salonu*”, czołówka „*ówczesnej polskiej inteligencji*”, to (używając słownictwa „*Kisiela*”) prawie „*sami Semici*” lub przynajmniej większość. Fakt faktem, jednak taka a nie inna argumentacja ułatwiła później co odważniejszym publicystom (exemplum S. Michalkiewicz) werdykt o salonowych „ *płynnych kryteriach towarzysko-politycznych wypracowanych w warszawsko-krakowskim sanhedrynie*”. Horrendum! Jak to trzeba uważać na każdą rzucaną myśl, bacząc przy tym, iż kij ma dwa końce, panie mecenasie!

Ciekawostka: ta sama myśl wróci po roku 1989 (w znowelizowanej, trochę tylko złagodzonej formie), gdy władzę nad formalnie wyzwoloną spod komunizmu Polską obejmie Unia Demokratyczna (czyli „*Salon*” Michnika, Geremka, Kuronia i Mazowieckiego), współpracując z komunistami tak głęboko, iż budzić to będzie osłupienie i przerażenie patriotów. R. Kostro powie wówczas (1991) o UD: „*Działacze UD prezentują się jako partia ludzi światłych, Europejczyków, którzy bronią kraju przed żadną rewanzu na*

komunistach, ciemną i antysemitką tłuszcza". Znowu „czkawka historii”, jeśli uznamy, że myśl rzucona piórem A. Michnika o przyczynach kolaboracji intelektualistów po II Wojnie Światowej jest „*non plus ultra*”.

Najprostszym alibi eks-kolaborantów była teza, że ich — tak jak wszystkich — „*oszukano*”. Chcieli współtworzyć szlachetną, antysanacyjną utopię czerwonego raję, ale wystawiono ich do wiatru. Nie warto temu głupiemu kłamstewku poświęcać zbyt dużo miejsca; zacytuję tylko A. Horubałę piętnującego ów alibijny bałach: „*Niedawni słudzy najeżdźcy, szyderczo wyśmiewający narodową tradycję, teraz łączyli się z ofiarami w obłądnym karnawałowym tańcu. Bo przecież wszyscy zostali oszukani (...) Cóż z tego, że sprawa wcale tak nie wyglądała? I że najpierw przyjechały tu sowieckie czołgi i wyszkoleni w Moskwie agenci? Lepiej przecież stroić się w szatki oszukanego inteligenta...*”.

Bardziej „filozoficzne” alibi wykoncypował dla swego pokolenia T. Konwicki, pupil wszystkich „Salonów” PRL-u, nie tylko zawzięty stalinista („*Nasza miłość do Józefa Stalina nie jest abstrakcyjna...*” itd.), lecz i czerwonokulturowy („*socrealistyczny*”) żandarm, stwierdzając, że nie on winien — winna jest tamta epoka przełomu. Wpierw ujmował to ideologicznie i modologicznie: „*Cała Europa była na lewo! Na lewo to było w porządku! Na lewo to był szpan!*”. Później już alogicznie, czyli sofizmatycznie, przekonując, że tamte wredne czasy wymuszały wredność intelektualistów jego pokroju. Od ręki też znokautował ewentualnych krytyków, skarżąc się, że może go teraz „*dopaść każda menda, którą ktoś przypadkowo począł dziesięć lat za późno, i wyruchać bezwstydnie na oczach rozbawionej gawiedzi*”. Słowem: ci młodszy nie mają zbrukanych rąk i sumień tylko dlatego, że mieli głupi fart — spłodzono ich zbyt późno, aby stalinizm mógł ich spodlić tak, jak jego spodlił. Trik był retorycznie sprytny, wszelako logicznie nie był „*ben trovato*”, bo prócz spóźnionych małolatów zachowali dziewictwo we wrednej epoce także niektórzy rówieśnicy Konwickiego, nie każdy z nich poszedł na płatny serwilizm. I właśnie te odporne „*mendy*” rówieśnicze (Herbert, Herling, Tyrmand i in.) miały pełne moralne prawo „*ruchać*” eks-żandarma za jego stachanowszczyznę.

Ważniejsze wybielająco-usprawiedliwiający argumenty rzucane przez peerelowskich salonowców łączyły wszystkie wniosłe pobudki kolaborowania — i dziecięcą wiarę w czerwoną utopię, i „*konieczność dziejową*”, i ożywczy „*wiatr historii*”, i możliwość konstruktywnej „*pracy dla narodu*”. Z. Herbert wyśmiał te łgarstwa: „ — *Więc uczuli nagle, że ster historii jest w ich rękach, i że opłaca się nawet w jakimś sensie okłamywać ten zbełkotany naród, na który patrzyli z pogardą. Na tę masę (...) I uzasadniali własne świństwo, że my to*

robimy, ale z myślą o przyszłości, my z narodem. Guzik prawda! Oni nie wiedzieli czym to społeczeństwo żyje, jakimi troskami i kłopotami. Oni byli w akwariu, mieli swoje kluby, samochody, żyli po prostu w izolacji, stworzono ten zamknięty krąg ludzi [„Salon” — W. Ł.], którzy odbijali sami siebie (...) Jaka szkoda, że tę bajkę reżyserował stary czekista. Obyczajowa otoczka jest ważna, i te przyjęcia, te kontakty z pseudozałogami, te jakieś beneficja. Do dzisiaj są faceci, którzy noszą tytuły jakiegoś «ordieronosca», nagrody państwowej, biegają do kliniki rządowej, bo tam są lepsze lekarstwa, a są przecież teraz w opozycji [różowy „Salon” — W. Ł.]. Niewiele możemy wymagać od młodego pokolenia, jeżeli dorośli nie wypowiedzieli o sobie prawdy. Ja nie mam pretensji do tego, że oskarżony się broni, tylko wypada przynajmniej zdobyć się na akt szczerości i skruchy”.

Za czasów PRL-u pojęcie „salon” właściwie nie istniało, czy raczej: nie funkcjonowało szeroko — było bardzo rzadko używane. Wobec opiniotwórczej sitwy intelektualistów stosowano inne terminy; jeden z nich brzmiał: „księstwo warszawskie”. J. Sypuła-Gliwa użyła tej właśnie ksywki pisząc o genezie peerelowskiego „Salonu”: „W stolicy powstawały zręby struktury, która okazała się równie trwała, co bezwartościowa, równie śmieszna, co bezkrytyczna wobec siebie samej. Z samouwiebienia, pychy, lizusostwa, rodziło się coś, co niektórzy nazwą «księstwem warszawskim», reszta kraju pogardliwie «warszawką»,.. Prawdziwe Księstwo Warszawskie (1807-1815) założyli Francuzi, i „księstwo warszawskie” również funkcjonowało pod silnym wpływem Paryża. W. P. Szymański, używający wobec peerelowskiego „Salonu” określenia „dobre towarzystwo”, pisze: „To «dobre towarzystwo» wiedzę swoją czerpało przede wszystkim z Zachodu, z opinii zachodnich intelektualistów. Zachodnich, to znaczy nieomal wyłącznie francuskich”. I w drugim miejscu „Uroków dworu”: „To «dobre towarzystwo», w latach czterdziestych, pięćdziesiątych, a nawet sześćdziesiątych (w tych ostatnich zakres kontaktów już się poszerzył), było formowane przez zachodnią intelektualną lewicę. Zapatrzone w jej sądy, przyjmowało absolutnie bezkrytycznie jej światopogląd (...) Jakie byty wtedy główne składniki lewicowej myśli francuskiej? Były przede wszystkim cztery: laickie rozumienie świata (stąd anty klerykaizm), antyamerykanizm, antyniemieckość, prorosyjskość (miłość totalna, absolutna, do Związku Radzieckiego)”.

Tak wraca w moim eseju wspomniane już „ukąszenie sartrowskie”, które zainkasował i zaaprobował peerelowski „Salon”. Wywarło ono szczególny wpływ na lewicowy „Salon” drugiego etapu PRL-u — Polski lat 1969-1989.

6. W stronę Sartre’a

Przed rokiem 1968 „*robiący w kulturze*” aparaczczy PRL-u cenzurowali życie kulturalne, lecz i współpracowali z „*elitami kulturowymi*” („*Salonem*”), wszechstronnie je dopieszczając (medale, nagrody, talony, paszporty, wczasy, samochody, mieszkania, stypendia, „*domy pracy twórczej*” itp.). Po roku 1968 to dalej trwało, lecz już nie wobec wszystkich, gdyż sytuacja się zmieniła. Detonatorami zmian były dwa marce: marzec 1964 był jaskółką, a marzec 1968 — datą graniczną.

Wielu intelektualistów sądziło, że datą graniczną będzie „*Październik W. Gomułki*” (1956), czyli „*odwilż październikowa*” alias „*odwilż gomulowska*” — upadek stalinizmu. Przeliczyli się — „*towarzysz Wiesław*” wybił im to z łbów szybko. Już u progu lat 60-ych nic po „*Październiku*” nie zostało, wrócił zamordyzm, skasowano „*odwilżowy*”, tygodnik „**Po prostu**”, nie wyrażono zgody na druk „*odwilżowego*” miesięcznika „**Europa**”, zlikwidowano klub Krzywego Koła (forum dyskusyjne intelektualistów), chociaż był równie lewicowy jak dyskutanci; itp. Członkom ówczesnego „*Salonu*” zaczęło coś doskwierać. Co? Licho wie co, ale stare porzekadło mówi, że „*kiedy nie wiadomo o co chodzi, chodzi o pieniądze*”. Fakty są takie: drastycznie malały wówczas sumy przeznaczane z budżetu państwa na kulturę, przydziały papieru spadły o jedną piątą (vulgo: o tyleż spadły nakłady książek), i był to proces postępujący. Im bardziej robiło się cieniutko w kieszeniach, tym bardziej rósł żal w sercach. Człowiek tak się stara, by im dogodzić, a oni coraz mniej płacą! Względna pauperyzacja „*Salonu*” budziła jego rozgoryczenie, i spowodowała wreszcie protest części środowiska intelektualistów. 13 marca 1964 roku A. Słonimski („*spiritus movens*” całej akcji) zaniósł tzw. „*List trzydziestu czterech*” do sekretariatu premiera J. Cyrankiewicza. List podpisało trzydziestu czterech luminarzy: L. Infeld, M. Dąbrowska, A. Słonimski, P. Jasienica, K. Górski, M. Ossowska, K. Wyka, T. Kotarbiński, K. Estreicher, S. Pigoń, J. Turowicz, A. Kowalska, M. Jastrun, J. Andrzejewski, A. Rudnicki, P. Hertz, S. Mackiewicz, S. Kisielewski, J. Parandowski, Z. Kossak, J. Zagórski, J. Kott, W. Sierpiński, K. Kumaniecki, A. Sandauer, W. Tatarkiewicz, E. Lipiński, S. Dygat, A. Ważyk, M. Falski, M. Wańkowicz, J. Szczepański, A. Gieysztor i J. Krzyżanowski. List był krótki:

„Do prezesa Rady Ministrów, Józefa Cyrankiewicza

Ograniczenia przydziału papieru na druk książek i czasopism oraz zaostrzenie cenzury prasowej stwarza sytuację zagrażającą rozwojowi kultury narodowej. Niżej podpisani, uznając istnienie opinii publicznej, prawa do krytyki, swobodnej dyskusji i rzetelnej informacji za konieczny element postępu, powodowani troską obywatelską, domagają się zmiany polskiej

polityki kulturalnej w duchu praw zagwarantowanych przez konstytucję państwa polskiego i zgodnych z dobrem narodu”.

Gdzie sygnatariusze mieli „*dobro narodu*”, mówi choćby opinia Herberta, którą cytowałem kilka stron wcześniej. Szło o własne dobro, zagrożone teraz, a wstawka tycząca presji cenzury miała jedynie uwiarygodnić prospołeczny, wolnościowy motyw listu. Cenzura gomułkowska była, owszem, twarda, lecz wobec minionej, bierutowskiej (której „*Salon*” nie kontestował listami „*powodowanymi troską obywatelską*”), zdecydowanie łagodniejsza. Właśnie dlatego sygnatariusze sądzą, że głos tylu publicznych autorytetów ugnie mięk szy reżim. „— *Point de reveries, messieurs!*” („— *Koniec z rojeniami, panowie!*”), jak mawiał Polakom-reformatorom car Mikołaj I. Reżim się wściekł i przykręcił śrubę. Wobec tego część sygnatariuszy (Sandauer, Parandowski i in.) błyskawicznie swe podpisy wycofała, a inni (Tatarkiewicz, Kumaniecki, Krzyżanowski, Lipiński, Górski, Sierpiński, Szczepański, Wyka, Infeld, Gieysztor) podpisała... kontrlist (formalnie przeciw wykorzystaniu „*Listu 34*” na Zachodzie — „*na łamach prasy zachodniej oraz na falach dywersyjnej rozgłośni radiowej Wolna Europa*” — lecz praktycznie było to klasyczne przyjscie na kolanach „*do Canossy*”). Ów lizusowski kontrlist, będący wyrazem pełnego poparcia dla reżimu („*Polityka kulturalna jest wspólną sprawą inteligencji twórczej oraz kierownictwa politycznego i państwowego kraju*”), sygnowało aż 600 (!) koryfeuszy i akolitów „*Salonu*” (J. Iwaszkiewicz, T. Różewicz, J. Broszkiewicz, J. Hen, J. Przyboś, W. Szymborska, e tutti quanti).

Pisnęli, wycofali i ucichli: przestali miauczeć, by nie ucichnąć szerzej (publicznie) — by móc dalej zarabiać drukiem swych „*politycznie poprawnych*” płodów. Piękne pytanie Norwida ich dotyczyło:

*„Skoro ten druk — to pieniądz, a ten pieniądz — siła,
Jak chcecie, by się wolność słowa rozszerzyła?”.*

Wszystko jednak zmieniło się kilka lat później, kiedy władza (czerwona partia), na skutek wewnętrznych rozgrywek frakcyjnych, popełniła kretyński błąd: wszczęła dziką, ogólnopolską kampanię antysemityczną (1968), szermując faryzeuszowskim hasłem „*antysyjonizmu*”. Była to kampania wymierzona w inteligencję pochodzenia żydowskiego, czyli w autorytetowe jądro i w przeważającą część „*Salonu*” tudzież zwolenników „*Salonu*”. Żydzi masowo emigrowali z kraju (również pisarze, S. Wygodzki i inni), zmuszani do tego różnymi, mniej lub bardziej chamskimi metodami. Wtedy wściekła się część „*Salonu*” — że tak potraktowano ich dwudziestokilkuletnią wysługę dla komuny. A gdy jeszcze zachodnia lewica (zwłaszcza sartrowska Francja) wszczęła głośną kontrkampanię — kampanię piętnowania antysemitycznych

władz PRL-u — wzmiankowana część „Salonu” wyciągnęła ręce do sojusznika francuskiego, tam upatrując sobie nowy żłób. Rozprowadzającym tej nowej gry — nowopowstającego dysydenckiego „Salonu” — był A. Słonimski, członek (wolnomularski „brat”) Macierzystej Łoży Polskiej „Kopernik” (o której 1968 roku radio francuskie mówiło: „Loża «Kopernik» działa legalnie w ramach Wielkiej Łoży Francji jako jednostka suwerenna polska i trwać będzie póki znowu, jak przed laty, los pozwoli jej wrócić do Warszawy i Krakowa”), a także patron, pracodawca i wychowawca A. Michnika, czyli młodej siły owego i przywódcy kolejnego, różowego „Salonu”.

Z. Kubiak: „Już u schyłku lat 60-ych pisarze czy intelektualiści wiedzieli, że kryzys komunizmu jest nieuchronny, że to się nie rozwija”. Może nie wszyscy wiedzieli, lecz tym, którzy sami jeszcze tego nie rozumieli, pomagał zrozumieć Słonimski, ówczesny kawiarniany (salonowy) guru. Słonimski był barwną (wielobarwną) figurą. Przed II Wojną pisał modne felietony i robił za liberała-racjonalistę-humanistę-progresistę (postępowca). Gdy Wojna się skończyła, kilka lat pracował jako delegat PRL-u w UNESCO, a roku 1956, stanowiąc przeciwwagę dla Iwaszkiewicza, został prezesem Związku Literatów Polskich i pełnił tę funkcję póki reżim się na niego nie wkurzył. Do czasu tego rozvodu Słonimski wszystkie zadania intelektualisty „Salonu” peerelowskiego wypełniał piórem akuratnie. Kilka próbek, dla smaku: „W dziełach Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina odnaleźć można jedyną dziś obronę postępowej myśli europejskiej”; „Historia nauczyła nas, Polaków, że przebudowa świata, zwycięstwo sprawiedliwości społecznej i nawet samo istnienie narodu polskiego możliwe jest tylko w oparciu o naukę marksistowską i siłę Związku Radzieckiego”; „Kraj znajduje się pod obstrzałem wrogiej propagandy (...) Ci pisarze, którzy potrafią, pewien jestem, że odpowiedzą gorąco na apel ministra Bermana. Ważne jest, aby nie brakowało ich głosu: «jesteśmy z wami!»,,; „W księdze dziejów polskich historia dwudziestolecia kurczy się do paru wstydliwych linijek”; „Warto zastanowić się, co się stało z pięknym słowem patriotyzm, do jakiego samozaprzeczenia i splugawienia doszło ono w ustach emigracyjnej kliki londyńskiej, gdy tym słowem próbuje ona pokryć swój akces do zbójckiego hitlerowsko-amerykańskiego paktu w Bonn”; „Stalinowska Nagroda Pokoju. Najwyższe to na świecie odznaczenie i najzaszczytniejsze (...) Nagroda Stalinowska ma ponadto autorytet moralny, którego nigdy mieć nie mogła nagroda Nobla”. Etc., etc. Trudno się dziwić, że Z. Kubikowski, pisarz i kolega A. Słonimskiego, przezwał go później „pieskiem stalinowskim”.

Rymami szło mu równie gładko jak prozą; cytuję fragment wiersza „Portret prezydenta”, będącego hołdem dla Bieruta:

*„Oto w ludu niepamięć, w mroki historii odchodzi
Orszak książąt i królów, panów wielmożnych i krwawych.
W szkole, z ramy portretu, oczy łagodne i czyste
Patrzą na młodość twoją. Oddać jej nie chcą zniszczeniu.
Wieków dawnych nie żałuj, lepszych masz dziś gospodarzy!”.*

Nie radził też żałować represjonowanego Kościoła, co przychodziło mu o tyle łatwo, że tu wypełniał dubeltowy serwitut, komunistyczny i masoński. Dlatego „*Kisiel*” napisze później:

„Religia podgryzana jest dziś przez «postępowców» w rodzaju właśnie Kotarbińskiego czy Słonimskiego, których zresztą Hitler utwierdził w mniemaniu, że «wróg postępu» jest tylko na prawicy. I w ten sposób ułatwili gładką robotę komunizmowi, urodzili bękartów w rodzaju Urbana”. Generalnie „*Kisiel*” miał na temat Słonimskiego złą opinię, a gdy miał o kimś złą opinię, to się nie patyczkował i przywalał z grubej rury; exemplum opinia o prof. B. Suchodolskim („*Stary wazeliniarz sanacji, a teraz komuny. Nigdy w życiu nie powiedział jednej twórczej myśli*”), o A. Morawskiej („*Rzadka idiotka typu «międzynarodowego»*„), o J. Waldorffie („*Coraz głupszy!* „) lub o W. Gombrowiczu, po jego śmierci („*I nigdy już nie będę się mógł dowiedzieć czy był pederastą, czy impotentem, czy — jak twierdził K. — «zwykłym onanistą»* „). Na temat Słonimskiego „*Kisiel*” wyrzekł kilka ciężkich słów (1972): „*Słonimski to dureń (...), człowiek mały, megaloman i samochwalca, po prostu ustawia sobie swoją legendę i karierę (nawet pośmiertną), a nic go więcej nie obchodzi (...) Pseudoopozycjonista, co to długo się opiera, ale w odpowiednim momencie zrezygnuje jednak z opozycji i da rządzącym dupy — tak właśnie było na Zjeździe Literatów w Łodzi!*”. Równie ciężkich słów użył, pisząc o Słonimskim, wybitny emigracyjny poeta, M. Hemar:

*..... Cóż za szmata
Pod pozorami literata.
Popatrzcie na ten rzymski profil:
Były frankofil i anglofil (...)
I były sanacyjny cwaniak,
Pan-europejczyk i Pen-klubczyk.
Przechrzta co tydzień, na wyścigi,
Co z wszystkich sobie wziął religii
Jedną religię: Oportunizm —
Dziś się obrzezał na komunizm”.*

Gdyby coś takiego warknął goj, po kres życia dźwigałby brzemię, miano antysemity, lecz Hemar też był Żydem (polskim Żydem patriotą), więc jemu uchodziło. W drugiej części tego samego wiersza („**Do poety reżimu**”) Hemar wyraził co myśli o Słonimskim jako o poecie:

*„Poecie wolno szkód przyczynić,
Wolno się załgać i ześwinić,
Merdać ogonem i uciekać,
Pod stół wleźć i hau-hau odszczeakać,
Wolno ze słowa zrobić łajno —
Jak tylko wierszem, to już fajno!
Wolno mu zdradzać — jak do rymu,
To nie weźmiemy za złe my mu,
To już nie błąd, to już zaleta,
Bo pan poeta! Pan poeta!
Bo pan artysta! Bo artyście
Wolno tym kurrrkiem być na dachu!
Nie mógł, Słonimski, rzeczywiście,
Lepszego sobie dobrać fachu”.*

W ostatnim zdaniu cytowanego wiersza Hemar nawiązał do tego „*kurrrkiem*”, zwąc Słonimskiego kurwą:

*„Znasz kawał ten o Leszku?
Leż ku...!”*

Hemar, chłoszcząc Słonimskiego, pomylił się tylko w jednym, gdy napisał: „*były frankofil*”. Słonimski nigdy nie przestał być wewnętrznie frankofilem, a został franc-lewakiem odkąd poznał stalinistę-maoistę-goszystę Sartre'a, z którym się kontaktował często. W roku 1993 „**Najwyższy Czas!**” drukuje taki passus:

„Wśród emigracji rozwijała się loża «Kopernik», której łącznikiem z krajem był Antoni Słonimski. Na swojego sekretarza powołał w swoim czasie «poszukiwacza sprzeczności», Adama Michnika”. Autorzy tekstu słusznie twierdzili, że „ten trzyletni staż (1973-1976) u wytrawnego masona” grał istotną rolę w kształtowaniu Michnika. Ciekawa rzecz: pogrzeb Słonimskiego odbył się 9 lipca 1976 roku, a już niecały miesiąc później (jak zaświadcza „Kisiel”) Michnik „dostał paszport do Francji na zaproszenie Sartre'a”! Sartre widocznie rozumiał, że po śmierci starego mistrza — „Adasiowi” konieczny jest nowy mentor tego samego rodzaju, bo ktoś w Polsce musi przejąć kierowniczą salonową schedę.

Tak więc po roku 1968 zaczął w PRL-u funkcjonować drugi „Salon”, właściwie równoległy kontrsalon, który grupował dysydentów kręcących się wokół Słonimskiego niczym satelity wokół słońca. „Słonimski stał się przywódcą pewnej grupy inteligencji warszawskiej” („Kisiel”) i „nieomal wcieleniem całej formacji inteligentkiej” (P. Kuncewicz). Ta salonowa „grupa” alias „formacja” wciąż rosła, i w 1976 była już tak duża (niewątpliwie pomógł tu czerwcowy, radomsko-ursuski bunt robotników, który ośmielił intelektualistów), że na pogrzebie Słonimskiego „Kisiel” wybałuszył oczy: „Pogrzeb Słonimskiego (...) Bóg z nim, ale nie bardzo rozumiem co to za prorok dla tej zebranej tam inteligentkiej rzeszy (...) Miał swoje personalne zagrywki taktyczne i narzucał je niemądrym literackiemu środowisku, wmawiając, że tylko on jest «sumieniem». No, dość się naszczekałem, ukamienowaliby mnie za to”.

Spośród wszystkich „personalnych zagrywek taktycznych” Słonimskiego, szczególnie brawurowym chwytem był jego „testament”. „Kisiel” już w 1972 roku zauważył, że „Słonimski ustawia sobie karierę nawet pośmiertną”. Była to prawda. Pisarz i krytyk literacki, P. Kuncewicz, wspomina (1995), iż „jedyny testament” A. Słonimskiego stanowiło polecenie sprzedania na bazarze jego ubrań. Miał Słonimski rzec przed śmiercią:

„ — Niech moje ciuchy jeszcze rok czy dwa pochodzą po Warszawie”. Pochodziły dłużej. Myślę o członkach założonego przezeń „Salonu” — o owym mocno dziwiącym „Kisiela”, lewicowym „niemądrym środowisku”, które bezbłędnie ilustruje tytuł tudzież smakowita przedwojenna okładka zbioru felietonów Słonimskiego „**Mętne lby**”.

7. „Opozycja koncesjonowana”

Inteligentki, opozycyjny „Salon” ostatniej fazy PRL-u, lat 1977-1989, formowali głównie ludzie, którzy potrzebowali rozgrzeszenia za swą wcześniejszą, proreżimową działalność, a coraz bardziej bezpieczna dysydenckość miała być dla nich wybielaczem. Ci z wcześniejszego kontrsalonu — „Salonu” ery Słonimskiego (1968-1976) — za byle co doznawali jeszcze represji, które ich (niejako mimowolnie) wyrzucały na orbitę dysydencką, dlatego „Kisiel” pisze (1973): „Póki był u żłobu czy w UB, to było dobrze, jak przestał, to już w opozycji. Dużo takich, całe masy — to wręcz jakaś reguła (...) Opozycjonistami stają się dopiero, jak ich wyrzucą”. Ci późniejsi często wyrzucali się już sami, i był w tym pragmatyzm tout court (coraz liczniejsze wydawnictwa podziemne, dotacje z Zachodu, itp.). Nikt nie ujął tego celniej niż L. Tyrmand, twórca emigracyjny, podobnie jak Hemar, i tak samo jak Hemar — polski Żyd patriota klasy brylantowej. O intelektualistach „Salonu” dysydenckiego rzekł, iż przefarbowali się na

antykomunizm wtedy, „kiedy nieszkodliwym krzykiem i niezgadaniem się można już było w Polsce wybornie zarobkować, lepiej niż dotychczasowym służalstwem”.

Nie tylko w Polsce można było brać honoraria, również za granicą, choćby w Paryżu, gdzie miał potężną, kultową firmę, osobliwy antykomunista, mason, lewicowiec, książe J. Giedroyc. Członkowie dysydenckiego „Salonu” pielgrzymowali do Giedroycia jak muzułmanie do Mekki, tym chętniej, że była tam kasa. Nieliczni polscy intelektualiści-twórcy wysokiej rangi, którzy zachowali suwerenność, nie adorowali Giedroycia (vide J. Narbutt) lub też szybko z nim zrywali (vide G. Herling-Grudziński — znowu: brylantowy polski patriota pochodzenia żydowskiego). Salonowcy nigdy nie wybaczyli Herlingowi, że pokazał zgięty łokieć wodzowi paryskiej „**Kultury**”, stanowiącej misterną maskę Giedroyciowego lewactwa i krętactwa, a o nich samych wyrażał się bez szacunku, krytykując „*atrofię zwykłej ludzkiej godności i odwagi cywilnej wśród polskich karmazynów intelektualnych*”, wytykając im „*Zamazywanie przeszłości*” vel „*Zamazywanie historii*” („*Zamazywanie*” pisał nieodmiennie z dużej litery), etc. J. Narbutt (autor hymnu dla „Solidarności”) mówił o Giedroyciu:

*„Zarzuca nam ślepotę, gdy tymczasem sam jest ślepy (...), tonący w mętach swoich niedowarzonych pomysłów (...) Przeróżające: ten człowiek tkwi cały w mglistych fikcjach swego umysłu i zupełnie ich nie rewiduje z rzeczywistym stanem rzeczy. Jego osławiona ost-politik, jaką wykombinował w zaciszu swego gabinetu (a potem zaraził nią elity polityczne kraju, czytając «**Kulturę**» z nabożeństwem zupełnie bezkrytycznym), opierała się na założeniu, że rozkładu rosyjskiego imperium nie ma się co spodziewać (...) Stary książe najpoważniej proponował Polakom, abyśmy szli w kraju w kierunku... narodowego komunizmu. Zadziwiający wspieranie Jaruzelskiego duchem wskrzeszanego Moczara. A może to było przygotowywanie «okrągłego stołu»? Nie wykluczam. Choćby z racji na masońskie powiązania księcia (...) «Kisiel» powiedział przed śmiercią, że czas już, by książe zamknął swój interes. Racja: od dawna sprzedaje w tym kramiku przeterminowane buble intelektualne. Po co to w kraju wydawać? Po co otumaniać czytelników cudzymi mgłami? Czy tylko dlatego, że istnieje dziś moda na Giedroycia, jak po Październiku była moda na Gomułkę? Dwaj panowie G. — książe i ciemniak. Mamy szczęście do samozwańczych «ojców ojczyzny»...”.*

Przed śmiercią Giedroycia (już za czasów III Rzeczypospolitej) zdążyli jeszcze stawić się u niego, i byli serdecznie przyjmowani, tacy znani antykomuniści, „ojcowie ojczyzny”, jak prezydent Kwaśniewski. Ci, którzy peregrynowali tam za komuny — członkowie ówczesnego „Salonu” —

niezadko robili to cicho, intymnie, sekretnie, żeby reżimowa władza się nie dowiedziała. Jednak owa konspiracja była dziecinadą, gdyż władza wszędzie miała swoich agentów-informatorów. A. D. 1992 B. Stanisławczyk i D. Wilczak opublikowali pracę pt. „**Pajęczyna**”, składającą się wyłącznie ze wspomnień emerytowanych oficerów bezpieczeństwa. Można było dzięki tym wspomnieniom zobaczyć wreszcie jak szeroko i skutecznie inwigilowano środowiska dziennikarzy i literatów. Już wcześniej (1991) eks-bezpieczniacy przebąkali o tym czasami („ — *Dziennikarze byli tą inteligentką grupą zawodową, w której zwerbowałem największą liczbę konfidentów. Jak znalazł się któryś jeszcze czysty, biliśmy się o to, kto ma go werbować*”). Również A. Michnik wzmiankował, że w podziemnych wydawnictwach było pełno konfidentów. Ale dopiero dzięki „**Pajęczynie**” zobaczono to bliżej, gdyż były tam opisane konkretne personalne przypadki. Zacytuję dwa casusy, dla smaku:

Wspomina oficer Kazimierz M.: „*Po skończeniu szkoły oficerskiej pracowałem w pionie inteligencji. Mówiąc inaczej «robiłem po dziennikarzach» (...) Cała moja praca «na zagadnieniu dziennikarskim» sprowadzała się do dokładnej penetracji środowiska i pozyskiwania agentów (...) Chciałem pozyskać kiedyś znakomitego dziennikarza H. K. Zapropnowałem spotkanie (...) Nawet sekretarki nie wpuściłem, sam przyniosłem kawę. — Proszę mi dać papier i maszynę do pisania — rzekł H. K. Napisał długi elaborat, opisując zażydzenie redakcji*”. Wspomina oficer Adam G.: „*«Ewę» pozyskał Majchrowski, ja ją tylko przejąłem, kiedy zacząłem pracować «na zagadnieniu literackim» (...) Przed nią, żoną X-a, wszystkie drzwi świata literackiego były otwarte. Znała wielu opozycyjnych działaczy. Była bystra, gorliwa i bardzo pracowita. Donosiła nie tylko na X-a (...) W jej domu zbierali się najważniejsi działacze opozycji, pisarze, dziennikarze. Nam to było na rękę, bo wszystkich mieliśmy na oku (...) Była lojalna wobec nas. Poza tym jej informacje z kręgów literackich i towarzyskich potwierdzał tajny współpracownik «Andrzej» — wybitny pisarz. Było zresztą i tak, że «Ewa» kapowała na «Andrzeja», a «Andrzej» na «Ewę». Rzecz jasna, nie wiedzieli o sobie, nie znali swoich drugich ról*”.

Kim była „Ewa”? Żoną „X-a”, literackiej znakomitości, P. Jasienicy. Kim był „Andrzej”? Nie wiadomo. Pracowało dla bezpieczeństwa dużo literackich gwiazd, nie tylko „Andrzej”. Świetnie znający akta SB oficer UOP-u (pracownik Wydziału Studiów Urzędu Ochrony Państwa za krótkich, ledwie półrocznych antykomunistycznych rządów premiera J. Olszewskiego) wydał pod pseudonimem (M. Grocki) pracę „**Konfidenti są wśród nas...**” (1992), gdzie czytamy: „*Jedną z najdłużej prowadzonych przez SB spraw, na którą natrafiono w trakcie poszukiwań informacji o agenturze w kręgach opozycji*

warszawskiej, była sprawa obiektowa założona na środowisko literackie. Inwigilacja dotyczyła przede wszystkim ZLP. Trwała od lat pięćdziesiątych aż do momentu rozwiązania SB. Jako instytucja ogromnie niewygodna władzom, ZLP był bardzo nasycony agentami. Dość powiedzieć, że na jednym ze zjazdów tej organizacji, z jednego tylko województwa na sześciu delegatów przyjechało sześciu agentów. Oczywiście żaden z nich nie wiedział o roli kolegów”.

I oczywiście wszystkie raporty (donosy) „kolegów” były ładnie pisane, jak to u pisarzy. Również „Ewa” nie pozostawała w tyle. M. Grocki: *„Pisała bardzo długie meldunki, doskonałym językiem, literackie, dowcipne, niezwykle szczegółowe. Widać z nich, że praca sprawiała jej przyjemność. To był agent cenniejszy niż złoto”*. Agentów cenniejszych niż złoto nie brakowało w tym środowisku. Dzięki udostępnieniu „teczek” przez IPN (Instytut Pamięci Narodowej) wiemy m.in., że renomowany pisarz, O. Terlecki, trzydzieści lat służył bezpiece jako płatny agent o pseudonimach „Rudnicki” i „Lachowicz” („Ewa” też miała drugi pseudonim: „Max”). A. Łukasiak: *„Zaczął wyjeżdżać za granicę za pieniądze SB, nawiązywał kontakty z pisarzami emigracyjnymi, Jerzym Giedroyciem, Juliuszem Mieroszewskim, Gustawem Herlingiem-Grudzinskim. Jego raporty były bezcenne, charakterystyki osób wyczerpujące, sprawozdania ze spotkań dokładne”*.

Dokładne sprawozdania ze spotkań zezwalały Służbie Bezpieczeństwa całkowicie kontrolować dysydencką grę „Salonu” (stąd m.in. późniejsze szydercze przezwisko, jakie prawicowcy ufundowali lewicowemu „Salonowi”: *„opozycja koncesjonowana”*), a czasami dawać klapsy niektórym gwiazdom. Te klapsy służyć będą później różnym luminarzom „Salonu” jako składnik wybielacza kolaboracji — będą przedstawiane jako represje dotyczące męczenników. Wielkiego poetę, Z. Herberta, to fałszywe a demonstracyjne „męczeństwo” doprowadzało do furii; mówił o tym J. Trznadłowi: *„ — Napuszeni mętniacy, którzy narobili straszliwego bigosu, a teraz chodzą w glorii męczenników! Męczenników czego? Przepraszam bardzo, własnej pomyłki⁷ A może dobrze by było pójść na pustynię i odbyć pokutę? Ja bym to zrobił. Przynajmniej przez jakiś czas wstrzymałbym się od głosu. I tutaj, widzi pan, tu znowu Adaś, który czuwa nade mną, zaraz mnie kopnie”*.

Notabene — Herbert nie od razu był taki radykalny. Wpierw powodowało nim chrześcijańskie miłosierdzie, i dopiero kiedy zobaczył hucpiarstwo salonowych „męczenników”, uskrzydłanych-usprawiedliwianych przez „Adasia” Michnika — zmienił front. Relacja J. Narbutta: *„O swym nieświadomym uczestniczeniu w cudzej grze pozorów Zbyszek Herbert przekonał się za późno, dopiero po poparzeniu sobie palców w swej misji dobrej woli wobec byłych stalinowskich kolegów po piórze, którzy okazali się*

— jak to twardo nazywa **Biblia** — «ludźmi o bezczelnych twarzach», cynicznymi i wyrachowanymi nawet w ramach walki z reżimem Jaruzelskiego, do jakiej włączyli się pod sztandarem «Solidarności», z własnymi celami w portfelach. Nie bardzo orientując się w grze pozorów stosowanej przez tzw. rewizjonistów, Herbert z zapalem pomagał im w tym, w czym mógł. Mówił do mnie, chcąc mnie przekonać: «Panie Jerzy! No, dajmy im ten odpust zupełny!» (...) Do zrozumienia pomyłki własnej misji dobrej woli Herbert doszedł znacznie później. Chcąc ją naprawić, zerwał wszelkie kontakty z Michnikiem, z «**Gazetą Wyborczą**», jej prasowymi filiami, i z całą tą hucpowatą sytuacją międzynarodowców”.

Ja tę „hucpowatą sytuację” publicznie nazwałem kilka lat temu „zmową umoczeńców”. Czyli lożą lewicowych intelektualistów polskich (najpierw kolaborujących z reżimem, a później popieranym gwoli dysydencji przez lewicę zachodnią), którzy formowali opozycyjny „Salon” późnego PRL-u. Złączeni biologicznym wręcz sojuszem złej woli i faryzeuszostwa, byli umoczeni w każde zło krzywdzące Polskę od roku 1945 — w stalinizm, w bezpiekę, w klakierowanie „socjalistycznym odnowom”, w PZPR, ZSL i SD, w zwalczanie „bohaterszczyzny” (antyreżimowej partyzantki), „ksenofobii”, „antysemityzmu”, „klerykałizmu”, „tradycjonalizmu” i „szowinizmu” (czytaj: patriotyzmu), w „europejskość” i prosowieckość, w postmodernizm i postmoralność, w „poprawność polityczną” i we wszelkie formy lewactwa. Wielu z nich uważało, że aby skończyć długoletnie „życie w odbyciu” (jak to nazwał „Kisiel”) — starczy rzucić legitymację partyjną, ergo: wystąpić z PZPR-u. M. Baterowicz (publicysta emigracyjny): „Stanisław Barańczak rzucił partyjną legitymację dopiero w 1975 roku, a więc pięć lat po masakrze na Wybrzeżu, jaką PZPR urządziła swojej klasie robotniczej. Dziwne zresztą, że człowiek inteligentny (nie tylko poeta), znając genezę PRL-u, w ogóle zapisuje się do partii. Bardziej wybredni (jak np. Adam Zagajewski czy Julian Kornhauser) powoływali się tylko na marksizm lub inkrustowali swoje wiersze nazwiskami wodzów rewolucji, co było skuteczną przepustką do druku, bez względu na poziom utworów”. Barańczak i tak był szybki. Niejeden bowiem salonowiec rzucił legitymację partyjną dopiero po wprowadzeniu przez reżim „stanu wojennego”. Od tej chwili był już „opozycjonistą” pełną gębą, mógł grać rolę „autorytetu moralnego” i męczennika.

Granie takiej roli nie zmieniało faktu, że kontestowano tylko „błędy i wypaczenia” władzy, broń Boże natomiast „ojczyznę socjalistyczną” i jej wasalność (zależność od Sowietów). Było w tym lewackim pseudobuncie to samo, co włoska dziennikarka, M. Fenelli, wytknęła rosyjskim dysydemtom: „W opozycji inteligentów wobec Kremla było dużo swoistego leninowskiego

spektaklu. *Wciąż nie do końca rozumiem, jak też się wam udawało granie «walczących z reżimem opozycjonistów» i jednocześnie deklarowanie: «nie jesteśmy wrogami władzy radzieckiej».* Domyślam się, że chodziło o branie pieniędzy z obu stron”. Pani Fenelli za domyślność winna dostać celującą notę. Podobnie jak ci, którzy ukuli szyderstwo „opozycja koncesjonowana”. Wybitny antykomunistyczny historyk, prof. T. Strzembosz, który nazywa PRL „swoistym systemem okupacyjnym”, słusznie rzekł:

„Swoisty układ między okupowanym a okupującym musiał mieć podwójne dno”.

Z takich ludzi składał się „Salon” ostatniej dekady PRL-u. Trafnie charakteryzowała go emigracyjna publicystka, J. Sypuła-Gliwa: *„Zaduch salonu warszawskiego. Gospodarze za nic w świecie nie chcą swego salonu przewietrzyć, a każdy podmuch świeżego powietrza uważają za zamach na swoje jestestwo. Wysiedziały oślizgłe kanapy, na nich mędracy z przeszłością, ich damy okołoliteraturne, poetessy, które zaczynały ze szturmówką ZMP w dłoni, i starsi panowie, co to niegdyś przekonywali się, że nie można inaczej, a literatura i talent usprawiedliwiają kłamstwo. Dziś wszyscy robią do nas oko: «bo myśmy tylko tak udawali!»*„.

8. Elitarne dziuple i centra

S. Remuszko, obśmiewając michnikowski „Salon” III Rzeczypospolitej, i wskazując, że wyrósł on z lewicowej elity, która „stała się w latach osiemdziesiątych «kierowniczą siłą» solidarnościowej opozycji” — dał tej elicie szyderczą (nawiązującą do PZPR) ksywkę: „Polska Zjednoczona Elita Intelktualna”. Słusznie, gdyż odkąd istnieje Salon Wpływu — czyli od „salonów literackich” lub „salonów artystycznych” — pojęcie to kojarzy się automatycznie (wręcz synonimuje się) z elitą intelektualną bądź kulturową. A cóż to jest elita? Parafrazując biblijną (starotestamentową) i historyczną (propagandową) gadaninę o „narodach wybranych”, można rzec, iż elita jest kręgiem (środowiskiem) wybranym. Przez kogo, przez społeczeństwo? Nie, raczej przez co — przez swoje cechy i czyny wyróżniające (talenty, profetyzmy, dokonania etc.), jak mówią encyklopedie. I zapominają przy tym, że elity są wybierane przez własne koneksje towarzyskie, czyli że jest to samonapędzający się mechanizm środowiskowy, mający pewne aspekty dzieworódtwa. Jeśli przyjęłoby się tę moją egzegezę za słuszną, trzeba byłoby stwierdzić, iż „Salon” pierwszej fazy PRL-u nie spełniał kryteriów elity naturalnej, gdyż budował go reżim. To jak z dwiema konkurencyjnymi teoriami życia — kreacjonistyczną (biblijną) i biogenetyczną (mówiącą o samorzutnym wykształceniu się życia). Peerelowski „Salon” sprzed 1968 roku był wynikiem pragmatyzmu partyjnego, czyli kreacjonistycznej pasji reżimu,

zaś „Salony” następne, dysydenckie, powstawały już bardziej same z siebie (z układów towarzysko-środowiskowych), a reżim sprawował jedynie funkcję kontrolną dzięki różnym metodom inwigilacji plus systemowi wabików, nacisków i kuksańców.

Teorię samorodnej elity dysydenckiej, która wyrosła po Marcu 68, można znaleźć w eseju J. Bocheńskiego „**Marzec**”. Onże Bocheński jest klasycznym przykładem nawróconego „*umoczeńca*”, ergo: był członkiem każdego „Salonu” doby PRL-u. Za stalinizmu brał bez skrępowania udział w kaftanowaniu (ubezwłasnowolnianiu) tudzież indoktrynowaniu (ogłupianiu) rodaków. Dla melomanów cytuję jego ówczesną stylistykę z „**Piosenki o przyjaźni**”:

*„Na zielonej, polnej śliwie
Siadły gołębice siwe —
Ta z Warszawy, tamta z Moskwy,
Polubiły się jak siostry.*

***W czarnym lesie na kwaterze**
popasali dwaj żołnierze —
ten znad Wisły, ten znad Donu,
żyli wiernie w leśnym domu”.*

Wierność współżycia dwóch w jednej leśnej chałupie trąci pedałstwem, ale to chyba lapsus lirnika. Innych mieszkańców lasu (partyzantkę akowską) Bocheński flekował bez litości jako zbirów, którzy nie szanują wskazań „bat’ki” Stalina (m.in. zbiór opowiadań „**Zgodnie z prawem**”). Stalin był wedle Bocheńskiego uosobieniem geniuszu: „*Wyjaśniał przeszłość, terażniejszość, przyszłość. Jeżeli epoka piętrzyła problemy, jeśli naszym myśлом stawało się ciemniej, Stalin wiedział kiedy zaświecić nam swą mądrością. Rozlegał się wówczas jego głos, a był to głos tak prosty i mądry, że nazajutrz inaczej patrzyliśmy na świat*”. Jeszcze inaczej Bocheński spojrzał później na świat pod wpływem Słonimskiego, dzięki czemu przeszedł od stalinizmu do michnikizmu, i to do wojującego michnikizmu, co uwieńczył morderczym atakiem na Z. Herberta w „**Gazecie Wyborczej**” (2001), zwąc niepokornego poetę alkoholikiem i „*potworem Minotaurem*”.

Na genezę świata dysydenckiego „Salonu” Bocheński spojrzał już jako dysydent (1981), wspomnianym tekstem „**Marzec**”. Padło tam właśnie słowo „elita”: „*Ruch marcowy ograniczał się do skromnych liczebnie grup kontestatorskich, pochodzących z elity inteligenckiej (...), z Antonim Słonimskim w jednej z głównych ról*”. Według autora był to ruch elitarny „*nie*

tylko w tym sensie, że skupiał ludzi wykształconych, lecz i tym, że przyciągał osoby wyróżniające się pewnym stylem politycznego myślenia”. Bocheński bezzwłocznie objaśnił jakim: „Najogólniej można powiedzieć, że cenione były poglądy liberalno-lewicowe”. To oczywiste (choć zamilczał o duchowym trendzie kosmopolitycznym), mniej wszakże oczywista jest konkluzja autora, według którego ów marcowy elitarny ruch „w końcu stał się niejako mózgiem Sierpnia i «Solidarności»... Mimo że w owej elicie (czego Bocheński nie ukrywał, gdyż nie mógł) prym wiodła „spora grupa marksistów”, a „ruch marcowy nie domagał się niczego więcej niż ważnych oczywiście, ale korekcyjnych zabiegów w obrębie systemu” — stworzono później (w „Salonie”) jego nieomal narodowowyzwoleńczą mitologię „mit «elity intelektualnej», która jakoby od lat kilkudziesięciu prowadzi naród ku jego przeznaczeniom” (S. Murzański). Murzański dodaje, że „ten żaloszny «mit elity intelektualnej» zdradzał skłonność do wypierania prawdy (...) — pojawiło się egzekwowane jako nakaz moralny żądanie, by na stalinowską przeszłość bohaterów zapuścić kurtynę milczenia”.

Obok kurtyny milczenia, równie ważna była kultura gaworzenia. Towarzyskiego, środowiskowego, wewnątrzsalonowego — elitarnego. Elity bowiem mają to do siebie, że — jak to „Salon” — lubią się regularnie (rytualnie) zbierać, by cementować towarzyskie więzy. Za dawnych stuleci miejscami tych zebrań były salony pałaców. A gdzie były loże salonowych meetingów w epoce PRL-u? Było ich sporo. Oprócz ulubionych knajp (to dla mniejszego towarzystwa) — Klub Krzywego Koła; Klub Poszukiwaczy Sprzeczności (założony przez A. Michnika); bardzo zmasonizowany lokal PEN-Clubu; luzacki grajdoł SPATiF-u (Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu) przy al. Ujazdowskich; „Ściek” (równie wódczano-rozrywkowy grajdoł SARP-u na krańcu ul. Foksal); stołówki ZLP (Związku Literatów Polskich); relaksowe, prowincjonalne „domy pracy twórczej”; legendarne przywydawnicze kawiarenki Czytelnika i PIW-u; etc., etc., mieszkań prywatnych nie wyłączając (ostatnim takim prywatnym lokum grupującym salonowców będzie w późnych latach 70-ych i w latach 80-ych warszawskie mieszkanie J. Kuronia).

Słowem: „Salony” ery PRL-u miały od początku różne dziuple — miejsca, gdzie „trzeba było bywać”, nie chcąc wylecieć z obiegu towarzyskiego. Tam się „konspirowało” na ucho, montowało doraźne strategie salonowej gry, plotkowało, komplementowało wzajemnie, a obmawiało nieobecnych chwilowo współsalonowców, którzy zbytnio „dali d...” reżimowi i myśleli, że nikt się nie dowie (co trafnie wykpił W. P. Kwiatek, pisząc: „Między władzą a elitami twórczymi istnieją zawsze dość dwuznaczne stosunki. Jedni bez drugich

nie mogą egzystować, ale i jednym, i drugim, idzie o coś innego. Władza gotowa jest zwykle wiele dać, tyle, że nie za darmo. Elity chętnie wezmą, pod warunkiem, że nikt się nie dowie”). Niedowiadanie się było o tyle trudne, że trudno jest trzymać opuszczoną „kurtynę milczenia”, gdy tak wielu kolegów pracuje dla tego samego SB, dla tych samych gazet, tych samych wydawnictw i tych samych kochanek bądź żon. Milczenie może i jest złotem (jak głosi porzekadło), ale nie cenniejszym niż złoto srebrnikiem. „Salon” to nie erem — tu trzeba gadać.

Opisanie wszystkich spotkaniowych komnatek peerelowskich „Salonów” zabrałoby zbyt wiele miejsca; dla przykładu spójrzmy na legendarną kawiarnię PIW-u (Państwowego Instytutu Wydawniczego). J. Szumilas: „Spotkania w kawiarence PIW-u, w stołówce Czytelnika, zaprzyjaźnianie się, całe to rozgadane towarzystwo wspólnego zachwywania się sobą...”. Z. Herbert: „ — Oczywiście, to targowisko próżności było wpisane w atmosferę «warszawki», której nie lubię. To znaczy towarzyskie kontakty, stoliczek w PIW-ie, stoliczek w Czytelniku...”. Najślawniejszy stolik w kawiarence PIW-u był przez dłuższy czas „własnością” Słonimskiego (aż do jego śmierci). W. P. Kwiatek:

„Przy «jego» słynnym stoliku w kawiarni PIW sytuacja w polskiej kulturze dyskutowana była od dawna; diagnozy były jednoznaczne — nikt z uczestników owych dyskusji nie miał wątpliwości, że niezbędna jest jakaś forma reakcji na czerwone sobiepaństwo w kulturze. Słonimski pojawił się pewnego dnia z gotowym projektem tekstu [chodzi o „List 34” — W. Ł.]. Rozpoczęło się zbieranie podpisów. W środowisku PEN-CLUBU robił to sam autor listu, do pozostałych luminarzy życia intelektualnego udawał się Jan Józef Lipski”. J. Szumilas: „Drugą historyczną postacią z galerii PRL-u był szef PIW-u, sekretarz KC PZPR, krytyk literacki Andrzej Wasilewski, który w latach 1967-1986 (!) «wytyczał» linię programowo-wydawniczą Instytutu (czyli planował to, co później zgodnie z jego decyzjami czytały miliony Polaków). W ilu procentach dzięki towarzysowi sekretarzowi dzisiejsza [2002 — W. Ł.] «inteligencja polska» jest tak różowa, tak lewicowa, tak trącająca dziecięcym trockizmem? Czy bez jego «zestawu lektur» dawałaby się tak łatwo sterować przez Michnika, Geremka i Mazowieckiego? Jestem pewien, że nie. Towarzysz Wasilewski i jego PIW wnieśli olbrzymi wkład w sączenie zatrutego «różowego lubczyku» w dusze ówczesnych młodych pokoleń Polaków”.

Wasilewski był więc swoistym odgórnym ekonomem „Salonu” kręcącego się wokół PIW-u z nadzieją na zarobki, i niełatwo było nim manipulować (sam był lepszym manipulatorem), czego dowodzi choćby smaczny casus salonowca Brandysa, opisany przez Herberta w 1994 roku: „Kazimierz Brandys. Należał do salonu, w którym noszono się nawzajem na rękach: Holoubek, Konwicki,

Szymańska, Słonimski, nic lepszego nie można było znaleźć w całej Warszawie. Marzyło mu się, żeby zostać ulubionym pisarzem «Solidarności», ale całe kilogramy jego twórczości «okresu błędów i wypaczeń» nie nadawały się do wznowienia. Zresztą doskonale zdawał sobie z tego sprawę. W latach 70-ych przychodził do dyrektora PIW, Andrzeja Wasilewskiego, i żądał: «— To ma być wydane w nakładzie 100 tysięcy, a tamto w nakładzie 50 tysięcy egzemplarzy». Wasilewski mówił: « — Dobrze, ale wydamy również „Obywateli”». Tu partyjny dyrektor trafiał w sedno, a Brandys trzepocząc rączkami wybiegał z krzykiem, że go szantażują”. I tak „Salon” otrzymywał kolejnego „męczennika”, puszącego się później (w Paryżu) „represjami”, które go dotykały za komuny. Herbert i to wykpił: „Brandys teraz mieszka w Paryżu, jak Norwid, tylko bardziej komfortowo. Wylądował tu, jak wielu innych, jako ofiara polskiego antysemityzmu i komunizmu. Ale nieskalane socjalistyczne serce nosi dalej po lewej stronie. Francuzi wiedzą o nim tylko tyle, że jest wielkim pisarzem prześladowanym przez rodaków, o czym zresztą pisze często i z zamiłowaniem”. Z takim samym zamiłowaniem, z jakim wcześniej, przy pomocy Wasilewskich, „wnosił olbrzymi wkład w sączenie zatrutego «różowego lubczyku» w dusze ówczesnych młodych pokoleń Polaków”.

Olbrzymi, pierwszoplanowy wkład wnosili dwa centra metropolitalne „Salonu” — Warszawa (salonowa „warszawka”) i Kraków (salonowy „krakówek”) — reszta była daleką, nieważną prowincją. Literacka Warszawa miała swój reżimowy sztab (J. Iwaszkiewicz, J. Putrament i in.), a Kraków swój (W. Machejek, długoletni szef „**Życia Literackiego**”; Wydawnictwo Literackie, itp.). W Warszawie mieszkało najwięcej gwiazd pióra, lecz i w Krakowie było trochę tuzów (W. Szymborska, S. Lem, S. Mrozek i in.). Co ciekawe — o ile mnóstwo długotrwałych gwiazd literackich Warszawy (S. Dygat, R. Bratny, W. Żukrowski, J. Andrzejewski et consortes) zostało już dziś kompletnie lub prawie kompletnie zapomnianych, o tyle gwiazdy Krakowa lśnią dalej pełnym blaskiem — pod tym względem wygrał Kraków. Szymborska dostała Nobla (Nobla dostał też mieszkający długo w Krakowie Miłosz), Mrozek jest dalej ceniony i wystawiany, a Lem, tak jak był ikoną kolejnych „Salonów” PRL-u, tak jest nią i dzisiaj. Mieli większy talent pisarski niż Warszawiacy, a tylko równy z warszawskim talent do prokomunistycznego serwilizmu.

Zbyt dużo już miejsca poświęcałem na wcześniejszych stronach piętnowaniu gwiazd „warszawki”, czas więc wyrównać rachunek ukazaniem moralności chowu „krakówkowego”. A. Lewmar i M. Kosewska, pisząc o grzechach S. Lema, zadali pytanie: „Czy warto, czy należy, wreszcie czy wolno

wytykać człowiekowi grzechy przeszłości? Odpowiedź — «Czy warto przypominać Polakom stalinizm, kolaborację, podłość?» — znajduje się w książce Bohdana Urbankowskiego”. W tejże książce („Czerwona msza”, 1995) autor słusznie twierdzi, że im większy talent twórczy, tym większa wina kolaborancka utalentowanych. Choćby Mrożka, który wzywał kolegów do „czujności pisarza (...) na podstawie marksistowskiego światopoglądu”. Czy Lema, który gromił zachodni system „rządzenia terrorem”, bredząc, iż „całkowicie odmiennie jest w społeczeństwie budującym socjalizm; z niego wszystkie drogi prowadzą w przyszłość”. Czy Szymborskiej, która gorąco zapewniała, że przenieść się z II Rzeczypospolitej („sanacyjnej”) do PRL-u „to jak po ciężkiej chorobie po raz pierwszy wejść do ogrodu”. Czy też Miłosza (Z. Herbert: „Nasz Noblista pisywał felietony w prasie codziennej. Tylko strach może zmusić zdrowego na ciele i umyśle, mężczyznę do takich ekscesów konformizmu i kłamstwa”). Osobista znajomość z Miłoszem zezwoliła Herbertowi zapamiętać również gorsze rzeczy: „Był 1968 czy 1969 rok. Powiedział mi — na trzeźwo — że trzeba przyłączyć Polskę do Związku Radzieckiego. Ja na to: «Czesiu, weź lepiej zimny tusz i chodźmy na drinka». Myślałem, że to żart czy prowokacja. Lecz gdy powtórzył to na kolacji, gdzie byli Amerykanie, którym się to nawet bardzo spodobało — wstałem i wygarnąłem (...) Wszystkie kłopoty wynikały z cech jego charakteru. Powiedział mi kiedyś: «Rozumiesz, ja chciałem i chcę służyć...» „.

Ci salonowcy, którzy służyli czerwonemu „Imperium Zła”, próbowali później — jak to ukazywałem już — traktować (grzebać) tę służbę amnezyjnie lub ją faryzeuszowsko wybielać. Sam S. Lem (na łamach „Odry”) kpił: „Wielu piszących Polaków odcina sobie tę przykrą część dorobku, która im się napisała za komuny. Jedni przemilczają owe brzydoty, innym koledzy wspominają...”. Dziwne, że mówiąc to zapomniał o własnych „brzydotach”. A było ich mnóstwo — i były straszne. Wspomniana dwójka publicystów (Lewmar i Kosewska) zrobiła drobiazgowy przegląd wczesnych powieści i esejów (wstępów) Lema, wyciągając (cytując) tak dużo prokomunistycznego i antydemokratycznego („antymperialistycznego”, czyli antyzachodniego, zwłaszcza antyamerykańskiego) bełkotu, że nazwali to w konkluzji „obsesją komunistyczno-imperialistyczną Stanisława Lema”. Amerykanie są tam systemowymi (taki ustrój) ludobójcami, „mają piekielną cenzurę”, chcą zniszczyć cały świat bronią biologiczną (i tylko komuniści im ten zamiar uniemożliwiają), et cetera — strach powtarzać te brednie. Kłania się znowu herbertowski passus: czemu „zdrowy na ciele i umyśle mężczyzna” posuwa się „do takich ekscesów konformizmu i kłamstwa”? Również do drwin z krzyża, z religii, ze wszystkiego co daje

Kościół (u S. Lema było to notoryczne, podobnie jak u Cz. Miłosza — patrz rozdział 3 części III). Nic dziwnego, że stał się Lem najczęściej tłumaczonym pisarzem polskim — „*proletariusze wszystkich krajów łączyli się*” w uznaniu wyścigowo.

Gdy już mowa o Kościele — trzeba przypomnieć, że „*Salony*” doby PRL-u miały również swoje filie katolickie. Tu także funkcjonowały dwa te same metropolitalne centra jako połączone naczynia. W Warszawie główną rolę katolicką grało sejmowe Koło Poselskie „Znak”, wspierane przez miesięcznik „**Więź**”, którego redaktorem-szefem był T. Mazowiecki, jeden z filarów późniejszej partii UD (UW). W Krakowie prym wiódł redagowany przez J. Turowicza „**Tygodnik Powszechny**”, o którym „**Libération**” napisze po latach, że był i jest „*głosem liberalnej i często filosemickiej inteligencji*”. Z oboma tymi centrami współpracował „*Kisiel*”, i z oboma zrywał, rozwścieczony ich prokomunistyczną salonowością. Już w 1970 rzekł: „*Przed laty wymyśliłem z kolegami «Znak», dzisiaj «Znak» stał się gównem: człowiek w polityce staje się odwrotnością króla Midasa — czego się tylko dotknie, zamienia się to nie w złoto, lecz w gówno. Na zdrowie — ale już beze mnie!*”. A o „**Tygodniku Powszechnym**”: „*«Tygodnik Powszechny» również przyjął niefrasobliwą postawę państwowego konformizmu i gładko utożsamił sobie społeczne cele Kościoła z interesem komunizmu. Co to ma wspólnego z katolicyzmem? Tfu, rzygać mi się chce na nich i na Jerzego Turowicza (...) Ci moi dawni przyjaciele nie wytrzymali dwudziestu pięciu lat komunizmu, przerobiono im mózgi, ani się obejrżeli. Już po nich — odpisuję ich na straty*”.

Duchowo „*odpisał*” (za wszystko — za wrogość „**Tygodnika**” do antykomunisty, prymasa S. Wyszyńskiego; za firmowanie działań partii; etc.), lecz nie „*odpisał*” fizycznie, bo było to jedyne miejsce gdzie mógł cokolwiek publikować. Dwa lata później (1972) pisze, pełen już nie tylko gniewu wobec nich, ale i wstrętu do siebie samego: „*Oni w «Tygodniku» umieszczają różne państwowotwórcze, deklaratywne bzdury (...) «Tygodnik» staje się nie do zniesienia, po prostu organ MSZ, dlaczego ja mam to firmować? (...) Obrzydł mi ten «Tygodnik» i sam siebie się brzydzę, że w nim piszę — ale przecież nie mam gdzie!*”. Dlatego tak chętnie przyjmie wkrótce (w drugiej połowie lat 70-ych) propozycję Michnika, by publikować na łamach kilku pism podziemnych (korowskich i zbliżonych do KOR-u). To było dobrze płatne, co nieopatrnie wypaplał później J. Kuroń („**Spoko!, czyli kwadratura koła**”), pisząc, że dzięki takim honorariom miał za co pić (sic!).

Każdy salonowiec miał swoje coś z tego układu. Dzięki obydwu filiom katolickim „*Salonu*” katolicka inteligencja (zrzeszająca się m.in. w Klubach Inteligencji Katolickiej) miała i poczucie przynależności do Salonu Wpływu, i

poczucie dysydenckiej odrębności od laickiej, ateistycznej struktury „Salonu”, co razem dawało różowość okołokościelną, identycznie pseudobuntowniczą (pseudo „*anty socjalistyczną*”) jak opozycja lewackiej inteligencji salonowej. Po roku 1988 jedni i drudzy i trzeci („*lewica laicka*”, „*katolewica*” i „*czzerwoni*”) złączą swe siły dla budowania zrębów „*wyzwolonej*” (III Rzeczypospolitej). Mazowiecki zostanie premierem, Kiszczak wicepremierem, Jaruzelski prezydentem, Siwicki, Geremek i Kuroń ministrami, a Michnik medialnym, opiniotwórczym „*Wielkim Bratem*” całego państwa.

Część III

MALEFICUS MAXIMUS

1. Zło

„*Maleficus maximus*” to po łacinie: największy złoczyńca. Mógłbym użyć innego łacińskiego terminu: „*sons gravissimus*” — główny winowajca. Winowajca czego? Zła, które ogarnęło Polskę w ciągu piętnastu lat suwerenności zdobytej A. D. 1989. Zła, które przeklina dzisiaj większość rodaków.

Doniesienie kościelne: „*W ojczyźnie niepowstrzymanie wzrasta upadek obyczajów i moralności — rozwiązłość, ekshibicjonizm, publiczne epatowanie seksem, zboczenia, pornografia*”.

Doniesienie statystyczne: „*Zakłady penitencjarne są przepelnione ponad wszelką miarę, mimo zbyt dużej łagodności sądów, która nie równoważy gwałtownego wzrostu przestępczości*”.

Doniesienie telewizyjne: „*W Polsce można kupić ustawę sejmową. Znane są już dwa takie przypadki*”.

Doniesienie związkowe: „*Nie ma przypadku, aby choć jeden zachodni supermarket zapłacił w Polsce podatek od zysku*”.

Doniesienie unicefowskie: „*Z braku środków Polska ma najmniejszą liczbę przedszkoli wśród wszystkich państw Unii Europejskiej i, co za tym idzie, najmniejszą liczbę dzieci uczęszczających do przedszkola (...) Jedna trzecia polskich dzieci jest codziennie niedożywiona*”.

Doniesienie rankingowe: „*Spośród 25 należących do Unii Europejskiej państw — Polska jest (według raportu Europejskiego Biura Statystycznego — sierpień 2004) krajem najbiedniejszym: ma najniższe tempo rozwoju gospodarczego, najgorsze finanse publiczne i najwyższe bezrobocie. Zajmuje ostatnie miejsce jeśli chodzi o płacę minimalną (najniższa pensja minimalna) i ostatnie miejsce pod względem dochodu przypadającego na głowę obywatela (...) W najnowszym (sierpień 2004) rankingu wolności gospodarczej, sporządzonym przez niezależny ośrodek analityczny Heritage Foundation,*

Polska plasuje się na 57 miejscu; wyprzedza ją nawet Uganda, Armenia, Jamajka i Belize (...) W dziedzinie niewydolności prawa Polska rywalizuje z... Burkina Faso”.

Doniesienie zasiłkowe: *„Polskie «sprzężenie zwrotne» w obszarze rent i emerytur polega na tym, iż za PRL-u Służba Bezpieczeństwa pilnowała, by ludzie niepokorni nie dostawali pracy bądź. dostawali pracę bardzo źle płatną, skutkiem czego dzisiaj ci ludzie dostają najniższe (głodowe) emerytury i renty, podczas gdy ich dawni prześladowcy dostają emerytury i renty najwyższe”.*

Doniesienie dyplomatyczne: *„Cały świat śmieje się z polskich władz i z polskiej dyplomacji, gdyż Polska podjęła wojskową misję iracką bezwarunkowo, licząc na laskową wdzięczność Amerykanów dla sojusznika, i jako «łatwa dziewczyna» nie uzyskała niczego, teraz więc regularnie (oraz całkowicie bezskutecznie) zebrze w USA o jakiegokolwiek honorarium, gdy tymczasem stary sojusznik Ameryki, Turcja, wysunęła twarde żądania, każąc sobie z góry zapłacić za ewentualną pomoc, i Amerykanie kupili tę turecką pomoc (dużo mniejszą niż polska), płacąc miliardy dolarów”.*

Doniesienie agencyjne: *„Sąd w Tarnobrzegu umorzył postępowanie wobec prezydenta Ostrowca Świętokrzyskiego, Jana Sz., oskarżonego o wyłudzenie łapówek. Jak orzeczono, Sz. dopuścił się «czynu o znikomej szkodliwości społecznej», dlatego nie został ukarany”.*

Doniesienie prasowe: *„Nieomal za darmo oddaliśmy różnego rodzaju zagranicznym biznesmenom krajowy, blisko 40-milionowy rynek zbytu, dużą część dochodowych przedsiębiorstw, cenne grunty śródmiejskie i wartą miliardy dolarów rocznie przestrzeń tranzytową”.*

Dane oficjalne: *„Rzesza bezrobotnych liczy ponad trzy miliony ludzi zdolnych do pracy”.*

Dlatego ludzie (mnóstwo ludzi) klną lub wręcz wyją z gniewu. Mam tego świadectwa w postaci listów, jakie piszą do mnie moi Czytelnicy; cytuję list najświeższy (sierpień 2004), od pana M. Cieślaka z Tych: *„Dziś, gdy widzę ludzi szukających jedzenia wewnątrz śmietników, gdy widzę brudne, głodne, zaniedbane dzieci (...), wzbiera we mnie agresja. Lałbym (przepraszam, ale taka jest prawda) po mordach złoczyńców, którzy to państwo doprowadzili do takiego stanu, ciągnąc profity z urzędów, stanowisk, łapówek i każdej formy sprzedajnej niegodziwości”.* Ów gniew wzbiera. To było łatwo przewidzieć, gdy się w roku 1989 widziało kto będzie rozdawał karty na zielonym stoliku nowopowstałej III Rzeczypospolitej. A zwłaszcza, gdy się obserwowało pierwsze ruchy. Stąd, roku 1993, w książce **„Łysiak na łamach 2”** pozwoliłem sobie zamieścić własne proroctwo dla Lechistanu: *„Będzie głośno. Będzie tak, jak pisał Ortega y Gasset: «Potężne wołanie wznoszące się ku gwiazdom, niby*

wycie niezliczonych psów, z błaganiem, by zjawił się ktoś lub coś i wszystkim się zajął». Albo będzie jeszcze głośniej...”.

No i jest głośno, z każdym rokiem głośniej, bo szczęśliwsi niż pechowcy mają zbyt mało pieniędzy (pechowcy w ogóle ich nie mają). A przecież średnia pensja Polaków nie jest najgorsza. Chociaż rzecznik praw obywatelskich, prof. A. Zoll, mówi (2004): „ — *Nie znam drugiego państwa, poza Polską, w którym byłyby tak duże dysproporcje, sięgające 100-, 200-, a nawet 300-krotności pomiędzy wynagrodzeniem najniższym a najwyższym, mówię o płacach w sektorze publicznym*”, lecz weźmy przeciętną. Co prawda nędza ludzi jest większa niż wskazują czarne statystyki, lecz kiedy obliczymy „pensję przeciętną”, sumując wszystkie zarobki (w tym zarobki panów Gudzowatego, Krauzego, Kulczyka, Niemczyckiego, Stokłosa i innych baronów biznesu, tudzież szefów banków, ergo: pensje wszelkich dużych pracodawców), a potem dzieląc to przez liczbę pracobiorców — dostaniemy „przeciętną” całkiem znośną. Zupełnie jak w tej anegdocie na temat „przeciętnej”, którą opowiedział „Kisielowi” jego znajomek: „*Było posiedzenie Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów, wbiega minister Jędrychowski (wiadomo, idiota) i mówi: « — Towarzysze, mam radosną wiadomość, przeciętna spożycia stali na głowę wzrosła o ileś tam!*». A Wolski na to: « — *Towarzyszu Jędrychowski, jeżeli ja zdradzam żonę cztery razy na tydzień, a wy wcale, to przeciętnie zdradzamy po dwa razy, ale co wy z tego macie za przyjemność, to ja nie wiem*»,,.

Powstaje proste pytanie: jeżeli już piętnaście lat jest tak źle, z każdym rokiem gorzej, to dlaczego nasza ekonomia jeszcze nie zbankrutowała? Odpowiedź jest równie prosta: bo III Rzeczpospolita cały czas żyje „na borg”. J. Pawlas: „*Wyprzedaż za bezcen majątku państwowego i zaciąganie kredytów na pokrycie dziury budżetowej — to wynalazek okresu tzw. transformacji*”. Majątek wyprzedawano póki było co wyprzedawać, a kiedy wyprzedano już prawie wszystkie „srebra rodowe” — zostało tylko pożyczanie pieniędzy przez kolejne rządy. Jak się to robi? J. Pawlas: „*Gdy rośnie deficyt budżetu, państwo emituje papiery dłużne — bony skarbowe lub obligacje skarbowe. Dłużne papiery wartościowe emituje się na rynku krajowym lub za granicą. W ten sposób nabywcy kredytują państwo, które może finansować swoje potrzeby. W konsekwencji powiększa się dług państwa*”. Uprośćmy to tłumaczenie: taki system finansowania potrzeb państwa jest rosnącą wciąż spiralą zadłużenia, bo każdego roku trzeba pożyczyć więcej, by spłacić dług zeszłoroczny i mieć na bieżące wydatki. Trwa to już piętnaście lat. Bez końca trwać nie może (spróbujcie sami pożyczać w ten sposób na swe domowe potrzeby), gdyż istnieje wyliczona przez ekspertów granica bezpieczeństwa (notabene tak

oczywista, że zapisana w konstytucji), po przekroczeniu której następuje wielkie „bum!” — krach, czyli „*casus argentyński*”. Ta granica to 60% PKB (zadłużenie Argentyny niedawno przekroczyło 60% PKB, więc runęła gospodarka tego kraju, banki przestały wypłacać ludziom pieniądze, itp.). Zadłużenie Polski przekracza już 55% PKB — jesteśmy bliźutko wilczego dołu. J. Pawlas: *„Podczas gdy połowa obywateli wegetuje na poziomie minimum socjalnego — Polska żyje na kredyt. Taki sposób finansowania gospodarki to tylko przedłużanie agonii”* (2004).

Czy ten czarny gospodarczy scenariusz musi się sprawdzić? Nie musi — wystarczy solidny (autentyczny, a nie medialno-wirtualny) wzrost gospodarczy, regularnie wzmacniający dochody budżetu. J. Pawlas: *„Niestety, w obecnej sytuacji nie można przedstawić takiej wizji. Nie widać możliwości spłacenia zadłużenia”*. Do kogo mieć pretensje? Jasne, że do polityków. Tu-dzież do natury ludzkiej i do fatum historii. Głośny XVIII-wieczny historyk brytyjski, E. Gibbon, tak podsumował przeszłość naszego gatunku: *„Historia to w rzeczywistości tylko ciut więcej niż rejestr wszystkich zbrodni, szaleństw i nieszczęść, jakie były dziełem człowieka”*. Fakt, starczy sięgnąć po wielką literaturę opisującą wybryki ludzkości: **Biblia**, **„Iliada”**, **„Hamlet”**, **„Don Kichot”**, **„Kandyd”**, **„Nędznicy”**, **„Wojna i pokój”**, **„Przygody Hucka”**, etc. Człowiek to wieczny głupol, co możemy wyczytać już na glinianej tabliczce, znalezionej przez archeologów w ruinach Babilonu — inskrypcja zapewnia: *„Jeśli się tak dobrze rozejrzeć wokół — ludzie wszyscy razem są głupi”*. Wszyscy razem i każdy osobno, co wiem po sobie samym, gdyż często absorbuję nikotynę trzymając papierosa: ognek na jednym krańcu, na drugim głupek. Tłumaczę to sobie (jak to głupek) siłą woli i upodobaniem wolności. Miałem wystarczająco dużo tej pierwszej, by po trzydziestu latach forsownego palenia rzucić od ręki (kilkanaście lat temu), i wystarczająco wolnomyślicielski kaprys, by po siedmiu latach niepalenia wrócić do „szlugów” — bo tak mi się podobało! Ale ja nie kieruję państwem z kilkudziesięciomilionową ludnością, więc moja prywatna głupota nie jest destruktywna dla rzesz bliźnich, podobnie jak nie było socjodestruktywne ucinanie sobie jednej piersi przez starożytne amazonki, i nie jest socjodestruktywne dźwiganie ciężarów przez współczesne olimpijki. Tymczasem z politykami sprawa ma się zupełnie inaczej.

Polityk nieustannie prowadzi grę, manipulując tobą i sterując własną karierą. Ciebie traktuje jak gumę do żucia, a swą karierę jako absolut. I zawsze prowadzi się niczym kleptoman lub wariat, nawet jeśli przed wyborami nie było u niego widać objawów niepoczytalności. Po zwycięskich wyborach grasuje już na całego, wyłączając wszystkie alarmy antywłamaniowe: prawo, sądy, policję, instytucje nadzoru i kontroli (wylączyłby również sumienie,

gdyby je miał); czasami kłopot robi mu tylko niedostateczne zdyscyplinowanie wolnych mediów. Najwybitniejszy spośród wszystkich XX-wiecznych prezydentów USA, R. Reagan, świetny „causeur” i bonmotowiec, rzekł w 1978 roku: „ — *Polityka jest, jak mówią, drugą najstarszą profesją świata. Doszedłem do wniosku, że ma ona dużo wspólnego z pierwszą*”. Do tego samego wniosku doszło już wielu Lechitów — świeżuteńki (2004) sondaż OBOP-u wykazał, że według 60% rodaków nasi politycy są mniej uczciwi niż przedstawiciele innych profesji, a według 46% — są pod względem uczciwości gorsi od polityków innych krajów. Ciekawą ilustracją dla takiego mniemania było publiczne (sejmowe) wyznanie ministra zdrowia (lipiec 2004), że gdyby chciał przeglądać życiorysy wszystkich kandydatów na swoich współpracowników, nie znalazłby żadnego godnego. Stańczykopodobny prześmiewca, M. Rybiński, wykpił rzecz kąśliwie: „*To piękne stwierdzenie. Nie ma w Polsce wystarczającej liczby ludzi uczciwych, aby obsadzić nimi rządowe funkcje, i w takiej sytuacji, przymuszony okolicznościami minister nie może grymasić. Musi dobierać z uczciwych inaczej*”.

Pojęcie „*uczciwy inaczej*” należy do klasycznego już repertuaru „*politycznej poprawności*”, terroryzującej tradycjonalistów i całe społeczeństwo — owej „*political correctness*”, wykoncypowanej przez zachodnie lewactwo czarownej krainy braku zakazów i libertyńskiej frazeologii, który to Eden, antydekalogowy (antychrześcijański) świat „*dolce vita*” (słodkiego życia), jest często reklamowany niezwykle atrakcyjnymi „*klipami*” i sprzedawany w bajeranckim opakowaniu. Symbolem może tu być głośny słodki film L. Hallströma „**Czekolada**” (2000), nakręcony według powieści pani J. Harris — film o „*poszukiwaniu tolerancji i wolności osobistej, a także o walce z nietolerancją i bigoterią*” (zacytowałem opinię recenzentów). Prawdziwa czekoladka — smakołyk. Film bowiem jest wyborny artystycznie, najwyższa półka, tego mu odmówić nie można. A treść ma prostą. Małe prowincjonalne miasteczko francuskie u schyłku lat 50-ych XX wieku. Wszyscy mieszkańcy to katolicy, i wszyscy ze skazą: od tępych brutali i kołtunów do moczymordów i dewiantów, plus kobiety ciemiężone przez mężów, jak to w katolickich małżeństwach. Rządzi burmistrz, despotyczny bigot, który terroryzuje nawet młodziutkiego księdza, bezwolnego pajaca. Ciężka (katolicka) atmosfera dwulicowości, moresu i strachu. Do miasta przybywa jednak wędrowniczka, zawzięta ateistka, która razem z drugim ateistą, przygodnie poznanym Cyganem, uzdrowi tę ciemną społeczność, wprowadzi ożywczy ferment, rozluźni więzy, zerwie okowy, słowem: uszczęśliwi tych biednych ludzi. Na samym końcu ksiądz, który też przejrzał, ogłasza: „ — *Już wiemy, że nie możemy mówić, iż jesteśmy dobrzy, jeśli czegoś*

sobie odmawiamy”, po czym pada finalny komentarz „z *offu*”: „ — *Przeszli duchowe oświecenie i uwolnili się od starych porządków*”. Kropka. Słodka bombonierka z trucizną.

Niczego sobie nie odmawiać i zlikwidować stary (tradycyjny) etyczny porządek — taka jest właśnie dewiza terroryzującej świat Zachodu „*politycznej poprawności*”, którą od piętnastu lat zaszczepia (przeplancowuje) na rodzimym gruncie lewicowy „*Salon*” III Rzeczypospolitej. A każdy terror — jak wiadomo — musi mieć swą centralę polityczną, partię, która jest sztabem decyzyjnym. W Polsce ta partia nazywa się dzisiaj Unią Wolności. To dobra nazwa, jeśli tylko przyjmiemy, że chodzi o wolność według modelu „*róbta co chceta*” — wolność robienia wszystkiego „*postępowego*”. I proszę mi nie mówić, że myślę Unię Wolności ze środowiskami feministek, pederastów, anarchistów, szalonych ekologów, pacyfistów i antyglobalistów, tudzież innych wojujących „*mniejszości*” spod znaku „*Ery Wodnika*” i ultrapostępu libertyńskiego, bo starczy zajrzeć do „*Wysokich Obcasów*” (lato 2004), magazynu „*Gazety Wyborczej*” (medialnej tuby UD-UW od piętnastu lat), by zobaczyć gromką akcję „*Koszulki na rzecz wolności*”, gdzie koszulki mają triumfalne nadruki: „*Jestem gejem*”, „*Jestem lesbijką*”, „*Masturbuję się*”, „*Usunęłam ciążę*”, „*Noszę spiralę*”, „*Nie słucham papieża*”, „*Nie chodzę do kościoła*” i inne, afirmujące radykalną „*polityczną poprawność*” „gangów antytradycjonalistyczno-kontrkulturowych. Jednak pisząc ten rozdział, wskazujący partię Unia Wolności (eks-Unia Demokratyczna) jako czołowego winowajcę („*sons gravissimus*”) wszystkiego zła, które wyrządzono Polsce w ostatnim piętnastolecu — mam na myśli sferę polityczno-gospodarczą. Korzystającemu z tego partyjnego środowiska Salonowi Wpływu — „*Salonowi*”, którego szkieletem politycznym jest UW, a tubą opiniotwórczą „*Gazeta Wyborcza*” — poświęcę kolejne części książki.

Co uprawnia do oskarżania UD-UW jako złoczyńcy głównego („*maleficus maximus*”)? Niejeden prawicowiec wskaże raczej postkomunistów, których nieudolno-złodziejskie rządy (ekipy J. Oleksego, W. Cimoszewicza i zwłaszcza L. Millera) odebrały III Rzeczypospolitej szansę na zdrowie; a także przypomni, że przez minione piętnaście lat podskórną siłą manipulującą każdą władzą były stare, niezreformowane, postpeerelowskie służby specjalne (zwłaszcza zupełnie nietknięte WSW-WSI — Wojskowe Służby Informacyjne), trzymające w rękach mnóstwo „*haków*” do szantażowania polityków każdej frakcji. Ktoś tak argumentujący zapomina o sprawie generalnej vel źródłowej. Nie chodzi już nawet o to, iż UD vel UW również miała trzy ekipy rządowe (T. Mazowieckiego, H. Suchockiej i J. Buzka); formalnie dwie i pół, bo w rządzie premiera Buzka (prawie tak samo aferalnym

jak rządy L. Millera) byli koalicjantami, jednak koalicjantami rozgrywającymi na zasadniczych polach (a i w rządzie premiera K. Bieleckiego mieli wpływy bardzo duże). I nie o to, że L. Balcerowicz (eks-szef UW) przez całe piętnastolecie jest głównym rozgrywającym, wręcz guru polskiej ekonomiki, którą zdominował monetaryzm sprzyjający międzynarodowym spekulantom, wyniszczającym naszą gospodarkę. I nie o to, że UW lokalnie rządziła jeszcze u schyłku piętnastolatki, zwłaszcza w stolicy (niesławne rządy P. Piskorskiego, którym wytyka się mega-korupcję a la „*budujemy mosty dla pana starosty*”). Chodzi o coś innego, ważniejszego — o to, że ta partia zaczynała transformację PRL-u w suwerenne państwo demokratyczne i dysponowała wówczas wszystkimi atutami, wybierała jak chciała środki, metody i strategiczne kierunki, mogła wszystko. Wszystkie karty były trzymane przez nich, to oni je rozdawali. Rozdali tak, a nie inaczej. Rozdali tym, a nie innym (nomenklaturze postkomunistycznej, esbekom, hochsztaplerom). Efektem jest dzisiejsza wszechstronna (ekonomiczna, socjalna i moralna) zapaść kraju. Dlatego ta formacja jest, bez żadnych wątpliwości, głównym partyjnym złoczyńcą. Grzech pierworodny, który wytworzył permanentny stan kryzysu — był ich dziełem. Chodzi tu i o „*schizofreniczną tożsamość, którą proponowali twórcy III RP*” (D. Karłowicz), i o gangrenę ekonomiczną, jak również kulturową.

Ktoś może jeszcze rzec, iż kopię trupa, bo przecież wyborcy zepchnęli już UW na margines sceny politycznej. Nie tak zupełnie (o czym świadczą choćby wybory do parlamentu europejskiego), lecz ważniejszy jest fakt, iż Salon Wpływu, który utworzył tę partię, wciąż stanowi główną, wręcz mocarstwową siłę opiniotwórczą III Rzeczypospolitej, i nic nie wskazuje, by miało się to zmienić. Nie tkwiąc już pod tym szyldem w Sejmie i w rządowych ławach, ci ludzie dalej sterują umysłami rodzimych inteligentów, jakby los przyznał im dyrygencki monopol. Nadto dalej trzymają ster gospodarki (L. Balcerowicz i spółka), a w czołowej partii politycznej dnia dzisiejszego (PO) znajduje się wielu byłych członków UW, również prominentnych (są tacy i wśród postkomunistów, w SLD i SdPi, vide A. Celiński). To ciągle nie jest przeszłość — to jest teraźniejszość. Teraźniejszość, której kulturowe zręby budował mason A. Słonimski, a polityczne zręby stawiał trockista J. Kuroń roku... 1965, czterdzieści lat temu!

2. Od trockizmu do KOR-u

Jak to się zaczęło na płaszczyźnie politycznej? Od trockizmu, w marcu, i to podwójnie w marcu. „*Marzec 68*” jest wciąż pamiętany (bo przypominany), lecz niewiele już pamięta Marzec 65. W tym pierwszym marcu dwaj czerwoni młodzi-gniewni, K. Modzelewski i J. Kuroń, upublicznili wysmażony rok wcześniej „*List otwarty do partii*”, żądający trockizacji PRL-u.

Trockizm to lewacka ideologia-doktryna Żyda L. D. Trockiego (Bronsteina). Trockiści byli tak skrajnie lewicowi, iż zwano ich „*lewicą komunizmu*”. Głosili, za swym prorokiem, „*teorię permanentnej rewolucji światowej*”, wdrażanej przez uzbrojony proletariatus. Socjalaranarchistyczna doktryna trockistowska zyskała szerszy rozgłos dzięki V Światowemu Kongresowi IV Międzynarodówki (1957). Opracowany tam „**Program rewolucji politycznej IV Międzynarodówki**” głosił: „*Międzynarodówka stanie się narzędziem koordynacji i impulsu wszelkich działań awangardy rewolucyjnej w państwach robotniczych w ramach procesu ciągłej rewolucji, aż do zakończenia budowy światowego komunizmu*”. Chodziło o „*prawdziwy komunizm*”, czyli jeszcze bardziej lewicowy (zdeburzazyjniony) niż ten funkcjonujący już w totalitarnych państwach. Różne goszystowskie ugrupowania młodzieżowe tamtych czasów przyjęły ową inicjatywę entuzjastycznie. Fala zachodniego buntu młodzieżowego lewaków w latach 1968-1969 była ulicznym (a później terrorystycznym) rezultatem wspomnianej inicjatywy. Wszystkie bandyckie organizacje podziemne Europy (włoskie Czerwone Brygady, niemiecka Frakcja Czerwonej Armii, francuska Akcja Bezpośrednia, grupy maoistów, siatka „*Szakala*” Carlosa, itp.) — wszystkie te zbrodnicze gangi, przez ćwierć wieku zabijające i okaleczające setki „*burżuazyjnych świń*” — wyrosły z IV Międzynarodówki trockistowskiej.

Już około roku 1956 polscy lewacy weszli w ideologiczną strefę trockizmu. J. Kossecki: „*W 1957 roku Karol Modzelewski nawiązał kontakt z emisariuszem IV Międzynarodówki i przeprowadził z nim wstępne rozmowy na temat współpracy z tą międzynarodową organizacją pewnych grup w Polsce, działających w ramach organizacji partyjnych i młodzieżowych. Podczas swego pobytu we Włoszech w latach 1961-1962 Modzelewski spotkał się z sekretarzem IV Międzynarodówki, Livio Maitanim. Od tego czasu rozpoczęły się stałe kontakty przedstawicieli grupy, która zyskała później miano «komandosów», z trockistami. Przewodzili jej m.in. Karol Modzelewski, Jacek Kuroń oraz Adam Michnik. «Komandosi» wyjeżdżali za granicę i kontaktowali się z kierownictwem IV Międzynarodówki, a zwłaszcza z takimi jego przedstawicielami, jak: G. Dobbeler, L. Maitani, P. Frank i E. Mandel. Szkolili się też na specjalnych kursach dla trockistowskiego aktywu. Przedstawiciel IV Międzynarodówki, Dobbeler, przyjeżdżał do Polski. Podczas prowadzonych tu rozmów z przedstawicielami «komandosów» podkreślał m.in., że w każdym kraju należy wstępować do tej partii robotniczej, która jest najsilniejsza, i działać w jej obrębie w taki sposób, aby z jej lewego skrzydła utworzyć z czasem partię z silnym skrzydłem trockistowskim*”.

Gdy szesnastoletni A. Michnik w roku 1962 zakładał (dzięki inicjatywie J. J. Lipskiego i pod patronatem członka KC PZPR, A. Schaffa, czołowego ideologa komunizmu) młodzieżowy klub dyskusyjny mający związek z IV Międzynarodówką Komunistyczną — J. Kuroń i K. Modzelewski byli już dawno pełnoletni i należeli do partii. Kilka lat wcześniej tą partią targaly rozgrywki międzyfrakcyjne, wzajemna wrogość „Chamów” i „Żydów” (terminologię taką historiografia stosuje wedle tytułu oraz treści głośnego studium W. Jedlickiego „**Chamy i Żydy**”). Trockista Kuroń związany był wtedy z „Żydami” czyli „puławianami”, którzy „Chamów” ergo „natolińców” „uważali za biurokratyczną burżuazję partyjną skłoną do prawicowości. Wynikiem tej orientacji Kuronia (tudzież rozmów z Dobbelerem) stał się „*List otwarty do partii*”, spłodzony przy udziale Modzelewskiego. Wynikiem „*Listu*” natomiast — partyjne represje, które uderzyły obu autorów. Już bowiem Lenin głosił, że nie ma wroga gorszego niż wróg wewnątrzpartyjny. „*Wierny uczeń Lenina*”, Stalin, bez reszty akceptował tę mądrość i wyrzucił Trockiego z bolszewickiej partii (oraz z kraju) na zbity pysk (dosłownie zbity trochę później, za pomocą czekana dziurawiącego czaszkę, w Meksyku).

„*List*” Kuronia i Modzelewskiego bywa jeszcze dzisiaj przywoływany przez „*Salon*” jako szlachetny antyreżimowy bunt młodych lewicujących idealistów, które to tłumaczenie jest śmiechu warte par excellence. Został oceniony bardzo surowo nie tylko wówczas przez PZPR, lecz i przez wszystkich komentatorów prawicowych bądź kościelnych uprawiających autentyczny patriotyzm. „*Kisiel*” rzekł o nim: „*Ultralewicowe, maoistowskie hasła Kuronia i Modzelewskiego — to już kompletna bzdura*”. Biskup A. Śliwiński nazwał Kuronia „*spadkobiercą totalitaryzmu*”, wskazując jako dowód właśnie ów „*List*”. Prof. J. R. Nowak wyraził taki sąd: „*Cały ten «List otwarty» ma tyle samo wspólnego z walką o demokrację i wolność, co inne podobne sekciarskie programy trockistowskie. Jednoznacznie przeciwstawia się systemowi parlamentarnemu. Autorzy głoszą hasło swoistej wielopartyjności robotniczej, w której rolę gwaranta decydującego głosu klasy robotniczej w państwie, «zabezpieczającego ją przed prawicą», miała spełniać «milicja robotnicza» jako organizacja skupiająca środki przemocy (!!!). I jak tu po takim «Liście» nazywać Kuronia i Modzelewskiego szermierzami wolności i demokracji?*”. Według mecenasa J. Olszewskiego (obrońcy Kuronia przed peerelowskim sądem) ów „*List*”, pełen reklamy robotniczych „*sił militarno-represyjnych*” i apologii gigantycznych PGR-ów, „*zawierał takie rzeczy, że gdyby je opowiedziano normalnemu robotnikowi czy rolnikowi, to ogarnąłby ich pusty śmiech (...)* Takich postulatów przebudowy ustroju

komunistycznego na «autentycznie komunistyczny» było w tym tekście sporo (...) To wszystko, co Gomułka uznawał za konieczną polską specyfikę, było tam traktowane jako zasadnicze ustępstwo, jeśli nie zdrada prawdziwego komunizmu”. Nawet lewicowiec J. Giedroyc, który opublikował „List” (Paryż 1965), uznał tekst Kuronia i Modzelewskiego za „szalenie sekciarski”.

Co by się stało (pofantazujmy), gdyby partia przyjęła „List” jako obowiązującą instrukcję — teoretyczną platformę praktycznego działania? Musiałaby przejść na trockizm i oddać realną władzę uzbrojonym rzeszom robotników, a wówczas PRL stałaby się jedyną we świecie autentyczną (nie zaś nowomowną) „dyktaturą proletariatu”. I wówczas mogłaby się urzeczywistnić anegdota o matce wielkiego rosyjskiego pianisty, W. Horowitza, którą to damę bolszewicka rewolucja tak zde gustowała, że pani Horowitz przestała w ogóle wychodzić z domu. Po wielu tygodniach tego dobrowolnego aresztu synowi udało się namówić matkę, by wybrała się w otoczeniu rodziny do kina. Mme Horowitz ubrała gorset i elegancką suknię, skropiła się perfumami „Lorigan” firmy Coty, i pierwszy raz od dawna wyszła na ulicę. Tam cała rodzina wsiadła do tramwaju. Tramwaj był pełen robotników. Pani Horowitz podniosła lornion, by zlustrować szkiełkiem proletariat, a kiedy się już napatrzyła, prychnęła głośno: „ — *I to nami rządzi?...*”. Pewnie z tego samego powodu lewicujący ksiądz Giedroyc uznał kuroniowy „List” za „szalenie sekciarski”.

Ja przypominam tak rozwlekle ów trockistowski „List” z dwóch powodów. Raz, że jest on ewidentnym dowodem „odlotu rozumu” u J. Kuronia, późniejszego ministra i czołowego machera „Salonu” III Rzeczypospolitej. A dwa (co ważniejsze), że był on pierwszą publiczną, mającą duży rozgłos akcją polityczną lewackiego środowiska „komandosów”, które dekadę później stworzyło KOR, czyli załączek UD-UW.

Salonową perłą mitologii „komandosów” jest pamiętny „Marzec 68”: bunt warszawskich studentów, antyreżimowy wiec na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego i pałowanie buntowników przez „aktyw robotniczy”, którym sterowała bezpieka. Młodzieżowym protestem kierowali A. Michnik i J. Kuroń, a większość studentów nie miała pojęcia, że chodzi o trockizm — myślano, że chodzi o antysowieckość. „Kisiel” tak pisze w 1970: „Spotkałem panią docent Z., Żydówkę, która w 1968 dostała mocno po dupie, a która powiedziała mi, że jest nadal marksistką, bo marksizm to jedyna «naukowa analiza społeczna». O idiotka — niczego się nie nauczyła! Gdy jej mówię, że praktyka nasza dowodnie wskazuje plajtę marksizmu, ona powiada, że to nic: idea dobra, tylko wykonanie złe. Ileż ja razy słyszałem tę groźną bzdurę, śpiewkę wszystkich rewizjonistów, wszystkich «zniewolonych umysłów», którzy

nie mogą żyć bez sztucznej podpórki umysłowej, jaką jest dla nich marksizm (...) I pomyśleć, że to opium duchowe nadal działa na różne idiotki. Dlatego to w Marcu 68 młodzież studencka wykazała tak żenujący brak konkretnych haseł: prowadzili ich ludzie nadal zaczadzeni marksizmem, stąd powtarzanie tych samych «socjalistycznych» bełkotów. Naprawdę, na owych wciąż marksizujących Semitów jedna jest tylko rada czy odtrutka: zdrowo nacjonalistyczna i prężna postawa państwa Izrael. Ten Dawidek nie daje się dwóm Goliatom w imię normalnej narodowej racji. Brawo — uczcie się u swych braci, wy niedobitki marksistowskich rabinów we wschodniej Europie!”.

„Niedobitki marksistowskich rabinów” dość szybko zrozumiały — nolens volens — że trockizm to nie jest w Polsce chodliwy towar. Marksizm owszem, socjalizm też, tym można grać, ale nie ultralewackość. Michnik, cwańszy niż inni, zaczął się go wypierać pierwszy. „Kisiel”: „«Wolna Europa» nadała sądowe przemówienie młodemu Michnika, bardzo się tym nasładowując. Bohater nasz cacka się ogromnie ze swoim ciągle podkreślanym marksizmem i «socjalizmem», dużo też mówi o Kuroniu i Modzelewskim, drobiazgowo analizując swoje z nimi różnice. Przypomina mi to rabiniczne dyskusje między Plechanowem a Leninem — znów jakieś marksistyczne szakale przygotowują się, aby nami rządzić”.

Do rządzenia było jeszcze kilkanaście lat. Po „Marcu 68” antysemityczne represje partii przerzedziły trochę szeregi „komandosów” (wyemigrowali m.in. H. Paszt, S. Bekier, J. Goldberg, by na Zachodzie prowadzić regularną działalność w szeregach IV Międzynarodówki Komunistycznej). J. Kossecki: *„Natomiast działalność tych «komandosów», którzy pozostali w Polsce (jak Jacek Kuroń, Karol Modzelewski, Adam Michnik, Jan Lityński, Seweryn Blumsztajn), wyraźnie osłabła. Zaniechali popularyzacji poglądów trockistowskich, uznając, że nie są one przyjmowane w Polsce, zaczęli natomiast szukać kontaktów ze środowiskami katolickimi. Głównym terenem, na którym nawiązywano te kontakty, stały się Kluby Inteligencji Katolickiej, z którymi zresztą niektórzy «komandosi» nawiązali współpracę już przed 1968 r.”.*

Kluby Inteligencji Katolickiej (KIK) były — jak już wzmiankowałem — okołokościelną (bo nie kościelną, tylko samozwańczo okołokościelną) filią lewicowego peerelowskiego „Salonu”. Na pomysł budowania tego sojuszu wpadł — rzecz prosta, któż inny mógł być taki łebski? — A. Michnik we własnej osobie. Wspomni później: *„Próbowałem zbudować most między laicką, antyklerykalną inteligencją, a katolikami”* (czytaj: między „lewicą laicką” a lewicą kikowską). On też wykoncypował ów termin, „lewica laicka”, którym zastąpiono termin „komandosi”, by nie przywoływać widma

trockizmu. Ale fakty były takie, że gdy w roku 1976 „klasa robotnicza” Radomia i Ursusa wściekła się, bo rząd znowu podniósł cenę kielbasy, a obniżył cenę lokomotyw (co dawało „przeciętną” podwyżkę równą zeru) — to właśnie środowisko eks-” komandosów” bezbłędnie wykorzystało sytuację i stworzyło KOR (Komitet Obrony Robotników), dobierając sobie jako listek figowy paru frajerów z KIK-ów i z opozycji rzeczywiście patriotycznej.

Jednym spośród tych kikowców był W. Ziemiński, swego czasu członek OKPIK-u (Ogólnopolskiego Klubu Postępowej Inteligencji Katolickiej, zamienionego później na sieć KIK-ów). I tak jak inni patrioci (nawrócony na antylewicowość były wielbiciel „Che” Guevary, A. Macierewicz, P. Naimski, etc.) szybko zrozumiał, że znalazł się w niedobrym towarzystwie, bo wódz naczelny KOR-u, J. Kuroń, propaguje „finlandyzację” Polski (pseudosuwerenność będącą uzależnieniem od ZSRR) i wcale nie chce obalać komunizmu, tylko go reformować (w „**Biuletynie Informacyjnym KSS KOR**” Kuroń pisał A. D. 1979, że KOR musi „dążyć do naprawy systemu, a nie do jego zmiany”). Ziemiński wspominał później: „ — KOR podczas pierwszych miesięcy (...) stwarzał coraz częstsze wrażenie, iż bliższe mu są związki z reformatorami niereformowalnego skądinąd systemu, bliżej mu do lewicy, do flirtów z eurokomunizmem”. Flirt z eurokomunizmem zapewnił bywalec salonów lewackiej Europy, A. Michnik. Znowu fragment wspominków W. Ziemińskiego:

„ — Michnik, który latem 1976 roku wyjechał na zaproszenie sympatyzującego z komunistami Sartre'a do Paryża, nie był obecny przy powoływaniu KOR. Gdy dowiedział się o jego powstaniu, odwiedził trzech czołowych komunistów zachodnich (w tym Berlinguera), by nawiązać współpracę. Budowa ideologii eurokomunizmu to nie była moja parafia”.

Wszyscy należący do wczesnego KOR-u patrioci, dla których komunizm to była obca parafia, prędzej czy później wyszli z KOR-u, zakładając inne organizacje lub szukając miejsca w takich, które lansowały demokrację bez szyldu „socjalistycznego”. KOR przestał się tym ludziom podobać wskutek trzech przyczyn: lewackiej hipokryzji (polegającej na maskowaniu lewackich planów współczuciem dla gnębionych robotników), lewackiej ideologii i lewackiego terroru. Dobrym przykładem takiego terroru jest casus L. Skonki, organizatora protestu robotniczego we Wrocławiu. Dr Skonka zaczął mieć kłopoty, gdy do związku zawodowego wszedł KOR (1980). Tak to opisał wtedy: „Konflikt między mną a pewną grupą ludzi pojawił się wówczas, gdy do MKZ weszło kilku działaczy politycznych KOR (...) Ludzie tej grupy opanowali stanowiska w samym zarządzie oraz innych działach, w tym wydawnictwa (...) Ich zdaniem niezależność związków, zwłaszcza w naszych warunkach, jest

niebezpieczną utopią, i każdego, kto głosi taki pogląd, należy zwalczać (...) Ponieważ nie chciałem zrezygnować z głoszenia poglądu o niezależności i czyniłem to także na wykładach — zostałem najpierw usunięty ze ścisłego Prezydium, a następnie z Zarządu, i w końcu zawieszono moje wykłady”. Facet miał pecha — nie był „swoj”.

Podczas I Zjazdu „Solidarności”, gdzie KOR starał się grać czołową rolę, ci nienależący do „swoich” zadawali kłopotliwe dla KOR-u pytania i opublikowali tekst, którego fragment cytuję: *„Czym jest KOR? Na ogół ugrupowanie to reklamuje się bądź jest reklamowane jako organizacja o celach samoobronnych i patriotycznych. Sprzyja temu legenda KOR-u o pomocy dla robotników oraz związanych z tym prześladowaniach tej organizacji. W rzeczywistości osławione szykany nic mu nie szkodziły, a zwiększały tylko jego popularność. Nie ma wątpliwości, że reżim Gierka mógł zlikwidować KOR w ciągu kilkunastu godzin, i jeżeli tego nie uczynił, to dlatego, że zgodził się na jego istnienie. Co więcej: istniała dyskretna kolaboracja korowsko-gierkowska. Np. warunkiem niejednej pożyczki zagranicznej było pozostawienie KOR-u w spokoju, i E. Gierek to przyjmował”*.

Wtedy coraz częściej padały ze strony adwersarzy KOR-u parsknięcia: *„opozycja licencjonowana!”* vel *„opozycja koncesjonowana!”* (PZPR i KPZR nazywały KOR *„opozycją konstruktywną”*). Później, gdy KOR przejmie władzę nosząc już inne szyldy (KO, ROAD, UD itd.) — padną zarzuty jeszcze grubszego kalibru. J. Oszmianowski spyta (1995): *„Czy to normalne, że konspirator wychodzi z podziemia z majątkiem pozwalającym założyć dużą firmę?”*. Będą też padały pytania o inteligencję i o humanizm: tacy inteligentni ludzie, heroldowie humanizmu, a nie wiedzieli, że ustrój komunistyczny jest karykaturą cywilizacji? Będzie sarkanie kwestionujące ich *„etos”* bojowników-męczenników, którzy robią wszystko, by nie pamiętano ich wcześniejszej symbiozy z czerwonymi (poeta Z. Herbert, pisząc list otwarty do innego poety, korowca S. Barańczaka — list, w którym piętnował bronionych przez Michnika *„samyh swoich”* — warknie: *„I to jest ich historyczna wina, której, co gorsza, nie potrafią odpokutować choćby skromnym przyznaniem się. Przeciwnie, zacierają ślady i chodzą pomiędzy nami jako niewinne ofiary!”*). Wreszcie — *„last but not least”* — będzie zastanawianie się: jaki jest u tych ludzi procentowy stosunek między patriotyzmem a kosmopolityzmem? Kosmopolityzmem, którego źródło stanowiły: trockistowski *„internacjonalizm”* i masoński rodowód *„Salonu”* pana Słonimskiego.

3. Pieski przydrożne

J. Kossecki: *„Kiedy po II Wojnie Światowej powstał cały system «państw socjalistycznych», podstawą akcji «zmiękczenia komunizmu» i «obrony praw*

człowieka» stała się ideologia liberalno-wolnomularska. Nurt ten był w PRL powiązany z różnymi centrami zachodnimi, jak paryska «**Kultura**», a jawną formę organizacyjną przybrał pod postacią KSS KOR w latach 1976-1981, przenikając nie tylko do kręgów kultury, nauki i dziennikarstwa, lecz także do niektórych środowisk katolickich. Mafijne metody działania («swoi» — «obcy») i techniki manipulacji obejmowały oskarżanie przeciwników tego nurtu o zaściankowość, obskurantyzm, nacjonalizm i ksenofobię, a jednocześnie — indoktrynowanie ludzi wciąganych w sferę wpływów KOR bardzo elastyczną argumentacją, wyrabiającą u indoktrynowanych poczucie ważności wobec otoczenia z racji «wyższej misji» (...) Wśród założycieli i przywódców KOR znaleźć można wielu ludzi organizacyjnie lub przynajmniej ideologicznie związanych z wolnomularstwem. Jednym z przywódców KOR był Adam Michnik, ideowy wychowanek Słonimskiego, czołowego polskiego wolnomularza”.

„Antyklerykalizm” i kosmopolityzm — fundamenty „braterskiej” doktryny masońskiej (wszyscy ludzie równiejsi są braćmi) — stały się też tajoną bazą ideologiczną dysydenckiej „lewicy laickiej” w PRL-u. Tajoną, gdyż świadomość narodową Polaków ciągle jeszcze mocno zaśmiecał nieszczęsny patriotyzm, będący dla różowych elit (podobnie jak dla wolnomularzy) nacjonalizmem faszystowskim par excellence. Korowscy „ludzie światli” vel „ludzie rozumni”, którzy później (1990) utworzą „partię ludzi rozumnych” (Unię Demokratyczną), wykorzystywali dla szerzenia kosmopolitycznych („europejskich”) poglądów nie tyle swą trybunę polityczną (tu trzeba było udawać stonowany patriotyzm i mówić do szarego tłumu o „obronie robotników”, „obronie praw człowieka” etc.), ile lansowane przez siebie ikony literackie, międzynarodowe nazwiska, zwłaszcza Gombrowicza i Miłosza, co mocno działało na świadomość inteligencji polskiej.

Zacząło się to długo przed zbudowaniem KOR-u — wraz z „odwilżą” roku 1956. A. Waśko: „Podstawę podskórnego, antypolskiego nihilizmu w kulturze rozpowszechnili po roku 1956, powołując się na autorytet Gombrowicza, sfrustrowani eks-zetempowcy, szukający podświadomie literackiego alibi dla swoich stalinowskich zaangażowań. A takiego alibi dostarczało właśnie głoszenie poglądu, że tradycje narodowe, którymi żyła Polska międzywojenna i podziemna w latach 40-ych, były anty-intelektualne i nieeuropejskie, więc ich odrzucenie (nawet na rzecz sowieckiego marksizmu) było właściwie zrozumiałe i nie stanowiło żadnej zdrady. Tezę powyższą głosili mistrzowie inteligencji polskiej: Miłosz, Kołakowski, Mrożek, Błoński i inni”.

„Gombrowiczowską” diagnozę Waśki potwierdził A. Horubała: *„Jak można przemawiać, jak można dalej pisać książki, gdy się uczestniczyło w tak gigantycznym kłamstwie i firmowało zbrodnię? Można wybrać drogę zanegowania sensu historii, zanegowania odpowiedzialności. Śmiech ze wszystkiego, negacja wartości tradycji — to wszystko było doskonałym alibi (...) Stało się tak głównie dzięki «Trans-Atlantykowi» Gombrowicza. Ta opowieść dezentera, który własne tchórzostwo uzasadnia śmiesznością narodowej tradycji i wiernością samemu sobie, była niezwykle atrakcyjną protezą”*.

Protezą dla bieżącego wybielania się i dla bardzo rozwojowego (myślimy o przyszłości, panowie!) antypatriotycznego kosmopolityzmu. Słusznie rzecze R. A. Ziemkiewicz, iż według michnikowszczyzny: *„Dobry Polak to taki Polak, który całkowicie odrzuca swą narodowość na rzecz kosmopolityzmu. A jeśli nie może się wylegitymować jakimś przodkiem w KPP lub organizacjach zbliżonych, to jedyną drogą uzyskania przezeń glejtu człowieka rozumnego jest publiczna aprobata dla stwierdzenia, że wszyscy Polacy, z wyjątkiem tych, którzy to publicznie przyznają, to ciemni antysemita”*. Ów filosemicki kosmopolityzm był oczywiście (był, jest i będzie) maskowany przez „Salon” wzniosłą frazeologią, a podpierany miazmatami wspomnianych, wynarodowionych ikon „Salonu”, na czele właśnie z W. Gombrowiczem. Głównie dlatego (a nie przez wartość swych dzieł literackich) Gombrowicz jest jak Lenin, „wiecznie żywy”. Pewien bohater mojej powieści „Dobry” tłumaczy to rozmówcy tak:

„ — Pan nie czytał Gombrowicza, «wielkiego polskiego pisarza»? Bożyszczę polskich intelektualistów i literackich smakoszy Polskę ma za nic, za szambo, za śmieć, ojczyznę za anachronizm, patriotyczne myślenie za nacjonalizm, szowinizm i debilizm, przywiązanie do rodzimych symboli za obmierzłą staroświeckość, kult męczenników za analfabetyzm, słowem polskość to strawa głupków. Robił wszystko, by jego czytelnik poczuł wstyd i wstręt do samego siebie, iż urodził się jako Polak, żeby się jak najszybciej wyzbył polskiego łupieżu w kosmopolitycznej odwyszalni”.

Cz. Miłosz, autor „**Pieska przydrożnego**” (gazetowyborcza nagroda „Nike”), poszedł jeszcze dalej. I zaszedł dalej — do Nobla (J. Narbutt: *„Miłosz brnął w pogoni za sukcesem, podlizując się międzynarodowce kosmopolitów i antypolonistów. Zapłacono mu za to Noblem”*). Oba pieski przydrożne — i Gombrowicz, i Miłosz — nie kochały (delikatnie mówiąc) Polski, polskości i Polaków, lecz o ile Gombrowicz gardził tym wszystkim, to urodzony na Litwie Miłosz prócz pogardy czuł również zwierzęcą wprost nienawiść „kresową”, tę charakterystyczną, nieuleczalną złość (lub raczej wściekłość), którą Litwini,

Białorusini i Ukraińcy czują wobec „Koroniarzy” i „Lachów”. Zawsze twierdził, że nie jest Polakiem i że nie czuje się Polakiem ani trochę — jest stuprocentowym Litwinem (dziwne tedy, że nie osiadł w ukochanym, wolnym już Wilnie, i że nie podpisywał się per Miłoszewicius lub Miłoszewickas, lecz tylko pozornie dziwne — na Litwie nie było michnikowskiego różowego „Salonu” robiącego mu klakę i „szmal”, zaś Kraków wybrał, jak tłumaczył, bo ten przypomina Wilno). Głosił to całemu światu — w radiu francuskim przedstawił się: „ — *Jestem Litwinem, który pisze po polsku*”. Co jest znowu dziwne (że po polsku), bo na kartach swych „**Prywatnych obowiązków**” stwierdził: „*Zamiast ogłaszać książki po polsku, z równym powodzeniem można by było umieszczać rękopisy w dziuplach drzew*”. Swoją niechęć do języka polskiego wyrażał bez ustanku, tak przy użyciu poezji (poetycko zwał ów język „*mową nierozumnych i nienawidzących*” tudzież „*mową pomieszanych, chorych na własną nienawiść*”), Jak i przy użyciu prozy, zarzucając językowi Polaków „*niechlujność fonetyczną*” („**Piesek przydrożny**”) oraz „*ciamkanie, syczenie, bełkotanie, arytmie, bezkształtność i bijące wszelkie rekordy ubóstwo literackich form*” („**Prywatne obowiązki**”). J. Majda: „*Okazuje się, że Miłosz nie jest jednym z nas, lecz człowiekiem zewnętrznym i zupełnie nam narodowo obcym, wręcz obcokrajowcem, gdyż pasją jego twórczości literackiej stało się obrzucanie Polaków i języka polskiego złośliwymi oszczerstwami*”.

Nie tylko Polaków i języka — również Polski jako państwa i polskości jako takiej. Polska to był dla niego „*irytujący obszar między Niemcami a Rosją*” („**Prywatne obowiązki**”), którego właściwie nie powinno być — „*Dla Polski nie ma miejsca na Ziemi*” („**Rok myśliwego**”). Mawiał: „*Polska to Ciemnogród*” („**Prywatne obowiązki**”), z lubością dokładając grubszą obelgę, zaczerpniętą u pewnego hitlerowca: „*«Anus mundi» — odbytnica świata. To określenie Polski odnotował pewien Niemiec w 1942 roku*” („**Abecadło Miłosza**”). Zapytywał też siebie (w wierszu „**Natura**”): „*Na jak długo starczy mi nonsensu Polski?*”, i wreszcie znalazł rozwiązanie: „*Gdyby mi dano sposób, wysadziłbym ten kraj w powietrze*” („**Rodzina Europa**”), „*Prymas Tysiąclecia*”, kardynał S. Wyszyński, przeczytawszy kilka antypolskich fraz Miłosza, wybuchnął (świadektwo M. Okońskiej): „ — *Może człowiek błądzić, ale nie ma prawa o tym pisać, upowszechniać tego, zatruwać tym duszy narodu! Tego czynić nie wolno! To jest wobec narodu zbrodnia!*”.

„Anus” Miłosza musiał być obszerny, jeżeli ów Litwin trzymał tam nie tylko cały „*ten kraj*”, lecz i jego mieszkańców:

„*Nieszczęsnych Polaków, umiających myśleć tylko politycznie, mam w dupie*” („**Zaraz po wojnie**”). Miał tam również orła polskiego, więc kiedy amerykański wydawca umieścił orła na projekcie okładki miłoszowego (wielce

paszkwilanckiego) podręcznika do historii literatury polskiej, Miłosz się wściekł; później wspominał (**„Prywatne obowiązki”**): *„Na okładce był orzeł bez korony. Mój list — ze są dwa orły, jeden z koroną, drugi bez, i że żadnego sobie nie życzę — wprawił wydawcę w najwyższe zdumienie (...) Przyznaję, że na «polskość» jestem alergiczny”* (ta alergia nie przeszkodziła mu wziąć *„chlebowca”* — Orderu Orła Białego). Przyznał również, iż trwa to u niego od dziecka — od wczesnej młodości czuł *„obsesyjną nienawiść”* do Polaków (**„Zaczynając od moich ulic”**). Nie przeszło mu to nigdy — nigdy nie polubił *„świń”*: *„Polak musi być świnią, ponieważ się Polakiem urodził”* (**„Prywatne obowiązki”**).

Przyczyny świniowatości Polaków są według Miłosza aż trzy: głupawy nawyk patriotyzmu (zwał go *„moczopędnym środkiem narodowym”* — wiersz **„Toast”**), obsesyjny nawyk antysemityzmu i bezsensowny nawyk katolicyzmu. Patriotyzm jako taki budził w Miłoszu permanentny gniew, gdyż był przezeń kojarzony (wręcz utożsamiany) z *„nacjonalizmem”* typu faszystowskiego. A czasami również z pederastią: *„Kurczowy patriotyzm bywa nieraz odpowiedzią na wewnętrzną zdradę. Czy Polacy nie są podobni do niektórych homoseksualistów?”* (**„Rodzinna Europa”**). Miłosz więc unikał tego pedalstwa bardzo starannie, m.in. komunizując, już od młodości (*„ — Nie macie pojęcia jaką fascynującą przygodą intelektualną był komunizm”*, 1992), i w dobie stalinowskiej pracując etatowo dla czerwonego reżimu. Pracą dla instytucji antykomunistycznych brzydził się zawsze:

„Pośród emigrantów byłem bodaj jedynym, który odmówił pisania dla Wolnej Europy, bo nie podobało mi się jej bicie w patriotyczny bęben i kropienie święconą wodą” (**„Abecadło Miłosza”**). Nie podobał mu się również opór antyhitlerowski : *„ Warszawa okupacyjna była dla mnie miejscem i czasem spotkania z polskim nacjonalizmem w jego najwyższym natężeniu, kiedy to występował wyłącznie jako patriotyzm, którego nikt nie ma prawa krytykować „* (**„Rok myśliwego”**). *„Moja niechęć do przywódców AK była silna (...), cały konspiracyjny aparat żył nierealnością, ponieważ w sobie pompował narodową ekstazę”* (**„Rodzinna Europa”**). Wpompowali, skurczybyki, również w Litwina uważającego patriotyzm za tyfus, zmuszając go do majstrowania antologii poezji patriotycznej pt. **„Pieśń niepodległa”** (1942), co uczynił klnąc, ze strachu, by nie podpaść akowskim skrytobójcom, czyli *„jakoś ustawić się w tamtej Polsce”* (sic!). Później nigdy nie dał wznowić tej antologii: *„Cisną mnie, żebym pozwolił na jej druk w Polsce. Mówię: nie chcę, bo to było dawno i nie mam z tym nic wspólnego (...), nie życzę sobie podpisywać się pod «Pieśnią niepodległą»,”* (**„Rok myśliwego”**).

Wszawemu patriotyzmowi Miłosz przeciwstawiał rozsądną („bierną”) kolaborację. Nie tylko z sowietyzmem, również z nazizmem, o czym świadczy jego wrogość wobec zbrojnego kontestowania hitlerowskiej okupacji. J. Majda: *„Miłosz był wtedy zwolennikiem narodowej bierności i lojalności wobec okupantów. Uważał, że partyzantka, konspiracje, powstania to nonsens; podawał tu za chwalebny przykład postawę Francuzów”*. Rzeczywiście podawał: *„Jeżeli 99% Francuzów żyło jak zwykle po klęsce 1940 roku, to jest to normalne”* („**Rok myśliwego**”). „Nienormalna” alias „nonsensowna” była dla Miłosza wszelka ojczyźniana walka, bitwy pod Grunwaldem nie wyłączając (nazwał Grunwald „*plugawym nonsensem*”). Całość tej przyrodzonej głupoty Polaków określił jako „*powiązany system narodowej paranoi*” („**Życie na wyspach**”). S. Trepka: *„Oto do czego może prowadzić fałszywy blask noblisty pierwotnie zafascynowanego komunizmem, kosmopolity obcego naszej suwerenności i wypranego z uczuć patriotycznych”*.

Sam Miłosz — podobnie jak Kuroń i cały KOR — unikał słowa „kosmopolityzm”; zwał tę predestynację elegancko: „*pewną międzynarodowością umysłu*”: *„Moją ambicją od dawna była pewna międzynarodowość umysłu”* („Zaraz po wojnie”). W liście do M. Wańkowicza serio o sobie i kpiąco o Polakach tłumaczył: *„Jestem bardzo mało polski w sensie, jaki temu słowu zwykło się nadawać; standardy obowiązujące wśród szlachetnych Polaków są mi najzupełniej obce. Mój umysł jest żydowski”*. Dlatego wiązał się zawsze z Żydami przeciw Polakom, czując silną duchową więź: *„Gdzieś na dnie tliła się myśl, że ich i moja lewicowość jest przebraniem dla naszej inności”* („**Rodzina Europa**”). Wolał eksponować lewicowość, zamilczając porównywalną litewską i żydowską nienawiść wobec Polaków. To on — wbrew nieustannej pomocy, jaką gojowska Warszawa i Armia Krajowa udzielały gettu — rozpowszechnił (wiersz „**Campo di Fiori**”) jedną z najparszywszych kalumni wymierzonych w Polaków: że gdy Niemcy mordowali Żydów z warszawskiego getta, Polacy beztrąsko bawili się obok muru getta na karuzeli, przy wesołej muzyce.

Czegóż jednak można oczekiwać od katolików? Ich religię Miłosz przezwiał „*narodową uludą*” („**Traktat teologiczny**”) i „*glebą dla snów paranoicznych*” („**Prywatne obowiązki**”); ich Madonę (Najświętszą Marię Pannę Częstochowską) — „*pogańską boginią*” (dlaczego? — bo nie jest judaistyczna?); ich Śluby Jasnogórskie — „*przedsięwzięciem faszycacji Polski*” służącym „*kropionemu święconą wodą gałgaństwu*” („**Tygodnik Powszechny**” 1997); ich krucyfiksy — „*próchnem*”:

„Krucyfiks chwytny, bo tak ci bezpieczniej.

Drewno masz w ręku, a w tym drewnie próchno.

Pacierz mruyczysz, ale strachem cuchną”.

Jemu cuchnęła wiara katolicka, dlatego zaperzył się solennie:

„*Z polskim katolicyzmem nie chcę mieć nic wspólnego*” („**Ziemia Ulro**”). „*Przyrzekłem sobie, że nie zawrę nigdy przymierza z polskim katolicyzmem (...), czyli że nie poddam się małpom*” („**Rodzina Europa**”). Nawet tu okazał się przecherà — umierając „*poddał się małpom*”: wysłał list do czołowej „*małpy*” vel „*świni*”, do Jana Pawła II, prosząc o błogosławieństwo tego króla „*małp*”. I otrzymał je, ale to nie dziwota, gdyż ów król traktował już jako „*ludzi dialogu*” różnych ludobójców (Arafata — wielokrotnie, Saddama, bojówkarza Al Sadra, etc.), tudzież kilku komunistycznych oprawców. Summa summarum liczy się to, że — jak krzyczały telewizje — „*Czesław Miłosz umarł pojednany z Bogiem*”. Co musi go w grobie uwierać, gdyż ów piesek przydrożny pisał w „**Piesku przydrożnym**”: „*Kiedy byłem, jak to się mówi, pogodzony z Bogiem i światem, czułem się fałszywie, jakbym udawał kogoś, kim nie jestem*”. No właśnie.

Dzięki glettowi od króla „*małp*” i dzięki gwałtownym naciskom „*Salonu*” — truchło renegata zostało złożone (przy tyle razy wyszydzanym przezeń „*kropieniu święconą wodą*”) na Skałce, w Krypcie Zasłużonych krakowskiego kościoła Paulinów. Rozsierdziło to wielu Polaków. Obiektem krytyki stali się m.in. kardynał F. Macharski i przeor skałkowskich Paulinów, A. Napiórkowski. Prezes Krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, K. Strzelewicz, publicznie zapytał: „*Czy o. Napiórkowski nie rozumie, że hańbi polski panteon szczątkami człowieka, który zwał członków Armii Krajowej bandytami, a Polaków świniami z urodzenia, i który oświadczał, że jest alergicznie uczulony na wszystko co polskie? (...) Oburzająca impreza pochówku Miłosza na Skałce dowodzi, że Polacy są pod kolejną okupacją*”.

Skałka to istotnie święte miejsce — znajdują się tam sarkofagi kilku głośnych polskich ludzi pióra (Wyspiański, Pol, Kraszewski, Asnyk itd.; także Długosz, chwalcą „*plugawego nonsensu*” Grunwaldu). Te sarkofagi popekają chyba od furii przewracających się szkieletów, bo Miłosz jako „*literaturoznawca*” nie zostawił suchej nitki na wszystkich swych poprzednikach, całą polską literaturę chłuszcząc jako bałach prowincjonalny. Słowacki i Norwid to nacjonalistyczni durnie, Sienkiewicz i Reymont to grafo-mani, etc. — aż głupio te antypolskie i antygojowskie brednie cytować. Przed Miłoszem Polska miała tylko jedno złote pióro — łatwo zgadnąć, to Gombrowicz! „*Późno, chyba dopiero przy końcu lat pięćdziesiątych, zrozumiałem, że mimo wszelkich różnic łączy nas ta sama obsesja*” („**Zaczynając od moich ulic**”) — chodziło o obsesję antypolskości; polskość

drażniła jednego i drugiego. Miłosza drażnił nawet Chopin: „*Chopin drażni*” pisał („**Inne Abecadło**”). Wyłącznie Gombrowicza głaskał:

„*«Trans-Atlantyk» (...) zawiera podstawową rozprawę z Polską-zmorą i z polskim ceremoniałem nacjonalistycznego karlenia*”. „*W miarę sił szerzyłem kult Gombrowicza*” („**Ziemia Ulro**”). Ergo: masoński (vide Słonimski), korowski i salonowy kult kosmopolityzmu. Rzecz charakterystyczna: chociaż Miłosz cenił też S. Brzozowskiego, za to, że ów protestował „*przeciwko swemu rodzinnemu środowisku, tj. przeciwko Polsce rozczulającego obyczaju, katolickiego kościółka, kultu narodowego męczeństwa*”, tudzież za to, że bohater powieści Brzozowskiego „*uzyskuje wewnętrzną wolność przez podeptanie narodowego zakazu*”, wreszcie za całą Brzozowskiego próbę „*wyzwolenia się od Polski*” („**Człowiek wśród skorpionów**”) — nie starał się szerzyć kultu Brzozowskiego, gdyż ten nie szerzył kosmopolityzmu, tylko, niestety, pragnął ulepszać „*zmorę*” („*Miałem pretensję do Brzozowskiego o to, że pragnął być wychowawcą narodu*”).

Decyzja władz Krakowa o złożeniu w Krypcie Zasłużonych truchła kosmopolity, który się zasłużył chłoszcząc przez całe życie oszczerczo „*zmorę*” (Polskę) tudzież polskie „*małpy*” i „*świnie*” — wzburzyła patriotów („*skorpionów*”). Lecz to wzburzenie jest mało zrozumiałe dla większości społeczeństwa, bo z telewizora tudzież z salonowych gazet wie ono, że Miłosz był noblistą, „*wielkim polskim poetą*”, a niewielu zna jego książki. Tym bardziej niewielu zna monografie naukowe, gdzie jest mowa o antypolskości Miłosza. Pisali lub napomykali o niej prof. B. Chrzastowska, prof. A. Fiut, prof. M. Stępień, dr hab. J. Majda, J. Trznadel, T. Walas, A. Romanowski, E. Morawiec, S. Trepka i inni. Ale gdy docent Majda mówił o tym publicznie, zauważył, iż nawet belfrowie polonistyki grzeszą tu ignorancją („*Nawet nauczyciele poloniści znali najczęściej tylko kilka lekturowych wierszy i byli zaskoczeni, gdy mówiłem o awersji Miłosza do polskości*”).

Dzięki „*Salonowi*” wywodzącemu się z KOR-u — III Rzeczpospolita pełna jest purenonsensów, krzyczących absurdów, rzeczy stojących na głowie, obrażających elementarną sprawiedliwość, przyzwoitość i herbertowską „*kwestię smaku*”. Nie trzeba daleko sięgać — weźmy tylko dwa tegoroczne pogrzeby (a możnaby dodać i trzeci: pogrzeb „*barda*” J. Kaczmarek, gorącego piewcy antypolskości i kosmopolityzmu, człowieka, który porzucił wojujący judaizm dla „*zbawieniowego*” chrześcijaństwa, czyli przechrzcił się, w dniach zgonu!). Latem 2004 sprowadzono do kraju prochy płk. R. Kuklińskiego, a na cmentarzu miał spicz były pełnomocnik antykomunistycznego bohatera, J. Szaniawski, ewidentny długoletni kapuś SB (vide mój artykuł pt. „**Pełnomocnik**”, tom „**Łysiak na łamach 6**”). Również

latem 2004 nienawidzący Polski i Kościoła Litwin ląduje z honorami w kościelnej Krypcie Zasłużonych. Łatwiej byłoby znieść pogrzebanie go w Alei Zasłużonych cmentarza Rakowickiego, bo każdą taką aleję (Warszawa ma swoją, powązkowską, gdzie leżą

Bierut i in.) będzie można kiedyś, gdy jakimś cudem „*Salon*” utraci władzę, przemianować na Aleję Zasłużonych dla Komunizmu, i po krzyku. Lecz Skalka to groza, chyba że chodzi o paralelę z proniemieckim biskupem, który wyklął i unicestwił króla patriotę (vide rozdział „*Blizna*” moich „*Wysp bezludnych*”). Wojtyła nie zdąży już chyba wyświęcić Miłosza na kolejnego patrona kraju, tak jak Miłosz nie zdążył „*wysadzić tego kraju w powietrze*”, chociaż bardzo chciał, bo to „*irytujący obszar między Niemcami a Rosją*”, ergo „*zmora*”.

Zatem irytację patriotów można zrozumieć. Dla nich danie Miłoszowi rangi narodowego idola jest faktem z gatunku „*horribilis*”. Jeśli człowiek, który konsekwentnie wyrażał się o Polsce, Polakach i wszelkiej polskości w sposób bardziej brutalny (bardziej nienawistnie) niż Hitler i Stalin razem wzięci — jeśli taki człowiek zostaje z fanfarami pochowany wewnątrz Krypty Zasłużonych, pośród pisarzy i poetów, którymi gardził jak wszami — to to jest „*Finis Poloniae!*” dla ludzi kochających Ojczyznę. Cóż mógłby im poradzić terapeuta? Może śmiech? — wiadomo, że terapia śmiechem czasami przynosi dobre rezultaty. Lecz jak ich rozśmieszyć? Czy wystarczy dać im do przeczytania najświeższą (pośmiertną) włoską opinię o Miłoszu? Profesor języka i literatury rosyjskiej na Uniwersytecie Weneckim, lewak V. Strada, tak się wypowiedział dla lewicowego „*Corriere della Sera*”: „*Gorące pragnienie stworzenia poezji, w której rozpoznałby się cały naród, wyniosło twórczość Miłosza do roli symbolu samej Polski*”. No pewnie! Rozpoznaliśmy się bez trudu. Cały naród, pardon — cała chlewna trzoda. My, obywatele irytującego chlewa między Niemcami a Rosją, też tak uważamy, signore Strada! Tylko z „*zoologicznymi*” patriotami mamy jeszcze kłopot. Im chyba trzeba mocniejszej niż śmiech terapii — elektrowstrząsów. Albo „*pulia w gołowinu!*”. Za bardzo się przejmują. Bez rozważki — tacy już będą.

Natomiast polska klasa wyższa — elita inteligencka, elitka półinteligiencka i subelitka ćwierćinteligiencka — będzie jak zawsze wodoszczelna, faktoodporna skafandrowo. Fakty do niej nie dotrą i spłyną bez żadnego śladu. Jeśli bowiem fakty przeczą dogmatom „*Salonu*” — to tym gorzej dla faktów! Jeśli prawda przeczy tezom „*Salonu*” — to na pohybel prawdzie! „*Salon*” solidnie trzyma polską warstwę inteligencką za jaja, czyli w okolicach, gdzie ona ma sumienie i rozum. Tresuje ją kosmopolitycznie, antypatriotycznie, antypolsko, „*postępowo*”, używając niby spotów reklamowych dwóch zbroczeń

wielkich ikon: homoseksualnego „internacjonalizmu” W. Gombrowicza i filosemickiej „międzynarodowości” Cz. Miłosza. Komunizm, trockizm i wolnomularstwo były w PRL-u katapultą tej gry, a w III Rzeczypospolitej „globalizm”, „antyklerykalizm”, „polityczna poprawność” i „tolerancja” stanowią jej hasła zamydlające (maskujące) istotę. Lecz wpierw korowcy musieli zdobyć władzę polityczną i stworzyć III RP, o czym mówi następny rozdział.

4. Tajny cyrograf „świnka”

Okolo połowy lat 80-tych wieku XX wymyślono wspólne sprawowanie władzy przez byłych korowców (plus sympatyków KOR-u) i pezetpeerowców. Wykoncypowano, że taki duet — delegaci różowej opozycji i delegaci czerwonego reżimu — najlepiej poprowadzi nową, już nie peerelowską, lecz demokratyczną Polskę. Kto to wykoncypował? Dwa najtęższe mózgi — najtęższy mózg strony reżimowej, osławiony, błyskotliwy rzecznik prasowy rządu, J. Urban, i najtęższy mózg strony opozycyjnej, supergwiazdor „lewicy laickiej” tudzież KOR-u, wodzirej „Salonu” dysydenckiego, A. Michnik.

O Michniku tak pisała znana włoska dziennikarka, B. Spinelli:

„Michnik jest jaskrawym przykładem głębokiej dezorientacji duchowej, która opanowała polską elitę intelektualną. Elitę, która nie chce mieć nic wspólnego z Polską przedwojenną, która nie wie co to znaczy służyć naprawdę krajowi, która żywi pogardę do przedwojennych metod budowania demokracji. Elitę, która jest dzieckiem komunizmu i która siłą rzeczy należy po części do albumu rodzinnego Bieruta, Gomułki, Gierka i Jaruzelskiego”. W kwestii władzy najciekawsze zdanie antysalonowego wywodu pani Spinelli brzmiało: *„Michnik zdaje się przygotowywać do dziwnych i przewrotnych sojuszków”.*

Wiosną roku 1985 A. Michnik, pisząc książkę **„Rzecz o kompromisie”**, wysuwa tezę o potrzebie dogadania się z komunistami. Nieomal równocześnie J. Urban przedstawia swoim zwierzchnikom, generałom Jaruzelskiemu i Kiszczakowi, elaborat proponujący to samo (dogadanie się z reprezentującymi „Solidarność” byłymi członkami KOR-u), mądrze argumentując wedle nauk Makiawela: *„Doświadczenie wskazuje, że wczorajszy przeciwnik, wciągnięty w obręb władzy, raczej staje się szczególnie gorliwym sojusznikiem niż utajonym wrogiem”.* J. Kuroń napisze później (wspominając) o komitywie łączącej A. Michnika i J. Urbana: *„Bywali często w cocktail-barze w Bristolu i pijali «harczerzyki», to jest wódkę wyborową z grapefruitem”.*

U schyłku lat 70-ych główną (bo masową) siłą strony opozycyjnej nie był KOR — była nią „Solidarność”. Triumfująca w 1980, spacyfikowana w 1981-1982, funkcjonująca podziemnie przez całe lata 80-e. KOR rozumiał, że musi tę siłę wykorzystać, wchodząc do niej. J. Narbutt: *„Korowcy weszli bocznym*

wejściem, w ostatniej chwili". Weszli, by grać rolę mózgu (elity intelektualnej związku), czyli pełnić funkcję rozgrywającego, razem z charyzmatycznym pólanalfabetą Wałęsą jako legendarnym szyldem i symbolem całego buntowniczego ruchu. W latach 90-ych ukazało się sporo prac dających mnóstwo dowodów na to, że ruch był niezwykle mocno kontrolowany przez bezpiekę (według jednych tylko inwigilowany, według drugich sterowany kierowniczo) — prac takich, jak „**Służby specjalne atakują**”, „**Imperium służb specjalnych**”, „**W uścisku tajnych służb**”, „**Pajęczyna**”, „**Szpiedzy**”, „**Być szpiegiem**”, „**Konfidenci są wśród nas...**”, itp. Prace te pisali historycy i publicyści obu stron, a ranga faktograficzna tych dzieł budzi spory, naturalne, zważywszy, iż zawartość deprecjonuje (odmitologizowuje) walkę narodowowyzwoleńczą wielkiego ruchu.

Ciekawsze informacje przysły z zagranicy. Otóż głośnemu rosyjskiemu dysydentowi, pisarzowi W. Bukowskiemu, udało się spenetrować sowieckie tajne archiwa, gdzie przeczytał o „Solidarności” rzeczy bulwersujące. Australijski polonijny „**Tygodnik Polski**” pisze o tym tak (artykuł W. Michałowskiego): „*Skok przez stoczniowy płot małego człowieczka, któremu po latach najbliżsi współpracownicy nie chcą podawać ręki, był elementem określonego scenariusza. Wieloletniemu więźniowi łagrów i psychuszek, mieszkającemu w Anglii Wołodii Bukowskiemu, można wierzyć. Za prezydentury Jelcyna w Rosji umożliwiono mu dostęp do kremłowskich archiwów. Jego zdaniem w powstaniu «Solidarności» i w inicjatywach «okrągłostołowych» znaczącą, jeśli nie decydującą rolę odegrały określone służby. Czy ich przedstawiciele spotykali się pod Waszyngtonem, czy pod Moskwą, nie ma zbyt wielkiego znaczenia*”.

Według „*Salonu*” to jest właśnie „*spiskowa teoria dziejów*”. Bolesnym dla „*Salonu*” ciosem stało się więc ogłoszenie przez IPN w kwietniu 2004 roku tajnych meldunków (szyfrogramów), wysyłanych z Moskwy od roku 1983 do 1989. Spotykali się nie pod Waszyngtonem, lecz pod Moskwą!

Całe piętnaście lat antysalonowi Polacy myśleli, że „*okrągłostołowy*” spisek nazywa się Magdalenka. Ot, czerwone krasnoludki usiadły sobie w leśnym domku z różowymi krasnoludkami, i gęsto zakąszając (są zdjęcia) wynegocjowały szacher-macher, czyli podział ról tudzież łupów w „*transformowanym*” kraju. Tymczasem było to tylko niuansowanie układu negocjowanego trochę wcześniej i gdzie indziej. Niuansowanie zresztą nie całkiem definitywne, bo po „*okrągłym stole*” dalej układ precyzowano, też tajnie i też bezpośrednio z Moskwą. W kwietniowym „**Biuletynie IPN**” pracownik IPN-u, historyk A. Dudek, opublikował szyfrogramy nadsyłane między 1983 a 1989 do J. Seredy, dyrektora kontrwywiadu MSW, przez Żarskiego

(kryptonim), szefa Grupy Operacyjnej Wisła, moskiewskiej placówki kontrwywiadu PRL. Wskazują one, że tak przed „okrągłym stołem”, jak i po nim, faraon opozycyjnego „Salonu”, A. Michnik, prowadził strategiczne rozmowy z wysokimi figurami „aparatu” Kremla. Ł. Perzyna: „*Weterani opozycji antykomunistycznej, którzy na polityce zjedli zęby, przyznają, że szyfrogramy to porażająca lektura. Niektórzy porównują je do zapisu rozmowy Michnika z Lwem Rywinem (...) Z szyfrogramów płynie wniosek, że władze radzieckiej partii komunistycznej już wiosną 1988 roku były gotowe do dialogu z «konstruktywną opozycją» w Polsce*”.

Wniosek słuszny i niesłuszny, bo Moskwa już wcześniej była gotowa do tego. A. Dudek, udzielając wywiadu na temat szyfrogramów, które za zgodą IPN-u opublikował, cofa się do 1986 roku: „*— Ludziom Jaruzelskiego grunt palił się pod stopami. Dlatego ekipa Gorbaczowa gdzieś od 1986 roku zdecydowana była na zmianę w Polsce (...) Moskwa od dawna nosiła się z zamiarem podjęcia dialogu z «konstruktywną opozycją». Wytypowała ludzi, którzy mieli się w niej znaleźć (...) Jasne, że negocjacje były decyzją władz sowieckich, które same wybierały z kim rozmawiają. Wybrano środowisko lewicy post-korowskiej (...) Rozmowy toczono w pewnym sensie obok Jaruzelskiego, ale nie wbrew niemu (...) Rozmowy toczone przez Michnika w Moskwie były wstępem...*”. Dudek nazwał te rozmowy „niejawnym kontraktem politycznym”.

Ów tajny kontrakt polityczny wzbudził — tuż po publikacji IPN-u — szok wśród komentatorów. Poseł M. Kamiński (PiS):

„*— W oparciu o te materiały można zadać pytanie o kulisy powstania III RP. Tam, w Biurze Politycznym KPZR, zapadały decyzje dotyczące zmian w Polsce (...) Decyzje polityczne, jak ma wyglądać Polska po «okrągłym stole», podjęto nie w Magdalence, lecz w Moskwie. Wykoślawiło to charakter III RP. Do gospodarki wpuszczono na uprzywilejowanych zasadach nomenklaturę, a w służbach specjalnych monopol utrzymali komuniści. Opozycja dostała gwarancje udziału we władzy i częściowych reform. Za to nasi «umiarkowani» długo nie wspominali o NATO, zaś wojska radzieckie wycofano dopiero w 1993 roku!*”.

Krótko mówiąc: chodziło o ratowanie polskich komunistów. Nie udało się to nigdzie indziej. W NRD „rewolucja muru”, w Czechosłowacji „aksamitna rewolucja”, w Bułgarii wygruzenie Żiwkowa, w Rumunii rozstrzelanie Ceausescu, na Łotwie, Litwie („rewolucja wieży telewizyjnej”) i na Węgrzech oraz w Estonii — wszędzie komuniści dostali ciężkiego kopa i już nie mogli się podnieść ku dawnej sile i chwale. W Polsce zostali uratowani tak skutecznie, że mimo formalnego „wyzwolenia” (odpeerelizowania) kraju,

przetrwali u władzy jako jej współdziałowcy (gen. Jaruzelski prezydentem, gen. Kiszczak wicepremierem, gen. Siwicki ministrem obrony), co szybko (1993) umożliwiło im demokratyczny powrót do władzy samodzielnej — mamy już rok 2004, a prezydent to eks-komuch i rząd jest czerwony również. Nasuwa się analogia z bolszewikami Lenina i Stalina, którzy nie przetrwaliby do roku 1920, gdyby nie skuteczna pomoc wojsk anarchisty N. Machno. Armia Czerwona byłaby rozbita (i to kilkakrotnie) przez armie białogwardyjskie, lecz Machno „trzy razy zawierał tajne porozumienia z władzą sowiecką” (O. Gierczikow) i kolejno sparaliżował białą armię Krasnowa (1918, 1919), białą armię Denikina (1919) oraz białą armię Wrangla (1920). Jedynie dzięki sprytowi i militarnym zabiegom tego człowieka, skutecznie wspomagającego sypiącą się Armię Czerwoną, bolszewizm nie został zmieciony. Tamtejsi historycy (m.in. S. Serehin) wykryli, że oryginalnie nie nazywał się Machno, tylko Michno (zapis w akcie urodzenia) vel Michnenko (zapis w akcie urodzenia jego córki). Wróćmy znowu do naszych spraw.

Opublikowane przez IPN szyfrogramy dają, prócz generaliów, również sporo smacznych ciekawostek. Wszystkich nie zmieszczę (książka nie może się zbyt rozrosnąć), lecz przynajmniej jedną muszę. Otóż Grupa Operacyjna Wisła, raportując michnikowskie „podmoskiewskie wieczory”, nie zapomniała o przyjacielu Michnika, współwynałazcy cyrografu między komuną a „konstruktywną opozycją” — o J. Urbanie. Exemplum szyfrogram z 23 stycznia 1989 (krótco przed „okrągłym stołem”), mówiący, że Michnik wyprasza sobie głupich pośredników między nim a Rosjanami, bo tacy pośrednicy tylko przeszkadzają w (słowa Michnika) „poszukiwaniu nowych dróg i wzajemnym zrozumieniu”. Raport kończy się zdaniem: „Z kserokopią listu będzie zapoznany minister Urban”.

Dla ministra J. Urbana treść każdego takiego listu-raportu musiała być czymś bardzo rajcującym. Te szyfrogramy wypływające z sekretnego miejsca dawały mu dużą satysfakcję, a ich listonoszka, Grupa Operacyjna Wisła, była jak piękna kobieta wręczająca kochankowi „lettres d'amour”. Co mi przypomina anegdotę o tzw. „żywym telegramie”, który wysłał producent hollywoodzki, R. Evans (lewak) do wpływowego ongiś scenarzysty, głośnego erotomana i pornofila, J. Eszterhasa (też lewicowca). Eszterhas (autor m.in. scenariuszy „Nagiego instynktu” i „Showgirls”) dał Evansowi do przeczytania nowy scenariusz i czekał na werdykt. Pewnego dnia rozległ się dzwonek u drzwi. Eszterhas otworzył i zobaczył młodą, piękną damę w norkowym futrze. Dziewczyna rozpięła futro (pod nim nie miała nic) i wyjęła z wnętrza pochwy kartkę papieru. Widniało tam: „Joe! Najlepszy scenariusz, jaki kiedykolwiek czytałem. Robert Evans”. Moskiewski scenariusz tajnego

„poszukiwania nowych dróg” też był świetny. Wątpię, czy minister Urban kiedykolwiek wykombinował drugi równie dobry bądź lepszy scenariusz. A. Dudek:

„ — *Polska miała być laboratorium — chodziło o przetestowanie metod, które także w ZSRR się przydadzą. Miano testować u nas rozwiązania ustrojowe i gospodarcze*”.

Zreasumujmy: wielki koncert „okrągłego stołu”, który wzbudził aplauz polskiej i (zwłaszcza) zagranicznej widowni — był klasyczną „sztuczką pod publiczność”, wcześniej przygotowaną. Biegli muzycy rutynowo stosują takie „grepsy”. Genialny XIX-wieczny skrzypek, N. Paganini, czarował tłumy grając na jednej strunie, ostatniej, która nie pękła podczas wykonywania przezeń własnej fantazji „**Mojżesz**”. W rzeczywistości skomponował „**Mojżesza**” specjalnie do tego triku — do wykonywania utworu na jednej strunie — a grając go, niezauważalnie dla publiczności przecinał ostrym paznokciem lewej ręki kolejno trzy struny (struny były wówczas z żyłki, a nie z metalu), by grać dalej na ostatniej i zaliczać jeszcze jeden „boski” triumf. Głośny rosyjski skrzypek wieku XX, N. Milstein, grając przy udziale równie głośnego pianisty, W. Horowitza, koncert pod gołym niebem w Jekaterynosławiu, wykorzystał wiadomość, iż w parku koncertowym zrywa się czasami gwałtowny wiatr, który szybko cichnie. Więc chociaż zawsze grali wszystkie utwory z pamięci, tam położyli przed sobą na pulpitych nuty i bacznie się w nie gapili grając. Gdy wichur zerwał nuty i rozrzucił wśród krzewów, grali dalej, nie przerywając, a publiczność z zachwytem szalała. Głupkom, którzy piętnaście lat temu fetowali brawami „okrągły stół”, IPN pokazał właśnie, że nuty były napisane trochę wcześniej w Warszawie i w Moskwie, a wtajemniczeni wirtuozi siedzący przy tym meblu grali z pamięci „jak z nut”.

Jeżeli komuś nie odpowiada metafora koncertowa, użyję innej, którą nazwałbym „ekologiczną”. Wpływowy minister Ludwika XIV, N. Fouquet, wybudował sobie piękny pałac, Vaux-le-Vicomte, i zaprosił tam króla. Z tarasu rozpościerał się widok pysznych ogrodów, lecz monarsze nie podobał się wielki las przesłaniający horyzont. Dzień później Fouquet wziął króla na ten sam taras i spytał:

- Czy ów las wciąż razi twoje oko, Miłościwy Panie?
- Tak, mój drogi.
- Więc niech znika!

Uniósł dłoń i wszystkie drzewa padły, odsłaniając linię widnokregu. Ścięto je nocą, ale tysiące ludzi trzymały las w pionie, czekając na sygnał Fouqueta. PRL podcięto przed „okrągłym stołem”, lecz przy tym meblu ci, którzy

zdecydowali, by go formalnie usunąć, odegrali dla zaproszonych do dialogu frajerów (prawicowców) i dla społeczeństwa komedię likwidacyjną. Rozgrywającym był „*poszukiwacz nowych dróg*”.

Pytany przez dziennikarzy o swoje moskiewskie „*poszukiwanie nowych dróg*”, Michnik kategorycznie odmówił wypowiedziania się na temat szyfrogramów kontrwywiadu placówki moskiewskiej. „**Tygodnik Solidarność**” jest tym zde gustowany: „*Uczestnicy rozmów, którzy dotąd o nich wstydliwie, co zrozumiale, milczeli, powinni odpowiedzieć na pytanie, czy fundamenty III Rzeczypospolitej oparte były na ugodzie z Sowietami (...)*

Michnik nie chce komentować dlaczego w 1988 roku pertraktował z sowieckimi dostojnikami, kiedy jeszcze nikt nie mówił o Okrągłym Stole”.

O drewnianym meblu rzeczywiście nikt wtedy jeszcze nie mówił, ale o kontrakcie politycznym Michnik i Urban już gaworzyli przy „*harcerzykach*”. Symbol reżimu seryjnie mordującego niepokornych księży (J. Urban pisał tuż przed męczeńską śmiercią księdza J. Popietuszki szczególnie napastliwe teksty wymierzone w niego, pełne inwektyw, oszczerstw, kłamstw) i symbol antyreżimowej kontestacji — spiskujący jak dwaj bracia, jak para jednojajowych bliźniaków. Przyszedł różowy diabeł do czerwonego diabła (lub odwrotnie) i wymyślili wzajemny cyrograf — „*mniejsze zło*” dla każdej ze stron (dla każdej bowiem złem większym byłoby zwycięstwo białogwardzistów). Stare powiedzonko o „*faustowskiej transakcji z komunizmem*”, generalnie

używane wobec prokomunistycznego służalstwa elit intelektualnych — tutaj zabrzmiało tak dosłownie, jak jeszcze nigdy wcześniej między Bałtykiem a Gubałówką. Piosenkarz R. Tymański („*Tymon*”) zaśpiewał (2004):

„*Michnik ciała dał,
, Wszystkich boli zad*”.

Wielki poeta, Z. Herbert, nie dożył ujawnienia „*moskiewskich szyfrogramów*”, ale dożył publicznego efektu tajnych rozmów — paktu przy „*okrągłym stole*” i wczesnych faz dyktatury michnikowskiego „*Salonu*” — a to starczyło mu, by scharakteryzować Michnika przy pomocy jedenastu celnych słów: „ — *Michnik jest manipulatorem. To jest człowiek złej woli, kłamca, oszust intelektualny*”. Zabrakło stwierdzenia, że i oszust polityczny, które to doprecyzowanie wydaje mi się istotne, choćby było ledwie sugerowane, ujęte delikatnym acz wielemówiącym sarkazmem „*Kisiela*”, w ostatnim zdaniu jego biogramowej wypowiedzi o Michniku („**Abecadło Kisiela**”): „*Tylko że on się teraz bawi polityką...*” (te trzy kropki!).

Bawiący się tajnie polityką i unikający mówienia o tym prawdy „*marksistyczny szakal*” stał się też przedmiotem filozoficznych rozważań

wybitnego myśliciela i pisarza, J. Narbutta: „*A co do tej nieszczęsnej prawdy, której Michnik tak się boi, preferując wolność poza prawdą, to przypomina mi to, «mutatis mutandis», wypowiedź Leszka Kołakowskiego w warszawskim KIK-u:*

po oświadczeniu w dyskusji, iż jego zdaniem z tzw. pięciu dróg Tomasza z Akwinu «żaden Bóg nie wynika», złożył nam deklarację następującą: «Lecz jeśli nawet, jak państwo twierdzą, Bóg istnieje, to ja Go nie chcę, ja Go odrzucam». Odrzucanie prawdy jest podobne do tego odrzucania Boga: jest buntem przeciw rzeczywistości. Bo cokolwiek by się tam mówiło na temat definicji prawdy, trudno — jeśli nie jest się przewrotnym — zaprzeczyć jednej prostej intuicji: iż stosunek do prawdy jest tożsamy ze stosunkiem do rzeczywistości. Trudno więc zrozumieć Adama Michnika. Czyżby — na wzór Hegla z jego «tym gorzej dla rzeczywistości» — odwracał się od rzeczywistości tyłem?».

Michnik odwraca się tyłem wyłącznie do tej rzeczywistości, która mogłaby go skompromitować lub skompromitować jeszcze bardziej niż to, co już zostało ujawnione. A że „*trudno go zrozumieć*”? Nic w tym dziwnego nie ma — sfinks zrozumieć nie sposób. Jak w tej anegdocie „*Kisiela*” o facecie, „*który się jękał*”, a kiedy zapytano go, co myśli na temat pewnej figury publicznej, rzekł: „*— Ja niiii... iic nie myślę, bo... bo to jest świ... świ... świnks*”.

5. Przejęcie władzy

W dniu, w którym „**Gazeta Wyborcza**” ogłosiła na pierwszej stronie sławne hasło Michnika (będące tytułem jego artykułu): „**Wasz prezydent, nasz premier!**” (co znaczyło: niech Jaruzelski zostanie prezydentem, a Mazowiecki niech weźmie fotel premiera) — antykomunistyczny historyk, prof. T. Strzembosz, odwiedził redakcję i zapytał: czemu pan to robi? Michnik wyjaśnił mu krótko: „*— Trzeba władzę brać!*”.

Wzięli i jedni (czerwoni), i drudzy (różowi), tak jak ustalili przy „*okrągłym stole*”. Mebel ten pracował między początkiem lutego a początkiem kwietnia 1989 roku. O ile wcześniejszym stolarzem konszachtu był Michnik, heblujący (wygładzający) tajne rozmowy z Moskwą i z ambasadą sowiecką w Warszawie, o tyle ze strony reżimowej budowniczym „*okrągłego stołu*” był szef peerelowskiej bezpieki, Cz. Kiszczak. Naczelny redaktor „**Arcanów**”, historyk A. Nowak, tak sumuje dziś prawdę oczywistą już właściwie dla każdego: „*— General Kiszczak, który był architektem tego porozumienia, nie szukał bynajmniej trudnych rozmówców, lecz raczej ówczesnych lub byłych agentów, ludzi złamanych, na których są kompromitujące papiery. Również takich, którzy w swej bohaterkiej skądinąd biografii mieli tragiczny epizod współpracy ze służbami PRL-u*”. Dlatego — dzięki tzw. „*służbom specjalnym*”

— nie było specjalnie trudno zawrzeć „okrągłostołowy” układ. Dwaj główni partnerzy rozmów (czerwoni i różowi) dostali co chcieli, i jak się to mówi: „wszyscy byli zadowoleni”, prócz nieprzejednanych (niezahakowanych) antykomunistów, ergo: prawdziwych patriotów. Ci ostatni jeszcze nie wszystko wtedy rozumieli, więc ich zdziwienie budził pewien drobiazg. Wspomina J. Kaczyński: „ — Komuna chciała mieć takiego partnera, jakiego miała, to znaczy Komitet Obywatelski [wnuka KOR-u — W. Ł.], z kontrolującymi wszystko Geremkiem i Kuroniem. Przy Okrągłym Stole wyszło na jaw — i to jest istotny element folkloru tej operacji — z iloma eksponowanymi ludźmi tamtej strony są po imieniu Kuroń czy Geremek. Po imieniu nie dlatego, że zetknęli się przy Okrągłym Stole, lecz dlatego, że byli po imieniu od trzydziestu lat!”. G. Herling-Grudziński, pytany a propos „okrągłego stołu”, nazwał go „orgią obłapek”.

Gdyby się chciało cały ten przyjacielski geszeft „okrągłostołowy” ująć jednym zdaniem — zdanie tak by brzmiało: komuniści dostali zgodę na prywatne anektowanie większej części państwowego majątku, w zamian za co zrezygnowali z władzy politycznej, ale zostawili sobie instrumenty dające możliwość rychłej reaktywacji władzy. Proste, prawda? Nie wszyscy wszakże umieją stosować taką aż lapidarność przy wyjaśnianiu procesów ekonomicznych i socjopolitycznych, więc A. Nowak musiał użyć kilku zdań, charakteryzując efekty „okrągłostołowej” transakcji między różowym „Salonem” a komuną: „ — Zmiana struktury władzy w Polsce po roku 1989 dokonywała się pod dyktando ukrytych gospodarczych i agenturalnych wpływów ludzi dawnego

systemu, zwanych postkomunistami. Drogę do przejęcia kontroli nad gospodarką otworzyły im ustawy uwłaszczeniowe przyjęte jeszcze za rządów premiera Rakowskiego. A układ przy «okrągłym stole» dopełnił reszty (...) Skutki są czytelne: brak kontroli nad wielką częścią realnych procesów gospodarczych, naganny styk kapitału z władzą, czyniący polityków narzędziami grup interesu, wreszcie obszar powiązań ze służbami”.

Jeszcze rozwlekłej przedstawili to samo S. Dąbrowski i A. Glapiński (może dlatego, że było ich dwóch): „W czasie obrad «okrągłego stołu» ustalono, iż komuniści nie zostaną rozliczeni ze swej działalności, a ich wpływy polityczne w państwie nie zostaną naruszone. Jednocześnie przyjęto, że w systemie postkomunistycznym podstawową klasą właścicieli w Polsce będzie środowisko komunistyczne oraz ludzie wywodzący się ze służb specjalnych. Dlatego po 1989 roku w sferze gospodarczej błyskawicznie postępowało uwłaszczanie się komunistów na majątku narodowym i przejmowanie przez nich na własność kolejnych firm i banków. Natomiast w sferze politycznej

zablokowano desowietyzację, dekomunizację i lustrację. Dzięki temu czołowi politycy komunistyczni stali się na następne lata gwiazdami demokracji i autorytetami moralnymi”.

Jednak większymi gwiazdorami i autorytetami stały się primadonny różowego „Salonu”, co przewidział już w kwietniu 1989 ówczesny emigracyjny („londyński”) prezydent RP, K. Sabbat, mówiąc T. Strzemboszowi z wieszczą intuicją: „ — Powiem panu co się zdarzy. Przede wszystkim na czoło wysuną się ludzie z KOR, tak zwana «lewica laicka». W podziemiu byli potęgą, w społeczeństwie są niczym. Będą musieli zweryfikować się wobec społeczeństwa. Toteż obejmą czołowe stanowiska w państwie, między innymi po to, by ciągle widziano ich w środkach masowego przekazu, zwłaszcza w telewizji. Będą urabiali społeczeństwo, bo to jest ich jedyna szansa przetrwania po przełomie, który dokonał się w kraju”.

Komuniści też mieli niezłą intuicję — rozumieli, że aby zyskać status gwiazd publicznych i autorytetów moralnych, muszą się skumplować z pierwszoplanowymi członkami różowego „Salonu”. Jak się da — to nawet partyjnie. Znowu fragment wspominków J. Kaczyńskiego: „ — Ich idealnym scenariuszem, wiem to na pewno, było rozwiązanie **PZPR** i stworzenie sojuszu — w skrajnie optymistycznym przypadku nawet jednej partii — z lewicową elitą «Solidarności». W sierpniu 1989 pijaniusieńcy Kwaśniewski i Szmajdziński, obecni posłowie SLD, chodzili po «reżimówku» [zamieszkane przez nomenklaturę osiedle warszawskie, zwane też „zatoką czerwonych świni” — W. Ł.]. Chodzili z wódką od mieszkania do mieszkania i przechwalali się:

« — Już niedługo będziemy w jednej partii z Michnikiem! ». Było to wtedy, gdy powstawał rząd Mazowieckiego”.

Właśnie wtedy drugi Kaczyński (L. Kaczyński) opowiedział bratu (J. Kaczyńskiemu) analogiczną historyjkę o dwóch tęgich moczymordach, „Jacku” i „Olku” — historyjkę z przeciwległego krańca Warszawy (tamta rozegrała się pod Wilanowem). Kaczyńscy mieszkali na Żoliborzu. Pół kilometra od nich mieszkał J. Kuroń. Gdy między „okrągłym stołem” a powstaniem rządu Mazowieckiego toczyły się gorące targi względem kwestii personalnych, któregoś dnia Kuroń zaprosił L. Kaczyńskiego do siebie, by omówić kilka problemów. W trakcie tej rozmowy wszedł bez pukania lider komunistów, A. Kwaśniewski, i nastąpiła wymiana czułości między dwoma kumplami: „ — Cześć, Olek!”, — Cześć, Jacek!”. Buzi-buzi i do wódzi! Przerażony Kaczyński zerwał się i wyszedł trzasnąwszy drzwiami — nie dlatego, że przeraziła go wizja libacji alkoholowej, lecz dlatego, iż zszokowała go komitywa między liderami dwóch rzekomo wrogich wobec siebie stron dyskursu „okrągłostolowego”.

A gdzie miał wyjść przyzwoity sympatyk KOR-u czy też „lewicy *solidarnościowej*”, który całe lata wierzył, że sympatyzuje z antykomuną? Miał trzasnąć drzwiami i wyjść z tej nowej-starej Polski? Nieliczni tak zrobili, wyemigrowali; większość (mówię o autentycznych patriotach) przeżuwała in situ swą gorycz, traktując pookragłostołową rzeczywistość jako koszmarny sen. Czerwony generał-zamordysta, architekt „*stanu wojennego*”, W. Jaruzelski, zostaje (sejmowymi głosami różowego „*Salonu*”) pierwszym prezydentem III Rzeczypospolitej. Czerwony generał-oprawca, szef bezpieczeństwa, Cz. Kiszczak, zostaje wicepremierem w rządzie „*naszego premiera*”, kikowca T. Mazowieckiego. Czerwony generał-zupak, kamandir peerelowskiej soldateski, F. Siwicki, zostaje ministrem obrony narodowej. I wszyscy oni są skumpłowani arcyserdecznie z niedawną „*opozycją*”, wszyscy są po czułych brudziach (brudziach różnych — świeżych i bardzo dawnych), a „*nasi*” nie zezwalają rzucać przeciwko „*tamtym*”, choćby jednego złego słowa! Gdy takie słowa jednak padają przeciw Jaruzelskiemu, Michnik publicznie ryczy: „ — *Odpier...cie się od generała!*” (do publicystyki i historiografii trafiła wersja złagodzona: „ — *Odpięprzcie się od generała!*”) — i to jest jak symbol. Naiwniacy, już tyle lat kochający Michnika niczym świętego, czują się oszukani, więcej — zdradzeni. „**Tygodnik Solidarność**” drukuje listy, które też miały wymowę symbolu.

Wśród tych listów szczególnie dramatyczne były listy od kobiet (wiadomo, kobieca egzaltacja!). Cytuję list K. Nowińskiej, działaczki podziemnych struktur „Solidarności” we Wrocławiu:

„To jest nie tylko mój przypadek, lecz również przypadek wielu znanych mi z konspiracji osób — osób tak jak ja walczących o wolność. Dla nas to nie jest wolność — to jakieś nieporozumienie. Doczekaliśmy się oto dziwnego państwa, gdzie jednakowo waży cnota i występki, tchórzostwo i bohaterstwo, a koszty ponoszą zwycięzcy zamiast zwyciężonych. Czy wobec tego był jakiś sens, aby oddać tej walce kilka lat życia pełnych wyrzeczeń? Oto jest problem, z którym zmagają się ludzie”.

Wtedy zmagali się wskutek pierwszego szoku, a dzisiaj (2004) zmagają się (dalej z tym samym problemem) wskutek piętnastu lat „*transformacji*”. Mnóstwo rodaków pyta dzisiaj siebie i swoich znajomych: czy warto było wyzwalać się od komunizmu po to, aby teraz zdesperowana większość społeczeństwa tęskniła (jak mówią sondaże) do tamtej, komunistycznej Polski? Odpowiadam im: pewnie, że było warto! Było warto, bo bez tego „*wyzwolenia*” spod czerwonej dyktatury A. Michnik nie miałby koncernu „Agora”, a my nie mielibyśmy rozrywkowego „*reality-show*” z byłymi „*dysydentami*”, rekinami biznesu i czerwonymi politykami, wspólnie

kręcącymi „koszerne interesy” (L. Rywin: „ — *Wiesz, Adaś, to jest koszerne interes!...*”) w zaciszach medialnych, bankowych i rządowych gabinetów. Lecz tą aktualnościową dygresją uciekłem od epistolograficznego wątku. Wróćmy tedy do tamtego czasu sprzed kilkunastu lat, i do rozpaczliwych listów tych patriotek, które rozsierdził „koszerne interesy” okrągłego mebla:

Patriotki pisały, dramatyzując nie tylko z perspektywy krajowej, ale i zagranicznej. Choćby francuskiej. Gdy w telewizyjnym francuskim programie „*La Marche du Siecle*” rozgościli się razem A. Michnik i W. Jaruzelski, by ten pierwszy mógł również cudzoziemcom zaprezentować tego drugiego jako swego ukochanego przyjaciela, człowieka o czystych rękach i szlachetnych intencjach, dźwigającego niesprawiedliwe miano kata-ciemieźcy, choć był tylko nosicielem „ognia prometejskiego” (sic!) — wielu Francuzów osłupiało. Zwłaszcza tych Francuzów, którzy latami wspomagali materialnie KOR i „Solidarność”. A już najbardziej tych, którzy pokochali dzielnego lechickiego rycerza, „Adasia”. W ich imieniu machnęła gniewny list H. Sikorska, tłumacząc: „*Francuzów ten program zostawił oniemiałych ze zdumienia. Dla Francuza Jaruzelski to dyktator o rękach splamionych krwią, którego bieg wypadków rzucił na śmietnik historii. Mówić dziś we Francji, że «stan wojenny», więzienia, skrytobójstwa, to były tylko takie «rodzinne nieporozumienia» — to usłyszeć w odpowiedzi: « — Kochany, więc to tak? A myśmy myśleli, że tobie chodziło o wartości najwyższe, o wolność*

— i to o wolność od komunizmu! Bo nam właśnie o to chodziło, kiedyśmy stali forszę, sprzęt, żarcie, i robili co mogli, żeby ratować wasz umęczony naród, «Solidarność» i ciebie, Adamie, z rąk oprawców... A więc nie tylko oszukiwałeś nas przez tyle lat, ale na domiar złego — jeśli już mówić zupełnie szczerze — wykorzystałeś jak pierwszą naiwną i uciekłeś z forszą...»,,.

Cóż, „forsa nie śmierdzi”, wiedzieli to już starożytni („*pecunia non olet*”). Przyjaźń też nie śmierdzi, gdy tylko człowiek potrafi uzasadnić przyjaźń. Exemplum rodzimy program telewizyjny „*Portret*”, w którym Michnik wystąpił z drugim swoim generalskim przyjacielem, Kiszczakiem, i obaj zagłaskiwali się duserami — Michnik wielbił Kiszczaka jako „człowieka hono-ru”, a Kiszczak Michnika jako superpatriotę. Lecz czy i antysemityzm nie śmierdzi? Jaruzelski był przecież swego czasu urzędowym „Żydobójcą” wewnątrz LWP! A. Zambrowski: „*Ciesz się uznaniem w swym obozie ideowym jeden z czołowych bohaterów hecy antyżydowskiej — generał Wojciech Jaruzelski. Ten dżentelmen, będący mężem zaufania policyjnych służb specjalnych ZSRR, stał na czele państwowej akcji «aryzacji» wojska, która wyniosła go najpierw na stanowisko ministra obrony narodowej PRL, a później na szczyty władzy partyjnej i państwowej w Polsce!*”. Taki antysemitowski

„*prometejski ogień*” jakoś Michnika nie odstręczył od braterstwa z generałem J. i z resztą czerwonych udziałowców „*okrągłego stołu*”, chociaż antysemitów było wśród nich co niemiara. Dlaczego? Bo istnieje jeszcze jedna rzecz, która nie śmierdzi — władza. Władzuchna! „ — *Trzeba władzę brać!*”.

Wzięli mocą paktu podmoskiewsko-magdalenkowego, symbolizowanego „*okrągłym stołem*”. Kilka cytowanych przeze mnie wcześniej sądów o tym meblu i o jego skutkach różowy „*Salon*” pewnie by zanegował jako głosy samych prawicowców-antysalonowców, więc dodam jeszcze opinię dzisiejszą (2004), wyrażoną piórem J. Surdykowskiego przez liberalny „*Newsweek*”, który nie lubi drzeć kotów z „*Salonem*” (choć raz już był kopnięty przez „*Gazetę Wyborczą*” red. Michnika za antysemickość):

„ *Układ okrągłostołowy był i jest szkodliwy, bo konserwował wszystko, co stało się w gospodarce w latach 80-ych. Wtedy PZPR-owska nomenklatura bezczelnie uwłaszczała się na zarządzanym przez siebie majątku państwowym. Wtedy bonzowie partyjni przekształcili się w bonzów finansowych przy czynnym współudziale tajnych służb, które w ten sposób utwierdzały swoją dominującą pozycję, co pozwoliło im mieć w nosie wszystkie późniejsze weryfikacje i inne burze personalne. Ten układ nie tylko uniemożliwił rozliczenie tego, co faktycznie działo się w PRL-u, ale wytwarzał sieć korupcyjnych powiązań między biznesem a polityką, sięgającą szczytów władzy i owocującą spektakularnymi aferami*”. Zabrakło tu tylko wskazania głównego winnego („*maleficus maximus*”) — na to już „*Newsweek*” się nie odważył.

6. Budowanie zrębów

Różowy „*Salon*” zaczął formalnie i praktycznie (z ław rządowych) dyrygować krajem w sierpniu 1989 roku. Pierwszy etap ich politycznych rządów (rządy premierów T. Mazowieckiego, J. K. Bieleckiego i H. Suchockiej) był prawie czteroletni — w 1993 zwrócili całą władzę komunistom („*postkomunistom*”). Te cztery lata — sam początek „*transformacji*”, kiedy można było zbudować takie fundamenty III Rzeczypospolitej i tak ustawić jej strategiczne wektory, że dzisiaj by kwitła (kwitłoby i państwo, i społeczeństwo) — został prawie zupełnie zmarnowany, gdyż ukrecono łeb prawie wszystkim szansom zdrowego rozwoju państwa, i zabito moralność polityczną, szerząc „*modus*” cwaniactwa oraz kult kłamstwa, charakterystyczny (genetyczny?) dla lewicowców. By samemu nie biadolić na ten temat zbyt rozwlekle, oddam głos trzem mądrym ludziom — wybitnemu poecie, wybitnemu publicyście i wybitnemu satyrykowi. Niech oni scharakteryzują budowanie przez różowy „*Salon*” zrębów gmachu III RP.

Z. Herbert (genialny rymopis): „ — *Wielu z nas sądziło, że po 1989 roku, choć nie zbudujemy od razu raju na ziemi, to przynajmniej otrząśniemy się z*

dawnego kłamstwa. Nie było to możliwe, ponieważ ludzie elit, tłumaczący swe dawne postawy «ukąszeniem heglowskim» (według mnie było to raczej ukąszenie Bermanem), nie stworzyli języka prawdy”. Istotnie — nie było to możliwe. Patentowany kłamca nie może stworzyć języka prawdy, tak jak mańkut nie zagra w tenisa prawą ręką. Samochodowy ruch lewostronny wyklucza ruch prawostronny.

R. A. Ziemkiewicz (arcyfelietonista): „Taka bowiem była «filozofia rządu» eleganckiego towarzystwa. Towarzystwo owo było czułe na demokratyczne pryncypia do tego stopnia, że nie czekając aż demokracja zacznie być w Polsce czymkolwiek więcej niż obietnicą, przyznało wszystkie wynikające z niej prawa czerwonej mafii, która przez pół wieku niszczyła Polskę i wysługiwała się sowieckim okupantom. Towarzystwo tak poważnie traktowało niezbędną dla demokracji praworządność, że ze sklerotyczną pedanterią trzymało się w szczegółach każdego peerelowskiego przepisu, choćby pochodził jeszcze z dekretu Bieruta, i miesiącami [dziewięć miesięcy — W. Ł.] nie pozwalało sobie na zmiany tak oczywiste, jak likwidacja cenzury”. Fakt — moja powieść „Dobry” (głośna „ostatnia książka ocen-zurowana przez cenzurę PRL-u”) ukazała się pół roku po objęciu rządów przez „Salon” i miała białe strony tudzież białe fragmenty stron opatrzone cenzorskim nadrukiem: „[Ustawa z dnia 31 lipca 1981 roku o kontroli publikacji i widowisk, artykuł 2, punkt 3 (Dziennik Ustaw nr 20, pozycja 99; zmiany: 1983, Dziennik Ustaw nr 44, pozycja 204)]”. Ziemkiewicz tak zakończył swój felieton: „Mazowiecki, jeden z tych, którzy mieli «Złoty Róg», nie ma do siebie żadnych pretensji. Nie mają sobie niczego do zarzucenia”.

J. Szpotański (król antykomunistycznych satyryków epoki PRL-u, autor „dram” „Cisi i gęgacze”, „O carycy Leonidzie” i in.): „ — Przejmować po komuchu władzę i nie zrobić nawet bilansu państwa, nie przegnać Rusa, pozwolić nomenklaturze rozkraść to, co jeszcze zostało... Uważam za grubą błąd polityczny zaniechanie ostrej rozprawy propagandowej z upadającym czerwonym. Oni jakby się czegoś bali, a zarazem byli kompletnie niedołążni. Trwał ten niepojęty kontredans z komuchem, to chuchanie na niego, żeby przypadkiem się nie przeziębził złażąc z tronu (...) Tu nie było ani czasu, ani sensu bawić się w niuanse, tutaj trzeba było postawić na kilka zasadniczych punktów. Na prywatyzację, na wykup ziemi (sprzedaż PGR), na pozbycie się dawnej biurokracji i zastąpienie jej nową, wielokrotnie zmniejszoną, i wreszcie — na jakiś produkt lub gałąź przemysłu, które stałyby się polską specjalnością eksportową. Tymczasem oni, przez swoje niepohamowane gadulstwo, nieudolność, zachwyty nad sobą, doprowadzili do tego, że nastąpiła galopująca pauperyzacja społeczeństwa, a kraj stał się wymarzoną areną dla

popisów coraz to nowych aferzystów i hochsztaplerów”. Szpotański mówił to na przełomie lat 1991 i 1992!

Od tamtego czasu do dzisiaj liczba „*aferzystów i hochsztaplerów*” wzrosła kilkakrotnie, ale to właśnie wtedy — budując zręby (przegniłe fundamenty) gmachu III RP — zbudowano solidne fundamenty tej „*wymarzonej areny dla popisów*”, którą ganił „*Szpot*”. Jak bardzo wymarzonej — niech powie jeden tylko przykład. Ówczesny wicepremier i minister finansów rządu Mazowieckiego, L. Balcerowicz, spowodował osiemnastomiesięczne (!) zamrożenie kursu dolara, przy równoczesnym, sięgającym 90% rocznie (!!), bankowym oprocentowaniu kapitału złotówkowego, co pozwoliło niebieskim ptakom całego globu przywieźć nad Wisłę wagony dolarów, a kilkanaście miesięcy później wywieźć znad Wisły dwa i pół raza tyle (prawie 250%!!!). Za ten wymarzony „*numer*” cwaniacy Wschodu i Zachodu winni solidarnie wnieść panu Balcerowiczowi pomnik o wysokości Wieży Eiffla, i to ze szczerego złota, którego ciężar byłby lichym ułamkiem ich „*doli*”. Historia ekonomii zna niewiele finansowych „*przekrętów* „, które miały skalę porównywalną. Ten sam gwiazdor różowego „*Salonu*” trzęsie do dzisiaj polską gospodarką, co czyni ją permanentnym dłużnikiem, bez końca spłacającym długi boleśnieszka każdego roku. Za to kochają go wszyscy finansowi spekulanci tej Ziemi.

Krytykowanie sterników pierwszej, decydującej fazy „*transformacji*”, skupione na karygodnych błędach i niegodziwościach ekonomicznych, daje wszakże bardzo niepełny obraz, gdyż pomija inne obszary ich ówczesnej działalności (jak choćby problemy kulturowe, które omówię później), vulgo: inne źródłowe grzechy różowego „*Salonu*”. Spośród nich szczególnie paskudnym zaniedbaniem wydaje mi się cała sfera praworządności — sprawiedliwość tout court. Tamte różowe rozwiązania zyskały trwałość i sprawiły, że dziś — po piętnastu latach formalnej demokracji — wśród Polaków panuje powszechne przekonanie, iż sprawiedliwości nie ma co szukać w instytucjach, które „*z definicji*” winny jej służyć: na policji, w prokuraturze czy w sądzie. Skorumpowana policja, dyspozycyjna politycznie (partyjnie) prokuratura, i sądownictwo będące niemoralnym skansenem PRL-u wskutek zaniechania weryfikacji sędziów, głębszego nawet niż kosmetyczna weryfikacja służb specjalnych, które, miast strzec Polski, grają swoje gierki polityczne jak państwo w państwie — oto „*strażnicy prawa*” III Rzeczypospolitej uformowanej przez różowy „*Salon*”. Państwo, w którym istnieje prawo (kodeks), a nie istnieje sprawiedliwość; pakujące do więzień drobnicę przestępczą, a nie tuzów zbrodni i malwersacji; dające wysokie emerytury katom, a głodowe renty ich ofiarom — jest patologicznym straszidłem,

upiorną karykaturą demokratycznego kraju, niewiele lepszą pod tym względem od reżimów komunistycznych i autokratycznych.

Wymienianie filarów bezprawia lub niesprawiedliwości jest tylko suchym rejestrowaniem, nie działa na wyobraźnię — tu trzeba żywych przykładów. Dam jeden, bardzo świeży. Schyłek sierpnia 2004 roku. Koniec toczącego się przez trzy lata procesu człowieka, który siłą obronił swój przybytek (kawiarnię), gdy wtargnęła tam żulia i „bejsbolami” demolowała wszystko. Przed sądem postawiono nie bandytów, lecz napadniętego (bo użył dla obrony swego mienia i życia broni myśliwskiej). Przez te trzy lata jego dziecko nie mogło bez ochrony pójść do szkoły, jego rodzinie cały czas grożono śmiercią, itp. Sąd uniewinnił nieszczęśnika. Czekał w sali sądowej na wyrok żulia, usłyszawszy ten werdykt, wściekła się i rykiem zapowiedziała uniewinnionemu, co z nim zrobią („ — *Ty już nie masz, życia! Już po tobie!*”). W każdym normalnym kraju tych zbirów bezzwłocznie by aresztowano. Lecz III RP nie jest krajem normalnym. Dziennikarze telewizyjni podsunęli mikrofony pod nos uniewinnionemu, a ten płacząc rzekł: „ — *Ludzie, nigdy się nie brońcie, gdy was napadną, bo będziecie tego żałować do końca życia!*”. Czyli: „*milczenie owiec*”. Zafundowane nam przez „Salon”.

Cały czas używam wobec tych pierwotnych złoczyńców określeń zastępczych („*lewicowy Salon Wpływu*”, „*różowy «Salon»*”, „*różowi*”, „*lewacy*”, „*postępowcy*”, „*oni*”, „*ich*”, et cetera), a przecież pisząc o trzech pierwszych latach politycznych rządów „Salonu” (ekipy T. Mazowieckiego, J. K. Bieleckiego i H. Suchockiej) winienem już używać terminologii partyjnej. Ówczesny „Salon”, z którego wykluty się tamte rządy, skupiał się bowiem wokół partii Unia Demokratyczna. Od KOR-u, poprzez lewicę „Solidarności”, Komitety Obywatelskie i ROAD (Ruch Obywatelski Akcja Demokratyczna) — środowisko to doszło do sformowania partii UD, która później (1994) przekształciła się w Unię Wolności (UW). Czym tak naprawdę była UD? Według jej adwersarzy — już wtedy była unią wolności („*unią wolności od przyzwoitości*”). Według jej członków i sympatyków — była „*partią ludzi światłych*” alias „*partią ludzi rozumnych*”. Według wszystkich — była politycznym sztabem opiniotwórczej elity inteligenckiej, czyli „Salonu”. W 1991 roku J. Puchalski wydał kompendium „**Polskie polityczne partie, stronnictwa, stowarzyszenia, związki i kluby**”. Czytamy tam o UD:

„*Unię Demokratyczną utworzyły ugrupowania inteligenckie z Krakowa i Warszawy, głoszące idee laickie i liberalne, stawiające za wzór model obywatelskiego społeczeństwa zachodniego. Ten internacjonalizm przejawiał się w lansowaniu tezy powrotu Polski do Europy, co spotkało się z ripostą różnych środowisk, że Polska nie tylko geograficznie, ale i kulturowo tkwi ponad 1000*”

lat w Europie. Działacze partii tworzyli i tworzą obecnie elity władzy, sprawujące bezpośrednią władzę (...) Unia Demokratyczna ma absolutny monopol w środkach przekazu. Prawie każde prywatne zdanie działaczy staje się publicznym, kiedy oświadczenia innych partii nie przebijają się do serwisu Polskiej Agencji Prasowej. To powoduje, że tworzy się mit zdominowania polskiej sceny politycznej przez UD. Prasa, radio i telewizja pełne są postaci UD (...) UD nie rekomenduje do pracy ludzi spoza kręgów towarzyskich, nawet na podrzędne stanowiska”.

Wspomniane przez Puchalskiego zdominowanie mediów służyło dwóm celom. Pierwszym było lansowanie „*samych swoich*”, czyli utrwalanie i rozszerzanie własnej siły, co nie może dziwić ani bulwersować — takie są chęci i reguły postępowania każdej partii, która przejmie władzę (komuniści, kiedy wrócą do władzy, będą robili to samo i wydrą z rąk UD-UW dużą część medialnych wpływów, zwłaszcza radio i telewizję; zaniechał takich praktyk tylko kontrrewolucyjny rząd J. Olszewskiego, przez co m. in., już po pół roku rządzenia bez medialnego wsparcia, został tym łatwiej zmieciony). A więc nie powinno to bulwersować, jednak bulwersowało, bo naiwni sądzili, że demokracja na czymś innym polega. J. Galarowicz grzmiał wtedy (1993): „*Niegdysiejsi piewcy komunizmu, jego wierni słudzy, ludzie skompromitowani — naukowcy, artyści, dziennikarze — stają na czele budowniczych nowych czasów, wracają (w przebraniu socjaldemokratów, liberałów, europejczyków) na pierwsze strony gazet, gorliwie naród pouczając, radząc mu itp. Zdrajcy sugerują, że należą się im pomniki. W najwyższej cenie są konwertycy — ludzie, którzy odeszli od komunizmu. Prawdziwi patrioci, spychani na margines, są bezradni”.*

Galarowicz dotyka tu problemu, który już szeroko omawiałem, a który wyznaczył różowym drugą konieczność opanowania mediów przez „*Salon*” — bez mediów nie można kreować opinii publicznej, a więc m.in. budować publicznego alibi dla winowajców. Wtedy chodziło o alibi dla wspomnianych „*konwertytów*”. Później (gdy już powstała UW, a na całą salonową formację zaczęły ze strony prawicowców padać gromy, że „*przerąbała*” budowanie zrębów RP) — chodziło o wyłgiwanie się z odpowiedzialności za zło korodujące kraj. Czyli o rozstrzeliwanie tezy, że „*Salon*” to „*maleficus maximus*”. Co trwa i dziś, i wciąż budzi naturalną furję przeciwników „*Salonu*”. Poseł J. M. Jackowski niedawno (wrzesień 2003) z pasją obrzucił medialną politykę wybielania czy wręcz negowania pierwotnej winy UD:

„Ponure jest to, że taką politykę uprawiają osoby współodpowiedzialne za stan Polski. Są to politycy upowszechniający mity i herezje, które odcisnęły niezatarte piętno na III RP i za które obecnie wszyscy płacimy. Ci architekci i

konstruktorzy III RP przekonywali, że ich recepta transformacji jest jedynie słuszną, a kto ma inne zdanie, ten nie rozumie rzeczywistości, jest oszołomem, ksenofobem lub reprezentantem ciemnogrodu. To oni wykuwali propagandowe hasła, że Polsce grozi klerykalizacja, budzą się «demony przeszłości», zmierzamy w stronę państwa wyznaniowego. To oni wcielili się w rolę strażników świętego ognia postępu i ze swych telewizyjnych ambon wygłaszali mentorskie kazania z dziedziny «politycznej poprawności». Kto w najbardziej opiniotwórczych mediach opowiadał bajki o tym, że lustracja i dekomunizacja to polowanie na czarownice? Kto nam wmawiał, że pierwszy milion należy ukraść, bo tak wszędzie rodził się kapitalizm, i że wszystkie problemy gospodarcze załatwi niewidzialna ręka rynku? Kto odpowiada za bezmyślną i szkodliwą prywatyzację, wyprzedaż za bezcen majątku narodowego, doprowadzenie polskich przedsiębiorstw do ruiny? Kto — komentując kolejne strzelaniny na ulicy — twierdził, że w Polsce nie ma mafii i zorganizowanej przestępczości? Kto przekonywał, że społeczeństwo nie dorosło do demokracji, że potrzebna jest «gruba kreska», że środowisko sędziowskie oczyści się samo? Kto blokował reprivatyzację i uporządkowanie stosunków własności, bez czego nie sposób budować gospodarki wolnorynkowej? Kto głosił tezy, że obcy kapitał w mediach jest bezstronny, bo nie ma w Polsce interesów? Kto zapewniał, że nie istnieje problem upartyjnięcia mediów publicznych? Kto?!...”.

Jak to kto? Ludzie najinteligentniejsi spośród inteligentów, „*creme de la creme*” — różowe środowisko, które samo się mianowało (przy „okrągłostotowym” wsparciu ze strony komunistów) elitą inteligentką społeczeństwa polskiego. Superinteligentni. Vulgo: najbardziej predestynowani do mądrego budowania nowej rzeczywistości (nowego systemu) i do sprawowania władzy. Przypomnijcie sobie pierwszy parlament III Rzeczypospolitej — iluż tam było lansowanych przez KO i UD artystów (znanych aktorów, reżyserów itp.), profesorów, myślicieli etc. Lud wówczas nie wątpił, że „*tacy mądrzy ludzie*” zbudują polski raj. Wątpili tylko prawicowi malkontenci. Gdy J. Pawlas zapytał S. Murzańskiego (autora książki „**Między kompromisem a zdradą**”): „— *Kto winien sprawować przywództwo intelektualno-moralne społeczeństwa?*”, ten odparł: „— *Nie sądzę, by zadaniu temu mogli sprostać niegdysiejsi orędownicy komunizmu, lansujący obecnie teorie europejskiej wspólnoty, pozbawionej narodowej odrębności. Istota ich destrukcyjnej działalności jest taka sama — niwelacja tożsamości narodowej*”. Lud wszakże bardziej był zdegustowany destrukcyjną działalnością „*Salonu*” w sferze gospodarczej, działalnością, która skutkowałą pustymi kieszeniami i talerzami, więc A. D. 1993 (listopad) odesłał „*Salon*” na ławkę rezerwowych,

a na murawę wpuścił znowu czerwońców — „*chłopów*” (ludowców) plus „*komuchów*” (postkomunistów). Inaczej mówiąc: lud, widząc co robi z „*ta Polską*” inteligencja, zagłosował na „*chamów*” wszelakiej maści, i długo mu to jeszcze nie chciało przejść.

Dla Unii Demokratycznej ta porażka była przykrością, lecz zarazem była „*mniejszym złem*”. Gdy sondaże już nie dawały jej szans na kolejną kadencję — „*partia ludzi światłych*” robiła co mogła, by schedę przejęli partnerzy z „*okrągłego stołu*”. J. Parys (minister w chwilowym rządzie J. Olszewskiego) tak wtedy (1993) to komentował: „ — *Unia Demokratyczna jest gotowa oddać Polskę w ręce komunistów, byle nie oddać jej w ręce prawicy. Od zimy do wyborów UD zrobiła wszystko, żeby do takiego wyniku wyborów doszło. Tak były ustawione media, które rząd całkowicie kontrolował*”.

* * *

To tyle na temat „*sons gravissimus*” — głównego partyjnego winowajcy wszechstronnej zapaści III RP. Mój wywód, jako krótki, nie mógł się obyć bez uproszczeń; exemplum: wrzucenie efemerycznych rządów J. K. Bieleckiego (1991), szefa partii KL-D (Kongres Liberalno-Demokratyczny), do wspólnego kotła z UD, ale jak słusznie pisał J. Puchalski (1991): „*KL-D w wielu taktycznych posunięciach jest blisko Unii Demokratycznej, m.in. realizując politykę monetarną L. Balcerowicza*”. Wkrótce (1994) KL-D sama wrzuciła się do tego kotła, łącząc się z UD, który to ślub dał UW — Unię Wolności, nowe partyjne godło „*Salonu*”.

Pod kotłem paliło wielu prominentnych członków „*Salonu*”, lecz bez wątpienia czterema palaczami głównymi byli przez minione piętnaście lat: czerwony harcerz, honorowy gensek, postępowy katolik i święty guru. Dzięki nim „*Salon*” cwałował i cwałuje opiniotwórczo jak burza. W następnej części książki krótkie charakterystyki tych czterech jeźdźców.

Część IV

CZTERECH JEŹDŹCÓW „SALONU”

1. Czerwony harcerz

Jedyny spośród czterech jeźdźców, który już zmarł. W piętnastym roku III Rzeczypospolitej zmarło dwóch popularnych Jacków K. — J. Kaczmarek („*bard «Solidarności»*„) i J. Kuroń (bard KOR-u). Zatem wobec obu pióro winno się przed pisaniem wzdragać, bo jak uczyli starożytni: na temat umarłych trzeba mówić tylko dobrze lub nie mówić wcale („*de mortuis nil nisi bene*” vel „*de mortuis aut bene aut nihil*”). Gdyby traktować to przykazanie serio, nikt nigdy nie mógłby słowa rzec o Hitlerze czy Neronie, i w ogóle historiografia nie istniałaby jako dyscyplina naukowa — uprawianoby

wyłącznie hagiografię. Jednak ten problem (zwłaszcza kiedy świeży) puka do sumienia, i niejedni dręczył się nim już. Exemplum „*Kisiel*”. Po śmierci członka peerelowskiego „*Salonu*”, prof. K. Grzybowski (1970), którego uważał za „*koniunkturalnego wazeliniarza, perfidnego tchórza tudzież krakowskiego błazna, gotowego wystugiwać się wszelkim reżimom*” — „*Kisiel*” wzdragał się użyć o nim tych słów. Chciał, lecz się wahał: „*Tyle, że «de mortuis...». Ale ja pamiętam jego czasy stalinowskie! Co zrobić z za dobrą pamięcią?*”. I użył.

Ten sam problem miałem ja (co zrobić z za dobrą pamięcią?), słysząc i czytając (w prasie wszelkich odłamów) bombastyczne peany nad grobem „*wielkiego Polaka*”, J. Kaczmarek, jakby wszystkich ogarnęła amnezja i jakby nie liczyło się, że ów „*bard*” przez całą drugą połowę lat 90-ych opluwał polski Kościół, „*polski antysemityzm*” i wszelkie „*polactwo*” hurtem. Wyemigrował do Australii (później wrócił), tłumacząc, że robi to dlatego, iż nienawidzi Polaków (sic!). Tam udzielał prasie wywiadów, w których wszystko co polskie (papieża, religię, patriotyzm itd.) odsądzał od czci i wiary grubymi słowy, bez przerwy wałkując mantrę „*polskiego antysemityzmu*”. Lecz może ci ogarnięci zbiorową amnezją nie czytali tych jego wywiadów i wspominków (ja czytałem, bo Polonia australijska przysyłała mi gazety), i dlatego nie wiedzą, tak jak mało kto wie, iż godzinę przed śmiercią ów wojujący Żyd pojednał się na wiedeńskim szpitalnym łóżku z chrześcijańskim Bogiem, przyjmując wiarę katolicką, którą tyle lat ganił jako wredny kult. Tak na wszelki wypadek...

Kuroń, bard „*czerwonego harcerstwa*”, trockizmu i KOR-u, był przez całe życie równie zagorzałym wrogiem Pana Boga i krzyża (nawet enkawudystę Bieruta nienawidził za to, że ten wziął raz udział w kościelnej procesji — określił wtedy Bieruta jako „*zdrajcę*”). Był również konsekwentnym lewakiem, chociaż ewoluował taktycznie (pragmatycznie) od stalinizmu i skrajnego gosyzmu do liberalnego (rózowego) lewactwa „*Salonu*” III RP. Gdy po kilkudziesięciu latach znajomości (kiedy skompromitowany całkowicie komunizm już się walił) W. Lenkiewicz spytał Kuronia: „*— Czy wyleczyłeś się wreszcie z komunizmu?*”, ten twardo odparł: „*— Jestem i pozostanę marksistą!*”. Był i pozostał do końca życia czerwonym harcerzem — prowadził jako harcistrz stalinowskie harcerstwo i nigdy nie przestał być harcerskim luzakiem, noszącym wytartą dżinsową kurtkę nawet wtedy, gdy jako podstarzałemu dygnitarzowi przypinano mu wstążki orderów.

Według jego wielbicieli, powołujących się na Komitet Obrony Robotników, na „*kuroniówki*” (zasiłki) i na „*zupę Kuronia*” — był tzw. dobrym człowiekiem. Właśnie przez to inni „*dobrzy ludzie*” kochali go, płakali

u jego trumny i wychwalali epitafiami oraz epitafijnymi publikacjami jako niezmordowanego dobroczyńcę, „brata-tate”, naturę arcyszlachetną, zawsze gotową do poświęceń dla bliźnich. Miały go też za to kochać miliony szarych rodaków — w pierwszej dekadzie III RP przez kilka lat wszystkie sondaże wskazywały, że jest politykiem najpopularniejszym: 72%-78% zwolenników. Słowem „żelazny elektorat”, właściwie aklamacja, ergo: murowana prezydentura, w cuglach! Lecz coś chyba było z tymi sondażami nie tak, bo życie boleśnie zweryfikowało to poparcie — zredukowało do poparcia jedynie przez elitę salonową i przez okołosalonowych „użytecznych idiotów”. Gdy w 1995 Unia Wolności (był jej współzałożycielem i wiceprzewodniczącym UD) wystawiła Kuroń na arenę elekcji prezydenckiej — mimo gigantycznych starań propagandy („Gazeta Wyborcza” i inne media UW szalały wprost), zainkasował ledwie... 9% głosów, co było kompromitacją. Wyborcy nie okazali się dobrymi ludźmi i „popędzili” różowy „Salon”, wołąc czerwonego oczywistego, a nie farbowanego na różowo liska. Aż żal było wtedy salonowych „dobrych ludzi”, gdy się widziało ich oczy „szeroko zamknięte” wskutek szoku. B. Geremek mógł powtórzyć swoje zdanie sprzed kilku lat, iż „społeczeństwo polskie nie dojrzało do demokracji”.

Własne dojrzewanie do demokracji Kuroń opisał w kilku (sześciu czy siedmiu) wspomnieniowych książkach. Mimo że są one napisane „ze szwungiem” (miał i „gadane”, i pióro; wzorem rasowych demagogów potrafił i krzykiem, i drukiem wmawiać ludziom co tylko chciał) — zyskały aprobatę ledwie kilku procent czytelników. Były powszechnie wykpiwane („Moja zupa” zyskała uliczne, przedrzeźniające nazwy: „Moja kupa” i „Moja d...”), a poważni komentatorzy nie zostawili na tych memuarach-”wybielaczach” suchej nitki (chwaliła je tylko sfera recenzentów pracujących dla „Salonu”). Krakowska „Arka” nominowała dzieło Kurońa „Spoko!, czyli kwadratura koła” do Nagrody Intelktualnego Knota Roku (1992), i nawet okołosalonowa „Rzeczpospolita” wkurzyła się (piórem K. Masłonia), widząc liczbę „zafalszowań, przemilczeń i prymitywnych sądów” w kuroniowej pracy pt. „PRL dla początkujących” (1995), stąd dała książce notę: „Ręce opadają! ..”

Ręce opadają jeszcze niżej (razem ze szczęką), gdy się czyta najważniejszą książkę J. Kurońa, „Wiara i wina — do i od komunizmu” (1989). Mnie opadły niegdyś bardziej niż komukolwiek innemu, bo jako bibliofilowi udało mi się zdobyć ten egzemplarz drugiego (pierwszego krajowego) wydania (1990), który Kuroń podarował szefowi bezpieki schyłkowego PRL-u, generałowi Kiszczakowi (egzemplarz ów sprzedała antykwariuszowi pani Kiszczakowa!). Widnieje tam nakreślona długopisem dedykacja autora dla obdarowanego:

„Panie Czesławie, może ta dedykacja Pana skompromituje w tzw. pewnych kręgach (mnie w innych), ale pragnę oświadczyć, że jestem pełen podziwu dla Pana osobiście i roli jaką Pan odegrał w naszej «pokojoyej rewolucji».

Jacek Kuroń 11 czerwca 1990”.

Ów podziw dla oberszefa esbeckich skrytobójców (używali nawet trucizn — w Radomiu próbowali wykończyć przy pomocy zatrutej herbaty czołową działaczkę „Solidarności”, A. Walentynowicz) jest prostą kontynuacją sofizmatów Kuronia na temat własnej ewolucji od PZPR-u do „okrągłego stołu”. „**Wiara i wina**”, kluczowa ekspiacyjno-wybielająca pozycja ober”dobrego człowieka”, pisana jest, można rzec, „z sercem na dłoni”. Rozczulająca szczerość, typowa dla „dobrych ludzi”, którzy (po tym można ich poznać) nawet gdy kłamią, to patrzą uczciwie w oczy, i jeśli nawet popełniają jakąś nikczemność, to tylko w walce o byt lub żeby nie wyjść z wprawy. Jawi się spomiędzy tych kilkuset stron błędny rycerzyk — przepraszam: błędny harcerzyk (nie mogący uniknąć błędów) — notoryczny (regularny) prawiczek o naiwnej duszyczce, gołębim sercu i bardzo bystrym wzroku, dzięki któremu widzi, że świat wokół niego to tylko wielka platforma odchodów, które jednak harcerz, przez swą wzniosłą łatwowierność, co i rusz bierze w rączki albo miesi zapalczywie dla dobra odchodowej (dochodowej) idei, utopii czy doktryny, by po niejakiem czasie zauważyć (ten bystry wzrok!), że się ubrudził, więc dla obmycia z fekaliów nurkuje w rwący nurt historii i wychodzi na drugim brzegu, by dopiero tam spostrzec, że wskutek pomyłki znowu przepłynął szambo, co rodzi konieczność samobiczowania nim nie porwie go kolejny rycerski miraż zbawiciela bliźnich, przynoszący kolejną czystą motywację i wkrótce kolejne rozczarowanie, które jest karą za lewicowe marzycielstwo pięknoducha. Jak w tym starym powiedzonku:

„Za wszystkie dobre uczynki spotka cię zasłużona kara”. Biedny „dobry człowiek” — fatum dziejowe płatało mu tyle brzydkich figłów! Wreszcie jednak dorósł do demokracji, po wielu latach „błędów i wypaczeń”. Niestety — „społeczeństwo nie dorosło”.

Pierwsza demokracja, którą obstawił J. Kuroń, to była „demokracja ludowa”, czyli anty demokracja — stalinowski zamordyzm. Wyniósł tę skłonność z domu, gdyż jego ojciec był „nałogowym bezbożnikiem” i aktywnym komunistą. Jako młodzian nieletni, czytał Kuroń z zapalem stosy literatury komunistycznej, od dzieł Marksa do dzieł Stalina, a jego ulubioną bajeczką była praca Lenina „**Państwo i rewolucja**” („*Ta ostatnia wywarła na mnie szczególne wrażenie*”). Kiedy tylko się upełnoletnił, wstąpił do partii (wtedy, gdy dokonywała ona rzezi patriotów), a swoją dziewczynę zapewniał: „ — Kocham cię prawie tak samo jak partię!”. Dzięki tej miłości szybko

awansował — został kierownikiem Wydziału Propagandy ZS ZMP. Propagandystą był wyborem: Piłsudskiego prezentował jako „faszystę”, akowców jako „bandytów” i morderców Żydów (powtórzy te kalumnie później w jednej ze swych książek, w latach 90-ych!), etc. Notabene patrioci-antykomuniści będą przezeń flekowani zawsze. Na starość Kuroń-dygnitarz państwowy, za inicjatywę lustracyjną obrzuci stekiem wyzwisk ekipę premiera Olszewskiego: „*Nieprzejednani patrioci, niepokalani rycerze najjaśniejszej Rzeczypospolitej! Całe życie marzyli o wielkim oczyszczeniu, o narodowym powstaniu, które zmiecie komunę i wymierzy ostateczną sprawiedliwość! Chwalić Boga, nie spełniły im się te marzenia*”. Którego Boga, panie Jacku?

Natomiast marzenia towarzysza Jacka spełniały się jedno po drugim. Partia, widząc, że słowami włada jak cyrkowy żongler piłeczkami, zleciła mu wychowywanie pokoleń młodszych od zetempowców: przejął harcerstwo. Przejął i stworzył „walterowców”, czyli „czerwone harcerstwo”, najbardziej upadającą ze wszystkich młodzieżowych organizacji, jakie kiedykolwiek powstały w Polsce, istną komunistyczną Hitlerjugend. Zabronił dzieciakom śpiewania tradycyjnej „**Roty**” — jego „czerwoni harcerze” śpiewać musieli o chwale bolszewizmu. I to nie po polsku. Ówczesny „czerwony harcerz”, A. Michnik, wspominał później: „*Bez sentymentu nie umiem myśleć o tej gromadce chłopców i dziewcząt, która latem 1958 roku w czerwonych chustach nawiedzała chłopskie zagrody, śpiewając piosenki po rosyjsku i po żydowsku*”. Michnik zapamiętał też, że wśród harcerzy Kuroń panował „*nastrój komsomolskich idealistów*”.

Kuroń podsycił ów idealizm, zalecając ścisłą współpracę z milicją i bezpieczeńką (proszę przeczytać jego książkę o harcerstwie, drodzy salonowcy!). Jeszcze w roku 1995 „**Gazeta Polska**” przypominała, że harcmistrz Kuroń wygłaszał szkolne prelekcje, agitując dzieci, by donosiły na swych rodziców słuchających „*wrażych radiostacji*” imperializmu. Wiem, że za to dawanie wzoru Pawlika Morozowa bił się w piersi później, i wiem, że człowiek może się jak Szaweł zmienić, ale wiem też, że pewne cechy charakteru, pewne inklinacje mentalne, choćby minione, durno-młodzieńcze, mówią o człowieku, o jego duszy, coś ważnego, coś wedle diagnozy „*ten typ tak ma*”.

Zmieniać się Kuroń zaczął w drugiej połowie lat 60-ych. Nie od swojej i Modzelewskiego propozycji przerobienia partii komunistycznej na bardziej komunistyczną czyli trockistowską („**List otwarty do członków PZPR**”), za co partyjna wierchuszka skopała mu tyłek, lecz od roku 1968, czyli od antysemitycznych szaleństw reżimu. W latach 70-ych był już „*opozycjonistą*” pełną gębą, a w roku 1980 jego żoliborskie mieszkanie stało się nie tylko centralą KOR-u, lecz i centralą telefoniczną — tam dzwonili wszyscy dysydenci i

stamtąd dzwoniło po całej Polsce, jak również do zagranicznych gazet tudzież agencji prasowych, siejąc propagandę antyreżimową. A безпеaka jakoś nie umiała telefonu Jacka K. wyłączyć! Może dlatego, że nawet nie próbowała. Sam ryżowłosy gensek ze Śląska, E. Gierek, dziwił się później („**Przerwana dekada**”, 1990): „ — *Jakimś dziwnym trafem telefon Kuroń działał bez usterek, nie było żadnych awarii. Sądzę, że odpowiedni funkcjonariusze pilnowali, aby nic się w tej bezcennej dla Kani aparaturze nie zepsuło*”. Czy można się dziwić, że prawicowcy mówili o „*opozycji licencjonowanej*”? Żarty skończyły się jednak, gdy gen. Jaruzelski wprowadził „*stan wojenny*” — przywódcę KOR-u znowu zapuszkowano.

„*Stan wojenny*”, co wszyscy wiedzą, był efektem powstania i rośnięcia w siłę Wolnych Związków Zawodowych, a te były efektem masowych strajków 1980 roku. Ówczesną rolę KOR-u tak wspomina (2003) jeden z pierwszych współzałożycieli WZZ, K. Wyszowski: „ — *Podkreśla się dziś chętnie, że bez «stanu wojennego» nie byłoby «okrągłego stołu». Owszem, bez czołgów i ZOMO, bez zniszczenia pierwszej «Solidarności», nie udało się przerobić Kuroń, Geremka, Michnika i Mazowieckiego na przywódców narodu, bo przed 13 grudnia 1981 oni wcale takiej pozycji nie zajmowali (...) Wobec kuroniady długo mieliśmy złudzenia, gdyż Kuroń potrafił ukrywać rzeczywiste motywy swoich działań. Nie wiedzieliśmy, że KOR to typowa leninowska jaczejka, składająca się z kadrowej partii wewnętrznej i otaczającego ją środowiska tzw. pożytecznych idiotów. Złudzenia straciłem późno, bo nie brałem wtedy pod uwagę trwałego porażenia złem, jakie zostawia w człowieku zaangażowanie w leninizm (...) W sierpniu 1980 roku i władze, i lewica korowska, tzw. eksperci i doradcy, mieli wspólny program — za wszelką cenę nie dopuścić do powstania prawdziwie wolnej organizacji związków zawodowych. Kuroń przyjechał do Gdańska z chytrze skonstruowanym planem działań, który (gdyby został przyjęty) zniweczyłby nasze długotrwałe starania. Przyjechał jako działacz niezależnej struktury opozycyjnej, a działał niczym wysłannik jakiegoś powołanego przez władze sztabu kryzysowego (...) Kuroń przywiózł też, wręcz zbrodniczy koncept zniszczenia dzieła strajku. Podczas strajku tzw. doradcy usilnie namawiali nas do rezygnacji z prawa do tworzenia wolnych związków zawodowych (...) Ustalenie źródeł koncepcji nałożenia «Solidarności» kagańca powinno być jednym z pilniejszych zadań badawczych dla historyków IPN*”.

Założycielowi i faraonowi Komitetu Obrony Robotników jakoś nigdy nie udało się zdobyć zaufania robotników. Ostatni raz przekonał się o tym roku 1994, gdy gniewni proletariusze nie wpuścili go do klubu „Ursus”, gdzie przyjechał, by z nimi rozmawiać. Czekał pod drzwiami prawie godzinę i

musiał odjechać jak niepyszny. Wrogość tych robociarzy wobec Kuronia wynikała z dawnych jego „zasług”, pacyfikujących „Solidarność”, i ze świeżych, ministerialnych, bo dopiero co pełnił funkcję ministra w ekipach T. Mazowieckiego i H. Suchockiej.

Że dawny trockista zostaje dygnitarzem państwowym — to nic dziwnego; dla lewicowej Europy wprost reguła (były goszystowski bojówkarz, J. Fischer, został niemieckim ministrem spraw zagranicznych; były maoista, Portugalczyk J. Barroso, został przewodniczącym Komisji Europejskiej UE; etc.). Ale że lewak zostaje ministrem fatalnym dla proletariatu — to już sprawa przynajmniej terminologicznie osobliwa. Kuroń był fatalnym ministrem pracy, gdyż zamiast pracy dawał ludziom zupki przed kamerami i w blasku fleszów, nosząc kucharski czepek na głowie. Jak to „*dobrzy ludzie*”. Żli ludzie krytykowali go za to mocno. Prof. A. Tymowski: „*Minister nie może kłaść głównego akcentu na zbieranie jałmużny*”. „*Kisiel*”: „*Kuroń rozszłościł mnie, gdy jako minister pracy i spraw socjalnych, zamiast uczyć ludzi jak mają szukać pracy w nowym ustroju, mówił tylko o filantropii, radził gdzie i jak zebrać, dokąd zgłaszać się po branie zasiłków*”. Prof. J. R. Nowak: „*Stał się jaskrawym przykładem bezgranicznej niekompetencji, której koszty odczuwamy po dziś dzień. Efektem tej jego niekompetencji, braku walki z bezrobociem i fatalnego braku polityki społecznej, było bezrobocie 2 600 000 osób (...)* *Kompetencje Kuroń zastępował cikliwym sentymentalizmem* „.

Ale tak właśnie, dzięki taniemu aktorstwu i „*ckliwemu sentymentalizmowi*”, rodzi się idolatria. Czerwony harcerz stał się maszynką różowego „*Salonu*” do uwodzenia rzesz półinteligentów i biedaków. Prof. A. Sarapata (tekst „*Idol*”, 1995); „*Jacek Kuroń posiada wielki kunszt aktorski, wie dobrze jak «grać», jak zręcznie blagować. Bez zajknięcia mówi o «gigantycznych rozmiarach zaniedbań», słowem nie wspominając o swym resortowym podwórku, za które jest odpowiedzialny. W społeczeństwie naszym, pobłażliwym wobec nierzetelności i braku kwalifikacji, tęskniącym za idolami i bohaterami, mistrz autoreklamy zdobywa powszechne uznanie i zaufanie. Nieudolny, nierzetelny, blagier, lecz «rozumiejący ludzi», «troszczący się» o nich, mówiący, że «serce go boli», dowcipny, nie gardzący kielichem, «nasz», „.*

Wśród Polaków „*niegardzenie kielichem*” zawsze było cnotą, ale cudzoziemców trochę zdumiewało, że to cnota ministerialna. Znany francuski ekonomista, G. Sorman, po wizycie w Polsce i zetknięciu się z J. Kuroniem pisał: „*Wódka jest obecna już od rana w biurze ministra. On nie tyle pije, co wręcz tonie wewnątrz szklanki. Fioletowy, wrzeszczący, dziwny, przekrzykuje i nie słucha pytań. Czy nie runie przy mnie na podłogę? (...) W jakim innym kraju taki Kuroń byłby ministrem?*”. Niestety, prócz opisów zostały i zdjęcia.

Znany papieski fotografik, A. Bujak: „ — Są fotografie, które ścinają człowieka z nóg. Proszę sobie wyobrazić, zasiadam w jury Ogólnopolskiego Konkursu na Fotografię Prasową. Otwieramy kopertę i cóż widzimy? Towarzyszą Kuroń, z białkami wywróconymi do góry, z rozpiętymi spodniami... ”.

Lecz przecież zawsze i z rozpostartymi ramionami, co jest typowe dla „dobrych ludzi” — rozpostartymi zwłaszcza wobec komunistów (exemplum gwałtowna obrona SLD przez Kuronia na łamach „Gazety Wyborczej” w szczytowym momencie tzw. „sprawy Oleksego”, gdy walcowano tegoż agenturalność) i wobec peerelowskich nomenklaturowców tudzież esbeków, których z upodobaniem przyjmował do pracy, dając wysokie stanowiska (jak choćby byłego członka KC PZPR, J. Szretera, czy byłego zastępcę Kiszczaka, płk. A. Gdulę). „Express Wieczorny” pisał wtedy (artykuł „Esbek u Kuronia”, 1993): „Po ministerstwie rozniosła się fama, że Kuroń ma wobec Gduli dług wdzięczności z dawnych czasów”. Gorzej było z długiem wdzięczności wobec dawnych wyrobników KOR-u, których Kuroń do ministerstwa nie ciągnął. „Tygodnik Solidarność” pisał o nich, że „mają wszelkie powody czuć się przegrany. Bo kiedy było ciężko, i trzeba było nadstawić karku, przewieźć bibułę, byli potrzebni, ale kiedy w wolnej Polsce rozdzielało się posady, funkcje i zaszczyty — już nie”. Kuroń, odpierając zarzut, iż faworyzuje esbeków, burknął: „ — Potrzebni mi są fachowcy z kompetencjami! ”. Naiwni eks-towarzysze walki mieli kompetencje do czegoś innego — nie te, co trzeba. Byli tragarzami KOR-u, ale nie członkami różowego „Salonu” — cecha dyskwalifikująca tout court.

2. Gensek honorowy

Gdyby trzeba było scharakteryzować prof. B. Geremka jednym zdaniem, rzekłbym tak: bardzo sympatyczny pan, który wyznaje bardzo niesympatyczne poglądy i stosuje bardzo niesympatyczne chwyt. Lecz profesor, który zawsze kochał grać rolę królów, a nie rolę halabardników, obraziłby się, gdybym poświęcił mu tylko jedno zdanie, bo przecież J. Kuroniowi poświęciłem kilka stron. Więc ad (ge)rem.

Kiedy już wspomniałem raz jeszcze Kuronia, zacznijmy od jego opinii o Geremku. Któregoś dnia Kuroń wytłumaczył jednemu z braci Kaczyńskich: „ — Ty się nie dziw, że Geremek jest często przeciwko różnym przedsięwzięciom. On je ocenia w zależności od tego, czy sam w tym uczestniczy i odgrywa czołową rolę, czy nie. Jeśli nie odgrywa, to jest źle, jeśli odgrywa, dobre. No, każdy ma w sobie trochę tego rodzaju tendencji, ja oczywiście też, ale jednak jestem w stanie powiedzieć o czymś coś dobrego, mimo że w tym nie uczestniczę, a Geremek nie ”.

Mimo że ja nie uczestniczę w różowym „Salonie” pana Geremka i spółki, „jednak jestem w stanie” powiedzieć o nim (o Geremku) coś dobrego: ten człowiek ma wygląd biblijnego (starotestamentowego) proroka-arystokraty. Zauważono to już dawno. Pewien rozmówca red. J. Paradowskiej (dziennikarskiej gwiazdy czerwonej „Polityki”) tak jej opisał Geremka: „ — *Typ arystokraty. Nie słucha ludzi, jeżeli z góry założy, że nie mają mu nic do powiedzenia. Moim zdaniem jest to jego dramat i dramat wielu polityków jego obozu (...) Ma dar stwarzania konfliktów*”. O geremkowskim darze stwarzania pozorów arystokratyczności-monarchiczności-profetyczności (a przy okazji o sile różowego Salonu Wpływu jako swoistej „grupy trzymającej władzę”) pisał też J. Urban („Atlas Urbana”): „*Geremek należy do trzech-czterech ludzi, którzy rządzą Polską. Zabawne, że mając taki łeb i taką władzę, dba o to, aby tę swoją rolę akcentować i uzewnętrzniać każdym słowem i gestem. Mówi, podkreślając intonacją, że cokolwiek wypowie, ma to wartość i wagę worka złota. Nosi się jak monarcha, na oczach milionów wręcz puchnie od ważności. Takie przedstawienia urządzają sobie na ogół ludzie, którzy władzy nie mają, lecz obnoszą tylko jej pozór. Tymczasem to polityk poważny i rozważny, a władzę ma rzeczywiście. Jednym słowem, facet wyjęty jakby z prowincjonalnego teatrzyku, który nieudolnie i mozolnie udaje kogoś, kim rzeczywiście jest*”.

Kim rzeczywiście jest Geremek ustalał m.in. prof. J. R. Nowak, pomieszczając biogram w „Czarnym leksykonie” (1998); warto zaczerpnąć stamtąd kilka sądów: „*Przy każdej okazji profesor Geremek stara się, z wielkim napuszeniem, stworzyć obraz człowieka obdarzonego swego rodzaju posłannictwem, wręcz*

misją dziejową (...) Zawsze kojarzył mi się głównie z postaciami wielkich faryzeuszy z historii. Dobrotliwe miny i pełen namaszczenia i zatroskania o rodaków głos ukrywały niemałe stężenie jadu, z jakim czaił się na swych przeciwników, lecz umiał zawsze dobrze ukrywać te mniej nobliwe swoje uczucia i z rzadka tylko zawodziły go nerwy (...) Reklamowany w «różowych» mediach jako niezwykle umysł, największy z geniuszy politycznych (...) Dość powszechnie był i jest oceniany jako mistrz zakulisowych manipulacji (...) Jest prawdziwym mistrzem dezinformacji i kłamstwa. Gdyby był średniowiecznym władcą, na pewno przeszedłby do historii z przydomkiem «Kłamiwy» (...) Umie z dnia na dzień zaadaptować na swe potrzeby pogląd, który był mu obcy jeszcze wczoraj (...) Szara eminencja UD, a później UW (...) Unijny guru”.

Nie ze wszystkimi tezami prof. Nowaka się zgadzam, sądę bowiem, iż co najmniej dwie z tych opinii lepiej pasowałyby do A. Michnika — jako średniowieczny władca ksywkę „Kłamiwy” prędzej zyskałby wybiórczy

„*Adaś*” niż unijny „*Broniek*”, i również tamten, a nie Geremek, jest od dawna salonowym guru nad Wisłą. „*Guru*” to mentor, mistrz, belfer, i takiego właśnie opiniotwórcę-przewodnika, zwornik „*Salonu*”, tubę definitywną, gra już piętnaście lat szef „**Gazety Wyborczej**”, z dużym skutkiem, bez dwóch zdań. Prof. R. Legutko: „*Wpływ Michnika na niektórych ludzi jest tak duży, a jego retoryka tak silnie działająca, że pojawiła się rzesza osób, które przyjęły jego schemat jako słowo objawione. Mówią one «Michnikiem» i myślą nim w sposób bezrefleksyjny; od krytycznego namysłu powstrzymuje je mocne przekonanie, że skoro Mistrz walczy z Ciemnogrodem, to krytykować go może również tylko Ciemnogród*”. Natomiast B. Geremek nie pretenduje do roli guru, gra raczej patriarchę „*Salonu*”, autorytet olimpijski brodaty, swoistego Jowisza czy Jehowę po świecku, rzeczywiście będąc „*szarą eminencją*” różowego Salonu Wpływu w naszym państwie. Współzakładał i ROAD, i Unię Demokratyczną, i Unię Wolności, nigdy jednak nie został przewodniczącym tych partyjnych struktur — zawsze sterował partią „*Salonu*” z tylnego siedzenia (tuż za plecami szofera), ergo: spoza kulis. Anglosasi zwą podobnych sztukmistrzów: „*wire-puller*” (machinator; ten, który rusza sznurkami marionetek). Był i jest wiecznym gensekiem honorowym (rosyjskie „*gensek*” — generalny sekretarz partii), ale praktycznie mającym realną władzę naczelną. Taki „*pułkownik czyli generalissimus*”. Jak symbol brzmiało otwarcie przez formalnego szefa UD jej kongresu: „*— Oddaję obrady w doświadczone i sprawdzone ręce Bronisława Geremka*”. J. R. Nowak: „*Dla kosmopolitycznych elit «warszawki» i «krakówka» nie ma większego polityka niż Geremek*”.

Ten „*największy polityk*”, przemawiając do krajów Europy w Strasburgu (przemawiał jako deputowany Parlamentu Europejskiego — lipiec 2004), ubolewał, że Polska była długo, wbrew swej woli, odcięta od Europy cywilizowanej. Nie dodał tylko, że tę Polskę odcięła wysługująca się Kremlowi partia renegatów, w której on pracował (i to jako lokalny VIP) przez całe osiemnaście lat. Rzekł również wtedy: „*— Znacie mnie, znacie mój życiorys*”. Miał na myśli ostatnie piętnaście lat — reszta jest milczeniem. Nieładnie tak manipulować prawdą, „*panie Bronku*”!

Profesor Geremek, uczony, badacz, historyk, to jeden z żywych dowodów, iż kolaboracja inteligencji polskiej z czerwoną dyktaturą — owa „*faustowska transakcja z komunizmem*” — nie obejmowała tylko pisarzy, poetów i artystów, lecz również renomowanych naukowców. O tej kooperacji między elitą twórczą a totalitaryzmem tak mówi Geremka „*kolega po fachu*”, też historyk (tylko antykomunistyczny), prof. T. Strzembosz: „*Bardzo istotny jest problem postaw ludzi pióra, nauki, mass mediów, którzy kolaborując z tym*

specyficznym systemem okupacyjnym lat 1945-1989, określanym jako PRL, wyrządzali szczególne szkody (...) Promowano wtedy karierowiczostwo, służalstwo, zaś karano niezależność myślenia, patriotyzm, tożsamość narodową. Pedagogika kłamstwa, schizofreniczny rozryw między wzorem człowieka lansowanym przez literaturę i mass media a wzorem rzeczywiście akceptowanym i popieranym przez władze, stanowiły jeden z najboleśniejszych aktów niesprawiedliwości społecznej (...) Do PZPR wstępuje magister, doktor, profesor, pisarz, człowiek dojrzały, zorientowany w świecie. Fakt, że tacy ludzie, należący do elity, wspierali ten system, jest jednym z powodów zachwiania równowagi moralnej społeczeństwa, swoistego zatrucia". Polonijny dziennikarz, Z. Koreywo, ujął to mniej akademicko i trochę krócej: „Trzeba było być nie lada świnią, by zgodzić się na piastowanie choćby podrzędnej funkcji w aparacie partyjnym PZPR-u”. B. Geremek był sekretarzem Oddziałowej Organizacji Partyjnej PZPR Uniwersytetu Warszawskiego.

Jako historyk zasłynął prof. Geremek pracami o proletariacie i o „*ludziach marginesu*” (mętach i przestępcach) średniowiecznego tudzież renesansowego Paryża. Pisząc o prostytutkach, napomknął: „*Czasy renesansu wytwarzają nieznaną chyba w średniowieczu kategorię kurtyzan wykształconych (...) Czy prostytutki te miały własną organizację?*”. Nie wiadomo (autor nie rozstrzygnął tego problemu). Wiadomo natomiast, że wykształcone prostytutki epoki PRL-u miały organizację o nazwie PZPR. Po upadku komunizmu niejednokrotnie pytano Geremka dlaczego wstąpił do tej prosowieckiej partii. Odpowiadał: „— *Wstąpiłem, bo uważałem, że istnieje zespół fundamentalnych wartości, które mnie z tą partią wiążą (...) Sądziłem wtedy, że komunizm jest młodością świata*”. Sądził tak, gdy PZPR masowo mordowała patriotów. Sądził tak, gdy jego uczelniana komórka partyjna piętnowała desperacki bunt poznańskich robotników (1956) jako „*wichrzycielstwo wrogów narodu polskiego budującego socjalizm*” (wy tłumaczył swą nieświadomość faktem, że wówczas był w Paryżu). Sądził tak, gdy swym piórem apologetyzował totalitarny ustrój (R. Bender: „*Bronisław Geremek, będąc w partii, pisał panegiryki o PRL-u i o komunistycznym rajach, wychwalając «chorążego pokoju», Józefa Wissarionowicza*”). Sądził tak bardzo długo.

Wystąpił z partii A. D. 1968. „*Wstąpiłem do PZPR z iluzji, i wystąpiłem, gdy te iluzje straciłem*”. Rzekomo stracił je dopiero wtedy, bo wówczas Sowietnicy najechali Czechosłowację (gdy wcześniej najechali Węgrów, to mu nie przeszkadzało). Wydaje się jednak, że motywem głównym stała się ówczesna kampania antysemicka prowadzona przez „*góre*” PZPR-u. Syn warszawskiego rabina, ocalony z Holocaustu dzięki gojom, państwu

Geremkom (stąd nowe nazwisko), którzy jak tysiące innych polskich rodzin uprawiali „*tradycyjny polski antysemityzm*” przechowując sekretnie Żydów, choć groziła za to (i często była egzekwowana) automatyczna kara śmierci dla całej łamiącej niemieckie prawo rodziny — nie mógł Geremek pozostać obojętnym na antysemickie represje własnej partii. Jednak marksistą nigdy być nie przestał; jeszcze w 1994 roku zapewniał, że „*upadek marksizmu jako doktryny politycznej nie oznacza porażki inspiracji marksistowskiej*”.

Legenda obrosła, przez kilka lat była porzekadłem i zasilila dzieje semantycznego kuglarstwa tudzież fałszów geremkowska wykładnia faktologii. Już w III RP — wskutek być może lapsusu językowego, lecz niewykluczone, że i przez rutynę stosowania sofizmatów — Geremek powołał się na coś, co nie było prawdą. Kiedy mu błąd wytknięto, tłumaczył się, że gdzieś o tym przeczytał, więc musi to być fakt — „*fakt prasowy*”. Później geremkowskimi „*faktami prasowymi*” zwano w Polsce wydrukowane kłamstwa. Odwracając całą tę wpadkę — można chyba uznać za kłamstwa fałszowanie rzeczywistości metodą niedrukowania faktów. Biogram B. Geremka zamieszczony przez biograficzne kompendium „**Kto jest kim w Polsce**” (1993), a zmaistrowany przez niego samego — ma ciekawe życiorysowe luki. Brak tam choćby informacji, że był współredaktorem „**Argumentów**”, pisma wojujących ateistów. Bądź faktu jeszcze ciekawszego — że przez cztery lata (1962-1965) był dyrektorem Ośrodka Kultury Polskiej w Paryżu, czym przecież winien się chlubić! Ale wolał to zamilczeć, skasować, jakby według reguły, że gdy coś jest niewydrukowane, to nie było istniejące — faktu nie było! Zwłaszcza ten drugi, paryski, niewydrukowany-„nieistniejący” fakt bulwersuje mocno.

Geremek spędził w Paryżu sporo czasu. Był to Paryż stalinisty Sartre'a, królującego wszystkim europejskim lewacom. I Paryż masonerii twardo walczącej z Kościołem (A. Lenkiewicz, „**Typy i typki postkomunizmu**”: „*Wszystko wskazuje na to, że opinie, m.in. prof. Ryszarda Bendera, o wejściu Geremka w struktury masońskie, są całkowicie uzasadnione*”; J. Korwin-Mikke: „ — *Ogromne wpływy ma u nas masoneria. Niestety, głównie Wielki Wschód, czyli ta najbardziej lewicowa. Jeśli państwo sobie myślą, że Geremek został zaproszony do Paryża i do Sorbony tak sobie, to się państwo mylą*”). Wrogowie Geremka twierdzili i twierdzą, iż obejmując tam prestiżowe stanowisko dyrektora Ośrodka Kultury Polskiej musiał być agentem peerelowskich „*szluzb*”, gdyż było wówczas absolutnie niemożliwe, aby tak odpowiedzialną funkcję zagraniczną dano komuś spoza „*Firmy*”. Jako przesłankę pomocniczą wskazują jego wściekłość wobec wszelkich prób lustracji (gdy 1990 roku, podczas obrad komisji sejmowej, R. Bartoszcze

proponował, by uniemożliwić MSW niszczenie „teczek”, bo jest to niszczenie dowodów — zawsze zrównoważony Geremek zsiniał, zerwał się i zaczął nań krzyczeć z taką furją, że nikt nie zrozumiał treści wykrzykiwanych zdań, bo wskutek gniewu krzyczący połykał słowa!). Ale to nie dowód. W roku 1995 „Gazeta Polska” (wówczas jeszcze antysalonowa, czyli antymichnikowska) wydrukowała tekst P. Bączka „Profesor Geremek — stary gracz”, i niedługo po tym zamieściła „wyjaśnienie” uzupełniające, które tyczyło tzw. „listy Macierewicza” (listy rządowych i sejmowych prominentów, co niegdyś byli TW — „tajnymi współpracownikami”): „Minister Macierewicz usunął z listy przekazanej Konwentowi Seniorów nazwisko Bronisława Geremka z powodu braku niepodważalnych dowodów. Geremek widniał jako TW tylko w odziedziczonym po SB zapisie systemu komputerowego (...) i uznano to za niewystarczający dowód”.

Równie mocno co prób lustracji, prof. Geremek nienawidzi postulowania dekomunizacji (choć denazyfikację osądza jako akt sprawiedliwości dziejowej), mówiąc: „ — Za monetę o nazwie dekomunizacja nie można kupić niczego wartościowego”. Myli się pan, szanowny numizmatyku! Za tę monetę można byłoby kupić wymiecenie z rodzimego cyrku politycznego sfory „umoczeńców”, co zderatyzowałoby nadwiślańskie życie polityczne, przydając mu więcej godności. Ale rozumiem, że taki akt niesprawiedliwości dziejowej przerzedziłby jednocześnie pański „Salon”, eliminując zbyt dużą liczbę „moralnych autorytetów”...

Warto tu zauważyć, iż bardzo dzisiaj popularny termin „moralny autorytet”, którym „Salon” namaszcza salonowych koryfeuszy, został przyklejony B. Geremkowi jako pierwszemu, ergo: kariera tego określenia zaczęła się od „pana Bronka”. Symboliczne dla owej autorytetowości moralnej Geremka i ludzi Geremkowi podobnych wydaje mi się skojarzenie, jakie miałem oglądając kilka dni temu dziennik telewizyjny stacji TVN („Fakty”). Dużą sekwencję poświęcono tam problemowi przekupności rodzimych sędziów piłkarskich (a propos meczu Wisła Płock—Polonia Warszawa, gdzie sędzia „drukował” wprost bezwstydnie), piętnując ten proceder, i użyczono głosu „autorytetowi moralnemu” — emerytowanemu sędziemu piłkarskiemu, który niegdyś, przez dwie dekady PRL-u, był najślawniejszym polskim „sędzią międzynarodowym”. Szlachetne wystąpienie tego nobliwego pana musiało do łez rozśmieszyć kibiców-weteranów, którzy pamiętają, że za swoich czasów był on żywym symbolem korupcji sędziowskiej, nie tylko nad Wisłą — chętnie zapraszano go do sędziowania meczów w całej Europie, bo był tani (jak mówiono: „ustawiał” mecz za karton whisky) i nigdy nie

odmawiał. Tego typu „*autorytetów moralnych*” nadwiślański „*Salon*” wyhodował sobie mnóstwo.

Jako „*moralny autorytet*” pierwszorzędного kalibru i jako „*ekspert*” Geremek zadebiutował roku 1980, udając się do strajkującej Stoczni Gdańskiej. W. Kwiatkowska („**«Solidarność» i opozycja antykomunistyczna w Gdańsku 1980-1989**”) podaje, że na warszawskie lotnisko odprowadził Geremka i Mazowieckiego pułkownik MSW, który do ostatniej chwili instruował ich: „ — *Ten konflikt trzeba rozładować, koniecznie rozładować!*”. A. Lenkiewicz: „*Prawdziwa kariera Geremka rozpoczęła się w sierpniu 1980 roku. Za przyzwoleniem służb specjalnych, razem z Tadeuszem Mazowieckim znalazł się w Stoczni Gdańskiej*”. Co tam robił? To samo, co J. Kuroń i „*eksperci*” KOR-u. J. R. Nowak: „*Wraz z Mazowieckim próbował nakłonić stoczniowców do rezygnacji z postulatu niezależnych związków zawodowych (...) Na szczęście stoczniowcy nie posłuchali tych «eksperckich» rad*”. Jeden ze strajkowych przywódców, A. Kołodziej, tak wspomina („**Zaciskanie pięści**”): „*Geremek i Mazowiecki przekonywali nas, że żądanie wolnych związków zawodowych jest absurdalne (...) Wtedy nie wiedzieliśmy, że Geremek miał jakieś kontakty z Gierkiem. Te rzeczy dotarły do nas później*”.

W kolejnym roku, 1981, „*najlepszy polityk*” dalej uprawiał „*te rzeczy*”. J. R. Nowak: „*Odegrał fatalną rolę przy opracowaniu tzw. porozumienia warszawskiego, kończącego strajk warszawski, doprowadzając do pójścia na zbyt wielkie ustępstwa wobec rządu*”. W. Kwiatkowska: „*Historycy są zgodni, że dokonano wtedy sprytnej manipulacji, która zdeorientowała związkowców*”. To właśnie wówczas rozwścieczony A. Gwiazda, widząc „*co jest tu grane*”, złożył rezygnację z funkcji wiceprzewodniczącego „*Solidarności*”.

W 2001 roku Instytut Historyczny Uniwersytetu Wrocławskiego wydał solidną pracę zbiorową pt. „**Drogi do niepodległości 1944-1956/1980-1989 — nieznane źródła do dziejów najnowszej Polski**”. Szczególnie interesujące są tam „*nieznane źródła*” Stasi (bezpieki enerdowskiej), które upublicznił W. Sawicki. Oto fragment szyfrogramu wysłanego do Berlina przez warszawskiego ambasadora NRD, H. Neubauera, niedługo przed wprowadzeniem „*stanu wojennego*” (1981): „*Miałem właśnie bulwersującą rozmowę z szefem ekspertów «Solidarności», Geremkiem (ściśle związki z międzynarodówką socjaldemokratyczną). Nie wierzyłem własnym uszom. Geremek oświadczył, że dalsza pokojowa koegzystencja «Solidarności» i realnego socjalizmu jest niemożliwa w takiej formie jak obecna, zatem nieunikniona jest konfrontacja siłowa. Wobec tego trzeba przesunąć wybory do rad narodowych. Organy władzy państwowej muszą zniszczyć solidarnościowy*”.

aparatu. Po takiej rozprawie «Solidarność» mogłaby się reaktywować, ale już jako rzeczywisty związek zawodowy, bez Matki Boskiej w klapie marynarki, bez programu gdańskiego, bez ambicji politycznych. Geremek kontynuował:

można byłoby zachować tylko siły umiarkowane (...) Nie mogę jeszcze ocenić, czy mówił tylko we własnym imieniu”. Brzydko się pan bawił „tą Polską”, panie profesorze!

W roku 1988, a także w 1989 roku — roku „okrągłego stołu” — również nie najładniej. W 1988 proponował pan utrzymanie „przewodniej roli PZPR” (tzw. Pakt Antykryzysowy), a w 1989, podobnie jak Kuroń, „sojusz z reformatorskim skrzydłem PZPR” (wywiad dla Agencji TASS) oraz utrzymanie przy życiu NRD, niemieckiego satelity Kremla. To ostatnie podczas „sondażowej” rozmowy (ileż było tych rozmów!), którą odbył z panem pracownikiem ambasady NRD. Ów dialog tak rozanielił tego pracownika, funkcjonariusza von Zwolla, że wysłał on bezzwłocznie do Berlina szyfrogram, gdzie stało: „Proszę o wskazówki w sprawie dalszych nieoficjalnych kontaktów”.

Żadnych kontaktów, ani oficjalnych, ani nieoficjalnych, nie chciał prof. Geremek utrzymywać tylko z antykomunistami. Koalicję pięciu partii wspierających krótkotrwały antykomunistyczny rząd premiera J. Olszewskiego (1991/1992) przezwiał wzgardliwie „bandą pięciorga”. Jako członek ścisłego sztabu różowego „Salonu” — bandy czworga — zawsze nienawidził antykomunistów bardziej niż antysemitów. Co można też rzec i o trzecim spośród czterech jeźdźców różowej dżumy:

3. Postępowy katolik

B. Geremek był za młodu stalinistą-mediewistą, a T. Mazowiecki stalinistą-katolikiem. Czyli „katolikiem postępowym”. I takim „katolikiem” — „postępowym” — nigdy być nie przestał.

Komunizm wytworzył czerwoną „nowomowę” (której poświęcono już całe rozprawy), a obejmowała ona również kłamliwą grypsere hasel propagandowych, swoisty kod, gdzie treść propagandowego sformułowania była odwrotnością stanu faktycznego, zaprzeczeniem rzeczywistości. Termin „demokracja ludowa” w istocie oznaczał system totalitaryzmu. „Dyktatura proletariatu” — dyktaturę aparatu partii komunistycznej. „Siły pokoju” — lewackie środowiska opiniotwórcze, wspierające powojenną agresywność struktur militarnych Związku Sowieckiego. „Radziecka myśl techniczna” — kradzież rozwiązań technicznych Zachodu (od żarówki, fotokamery czy konstrukcji samochodowych, po budowę broni atomowej). „Ruchy narodowowyzwoleńcze” — bandyckie ugrupowania komunistyczne, destabilizujące krwawym terrorem dużo państw. „Niezależne dziennikarstwo”

— dziennikarstwo agenturalne, wspierające komunizm. „*Dążenia postępowej ludzkości*” — próby narzucenia całemu światu doktryny i praktyki komunistycznej. Itd., itp.

PRL miała w tej mierze własne, czyli regionalne osiągnięcia (własne terminologiczne wynalazki) — także wobec Kościoła. „*Księżmi-patriotami*” reżim pezetpeerowski zwał tych księży katolickich, których udało się zmusić lub nakłonić do kolaboracji proreżimowej. Zaś tych katolików, którzy współpracowali z reżimem, zwano „*katolikami postępowymi*”. Czyli komunizującymi. Już w XIX wieku znakomity ówczesny politolog, markiz A. de Custine, twierdził (całkowicie słusznie), że ci, którzy zgadzają się na „*katolicyzm liberalny*” (tak wtedy zwano „*postępową*” dywersję wewnątrzkościelną) — zdradzają katolicyzm. Działalność „*postępowych katolików*” w dobie PRL-u była zdradą katolicyzmu.

Gdy A. D. 1953 reżim rozpętał dziką kampanię antykościelną, i aresztowano pod zarzutem „*dywersyjnej działalności*” pewną liczbę księży, w tym kieleckiego biskupa, Cz. Kaczmarka — jeden z czołowych „*katolików postępowych*”, znany dziennikarz, gorąco wspierał brutalną akcję reżimu swoim piórem, piętnując kler, a co i rusz używał przy tym terminu „*postęp*”: „*Nastawienie wrogie wobec postępu społecznego* „’, „*Wychowanie nacechowane wrogością wobec postępu społecznego*”; „*Działalność wroga wobec interesu narodowego i postępu społecznego w Polsce Ludowej*”, etc. Tym „*postępowcem*” był T. Mazowiecki. Wiedział, jak wiedziała cała Polska, że biskupa Kaczmarka (tudzież współoskarżonych) ciężko torturowano, i że zarzut działalności szpiegowskiej oraz dywersyjnej dla „*amerykańskiego imperializmu*” to wredny kłam bolszewicki, i że proces przeciwko „*klerowi*” jest farsą sądową a la procesy sowieckie (biskup został skazany na 12 lat!), lecz pióro mu nie drgnęło, gdy pełen „*postępowego*” zaangażowania pisał:

„*We wtorek 22 września bieżącego roku Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie ogłosił wyrok w sprawie ks. biskupa Kaczmarka oraz ks. J. Danilewicza, ks. Wł. Widłaka, ks. J. Dąbrowskiego i siostry W. Niklewskiej — oskarżonych o zorganizowanie ośrodka prowadzącego działalność dywersyjną, wymierzoną przeciwko państwu ludowemu, działalność godzącą w najżywniejsze interesy naszego narodu (...) Na rozprawie sądowej zanalizowana została przestępcza działalność oskarżonych, jak i jej skutki (...) Atmosfera środowiska społecznego rozniecająca lub choćby tylko podtrzymująca bezwzględna wrogość wobec osiągnięć społecznych Polski Ludowej, wpływy polityczne przychodzące z zewnątrz i wyrosła na tym wszystkim błędna postawa polityczna ks. biskupa Kaczmarka, która doprowadziła go do kolizji z prawem — oto sumarycznie ujęte przyczyny działalności przestępczej oskarżonych.*”

Doprowadziły one do czynów skierowanych przeciwko interesom własnego narodu (...) Doprowadziły w szczególności nie tylko do postawy przeciwnej nowej rzeczywistości naszego kraju, nie tylko do podrywania zaufania w trwałość władzy ludowej i nowych stosunków społecznych w Polsce — ale i do uwikłania się we współpracę z ośrodkami wywiadu amerykańskiego, które pragnęły posługiwać się przedstawicielami duchowieństwa jako narzędziem realizacji swych wrogich Polsce planów (...) Z tego stanowiska wynikało wiązanie się z imperialistyczną i nastawioną na wojnę polityką Stanów Zjednoczonych (...) Przedstawiając się jako obrońca cywilizacji chrześcijańskiej, imperializm amerykański dokonuje nadużycia, pragnąc oszukać katolików w krajach demokracji ludowej, w szczególności w Polsce, że nowa wojna, wojna dokonywana przy pomocy neo-hitlerowskiego Wehrmachtu, ma pozostawać w zgodzie z dobrem Kościoła (...) Dlatego więc nie tylko bolejemy, ale i odcinamy się od błędnych poglądów ks. biskupa Kaczmarka, które doprowadziły go do akcji dywersyjnej wobec Polski Ludowej (...) Wierzymy bowiem

najgłębiej, iż przyszłość należy do ustroju społecznego, w którym żyjemy”.

Cały ten proreżimowy bełkot brzmi dzisiaj zabawnie (wtedy miał wymowę tragiczną), ale szczególnie komiczny jest tam passus piętnujący uleganie „wpływowi politycznym pochodzącym z zewnątrz”, gdy rządzący wówczas Polską renegaci nie śmieli nawet pierdnąć bez rozkazu lub zgody Kremla. T. Mazowiecki ulegał tylko wpływom pochodzącym z wewnątrz — nie śmiał palcem kiwnąć bez rozkazu lub zezwolenia Wydziału Kultury KC PZPR. Dlatego aprobeował represje antykościelne 1953 roku (tzw. „sprawa Kaczmarka” nie była jedyną; tego samego roku proces księży krakowskich dał trzy wyroki śmierci, a polscy intelektualiści — Mrozek, Szymborska etc., więcej niż pół setki literatów — specjalną „rezolucją” piętnowali skazanych jako „zdrajców ojczyzny, amerykańskich dywersantów i szpiegów, powiązanych z Krakowską Kurią Metropolitalną”). I dlatego też w konflikcie między kardynałem Wyszyńskim a bezpieką wziął stronę reżimu. Gnojenie biskupa Kaczmarka było bowiem pokazówką treningową, ćwiczeniem do większej akcji — do aresztowania prymasa Polski, kardynała S. Wyszyńskiego. Nastąpiło ono momentalnie, trzy dni po skazaniu biskupa, i prymas był przez kilka lat więziony. „Sprawa Kaczmarka” pokazała władzom, że służebne media umieją robić dla antykościelnych represji właściwy klimat. W. Lenkiewicz: „W ramach kampanii przygotowującej aresztowanie Prymasa Polski (sprawa biskupa kieleckiego, Czesława Kaczmarka), właśnie Tadeusz Mazowiecki odgrywał czołową rolę w zakłamywaniu i zniewalaniu polskiej opinii publicznej”.

Wymyśliłem (dawno temu) i puściłem w obieg (zrobiło karierę) powiedzonko: „*something pojebałoś*”, (coś się pochrzańało, coś się pomyliło, coś się poplątało — dosłownie: coś się popier...ło). Świetnie ono pasuje do antykościelnej postawy „*katolika postępowego*” T. Mazowieckiego. Jemu właśnie „*something pojebałoś*”, — utożsamiał cele katolicyzmu z celami bolszewizmu (tak jak zresztą wielu innych; żeby wymienić tylko pisarza J. Dobraczyńskiego, czy działacza B. Piaseckiego, sterowanego przez enkawudystę I. A. Sierowa, późniejszego szefa GRU). A to nie był dobry pomysł.

T. Mazowiecki miał wówczas dużo kiepskich pomysłów. Jednym z nich było znalezienie się w paczce stalinowskich agitatorów, którzy wysmażyli probolszewicką książkę „**Wróg pozostał ten sam**” (1952). Wroga wyznaczał towarzysz Bierut, i oni robili co trzeba. Dzięki temu zyskiwali duże pensje, honoraria, nagrody i popularność. Nieliczni, którzy odmawiali (exemplum poeta Z. Herbert), mieli ciężkie życie i ledwie wiąźali koniec z końcem, wegetując (czasami głodując). Ekonomista i pisarz, przyjaciel Herberta, W. Kieżun, powiedział o Herbercie: „ — *To był uczciwy człowiek. Ci uznani za wielkich pisali stalinowskie panegiryki, choćby Szymborska. Przecież nie działali pod przymusem. Oportunizm i zaprzaństwo — nie wiem skąd się takie odrażające cechy charakteru biorą. Wszyscy oni ulegli zniewoleniu*”. Potwierdził to „*Kisiel*”, mówiąc o Mazowieckim: „*Typowo «zniewolony umysł», mózg wkolejony na jeden tor absurdalnie jałowy i odcięty od wszystkiego, co się dzieje wokół*”. Wokół działa się „*budowa socjalizmu*” gnębiąca społeczeństwo, lecz apologetyzowana przez „*uznanych za wielkich*”, których „*wkolejono na jeden tor*”. Apologetyzacja obejmowała tak skrajne formy „*nowomownego*” bełkotu, że nawet w encyklopediach pojawiło się hasło „**OGÓLNY KRYZYS KAPITALIZMU**”, mówiące, iż „*kapitalizm cechuje stopniowe zmniejszanie się zasięgu systemu kapitalistycznego*” (1965). Oczywiście — na rzecz „*socjalistycznego*”. Kto to rozumiał — ten wygrywał. T. Mazowiecki rozumiał. „*Kisiel*”: „*Mazowiecki zawsze wierzył, jak przeciwko socjalizmowi coś się mówiło*”.

W latach 60-ych i na początku 70-ych T. Mazowiecki był posłem, dzięki czemu mógł reklamować „*socjalizm*” nie tylko piórem, ale i z mównicy sejmowej. Deklarował wówczas gorąco swoje przywiązanie do „*kierowniczej roli PZPR*”, swoje przekonanie co do „*trwałego związku naszego społeczeństwa z socjalistycznymi formami ustroju*”, i swoją obietnicę, że „*nie stawia na erozję socjalizmu*”. Słowem: wyrażał wiarę w przyszłość, o której członek KC PZPR, M. Rakowski, mówił: „ — *Warunkiem wszelkiego skutecznego wychowania jest zdolność wzbudzenia w każdym kolejnym*

pokoleniu wiary w przyszłość, zaszczepienie przekonania, że znamy drogę ku przyszłości i że będzie ona lepsza niż teraźniejszość". Wielki francuski pisarz, A. de Saint-Exupery, odpowiedział na taki bełkot dawno temu:

„A jeśli twierdzą, że poświęcam swoje pokolenie dla szczęścia pokoleń przyszłych — poświęcam ludzi. Nie tych czy innych, lecz wszystkich. Zamykam ich po prostu w ich nieszczęściu. Cała reszta to słowa puste jak wiatr”.

Pytanie: co robił Mazowiecki, gdy A. D. 1968 partia wszczęła nagonkę przeciwko Żydom? Posłował i wyrażał swoje uznanie dla „*kierowniczej roli PZPR*”. 22 lipca 1969 (był to czas, kiedy z Polski uciekała masa Żydów) partia przywiesza Mazowieckiemu Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski (nagrodzono wtedy orderami także B. Piaseckiego, J. Turowicza, S. Stommę, obu Morawskich i in.). „*Kisiel*”, komentując ów fakt, zauważył, że kryterium przyznawania było proste: „*stopniowanie wazeliny, czyli lizusostwa*”. Mimo to (a może właśnie dlatego), gdy później A. Michnik zacznie szukać kontaktu z „*postępowymi*” kręgami okołokościelnymi, by stworzyć salonowy sojusz między „*lewicą laicką*” a lewicą katolicką (tzw. „*katolewicą*”) — wybierze grupę Turowicza i Mazowieckiego, czyli właśnie „*postępowych katolików*”.

„*Postępowi katolicy*” zrzeszali się już (lub byli zrzeszani) za stalinizmu, czego dowodem Stowarzyszenie PAX (Mazowiecki był członkiem PAX-u w latach 1946-1955). Gdy tylko aresztowano prymasa Wyszyńskiego (wrzesień 1953) — J. Dobraczyński i T. Mazowiecki zostali etatowymi członkami (październik 1953) Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich przy Ogólnopolskim Komitecie Frontu Narodowego. W 1956 powstał OGPIK — Ogólnopolski Klub Postępowej Inteligencji Katolickiej. Rok później podzielił się on na pięć KIK-ów — Klubów Inteligencji Katolickiej (Warszawa, Kraków, Toruń, Poznań i Wrocław). Mazowiecki współzakładał warszawski KIK (i został tam prominentem). Ów „*koncesjonowany*” twór stał się znaczącą siłą środowiskową, choć jego przekaz intelektualny był płaski jak biust kulturystki; środowisko to zyskało potęgę opiniotwórczą dopiero wówczas, gdy dzięki przymierzu ze środowiskiem KOR-u weszło w skład nowego „*Salonu*”, który po dziś dzień kręci Rzeczpospolitą. Z władzą partyjną „*pan Tadeusz*” dalej miał dobre stosunki. W. Lenkiewicz: „*W sierpniu 1980 roku i w lipcu 1988 roku, tak jak w grudniu 1970 roku. Mazowiecki delegowany był do Gdańska jako osoba ciesząca się pełnym zaufaniem władz sowieckiego w Polsce namiestnictwa*”.

Sierpień 1989 — Mazowiecki zostaje „*naszym premierem*”, pierwszym szefem rządu III Rzeczypospolitej. Na dzień dobry zarządził „*grubą kreskę*” („... *odkreślenie przeszłości grubą kreską*”), by skasować całą swoją niechlubną przeszłość i takąż przeszłość wszystkich „*umoczeńców*”, jak

również wszystkich konfidentów (TW) tudzież „prowadzących” ich esbeków, oraz wszystkich komunistów. G. Herling-Grudziński nazwał to „Zamazaniem” („Tadeusz Mazowiecki odkreślił przeszłość, uniemożliwił konieczną lustrację i dekomunizację, przyczynił się do upragnionego przez komunistów Zamazania”). Musiał — taki „numer” był w sekretnym cyrografie „okrągłego stołu” warunkiem sine qua non. Prof. A. Nowak mówi: „— «Gruba kreska» Tadeusza Mazowieckiego oznaczała pełną zgodę na funkcjonowanie peerelowskiej agentury w życiu publicznym III RP, bez jakiegokolwiek możliwości jej wyeliminowania”. Pierwszym strzegącym tego wymogu szefem MSW III RP został eks-wódz agentur peerelowskich, gen. Kiszczak, a jego zastępcą (wiceministrem) kumpel Mazowieckiego, K. Kozłowski (późniejszy minister MSW, po ustąpieniu Kiszczaka), prominentny członek „Salonu”. Od strony medialnej, jako szef TVP, interesu pilnował drugi kolega „pana Tadeusza”, też gwiazdor „Salonu”, notoryczny lewak A. Drawicz („...niestety, człowiek agenturalnie uwikłany”, jak zaświadcza red. naczelny „Arcanów”, cytowany już prof. A. Nowak), gdy w prasie karty opiniotwórcze rozdawał salonowy sojusz — „Tygodnik Powszechny” ze strony „postępowych katolików” i „Gazeta Wyborcza” ze strony „lewicy laickiej” (A. Nowak: „— «Tygodnik Powszechny» i «Gazeta Wyborcza», medialny tandem, którego rolę w procesie «amputacji» świadomości historycznej Polaków trudno wprost przecenić”).

„Amputacja świadomości historycznej Polaków” przez katolika to rzecz szczególnie obrzydliwa jeśli się zważy, że najgłośniejszych mordów lat 80-ych bezpieka Kiszczaka dokonała na księżach (Popiełuszko, Niedzielak, Zych, Suchowolec i kilku innych). Niekochany przez Mazowieckiego kardynał Wyszyński lubił powtarzać tekst z drewnianej tablicy cmentarza zakopiańskiego: „Ojczyzna to ziemia i groby. Narody tracąc pamięć, tracą życie”. Ziemia polska dźwiga groby księży, prawdziwych patriotów, którym śmierć zadali znani „nieznani sprawcy”, a etatowy katolik nie chce łapać tych sprawców, czy nawet wspominać tych mordów — chce, by naród utracił pamięć patriotyczną. Co więcej — ów zawodowy katolik będzie wkrótce bez sprzeciwu tolerował wściekłą kampanię antykościelną, jaką rozpęta różowy „Salon”, ta sama „lewica laicka”, która przez całe lata 80-e szukała azylu w murach kościołów i wsparcia u kościelnej hierarchii. Otrzymała tam i azyl, i pomoc, a gdy zdobyła władzę, przeszła metamorfozę, bluznęła wobec dobroczyńcy (Kościoła) nienawiścią przypominającą stare żydowskie porzekadło: „Jakie dobrodziejstwo ci uczyniłem, że mnie tak nienawidzisz?”. J. Mikke (1993): „Kto ma długą pamięć, wie, że dla elity intelektualnej ta metamorfoza jest powrotem do źródeł”. Zaroilo się od tekstów i wrzasków

typu: „Księża na księżyc!”, „Buldożery na kościoły!”, „Czarni”, „Kruchta”, „Józef Glemp — pazerny sep!”, itp. B. Geremek sugerował: „ — *Być może konkordat jest błędem*”, J. Turowicz kwękał: „*Działania i gesty Kościoła szkodzące...*”, K. Orłoś parskał: „ — *Błędy hierarchii Kościoła...*”, A. Michnik puentował: „ — *Zagraża nam fundamentalizm religijny! (...) Uważam, że klerykalizm bardzo źle służy polskiemu państwu!*”, a „katolik” Mazowiecki milczał jak ta trusia, bo był „postępowy”, i był filarem „Salonu” różowego.

W sferze gospodarczej „nasz premier” również zaczął od kiksów — od tolerancji dla seryjnych nomenklaturowych przechwytyw majątku państwowego i dla mega-afer finansowych. T. Bochwic pisała: „*Nomenklatura partyjna wije sobie zasobne finansowo gniazdko w spółkach, tymczasem ludzi wskazujących na proces zawłaszczania przez nią majątku państwowego okrzykuje się zwolennikami «spiskowej teorii dziejów»...* Podobnie zwano tych, którzy doszukiwali się drugiego („okrągłostołowego”) dna w multiplikacji gigantycznych afer drenujących skarb kraju. W. Lenkiewicz: „*Prawda tymczasem jest taka, że w FOZZ, w aferze alkoholowej, tytoniowej, elektronicznej, a w szczególności w aferze rublowej, rola premiera Mazowieckiego nie polegała tylko na nieudolnościach i zaniechaniach*”.

Rola ta była wyjątkowo denerwująca dla patriotów przy zaniechaniach opóźniających działania „z definicji” konieczne w państwie demokratycznym i suwerennym, takie jak likwidacja peerelowskiej cenzury czy usunięcie z kraju okupacyjnych garnizonów Armii Czerwonej. T. Bochwic: „*Na przełomie 1989/1990 premier Mazowiecki wygłaszał oświadczenia o... obronnej roli wojsk radzieckich w Polsce!*”... Ruscy wyszli z naszego kraju dopiero w roku 1993. Jedenaście lat później (2004) ujawniono nam dlaczego; prawdę (fragmencik prawdy) poznaliśmy z opublikowanych przez IPN „*moskiewskich szyfrogramów*”. Pracownik IPN-u, historyk A. Dudek, tak je komentował: „ — *Oczywiste było od początku, że ZSRR nie zrezygnuje z dominacji nad Europą Wschodnią bez gwarancji bezpieczeństwa dla swoich interesów. Rozmowy toczone przez Michnika w Moskwie były wstępem do takich gwarancji, których realnie udzielił dopiero rząd Mazowieckiego (...)* Z późniejszej polityki rządu Mazowieckiego można się domyślać, że gwarancje obejmowały to, iż władze polskie nie podejmą sprawy wyprowadzenia wojsk radzieckich (...) Pytanie, czy zapadły również zobowiązania w kwestii służb specjalnych...”. Cóż, z późniejszej polityki różowego „Salonu” można się domyślać, że zapadły, i to bardzo solidne. Nikt nie mógłby nam lepiej tego objaśnić niż A. Michnik, najważniejszy spośród czterech jeźdźców tworzących sztab dzisiejszego polskiego Salonu Wpływu.

4. Święty guru

Że A. Michnik jest święty, to rozumieją i głoszą wszyscy jego wielbiciele, a on sam to potwierdził, mówiąc: „ — *Nie mam cienia wątpliwości, że Chrystus mnie umiłował*” (1994). Ja tedy, będąc (w przeciwieństwie do Michnika) wyznawcą Chrystusa, mogę się poniższym fragmentem książki (tudzież całą tą książką) silnie narazić Opatrzności Niebieskiej, ale co tam, jak już rzekłem: „*Prawda przeciw światu!*”, choćby i pozagrobowemu.

Uczyniwszy wyznanie, że Jezus Chrystus go umiłował, Michnik — w trakcie tej samej rozmowy (z bardzo „*postępowym*” księdzem J. Tischnerem i ze swym giermkim, redaktorem J. Żakowskim) — ujawnił też inne swoje sekrety, o które nikt by go nie posądzał prócz fanów: a to, że żyje „*według przykazań*”, a to, że praktykuje „*dobre uczynki*” nie tylko dlatego, „*by sobie zasłużyć na życie wieczne*”, itd., itp. Fazę wyznań katechetycznych zamknął konkluzją:

„ — *Nie zdarzyło się w moim życiu nic ważniejszego niż to poczucie, że zrobiłem coś dobrego. Nie było dla mnie nic cenniejszego niż «być w zgodzie z tym, co się uważa za prawdę i dobro»*„. Pewnie dlatego

szczególnie bolesny dlań musi być krzyż, który od tyłu już lat dźwiga jako konstruktor, a później wódz „*Salonu*”. To wodzostwo jest wielkim triumfem świętego, walczył o ten etat całe życie, lecz że nie ma róży bez kolców — wielkim (największym) problemem A. Michnika (tym krzyżem) jest zmasowana wrogość ze strony antysemitów. Antysemita bowiem uwziął się na świętego jak sfora wściekłych psów, i zupełnie bezprzyczynowo szarpia mu nogawki, szargają dobre imię, etc. Wskutek czego on cierpi. Skalę tego cierpienia można sobie wyobrazić dzięki refrenowi piosenki śpiewanej przez „*Pudelsów*”:

„ *W mokrej pościeli miota się,
A potem marzy całe dnie,
Że tylko ciebie chce*”.

„*Ciebie*”, czyli wolności od wszechobecnego antysemityzmu. Michnik marzy — jak to święty — by antysemita dali mu wreszcie święty spokój. Oni jednak — jak to antysemita — nie ustają już kilkadziesiąt lat. Niżej garść przykładów:

• **Antysemita Z.** Herbert wypowiedział się kilkakrotnie o A. Michniku:

„ — *Wierzyłem w jego intelekt, a także w zwykłą uczciwość — zawiodłem się* „; „ — *On stacza się po równi pochyłej*”; „ — *Cynizm i najpospolitszy nihilizm*”; „ — *Jest on klasycznym przykładem kariery komunistycznego Dyzmy*”; „ — *Zawiodł niemal wszystkich swoich przyjaciół*”. Konkluzja Herberta: „ — *Michnik jest manipulatorem. To jest człowiek złej woli, kłamca, oszust intelektualny*”. Konkluzja moja: Herbert się myli, bo autentycznym

Dyzmą III RP był L. Wałęsa — Michnik to inna kategoria mentalna i losowa, jego literackim pierwowzorem jest Mefisto.

- **Antysemityta** S. Remuszko (były przyjaciel Michnika, były dziennikarz „Gazety Wyborczej”): *„Michnik jest faryzeuszem o mentalności Kalego (...) Obłudy Michnika, «Wybiórczej» i całego tego środowiska nie przebije w Polsce nikt, to pewne”*.

- **Antysemityta** A. Besancon (francuski historyk i filozof) nazwał Michnika człowiekiem gorszym od targowiczian, człowiekiem pokroju kolaborantów Vichy, twierdząc, że jego działalność *„budzi niesmak, usuwa w cień wszelką sprawiedliwość i wszelką odwagę”*.

- **Antysemityta** R. Lazarowicz: *„Adam Michnik ma szczególną inklinację do otaczania się kanalami”*.

- **Antysemityta** L. Dymarski: *„Michnik zerwał wiele przyjaźni lub z nim zerwano, odmawiając po prostu wpuszczenia do domu. Lukę tę snadnie wypełnił m.in. p.p. Jaruzelskim, Kiszczakiem, Urbanem. Są na «ty», lubią się, rozumieją, i ten stan rzeczy demonstrują w telewizji. Niektórzy tłumaczą to paranoją”*. Dymarski dodał jeszcze, że dawniej Michnik tylko *„majaczył”*, lecz później *„wszedł w fazę jakiejś aberracji”*, która wymaga *„diagnozy psychiatrycznej”*.

- **Antysemityta** G. Herling-Grudziński: *„ — Michnik winien pójść do dobrego psychiatry”*.

- **Antysemityta** R. A. Ziemkiewicz: *„Michnik to leninowski «pożyteczny idiota» (...), człowiek nieopisanie szkodliwy”*.

- **Antysemityta** J. R. Nowak: *„Michnik to cyniczny, instrumentalny krętacz. Prawdziwy «homo sovieticus», który nigdy faktycznie nie wyzwolił się spod ducha skrajnej komunistycznej nietolerancji wobec wszystkich inaczej myślących”*.

- **Antysemityta** S. Kisielewski („Kisiel”): *„Przecież ten dzisiejszy Michnik to totalitarysta. Demokratą jest ten, kto jest po mojej stronie. Kto się ze mną nie zgadza, jest faszystą i nie można mu podać ręki. A tylko Michnik wie na czym polega demokracja i tolerancja. On jest tutaj sędzią, alfą i omegą”*.

- **Antysemityta** S. Michalkiewicz jako bazę ideologiczną werdyktów Michnika wskazał *„płynne kryteria towarzysko-polityczne wypracowane w sanhedrynie warszawsko-krakowskim”*.

- **Antysemityta** A. Lenkiewicz: *„Za swojego wroga numer 1 uznał Michnik naród polski, zarzucając mu przy każdej okazji, a także bez okazji: antysemityzm, ciemnotę, klerykalizm i szowinizm. «Gazeta Wyborcza», która miała służyć całej antykomunistycznej opozycji, stała się obrońcą*

peerelowskich struktur w środkach masowego przekazu, w wojsku, w służbach specjalnych, w bankach i w całym życiu społeczno-politycznym PRL-bis”.

• **Antysemita W. Łysiak** opublikował esej („**Ministerstwo Prawdy**”) o działalności Michnika, dając jako motto słowa Mefistofelesa z „**Fausta**” Goethe'ego:

*„To wszystko razem, co wy zwiecie
Grzechem, zniszczeniem, krótko: zła zespołem,
Najistotniejszym moim jest żywiołem (...)
Słów i złudy kłam
Zmysły zmąci wam”**

* — Tłum. P. Konopka.

W tekście eseju Łysiak antysemita napisał m.in.: *„Czuję do Michnika i do jego stachanowszczyzny pogardę i obrzydzenie. Cóż bowiem innego jak wstręt można czuć do byłego «dysydenta», który pije z Urbanem, Kiszczakiem, Jaruzelskim i Kwaśniewskim, toczy rozpaczliwą walkę przeciw lustracji (a więc przeciw deagenturyzacji Rzeczypospolitej), ogłupia i deprawuje Polaków apologią relatywizmu moralnego, leseferyzmu, permissywizmu etc., całe lata trzyma nad komuną ochronny parasol i staje się heroldem-symbolem tej różowej koterii udeckiej, co doprowadziła Polskę do stanu zawałowego pod względem etycznym? (...) Sianie relatywizmu moralnego (zwanego przez michnikowców «tolerancją»), antykatolicyzmu (zwanego «anty-klerykalizmem»), antypatriotyzmu (zwanego «otwarcie na świat»), różowego lewactwa (zwanego «demokracją»), niesprawiedliwości (zwanej «praworządnością»), etc. — to wypaczanie prawdy metodą wypaczania języka. Wracamy tu do żonglerki słowem, z której jakobinizm i bolszewizm uczyniły sztukę mistrzowską. Młody mózg jest często bezbronny wobec szalbierstwa semantycznego. Można ów mózg łatwo wyuczyć tej wizji świata i własnego kraju, której nauczyciel pragnie wyuczyć (...) Michnik robi Polakom wodę z mózgu. Fakt, że jego wielbiciel nie pojmują, iż jest to klasyczne szachrajstwo typu «trzy karty » lub «trzy lusterka», przejdzie do annałów głupoty zbiorowej”.*

• **Antysemita K. Wojtyła (Jan Paweł II)**: *„ — Armia Czerwona przyniosła Polsce nie tylko wyzwolenie od hitlerowskiej okupacji, ale także nowe zniewolenie (...) Lata panowania nowej władzy były dalszym ciągiem znęcania się nad wielu Polakami. Nowi panujący uczynili wszystko, ażeby ujarzmić naród, podporządkować go sobie pod względem politycznym, ideologicznym, ekonomicznym”. Cóż było antimichnikowskiego w tym fragmencie przemówienia do narodu? To, że owa wypowiedź dezawuowała tezę, którą*

szerzy Michnik; według Michnika: „*Nie można dorosłemu społeczeństwu opowiadać, iż ono żyło pod sowiecką okupacją*”. Rozeźlony Michnik zrewanżował się, nazywając papieża „*byłym autorytetem naszych czasów*”. Później, kiedy Michnikowi nie spodobały się poglądy Wojtyły a propos liberalizmu, zarzuci papieżowi myślenie „*w kategoriach, które zdają się pochodzić z Soboru Trydenckiego*”.

• **Antysemita S. Wyszyński** (prymas Polski), kiedy Michnik i Kuroń proponowali mu współpracę, odmówił, pisząc: „*Kościół zawsze broni interesów narodu i nie da się wykorzystać do koniunkturalnych celów ugrupowań politycznych*”. Co znaczyło: Kościół nie da się wciągnąć w rozgrywkę o złób między różowymi a czerwonymi, nie zostanie kooperantem „*Salonu*”, bo nie sądzi, by służyło to interesom narodu. Kardynał wyraźnie nie był „*postępowym katolikiem*”. Michnik i Kuroń wiedzieli to zresztą już od 1963 roku. „*Postępowy katolik*”, S. Stomma (przyjaciel T. Mazowieckiego), opublikował wówczas w „**Tygodniku Powszechnym**” (piśmie innego „*postępowego katolika*”, J. Turowicza) lizusowski tekst, karcący Polaków za antycarskie bunty, zwłaszcza za Powstanie Styczniowe; Stomma nazwał je chorymi przejawami antyrosyjskich kompleksów narodu. Oburzony Wyszyński ripostował wspianiałym kazaniem, mówiąc, że nie chodziło o żadne kompleksy, tylko o niezbywalne prawo narodu do suwerenności. Wiele lat później Michnik wyzna (w książce „**Między Panem a Plebanem**”): „*— Nikt z nas nie potrafił wówczas zrozumieć, co się Prymasowi stało...*”. Gdy Wyszyński odtrącił rękę różowego „*Salonu*” — przestali mieć złudzenia. Zaczęli zwać „*Prymasa Tysiąclecia*” konserwatystą „*anachronicznym*”, „*nacjonalistą*” i „*wstecznikiem*”. Później (w tej samej książce) Michnik dołoży jeszcze jeden zarzut — że Wyszyński nigdy nie potępił antysemityzmu polskiego.

• **Antysemita L. Kaczyński**: „*— Metody walki politycznej uległy znikczemnieniu, ale trzeba wreszcie powiedzieć, że palma pierwszeństwa należy się nie komu innemu, tylko Adamowi Michnikowi (...) Naczelnicy «Wyborczej» wierzy, iż można się posuwać do wykorzystywania skrajnie nikiemnych metod*”.

Według międzynarodowego porzekadła: „*Jeśli ktoś ci powie, że jesteś świnią — nie przejmuj się. Ale jeśli powie ci to pięciu ludzi — czas wyjść z chlewa*”. A jeśli stu, dwustu, tysiąc? Widać każdy ma swoją miarę, i dlatego właściwy czas jeszcze nie nadszedł. Kiedy nadejdzie? Któż to wie — u „*świnka*”, przepraszam: u sfinksa, wszystko jest tajemnicą. Tymczasem antysemita — jak to antysemita — nie ustają w strzelaniu do świętego

salonowego guru pociskami ciężkimi niby głązy. Przyjrzyjmy się temu kamienowaniu męczennika:

- **Antysemita** zarzucają Michnikowi, że bezpodstawnie nosi wetkniętą mu przez jego fanów buławę współwyzwoliciciela kraju spod opresji peerelowskiej, nieustraszonego partyzanta, dzięki któremu tamten reżim wykoleił się na swych świetlanych torach, prowadzących ze stale złej codzienności w niezmiennie lepszą przyszłość. I dowodzą, że szyn nie rozkręciła różowa „lewica laicka” inteligentów (ta tylko szarpała się o koryto z czerwonym), lecz „Solidarność” robotnicza, plus troje-czworo ludzi mieszkających za granicą: Ojciec Święty (dzięki sile swych natchnieniodajnych słów) tudzież prezydent R. Reagan (przy pomocy szefa CIA, W. Caseya, i brytyjskiej pani premier, M. Thatcher), wdrażając genialną politykę restrykcyjną wobec ZSRR i komunizmu. Usiłowania tej głównej dwójki zostały szybko rozszyfrowane przez KGB, więc obydwu (i papieża, i prezydenta) próbowano zastrzelić. Obydwu trafiono, lecz strzelające marionetki (i turecki terrorysta, i amerykański „psychol”) nie trafiły dość precyzyjnie, oba cele się wykurowały, zostały lepiej zabezpieczone i kontynuowały dzieło, aż czerwony pociąg spadł z nasypu. Do członków polskiego „Salonu” nikt nie strzelał. Dlatego antysemita pytają Michnika: jak to jest, że w latach 80-ych bezpieka mordowała skrytobójczo tylko księży (Popiełuszkę plus innych, około dziesięciu) tudzież opozycjonistów nieróżowych (Bartoszcze i innych, około stu), a nawet nie próbowała dokonać choćby jednego zamachu na kogoś z „Salonu”, czyli z KOR-u i z lewicowej, inteligenckiej frakcji „Solidarności”?

- **Antysemita** mają za złe Michnikowi permanentną miłość do komunizmu, wyssaną z mlekiem rodziców, jako że jego ojciec, O. Szechter, był walczącym komunistą (antysemita J. R. Nowak: „ *Ozjasz Szechter był starym, wypróbowanym agentem Moskwy w Polsce*”), i matka, H. Michnik, autorka stalinowskich podręczników, była komunistką również. Sam Michnik deklarował:

„ — *Środowiskiem, z którego pochodzę, jest liberalna żydokomuna. To jest żydokomuna w sensie ścisłym*”. Dla antysemitów określenie „*liberalna żydokomuna*” brzmi identycznie jak: białoskóry Murzyn, prostooki Chińczyk, kolosalny Pigmiej lub demokracja leninowska, wypominają wszakże Michnikowi nie pochodzenie, lecz poglądy, czerpiąc z jego wyznań („ — *Należałem do komunistów w sześćdziesiątych latach. Uważałem, że komunistyczna Polska to moja Polska*”), wskazując jego wrogość wobec kapitalizmu (roku 1989, pytany o system, który ludziom by odpowiadał, Michnik rzekł: „ — *Niekiedy słyszy się opinię, że powinien to być system kapitalistyczny. Dla mnie jest to absurdalne. Obecnie w niektórych kołach w*

Polsce powstał kult słowa «prywatyzacja». Co to znaczy? Co prywatyzować? Koleje, samoloty? Przecież to bajki, absurd”), tudzież piętnując jego stałą wrogość wobec antykomunistów, nie tylko zresztą na terenie Polski.

Antysemita przypomina kilka faktów. Roku 1990 gościł A. Michnika Uniwersytet Hebrajski w Jerozolimie;

Michnik dał tam wykład, tłumacząc, że „*Polsce grozi antykomunistyczna dyktatura, antykomunizm z bolszewicką twarzą, któremu towarzyszyć będzie szowinizm, klerykalizm, populizm i ksenofobia, nie mówiąc o groźbie antysemityzmu*” (prof. J. R. Nowak za Ch. Hoffmanem). Gdy prezydent Gruzji, antykomunista Gamsahurdia, robił co tylko mógł, by dać swej ojczyźnie suwerenność, „**Gazeta Wyborcza**” konsekwentnie, artykuł za artykułem, prezentowała go jako psychopatę, „*faszysto-nacjonalistę*”, tyrana, maniaka, etc., a Gruzję pod rządami Gamsahurdii jako despotię współczucia godną. Gdy agenci Kremla zamordowali Gamsahurdę, i gdy sowieckie wojska, na prośbę renegata Szewardnadze, zlikwidowały gruzińską niezależność — Gruzja przestała budzić obrzydzenie michnikowskiej gazety. Gdy w Bułgarii antykomuniści walczyli przeciwko komunistom (1992-1993) — Michnik pofatygował się do Sofii i wystąpił gwałtownie na rzecz komunistów, zwąc ich przeciwników „*neofaszystami*”. Dla bułgarskich patriotów, którzy wcześniej słyszeli, że Michnik to polski rycerz wolności i demokracji, był to szok. Trzech znanych pisarzy (B. Christow, D. Korudżijew i J. Wasiliew) opublikowało wówczas gniewny anty-michnikowski tekst pt. „**Cynizm i nietolerancja**”, pisząc m.in.:

„Wizyta A. Michnika głęboko zraniła wszystkich bułgarskich demokratów. Przyjechał, żeby stanąć w obronie komunistów. Zrobił to w sposób butny. Jego wypowiedzi były demagogiczne, nieodpowiedzialne i bardzo dla nas bolesne (...) Jak można nazwać setki tysięcy demonstrujących przeciw komunizmowi demokratów neofaszystami! Kto Michnikowi pozwolił obrażać tych najmniej podatnych na konformizm Bułgarów? (...) Dawni idole typu Michnika gotowi są dzisiaj wspierać fasadową demokrację, za której kulisami wszystkie sznurki są znowu w rękach komunistów (...) Michnik to człowiek cyniczny, nietolerancyjny wobec bułgarskiej demokracji, i dlatego utracił nasz szacunek”. Okazało się, że w Bułgarii też jest pełno antysemitów.

• **Antysemita** polscy utracili resztki szacunku dla A. Michnika, kiedy ten „*dobry człowiek*”, głoszący bez przerwy tolerancję jako cnotę główną, okazał „*cynizm i nietolerancję*” wobec wszystkich, którzy uważają abolicję za zły sposób rozliczania win. Takie głupie stanowisko patriotów (antysemitów), którzy żądają wymierzenia sprawiedliwości peerelowskim reżimowcom (konfidentom, kolaborantom, partyjnym szychom, bezpieczeniackim oprawcom

i przestępcom sądowym) — wymierzenia jej choćby tylko werbalnym napiętnowaniem — uznał za „*polowanie na czarownice*”, tout court.

Pierwszy znaczący (rozgłośny) występ abolicyjny mecenasa Michnika miał miejsce w Sejmie 28 kwietnia 1990 roku. Usłyszawszy tam propozycję nacjonalizacji mienia PZPR, guru „*Salonu*” ryknął z trybuny: „ — *Co ja tu słyszę? ! Nienawiść!...*”, przezwał te żądania „*jaskiniowym antykomunizmem*” i wylał kubeł pomyj na głowy „*jaskiniowców*”. „*Jaskiniowcy*” (antysemici) wściekli się słysząc takie dictum, i wylali podobne kubły na adwokata nomenklatury partyjnej, zarzucając mu, że broni łupu złodziejskiego. Antysemita R. Bieliński pisał: „*Adam Michnik i jego parlamentarni koledzy bronią praw spadkobierców PZPR. Bardzo to chwalebne, ale wydaje mi się, że winni bronić najpierw moich praw, bo bardziej (chyba) są moimi posłami niż posłami PZPR. Otóż przez wiele lat, via budżet, mnie i wielu milionom bezpartyjnych wyjmowano z kieszeni pieniądze*

na rzecz PZPR, bez pytania nas o zgodę. Dlaczego, nie będąc członkiem partii, przez wiele lat musiałem ją finansować, a obecnie mam się godzić z tym, że to, co zostało mi zabrane, będzie dalej służyć ludziom, którzy mnie ograbili?”.

Dwa lata później (czerwiec 1992) miał miejsce kolejny ogólnopolski show abolicyjny mecenasa Michnika — gdy antykomunistyczny rząd premiera J. Olszewskiego rozpoczął lustrację peerelowskich kapusiów od sporządzenia listy prominentnych konfidentów, i został za to skasowany w ciągu jednej „*nocy długich noży*” przez L. Wałęsę (trzęsącego się o akta TW „*Bolka*”) i przez całą czerwono-różową ferajnę złażdaczonych. Jak pisze antysemita R. A. Ziemkiewicz — ta ferajna odpowiedziała na to nie tylko likwidacją zbyt dociekliwego rządu, lecz i „*swoistym tournee Adama Michnika, który jednego dnia wystąpił w trzech telewizjach (dwóch prywatnych i państwowej), w każdej zionąc właściwym sobie miłosierdziem wobec każdego, kto ma czelność domagać się ujawnienia prawdy. Nikogo to oczywiście nie zaskoczyło: Michnik zawsze zachowuje się tak samo, i niczego nowego raczej się już nie nauczy. Jego występ jak zwykle był popisem hysterii, egzaltacji i typowego michnikowskiego wrzasku*”. „**Gazeta Wyborcza**” do dzisiaj przeklina lustrację kiedy tylko może.

Abolicyjna kampania Michnika objęła również prokuratorskie i sędziowskie środowisko. Według antysemitów dlatego, że brat Michnika, kpt. S. Michnik, był stalinowskim sędzią wojskowym, który skazywał patriotów (głównie akowców, za to, że zwalczali Hitlera bez rozkazu Stalina) na ciężkie więzienie i na śmierć (na śmierć skazał kilkakrotnie!). Antysemita J. Sęk pisze: „*Pan Adam Michnik niepotrzebnie martwił się w Sejmie o stosunek narodu*

polskiego do komunistów, którzy sprawili tu po wojnie nie jeden, a dziesięć Katyniów. Zabili w polskich więzieniach ponad 40 tysięcy ludzi. My komunistów nie nienawidzimy. My nimi gardzimy. Również podporucznikiem Stefanem Michnikiem, stalinowskim sędzią-mordercą, pojętym uczniem katyńskich oprawców”.

• **Antysemici** wściekli się na Michnika jeszcze bardziej — dostali wprost białej gorączki — gdy jego gadzinówka (antysemita W. Łysiak przezwał ją „**Gadulą Wyrodną**”) zaczęła brukać świetlaną legendę Armii Krajowej, zarzucając jej m.in. premedytacyjne Żydobójstwo. Antysemita A. Lenkiewicz: „W roku 1994, w związku z 50 rocznicą Powstania Warszawskiego, Michnik opublikował całą serię perfidnych i absurdalnych tekstów, sugerujących, że jednym z celów Powstania było dobijanie resztek Żydów”. Wśród tych nikczemnych tekstów szczególnie agresywny był duży artykuł jednego z fagasów Michnika do brudnej roboty, M. Cichego, mówiący expressis verbis, że powstańcy z AK programowo mordowali niedobitków z getta warszawskiego (ten właśnie artykuł sprawił, iż antysemici uznali, że gazeta Michnika przekroczyła nikczemności ostatnią granicę). Expressis verbis nie znaczy, że w oparciu o dowody. Były tam głównie mętne spekulacje, pomówienia, przeinaczenia, szemrane i manipulowane „cytaty”, vulgo: kupa kalumnijnego łajna (stąd antysemici mogli opublikować aż dwie niezależne listy tych „przekrętów” — pierwszą ułożył prof. T. Strzembosz; drugą zamieściła „**Trzecia Rzeczpospolita**”). Ale był tam również jeden silny „dowód” — M. Cichy wskazał konkretny przypadek i konkretny dzień akowskiego mordu na Żydach, mordu dokonanego przez kaprała „*Unruga*”. Gdy antysemici zweryfikowali tę informację, okazało się, że kapral „*Unrug*” nie mógł tamtego dnia mordować Żydów, z prostej przyczyny: nie żył już od dwóch tygodni, bo AK rozstrzelała go za rabunek! To antysemickie detalistyczne czepiaństwo (jakby głupie dwa tygodnie robiły jakąś różnicę!) spłynęło po „**GW**” niby woda po kaczce (dziennikarskiej). Przypominanie przez antysemickich historyków, że AK nie mordowała Żydów, lecz odwrotnie, pomagała Żydom ile tylko mogła, a tzw. szmalcowników rozwalala bez litości — też nic nie pomogło (jakby fakty miały jakieś znaczenie!). Ergo: historyczne realia nie zmieniły zdania „*Salonu*” o akowskich współsprawcach Holocaustu uprawianego pod parawanem antyniemieckiej rebelii. Przypomina się diagnoza antysemity P. Johnsona na temat rzetelności różowych Salonów Wpływu: „*Lewicowa inteligencja zawsze jest gotowa stłumić prawdę w imię popieranej przez siebie wyższej prawdy*”.

Tego roku (2004), po raz pierwszy za piętnastolecia III RP, miały miejsce godne uroczystości obchodów rocznicy Powstania Warszawskiego. Czemu

dopiero teraz? Bo wcześniej burmistrzami stolicy byli albo czerwoni, albo różowi (członkowie UW: M. Świącicki i P. Piskorski). Dopiero gdy społeczność Warszawy wybrała prawniczkę L. Kaczyńską — można było stworzyć Muzeum Powstania i solennie czcić pamięć herosów. T. Kaczyńska: *„Dlaczego przez te piętnaście lat niepodległej Polski stosunek władz i najpotężniejszych mediów do Powstania był tak niechętny i pomniejszający jego znaczenie? Odpowiedział na to pytanie w swoim przemówieniu Prezydent Warszawy, Lech Kaczyński. Przede wszystkim działały w tym kierunku pewne potężne grupy, traktujące niepodległość i uczucia patriotyczne Polaków jako zagrożenie dla swoich wpływów, swoich interesów”*. Kaczyńskiej nie chodziło tu o czerwonych, lecz o michnikowszczyznę, gdyż wyraźnie podkreślił, że *„te dominujące grupy posługiwały się sztandarami «Solidarności»”*.

• **Antysemita** wytykają Michnikowi, że jest permanentnym kłamcą, królem kłamców, więc gdyby był Pinokiem, czubek jego nosa sięgnąłby już Księżycy lub może nawet Marsa. Zarzut ten mija się całkowicie ze zdaniem oskarżanego, który głosi w tej kwestii poglądy ekstremalnie odmienne — że kłamstwo go mierzi (*„Uporczywy nawyk kłamstwa jest brzydkim rysem charakteru”*) i że on sam jest królem prawdomówców. W TVP Michnik oświadczył swego czasu: *„ — Moim obowiązkiem jako dziennikarza są dwie rzeczy: walka o wolność i walka o prawdę. Jeśli ja to zdradzę — to zdradzam swoje dziennikarskie powołanie”*. Zapytany przez *„Życie Warszawy”*: *„ — Czego by pan nigdy w swej gazecie nie zamieścił ?”* odparł: *„ — Nigdy nie zamieściłbym czegoś, co byłoby nieprawdą”*. Tymczasem antysemita — jak to antysemita — nie wierzą mu. Antysemita Z. Herbert:

„ — Michnik to kłamca”. Antysemita J. R. Nowak: *„Jarosław Kaczyński, opisując kiedyś zachowanie Michnika, podkreślał jego niebywałą skłonność do kłamstwa, to, że potrafi łączyć w żywe oczy, dosłownie iść w zaparte”*. Tegoż antysemita Kaczyńskiego brat-bliźniak, również antysemita, L. Kaczyński, gada bliźniaczo: *„ — Michnik wierzy, że można co innego mówić, a co innego robić, zachowując przy tym opinię człowieka o moralności nieskalanej”*. Kolejny antysemita, O. M. Rudak: *„Wobec swoich czytelników «Gazeta Wyborcza» posługuje się wrednymi uproszczeniami i kłamstwami”*.

Antysemita gotowi są podać mnóstwo dowodów, wskazując same tylko *„sprostowania”* w *„Gadule Wyrodnej”*. Nigdzie indziej geremkowskie *„fakty prasowe”* nie święcą większych triumfów jak tam. Organ Michnika skarżył już niewinnych, grzebał żywych, szkalował przyzwoitych (np. Z. Herberta), siał fałszywie antypolonizm, majstrował cyferkami, datami, życiorysami, etc., a przyłapywany wielokrotnie na *„przekrętach”* — zamieszczał setki sprostowań

drukowanych małą czcionką obok kolejnych wieloczcionkowych bałamuctw. Chcąc skompromitować znanego antykomunistycznego polityka, „GW” wydrukowała list komplementujący go, a podpisany przez... mordercę prezydenta Narutowicza! Chcąc zgnoić człowieka, który przeszkadzał kandydującemu do prezydentury T. Mazowieckiemu, „GW” opublikowała precyzyjne (całkowicie kłamliwe) dane paszportowe owego konkurenta. Itd., itp. Dzięki temu właśnie zyskała wśród antysemitów anglojęzyczną ksywkę: „*The paper of dirty tricks*” („*Gazeta brudnych sztuczek*”). Antysemita W. Łysiak zakończył swój esej o niej i o Michniku („**Ministerstwo Prawdy**”) zdaniem: „*Nie wiem czy grozi nam świat Orwella. Wiem tylko, że idealnego kandydata na stanowisko szefa w kluczowym orwellowskim ministerstwie — w Ministerstwie Prawdy — mamy już*”.

- **Antysemita** czepiają się Michnika „*względem antykościelność*”, wypominając mu niewdzięczność. Chodzi o ten wzmiankowany przeze mnie, azylowo-pomocowy dług, który „*lewica laicka*” zaciągnęła wobec Kościoła w latach 80-ych. Walka różowej (salonowej) lewicy z nomenklaturą (partyjną) lewicą o żłoby i koryta przyszłej Polski stawała się, wzorem wszelkich wojen domowych, bolesna. „*Lewica laicka*” (opozycyjna), jako dużo słabsza, chroniła się przed kopami i kuksańcami pod skrzydła Kościoła. Nie była to współpraca ideowa vel polityczna (tę wykluczył prymas S. Wyszyński) — była to ze strony Kościoła chrześcijańska opieka i wsparcie materialne represjonowanych (nawet B. Geremkowi i B. Labudzie dał wówczas pracę zakon ojców Jezuitów!). Kiedy wreszcie, dzięki „*paktowi z Magdalenki*”, ogrzana na kościelnym piecu różowa żmija wzięła władzę — zmieniła front. Niedawny opiekun (Kościół) stał się dla niej ciężarem, gdyż zawsze i wszędzie konkurent do „*rządu dusz*” jest ciężarem. Zaczęto więc konkurenta flekować, szermując bez skrupułów epitetami: „*fundamentalizm religijny*”, „*klerykalizm*”, „*czarna władza*”, „*Kruchta*” itp. Bez skrupułów i z genetyczną wprawą, bo masoneria zwalczała Kościół odkąd istniała, a wśród salonowych dygnitarzy było masonów jak psów. Mając w rękę telewizję i gazetę bezkonkurencyjną pod względem nakładu — dało się skutecznie prowadzić wojnę antykościelną.

Michnik grał w tej bajce o żmiji i piecu główną rolę. Antysemita J. R. Nowak: „*Środowiskom Kościoła katolickiego Michnik też «się odwdzięczył*». *Póki obronny puklerz Kościoła był mu potrzebny, kadził Kościołowi jak mógł i bił się w piersi za swe dawne antykościelne wyzwiska, wołając o potrzebie dialogu. Jak został naczelnym «GW», robił wszystko dla maksymalnego dyskredytowania Kościoła i wartości chrześcijańskich. Nawet Jarosław Gowin, redaktor naczelny «Znaku», jeden z czołowych przedstawicieli «katolewicy»,*

którego Michnik tylekroć nagłaśniał na tamach «GW», w pewnej chwili nie mógł już dłużej kryć irytacji z powodu ciągłych uszczypliwości «GW» w stosunku do Kościoła. I uznał postępowanie Michnika za «przejaw zepsucia obyczajów i porażki rozumu»,.

- **Antysemici** oskarżają Michnika o brutalny, inwektywowy, lżący, pełen nienawiści język wystąpień przeciwko adwersarzom. Sam Michnik ma znowu zupełnie inne zdanie wobec tej kwestii: „Adam Michnik wielokrotnie, w mowie i w piśmie, twierdził, że przeraża go język obelg, nienawiści, insynuacji, kłamstwa i pomówień” (T. Bochwic). Przykład: roku 1994, w telewizji, „zionąc miłosierdziem”, katechetyzował: „ — Jeżeli my, dziennikarze, będziemy kłamać i lżyć naszych adwersarzy, to nasi czytelnicy odmówią nam zaufania”.

Zaufania pierwsi odmówili mu antysemici. Antysemita L. Kaczyński: „ — Niewielu ludzi ma taki udział w szerzeniu nienawiści w życiu publicznym, jak Adam Michnik. Na pewno zaś nikt nie potrafi łączyć jej krzewienia z zapewnianiem o własnej szlachetności. Michnik przyjmuje postawę chuligana, który napada przechodnia i jednocześnie krzyczy: «Ratunku! Policja! ». Zachowuje się tak w sposób konsekwentny”. Antysemita R. A. Ziemkiewicz rzekł o Michniku to samo: „Kompletna schizofrenia. Można nazywać rywali do władzy «chorymi z nienawiści», krzycząc do kamery, z nabrzmiałymi żyłami i z nabiegłą krwią twarzą. Ten sam publicysta «GW» potrafi w tym samym numerze gazety na jednej stronie potępiać po faryzejsku używanie «pełnego nienawiści języka», a zaraz na drugiej określać twórczość jednego z najwybitniejszych polskich pisarzy mianem «fekaliów»,. Tu akurat Ziemkiewicz bronił mnie, lecz byłem w dobrym towarzystwie, bo równe bluzgi co ja dostawało od „GW” kilku innych uprawiających literaturę antysemitów, choćby Z. Herbert („alkoholik”, „potwór Minotaur”, „stevensonowski wampir Hyde”, „malał w żenujący sposób”, itd., itp.) czy J. Mackiewicz. Antysemitka T. Bochwic: „Najlepszym przykładem języka obelg i nienawiści jest wypowiedź Michnika o Józefie Mackiewicz i o czytelnikach jego książek”.

Zasób leksykalny Michnika jest bardzo bogaty — twierdzą antysemici. Od epitetów prostych („świnie! „, „faszyści! „, „neofaszyści! „ itd.), do złożonych — dwuwyrzowych („barbarzyńskie schamienie!” itd.), a nawet wyrafinowanych, czyli trójwyrzowych („tępy zoologiczny antykomunizm!”). Wali tak po łbach ludzi żywych i umarłych, pomników nie wyłączając (marszałka Piłsudskiego nazwał „twórcą faszystowskiej konstytucji, wrogiem postępu”). Antysemita J. R. Nowak: „Zdumiewa wprost, do jakiego stopnia Adam Michnik potrafi dziś twórczo rozwijać pełną jadu i nienawiści stylistykę (...) Przypomnijmy tylko niektóre z rozlicznych michnikowskich wyskoków jadu

i nienawiści, w stylu słów «świnie» pod adresem politycznych oponentów, «kurwiosum» pod adresem grupy profesorów z KUL, «bestiarium» pod adresem telewizyjnego programu z udziałem Parysa, Kaczyńskiego i Macierewicza. Czy epitety Michnika o «młodocianych, głupawych olszewikach», wyzywanie Waldemara Łysiaka, ataki na Zbigniewa Herberta, napaści na ojca Józefa M. Bocheńskiego, zatrute strzały posyłane pod adresem Ojca Świętego przez Michnika i jego podwładnych, etc., etc.».

Antysemici zacierają ręce, kiedy Michnik pieni się i bluzga na oczach widowni wielomilionowej — „na wizji”. To są niezapomniane telewizyjne „reality-shows”. Antysemici J. M. Jackowski i S. Żaryn (**„Interpelacje. Kulisy manipulacji”**): *„Michnik potrafi kopać swoich przeciwników politycznych i ideowych bezwzględnie, z dziką zaciętością. Gdy mu nie staje argumentów, rzuca inwektywy, nieelegancko przerywa, nie odpowiada na pytania, zmienia temat, krzyczy, i wychodzi z niego jakaś zapiekła agresja w stosunku do tych, którzy się z nim nie zgadzają”*. Ostatnio cała Polska mogła kontemplować te eksplozje michnikowskiej furii dzięki telewizyjnym relacjom z przesłuchań Sejmowej Komisji Śledczej badającej „sprawę Rywina” i dzięki telewizyjnym migawkom z procesu L. Rywina.

• **Antysemici** wmawiają społeczeństwu, że w „afery Rywina” Michnik był bardziej „umoczony” od samego bohatera tytułowego, gdyż — co wykazały indagacje rzeczony Komisji — przez dłuższy czas mataczył cichcem, utrzymując tajne kontakty z kancelarią czerwonego premiera, L. Millera, dla przyklepania sekretnego konszachtu, który dałby koncernowi Michnika, „Agorze”, jeszcze większy zasięg medialny — telewizyjny. Podnoszą przy tym, że trefną taśmę magnetofonową, kompromitującą Rywina, Michnik upublicznił dopiero pół roku od czasu jej nagrania, i że tłumaczył to kłamliwie „śledztwem dziennikarskim”, gdy w istocie służyła mu ona przez ten czas jako instrument kombinacji podczas walki o wchłonięcie WSiP (Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne), którą bossowie „Agory” prowadzili, by móc indoktrynować na różowo także dzieci i młodzież ze szkół. Kiedy tę walkę przegrali (bo nie dali im wygrać czerwoni) — rozwścieczony Michnik ujawnił taśmę artykułem „**Przychodzi Rywin do Michnika**”. Antysemici bezzwłocznie sparodiowali rzecz po antysemicku: „*Przychodzi Żyd do Żyda*”, wskazując jako alibi dla tej złośliwości fragment nagranych dialogu: „ — *Rozumiesz, Adaś, to jest koszerny interes...*”. No i wykorzystali fakt, że publiczne spektakle dotyczące „afery Rywina” wzbudziły niechęć rzesz telewidzów wobec świętego guru „Salonu” i wobec „Agory” jako ośmiornicy — poinformowali, że „*afery Rywin-Michnik*” stworzyła nad Wisłą zupełnie nowe znaczenie terminu „*agorafobia*”’.

Fobia antysemitów wobec „Agory” posiada długą brodę. Już u progu lat 90-ych antysemita krzyczył, że „**Gazeta Wyborcza**” miała być gazetą całej opozycji solidarnościowej, tymczasem Michnik zawłaszczył ją i uczynił z niej wyłącznie tubę różowego „Salonu”, wspomagającą UD (później UW), ergo: przeznaczył całe pieniądze, które przysły z zagranicy dla niekomunistycznych mediów, na prywatną salonową spółkę „Agora”. Szczególnie głośno eksponował taką tezę antysemita J. Maziarski, więc Michnik oddał do sądu sprawę przeciwko Maziarskiemu i po wielu rozprawach (ciągnęło się to prawie dwa lata) wygrał proces, gdyż sąd zawyrokował, że „otrzymanie kredytu bankowego nie może być równoznaczne z otrzymaniem pieniędzy” (sic!). Kredyty kredytami (bezpieniężnymi?), lecz antysemitom chodziło o coś mniej kredytowego, raczej darowiznowego — m.in. o pieniądze, które Amerykanie dali (według przewodniczącego Komisji Polskiej Kongresu Polonii Amerykańskiej, antysemita W. Wierzewskiego — 1 milion dolarów) na całą polską „prasę niezależną”. Wierzewski: „ — *Kto mógł przewidzieć, że te pieniądze trafią akurat w ręce «Gazety Wyborczej»?*”. Tak czy owak, sąd polski uznał, że wszystko było okey, bo kredyty to nie pieniądze, i szlus! Lecz Amerykanie to mieszkańcy Stanów Zjednoczonych, a tam nie znają się na żartach obejmujących finansowość, rachunkowość i księgowość. Dlatego czołowy publicysta amerykańskiej prasy polonijnej, antysemita A. Jarmakowski, skomentował wyrok konkluzją: „*Malarski miał rację, a Michnik łgał w żywe oczy*”.

Antysemita podtrzymują ów sąd i dzisiaj, głosząc, że mocarstwowość „Agory” została kreowana dorwaniem się do tej forsy, którą Zachód przeznaczył na solidarnościowe media, vulgo: Michnik to złodziej, ukradł cały księżyc. I sugerują, że ma on złodziejstwo we krwi, a jako dowód wskazują nieopatrzne wyznanie kolegi „Adasia”, J. Kuronia, o bibliofilstwie Michnika: „ — *Adaś jest książkowym wariatem. Swego czasu wylansował modę na kradzież książek. Kradł, to znaczy brał u kogoś z półki i sobie zabierał*”. Ten akurat chwyt antysemitów (zoologiczny) nie znalazł w społeczeństwie polskim zrozumienia, bo bibliofilstwo nie jest nad Wisłą uważane za ciężki grzech — każdy Polak wie, że „*kradzież chleba i książki nie hańbi*”. Prócz kradzieży książeczki czekowej.

• **Antysemita** dywagują, że być może najbardziej zhańbił się Michnik agenturalnością esbecką bądź kagiebowską, czyli łubiankową par excellence. IPN, odtajniając „*moskiewskie szyfrogramy*”, dał antysemitom powód do spekulacji, że Michnik czuł się w Moskwie jak u siebie w domu, z czego rychło zmajustrowano antysemita kawał: „*Roku 1989 Jaś pyta nauczycielkę: « — Proszę pani, czy pan Michnik jest zegarmistrzem?»*. Nauczycielka: « — *Ależ*

nie, Jasiu, pan Michnik jest politykiem-opozycjonistą. Skąd ci się wziął pomysł, że jest zegarmistrzem? ». Jasio: « — Bo mój tata mówił wczoraj mamie, że pan Michnik jeździ do Moskwy po wskazówki»,..

Teraz coś bardziej serio. Niewiele już osób pamięta dzisiaj młodego antykomunistę M. Falzmana — człowieka, którego śmierć na początku lat 90-ych spowodowała dużo szumu. Był tym inspektorem NIK-u, który wykrył mega-afere FOZZ, zdobył przerażające dokumenty, rozpoczął nagłaśnianie sprawy i raptownie umarł, rzekomo wskutek zawału, lecz powszechnie mówiono i pisano, że to bardzo dziwna śmierć (przypomniano sobie o tej sprawie, gdy w 2004 IPN ujawnił, że SB namówiła koleżankę działaczki „Solidarności”, A. Walentynowicz, do podania jej herbaty ze specyfikiem wywołującym „naturalny” zawał). Żona zmarłego opublikowała wstrząsający tekst pt. **„Dlaczego mój mąż musiał umrzeć”** (1992). Jest tam m.in. taki wspominek:

„Pamiętam, że kiedyś powiedział, iż dojście do władzy grupy Michnika będzie następną tragedią Polski, ponieważ jest to elita promoskiewska. Wybuchła kolejna afera towarzyska. Michał argumentował, że środowisko to najlepiej będzie chroniło interesy Moskwy w Polsce. Wskazywał na liczne absurdy sytuacyjne — w jaki sposób represjonowany opozycjonista może w więzieniu pisać książki, mieć dostęp do tekstów źródłowych i jeszcze wydawać je...”

Tym opozycjonistą, o którym mówił antysemita Falzmann, był A. Michnik, zaś sprawa jego szokująco ekskluzywnych (nie jest znany drugi taki przypadek) warunków więziennych — to jedna z kilku przesłanek, jakie każą antysemitom wnioskować, że był konfidentem. Gdy w Czechach i w Niemczech ujawniono tamtejszych współpracowników bezpieki, okazało się, że rutynową metodą stosowaną przez czerwone służby dla uwiarygodnienia szpicli wśród dysydentów-opozycjonistów było ciągle represjonowanie takiego gościa, i pakowanie go do celi na niezbyt długi czas. W NRD uwiarygodniono tą metodą czołówkę „opozycjonistów” — Böhme'ego, Andersena i innych piesków Stasi, czyniąc z nich antykomunistycznych bohaterów. Metodę wypracowało KGB i nauczyło „służby” wszystkich satelickich państw. W początkach lat 90-ych oficer SB kierujący siatką TW opowiedział dziennikarce o wsadzaniu do więzienia tych, z których MSW robiło herosów: *„ — Nagłaśnianie nazwisk odbywało się pod nasze dyktando i według schematu: represja, informacja o represji, nagłośnienie (...) To takie dziecinnie łatwe sposoby uwiarygodniania”*. Antysemita mówią: więc w Polsce działano identycznie jak wszędzie! I wskazują zamienioną na pisarskie studio celę Michnika.

Te spekulacje były często poprzedzone zdziwieniem tzw. bezbrzeżnym. Antysemita L. Antonowicz: „Nie mogłem zrozumieć jak znienawidzony i więziony przez «Czerwonego» działacz jest w stanie pisać wewnątrz celi skierowane przeciw temuż «Czerwonemu» obszerne teksty z licznymi, bardzo długimi i trafnymi cytataми, do których wyboru potrzebna jest cała biblioteka? Jak to się odbywa? Zanim klawisz zerknie w judasz, to sprytny więzień zręcznym ruchem chowa rękopis i bibliotekę pod siennik? A jeśli robią kipisz, to co? Łyka to wszystko na czas rewizji? Posiada skrytkę w ścianie? Miałem wątpliwości, i chodziły mi po głowie różne dziwne myśli...”. Antysemita W. Łysiak: „Michnikowi zezwalano pisać w pierdlu książki, dostarczano ryzy papieru i biblioteczny «aparatus naukowy», choć innym politycznym zabierano skrawek ołówka i gazety, by nie napisali kilku zdań. Owe teksty wędrowały z celi do druku”. Antysemita S. Murzański ujął to celniej i krócej: „Jedni, jak Adam Michnik, pisali w więzieniu książki, drudzy zbierali na posadzce zęby”.

Michnik uznał, że takie sugestie — takie antysemityczne „dawanie do zrozumienia” — godne jest tylko wyniosłej ciszy ze strony szkalowanego, nie będzie się zniżał, żadnych ripost. Antysemita A. Zybertowicz: „Nigdy nie spotkałem się z wyjaśnieniem przez samego Michnika fenomenu jego więziennej twórczości. I choć rzeczywiście poszlaki nie są dowodami, to dobrze byłoby wątpliwości wyjaśniać”. Podobno jednak raz komuś Michnik wyjaśnił — wyjaśnił swą przemyślnością więzienną. Antysemita J. R. Nowak: „O dziwo, z jego celi swobodnie wychodzą na świat kolejne listy, artykuły i książki, podczas gdy inni współwięźniowie nie mogą się doprosić nawet ołówka. Czy wszystko to dzieje się rzeczywiście przypadkowo — dzięki wyjątkowej zręczności Michnika, której nie umiał przeciwdziałać cały personel MSW, jak to przedstawiał sam Michnik? A może było tak dlatego, że o wyjątkowym uprzywilejowaniu Michnika w więzieniu decydowały pewne wpływowe kręgi partyjne, te same, które tak zabiegały o poparcie Żydów dla Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego (żydowski publicysta, Abel Kainer, pisał w 15 numerze podziemnej «Krytyki» z 1983 roku, że «WRON grała rolę wielkiej opiekunki Żydów»)”.

W roku 1992 dziennikarka M. Olejnik spytała Michnika o to (wywiad dla „Wprost”): „ — Waldemar Łysiak w swojej książce zasugerował, że był pan agentem. Miał pan lepsze warunki pobytu od innych więźniów. Mógł pan pisać książki, gdy tymczasem innym odbierano najmniejszy strzęp gazety. Czy poda pan Łysiaka do sądu?”. Michnik odrzekł: „ — Nie, nie podam go do sądu. Dlatego, że byłoby to zrobienie mu niesłychanej reklamy. Nagle z trzeciorzędного grafomana, insynuatora, stałby się ważną postacią. Jak chce, niech się stanie, ja mu w tym nie będę pomagał. A co do moich luksusowych

warunków w więzieniu — nigdy nie opowiadałem o swojej martyrologii, nie lubię tego, nigdy też nie napisałem żadnych wspomnień z więzienia ani z ośrodka dla internowanych. Nie udzielam też na ten temat wywiadów, chociaż się o to do mnie zwracano. Ale oczywiście można powiedzieć, że miałem lepsze warunki niż Łysiak. Żeby się o tym przekonać, starczy przeczytać jego książki i moje. I porównać”.

Myślący spekulatywnie antysemita wymieniają jako drugą więzienną przesłankę dla swoich podejrzeń pewne dzieło filmowe, które ukazuje najbardziej dramatyczny moment „martyrologii” A. Michnika. Chociaż on sam nie chciał i nie chce puścić pary z gęby na temat „swojej martyrologii”, ale od czego są przyjaciele? — zrobił to za niego bliski przyjaciel, generał Cz. Kiszczak. Tak, ten sam, który „Adasia” uwięził. Wystąpili razem (1993) w programie telewizyjnym „**Portret**”. Chodziło o zbiorowy portret dwóch serdecznych kolegów, lecz głównie

o portret bohatera walki narodowowyzwoleńczej. W trakcie programu puszczono film „dokumentalny”, ukazujący wstrząsającą scenę więzienną: jakiś ciemny loch (aczkolwiek rozświetlony reflektorami na stojakach, bo inaczej nie można byłoby kręcić filmu), kilku oprawców szamocze się z wściekle walczącym Michnikiem, próbują wykręcić mu ręce i powalić, ten się miota niczym dzik opadnięty przez sforę zajadłych psów, mordercza walka, bitewny kłęb, trzeszczą kości, duuuże wrażenie! Film przekazał telewizji generał Kiszczak — jako dowód, że jego katowany w lochu przyjaciel (którego on sam wpakował do tury) był prawdziwym bohaterem lochu, znaczy podziemia.

Antysemitami ten film nie wstrząsnął, albowiem uznali, że nastąpiła tu pomyłka w rozróżnianiu filmowych gatunków — mylenie farsy z „thrillerem”. I zaczęli stawiać nieeleganckie (niesalonowe) pytania o twórców (o reżysera tudzież o autora scenariusza), dzięki którym bohater filmu wypada jak prawdziwy bohater. Anonimowy antysemita M. W. pisał wówczas w „**Nowym Świecie**” (tytuł: „**Z życia... bohaterów**”): „16 stycznia telewizja nadała program z panem Adamem Michnikiem, program ilustrowany migawką filmową ze sceną turbowania go przez służbę więzienną (...) To robi wrażenie. Ale kiedy się już ochłonie, nasuwają się pytania: skąd ten film? Czy był w więzieniach zwyczaj filmowania scen maltretowania więźniów? Czy były to praktyki rutynowe, czy wyjątkowe? Kiedy je stosowano i dlaczego? Sprawa o tyle istotna, że może moglibyśmy zobaczyć więcej takich filmów (...) Jeszcze jedno pytanie: dlaczego tamto kierownictwo MSW, tak skrupulatnie niszczące różne trefne dokumenty ze swej działalności — oszczędziło właśnie ten film? Może na to pytanie mógłby udzielić odpowiedzi gość programu, gen. Kiszczak,

który tak wzruszająco mówił o bohaterze programu?”. Rzeczywiście, mówił wzruszająco. Antysemitka Z. Jaszczka: „Kiszczak w nadanym ostatnio przez TVP programie tak mu [Michnikowi — W. Ł.] kadził, tak kadził, że ciarki szły po plecach...”. Jeszcze większe ciarki szły antysemitom po plecach, gdy równocześnie Michnik kadził Kiszczakowi jako wspaniałemu facetowi, „człowiekowi honoru”, itp. Antysemita K. Brodacki skomentował te filmowe wzruszenia, to picie sobie przed kamerami z dzióbeków, oraz tę bratnią zażyłość „kata i ofiary”, parafrazując Majakowskiego:

„Mówimy «Michnik», a w domyśle — «Kiszczak»,
mówimy «Kiszczak», a w domyśle — «Michnik».

Tego samego roku antysemitka E. Barańska-Jamrozik wyłożyła to samo okładkowym projektem graficznym dla zbioru felietonów R. Legutki „**Nie lubię tolerancji**”: z lewej Kiszczak dźwiga na plecach Michnika (faza PRL-u), z prawej Michnik dźwiga na plecach Kiszczaka (faza III RP).

Siedem lat później (2001) „**Gazeta Wyborcza**” opublikowała wielokolumnowy dialog między Michnikiem a Kiszczakiem, reinterpreterujący najnowszą historię Polski. Czytelnicy dowiedzieli się, że zerwanie półwiecznych pęt komunizmu zawdzięczają dwóm spiskowcom, duetowi K.—M. Resort Kiszczaka mordował patriotów, księży nie oszczędzając, ale wszechwładny szef resortu parł do wyzwolenia narodu spod pięści resortu, zaś Michnik to rozumiał i doceniał. Dlatego szef „**GW**” będzie bronił generała „*jak niepodległości*” (sic!), bo to przyzwoity człowiek. Kiszczak zaś dał dowód, że jest przyzwoitym człowiekiem, mówiąc, iż kazał wstawiać więźniom politycznym telewizory do cel, ale „*klawisze*” sabotowali ten rozkaz. Pewna prawicowa gazeta skomentowała to chęcią przeczytania teraz wywiadu z Himmlerem, który się skarży, iż kazał wstawiać telewizory do baraków Auschwitzu, jednak nieposłuszni „*kapo*” zignorowali rozkaz i nie wstawili. Lecz odbieglśmy od wątku filmowego, wróćmy więc tam:

Michnik, swoim zwyczajem, znowu nie odpowiedział na antysemitki sugestie dotyczące filmu, a zwłaszcza na pytanie: dlaczego bezpieczeństwa nikomu innemu spośród tylu więźniów nie wykonała podobnego filmu? Lub: jeśli wykonała, to czemu żaden inny tego rodzaju „*thriller*” nigdy nie został wyemitowany? Udzielając wtedy wywiadu czerwonej „**Trybunie**” (1993) Michnik rzekł, iż należy do osobników, którzy „*przebierają się w różne stroje*”, ale o stroju filmowym nie wspominał.

Antysemitki, sugerując po antysemitce, że Michnik przebrał się w strój cichego kolaboranta bezpieczeństwa, nie tworzyli formacji solidarnej. Wyłamał się antysemita R. A. Ziemkiewicz, pisząc (1994): „*Każdy, kto udeckiego guru nazywa agentem, niepotrzebnie i niezasłużenie go dowartościowuje. Michnik*

był tylko, jak to zwał Lenin, «pożytecznym idiotą», miotanym jakimiś zapiekłymi kompleksami i urazami, urabiającym milionową rzeszę udeckich potakiwaczy podług swych neurotycznych odlotów. Jeśli go czymś kupiono, to daniem mu możliwości nadymania się do woli, daniem mu mesjanistycznego poczucia, że prowadzi masy ku rajowi tolerancji. Zdaje się, że to wystarczyło, by się pan Michnik swym mesjanizmem upił do nieprzytomności, tak, że nawet nie zauważył, iż mu ktoś włożył kijek w d... i kręci nim jak kukielką. To by miał być agent? Kpiny. To pajac. Szmaciany pajacyk na patyku, nic więcej. Kto by na jego werbowanie marnował pieniądze? „.

„Jeśli go czymś kupiono” — rzekł Ziemkiewicz. Abstrahując od tego czym — przekonanie, że jednak czymś „kupiono”, wyrazili roku 1995 również antysemita proletariacy. Michnik przyjechał wówczas na Śląsk, by zeznawać jako świadek w procesie Kiszczaka oskarżonego o współsprawstwo mordu, którego ZOMO dokonało na dziewięciu górnikach kopalni „Wujek”. Widząc jak czule ci dwaj się witają, górnicy nie wstrzymali gniewu, powiedzieli Michnikowi wprost: „ — *Mamy prawo sądzić, iż jest pan kupiony!*”. A że wcześniej już pewien major SB, charakteryzowany przez swe ofiary jako szczególnie bestialski oprawca, publicznie się wyraził o Michniku: „ — *Cóż za wspianiały, mądry człowiek!*” — komitety strajkowe Związku „Solidarność” zaczęły wywieszać transparenty brzmiące tak: „*«Psom» [czyli esbekom — W. Ł.] ; i dziennikarzom «Gazety Wyborczej» wstęp wzbroniony!*”. Notabene: przyszłych historyków-antysemitów winna zainteresować ciekawostka, o której się dziś w Polsce milczy — „dziwna” prawidłowość „klasowa” tycząca tortur. SB torturowała nie gorzej niż Gestapo i NKWD — strasznie! Jeden z katów esbeckich, Z. Kmietko (później, za III Rzeczypospolitej, szanowany biznesmen), opowiedział dziennikarzowi jak w latach 80-ych, w katowniach SB, bito prawdziwych opozycjonistów. Bito tak, że słycać było „*już nie krzyk człowieka, ale wycie zarzynanego zwierzęcia*”. I spytał retorycznie: „ — *Widział pan kiedyś osobę bitą po stopach?...*”. Ciekawostka, o której wspominałem, to fakt, że katowano tak (i zabijano) wyłącznie plebs miejski i wiejski, proletariuszy, czyli należących do opozycji robotników bądź chłopów — nigdy inteligentów (nie licząc zabitych antykomunistycznych księży — to była osobna kategoria do odstrzału). Nie jest znany ani jeden przypadek maltretowania dysydenta-inteligenta, członka „*Salonu*” różowego!

Kolejna poszlakowa przesłanka, która prowokuje wymierzone w Michnika spekulacje antysemitów, to jego ekstremalna wrogość wobec czegoś, czego dokonały, gwoli oczyszczenia życia publicznego, wszystkie (za wyjątkiem Polski) dawne KDL-e — wobec tzw. lustracji, czyli demaskacji prominentnych agentów bezpieki komunistycznej. „**Gazeta Wyborcza**” piętnaście lat temu

rozpętała wściekłą propagandę kontrlustracyjną i trzyma ten kurs do dzisiaj, nie dając się wyprzedzić nikomu między Bałtykiem a Tatrami w dezawuowaniu „*polowań na czarownice*”. Wszyscy zwolennicy lustracji zwani są więc przez różowy „*Salon*” niktzemnikami, inkwizytorami, jaskiniowcami, oszołomami, etc. Tymczasem antysemita przypominają, że pierwszej „lustracji” dokonała osławiona, działająca zupełnie bezprawnie, tzw. „*Komisja Michnika*” (1990). Michnik i trzech jego salonowi „podwładni” weszli sobie, tak po prostu, do archiwów MSW, i buszowali tam przez dwa i pół miesiąca bez żadnej kontroli! Kto ich wpuścił? Delegat „*Salonu*”, K. Kozłowski, minister MSW za rządów innego salonowego kumpla, premiera T. Mazowieckiego. Po co? Żeby sobie „*Adaś*” poszperał w „*teczkach*” według woli własnej. Oddaję głos fachowcowi, byłemu pracownikowi UOP-u, antysemita M. Greckiemu, autorowi pracy „**Konfidenci są wśród nas...**”:

„ Tak zwana «Komisja Michnika» działała na terenie MSW mając dostęp do najtajniejszych materiałów w okresie od 12 kwietnia do 27 czerwca 1990 roku (...) W jej skład weszli: Andrzej Ajnenkiel, Jerzy Holzer, Adam Michnik i Bogdan Kroll. Jeden z nich figurował w kartotekach jako TW. Jedyнным materiałem, który po sobie pozostawiła «Komisja», jest liczące dwie strony sprawozdanie wraz z enigmatycznym spisem materiałów archiwalnych i wnioskiem o przekwalifikowanie kategorii dokumentów z tej wrywkowej listy. Nie wiadomo do jakich dokumentów członkowie «Komisji» mieli dostęp. Nie wiadomo, czy z tych materiałów nie zostały sporządzone kopie bądź odpisy, nie wiadomo wreszcie, gdzie takowe — jeśli istnieją — są przechowywane. Wiadomo, że jej członkowie mieli dostęp do akt współpracowników UB i SB. Nie wiadomo w jaki sposób pracowała «Komisja», nie istnieją żadne dokumenty, które mogłyby wskazać, z jakich obszarów archiwum MSW korzystali jej członkowie. «Komisja» miała zapewne wgląd do wszystkich dokumentów, o jakie jej członkowie prosili — mówili pracownicy Biura Ewidencji i Archiwum UOP. Na pewno mieli też dostęp do materiałów operacyjnych, wszystkich opatrzonych klauzulą «tajne specjalnego znaczenia». Nie ma jednak żadnej podstawy prawnej działania «Komisji». Korzystanie z dokumentów odbywało się poza wszelkimi procedurami obowiązującymi w MSW”.

Owo kilkumiesięczne „korzystanie z dokumentów” przez Michnika uskrzydla spekulatywność poszłakową antysemitów trójtorowo. Primo: czy piewca tolerancji był tolerancyjny dla dokumentów z „*teczki*” własnej? Secundo: czy w ogóle zaglądał do własnej, którą jego przyjaciel, Kiszczak, mógł po przyjacielsku już wcześniej wyczyścić? Tertio: ile „*haków*” na przeciwników znalazł w cudzych „*teczkach*”? Ja bym dołożył jeszcze quarto:

ile rozczarowań przeżył samowolny „lustrator” wertując „teczkę” śmiertelnego wroga swojego i esbecji nie zawierającą „haków”? Taka absencja kijów rodzi bezradność „lustratora” — można wroga opluwać epitetami rodzaju literackiego (grafoman bądź plagiator), ale nie można trzymać go za jaja, wymuszając prosalonową kolaborację bądź milczącą uległość. Kłopot, psiakrew!

Największy lustracyjny kłopot Michnika to pewna lista „tajnych współpracowników” bezpieki. Były wiceprzewodniczący NSZZ „Solidarność”, antysemita A. Gwiazda, opowiedział o niej w 2002 roku australijskiemu „Tygodnikowi Polskiemu”. Wywiad ten (wieloodcinkowy) zawiera mnóstwo neglizujących świętego guru smaczków, choćby relacjonowane przez Gwiazdę wyznania robotników o tym, jak „Michnik namawiał ich w zakładzie do porozumiewania się z Sowietami ponad głową PZPR”. I tu Gwiazda kontynuuje: „ — No, ale było to już wtedy, kiedy nie mieliśmy wątpliwości, że Michnik przeszedł na stronę wroga (...) Jak wiemy z analiz dokonanych przez byłego ministra Spraw Wewnętrznych, Antoniego Macierewicza, Michnik był współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa od 1968 roku (...) Na pierwszym Zjeździe Neo-«Solidarności» krążyła wśród uczestników lista agentów SB z byłego KOR-u, na której był Michnik, obok zresztą wielu innych prominentnych nazwisk. Podobną listę opublikowało pismo «Poza Układem »,,. Widziałem tę listę. Przy nazwisku Michnika figuruje tam dopisek: „Kolaboracja z SB od 1968 r. «Nie za ostro, dostaniesz czasem w mordę, ale wam się to opłaci» — cytat z archiwizowanej rozmowy werbunkowej”. Lista owa może być, rzecz jasna, antysemitką fałszywką. Ale nawet gdyby nią nie była — „gdyby okazało się, że słuszne są nawet najbardziej ponure podejrzenia wobec Adama Michnika” (A. Zybortowicz, „W uścisku tajnych służb”) — to i tak trudno byłoby zaprzeczyć, że antysemityzm jest dużo gorszy od antylustracyjizmu i od życia salonowego.

• **Antysemita** są wreszcie tak perfidni, że zarzucają Michnikowi krzewienie w Polsce antysemityzmu, twierdząc, iż wielki żydowski pisarz-noblista, antysemita J. B. Singer, myślał o Michniku, kiedy mówił w noweli „Mentor”: „Żyd współczesny nie może żyć bez antysemityzmu. Jeśli antysemityzm gdzieś nie istnieje — on go stworzy”. Naczelnym mentorem polskiej inteligencji salonowej, istotnie, niczym naczelnym rabinem wojującego semytizmu, bez przerwy znajduje w kraju pokarm dla swych obsesji. Antysemitami są wszyscy przeciwnicy, żywi i umarli, powstańców warszawskich nie wyłączając. Roku 1993 Michnik napisał, że „składnikiem polskiego dziedzictwa” jest m.in. „podłość antysemitów”, jaką przejawiali również niektórzy „bohaterowie antyhitlerowskiego podziemia”. Co zatkało antysemitę

tów (zwłaszcza akowców), i to dosłownie, dzięki czemu nie było protestów medialnych. Antysemita J. R. Nowak dziwił się temu:

„Zdumiewające, że nikt w całej prasie polskiej nie postawił wówczas Michnikowi pytania: na czym oparł swoje obrzydliwe pomówienie? Dlaczego nie zażądano, by wymienił choć jedno nazwisko bohatera antyhitlerowskiego podziemia, który byłby jakoby «podłym antysemitą»? Bo tak przyparty do muru Michnik mógłby tylko przeproszać za haniebne pomówienia, tak jak to musiał zrobić w przypadku fałszywie oskarżonych przez niego działaczy «Mazowska». Bo mógłby najwyżej powołać się na fałsze stalinowskiej kuźni kłamstw, którymi obsypywano skazanych na śmierć bohaterów AK, takich jak generał «Nil»-Fieldorf. Prawda o czasach wojny mówi, że właśnie AK robiła co tylko było możliwe dla ratowania Żydów (słynna zainicjowana przez nią Akcja «Żegota»), i że dowództwo AK wprowadziło wyrok śmierci na wszelkie przejawy donosicielstwa na Żydów, tzw. szmalcownictwa”.

Według antysemitów główną krzewicielką rzekomego polskiego antysemityzmu stała się główna medialna tuba różowego „Salonu”. Każda okazja jest dobra. Jakieś prymitywne bydlę spaskudziło mur antyżydowskim graffiti, i już „**Gazeta Wyborcza**” krzyczy: antysemityzm szaleje w Polsce!, ani się zająknąwszy, że sto razy częściej bezczeszczone są w Polsce nagrobki chrześcijańskie (przez nigusów, których właśnie „**GW**” uczy „antyklerykalizmu” i luzackiego stylu życia typu „róbta co chceta”). Troglodyci kupują rasistowskie pisemka maniaka L. Bubla, i już wrzask, że „literatura antysemita” ma u nas powodzenie. Skini Igna do psychopaty B. Tejkowskiego, i już Michnik ma dowód, że naród polski to naród urodzonych faszystów. Tymczasem nikt bardziej nie nagłośnił Tejkowskiego (notabene: ubeka i Żyda z pochodzenia, podobnie jak jego rosyjski odpowiednik, W. Żyrynowski) niż „**Gazeta Wyborcza**”, która opublikowała z nim dwukolumnową pogawędkę. Opublikowała roku 1991. Chyba nie za to A. Michnik był honorowany tego samego roku w Nowym Jorku jako „Żyd roku 1991”? Raczej za inne metody krzewienia antysemityzmu w Polsce. Znowu antysemita J. R. Nowak: „Z perspektywy lat coraz bardziej widoczna będzie rola Adama Michnika jako tego, który zrobił niebywale wiele dla sprowokowania antyżydowskości w Polsce przez swój fanatyzm i jawne prowokacje, czy haniebne ataki na polską historię (w stylu ataku Cichego na Powstanie Warszawskie). Nikt bardziej niż Michnik nie przyczynił się do utrudnienia autentycznego dialogu polsko-żydowskiego; on sam jest jego widocznym przeciwstawieniem”.

Jak to zwykle bywa u „świnków” — przeproszam: u sfinksów — wszystko u Michnika jest tajemnicą. I jego moskiewskie pertraktacje 1988-

1989, i przyczyny jego komfortowego (literackiego) męczeństwa więziennego, i wiele innych fragmentów życiorysu, z których on nie chce się nikomu opowiadać. Wśród tych tajemnic jest również zagadka jego moralnego relatywizmu względem antysemityzmu. Nienawidzący antysemitów guru lubi wysokiego aparatczyka PZPR, S. Cioska, który u schyłku lat 80-ych narzekał: „*Zauważa się tworzenie swoistego lobby żydowskiego*”. Gardzący antysemitami rycerz ściska się i biesiaduje z generałem W. Jaruzelskim, naczelnym „*aryzatozem*” LWP, który w 1986 roku ubolewał: „*Niedawno ksiądz Jankowski zaprosił Michnika do św. Brygidy i ten Żyd zawładnął całym kościołem, wydawało się, że przystąpi do ołtarza i będzie celebrował mszę!*”. Prawdziwi antysemita są dla Michnika w porządku: „*— Odpier... cię się od generała!*”. Dziwne? Wcale nie — przecież to sfinks.

* * *

„**Rzeczpospolita**” opublikowała w roku 1997 panegiryczny wobec A. Michnika artykuł J. Skórzyńskiego pt. „**Polityk czy wychowawca?**”. Odpowiedź brzmi: jedno i drugie. Faraon „*Salonu*” wychował i wychowuje miliony swoich wyborców, szczepiąc im — jako „*najprzebieglejszy harcownik walki z religią, niszczyciel tradycyjnych wartości narodowych i tradycyjnych wartości etycznych*” (J. R. Nowak) — swoją moralność i swoje „*politycznie poprawne*”, „*tolerancyjne*”, nowoczesne „*otwarcie na świat*”. Mefistofeles:

*„Miło jest młodych stworzyć taką masę!
Siać tylko trzeba, a zbierze się z czasem (...)*

*Więc radzę mistrza jednego wybierzcie
I w słowa jego już na ślepo wierzcie (...)*

*W tej wiedzy drogach nie każdy się wyzna,
Niejedna kryje ci się tam trucizna,
Którą niełatwo odróżnić od leku (...)*

*Kunszt ten jest stary i nowy jak grzech.
Taki już usus istniał zawdy,
Że przez trzy w jednym, jeden w trzech,
Błąd się rozgłasza zamiast prawdy (...)*

*Niech tylko w złud i czarów dziwy
Pcha cię wciąż dalej duch kłamliwy,
A już bez reszty będziesz mój! (...)*

*Jak bydłę z bydłem żyj, za grabież nie poczytaj,
Że łan, z którego zbierasz, własnym sumptem gnoisz (...)*

*A zresztą wcale cnotliwie się czuję,
Złodziejski smaczek w tym i ździebko rui”**.

* — Tłum. F. Konopka.

„*Ździebka rui*” jeden przykład: w 1992 Michnik (na łamach swej „**Gazety Wyborczej**”) przekonywał czytelników, że ćwiczenia „*trawkowe*” i pozamałżeńskie (czyli ekscesy narkotykowe i seksualne) prezydenta Clintona, cała clintonowska moralność, „*będzie — być może — i dla nas wariantem jakiejś innej, bardziej nowoczesnej propozycji cywilizacyjnej*” (sic!).

O propozycjach cywilizacyjnych i kulturowych lewicowego (różowego) michnikowskiego „*Salonu*” mówi część V mego dzieła.

Część V

„SALONU” GRZECHY GŁÓWNE

1. Klientela

Definicyjną cechą każdej władzy jest panowanie. Dwa główne rodzaje panowania to rządzenie administracyjne (władza polityczna) i tzw. „*rząd dusz*” (panowanie, w sferze pojęć kulturowych i obyczajowych, nad umysłami — a jeszcze lepiej nad sercami). Marzeniem każdej władzy jest równoczesne sprawowanie obu tych rządów. Marzeniem każdego społeczeństwa jest, by rządzono nim uczciwie, sprawiedliwie, pięknie, szlachetnie itp. Ale ponieważ „*władza zawsze korumpuje*” (jak słusznie rzekł w XVIII wieku lord Acton) — wspomniana nadzieja będzie zawsze matką z porzekadła kwestionującego ludzkie walory umysłowe. Do minionych piętnastu lat III Rzeczypospolitej i do dzisiejszej Polski pasuje nie tylko uniwersalna sentencja lorda Actona, lecz i fraza Wielkiego francuskiego malarza Romantyzmu (pierwsza połowa XIX wieku), E. Delacroix: „*Panowanie zbrodniarzy i kapusiów nie może być panowaniem piękna, a zwłaszcza panowaniem prawdy*”. Rządzi kłamstwo, i to w obu „*grupach trzymających władzę*” — politycznej, jak i kulturowej. Tę drugą grupę stanowi mocarstwowo opiniotwórczy „*Salon*”. Szefem jest tam A. Michnik, trzymający magiczną różdżkę pod nazwą „**Gazeta Wyborcza**”. Różdżka spełnia sen o władzy. Prof. R. Legutko sądzi, że współredaktorzy organu Michnika „*pragnęliby widzieć Polskę jako jedną wielką redakcję «Gazety Wyborczej»*”,.

Ze wszystkich zdolności Michnika najważniejsza jest umiejętność odróżniania ludzi dobrych od złych. Robi to metodą Cartera. Były prezydent USA, J. Carter, jako sześćoletni chłopiec sprzedawał orzeszki ziemne. Później powiedział, udzielając wywiadu: „ — *Wtedy właśnie nauczyłem się odróżniać ludzi dobrych od złych. Dobrzy byli ci, którzy kupowali mój towar*”. Ci, którzy kupują idee, manie, sądy, przesady i gazety Michnika, są ludźmi dobrymi. To jego klientela, o którą musi się martwić coraz bardziej — tym mocniej, im mocniej ogólna pauperyzacja Mieszkańców III RP pustoszy im sakiewki.

Naturalną klientelą każdego Salonu Wpływu były niegdyś wyższe sfery herbowe, bogate oświecone mieszczaństwo i środowiska twórców, a później głównie inteligencja, bez względu na to jak ją zwano czy definiowano. Podobnie jest dzisiaj. A. Michnik wie o tym, dlatego stara się swoją klientelę pieścić, a zwłaszcza jej „*twarde jądro*”, czyli różową inteligencję. Dowartościowuje jak może tę grupę społeczną, co wzmacnia jej poczucie wyższości nad resztą narodu, vulgo: jej arogancję. J. Białek i P. Skórzyński: „*Bez wątpienia ta niesamowita arogancja bierze się ze swego rodzaju «państwowej ideologii III Rzeczypospolitej», jaką od 1989 roku lansuje Adam Michnik i jego zauszownicy. Opiera się ona na micie — prościej byłoby go nazwać bajką — wedle którego szlachetna inteligencja twórcza PRL wywalczyła i wynegocjowała wolność w porozumieniu z «ludźmi honoru» rodzaju Kiszczaka. Nie jest więc przypadkiem, że czytelnicy «Gazety Wyborczej» oraz sojusznicznych czasopism są od kilkunastu lat przekonywani o niezwykłych cnotach i zaletach, jakie spływają na każdego, kto ma coś wspólnego z literaturą, teatrem, kinem lub muzyką poważną*”. Czyli z twórczymi kręgami „*Salonu*”.

Ale Michnik wie także (nie jest ślepy i głuchy), iż w III RP jego klientela mocno materialnie podupadła. Skończyły się szczodre państwowe datki (dotacje, gratyfikacje, pensje za tzw. „*gotowość twórczą*”, stypendia, honoraria etc.) dla mrowia beztalenci obdarzanych mianem „*twórców*”, i klasa inteligencka zaryła nosem w ziemię. Trzeba się teraz straszliwie napocić, by sprzedać swój „*twórczy*” produkt, który nieźle się sprzedaje tylko wtedy, kiedy spodoba się nabywcom (czyli ćwierćinteligentom, półinteligentom i nietwórczym inteligentom, których również gnębi bieda). Obie strony „*Salonu*” dostały materialnie po tyłku, co rekompensować im może jedynie teza o wyższym statusie duchowym, lansowana przez „*GW*”. Znowu duet Białek i Skórzyński:

„ *Absurd takiej tezy nie umniejsza jej doraźnej, socjotechnicznej skuteczności. Michnik bowiem znakomicie potrafił rozniecić i wyzyskać tę bynajmniej niebagatelną siłę społeczną, jaką jest snobizm. Przeciętny*

inteligent, nawet bezrobotny, dzięki codziennej lekturze «GW» i poruszaniu się w zamkniętym kręgu znajomych, może poczuć się członkiem warstwy, do której należą też Miłosz, Lem czy Szymborska. Jak osiemnastowieczny sztachetka, któremu została już tylko chabeta i zardzewiała szabla, czuje się w ten sposób lepszy od pospólstwa bez herbu. Jako Obrońca Kultury przed klerykalnym motłochem, może uznać się za członka «europejskiej elity»...

Według powszechnego mniemania — papiery na tę „elitarność” daje wyższe wykształcenie (ergo: dyplom wyższej uczelni). Lecz starczy porozmawiać serio z typowym członkiem „fan-klubu” Michnika, entuzjastycznym konsumentem „**Gazety Wyborczej**”, by odnieść wrażenie, że dyplomowana ludzka inteligencja „postępowa” nie bardzo lubi się zadawać ze zdrowym rozsądkiem — „*jamais couche avec*”. Co mi przypomina głośną swego czasu powieść E. M. Remarque'a „**Na zachodzie bez zmian**”, gdzie pewien poborowy (w cywilu szewc), spec od wykombinowywania deficytowych dóbr (żywności itp.), klasyczny czciciel zdrowego rozsądku, twierdzi z przekonaniem, że „*wykształcenie ogłupia*”. To właśnie wrażenie odnosi rozsądny człowiek mając do czynienia z michnikointeligentami — z klientelą „**Gazety Wyborczej**”. Jedenaście lat temu (1993) R. A. Ziemkiewicz wygłosił trafny sąd o czytelnikach „**GW**”: „*Tak zwany inteligent to w siedmiu przypadkach na dziesięć istota absolutnie bezmyślna, niezdolna do jakichkolwiek samodzielnych procesów myślowych. Co usłyszysz — to powtarza, i dumny jest ze swojej przynależności do elit (...) Mamy w Polsce, tak lekko licząc, z milion kretynów, dla których co napisane w ulubionej gazecie i powtórzone przy rytualnej herbatce w pracy — to święte. Nawet się ich nie rozstrzela, bo gdzie by potem tyłu pochować?*”

Górnolotni inteligenci, vulgo: elita „warszawki” i „krakówka”, plus okołosalonowy inteligencki plankton, to wszakże zbyt mało, żeby stworzyć rzeszę akolitów. Niezbędne są również masy ćwierćinteligentów i zwłaszcza półinteligentów. Tych nie brakuje, pochodzą jeszcze ze starego wychowu, co tak widział „Kisiel”: „*Polska Ludowa to wielka szkoła półinteligencji, wszyscy będą półinteligentami, nawet (a zwłaszcza) ci, co kończą wyższe uczelnie. Jest więc u nas niby-stan, o którym niegdyś wielokroć pisałem (...) Jednego tylko nie powiedziałem — że to będzie tak nudne i głupie*”. Nudne i głupie może sobie być — ważne jest, aby było duże liczbowo i aby wierzyło w „centralę”. Dlatego Michnik robił i robi wszystko, by trafiać do mas studentów i absolwentów (gdzie tylko część jest pochodzenia inteligenckiego), oraz do emancypujących się mozolnie na inteligenckość warstw półinteligencyjnych, wywodzących się głównie z raczkującej „*klasy średniej*” (biznesmeni,

urzednicy itp.). Bohater mojej powieści „**Kielich**” próbował tak ich definiować:

„ — Między tępą hołotą a kulturową elitą zawsze istniał członek pośredni, pewna liczba ludzi świadomie bądź podświadomie aspirujących do kulturowego oszlifowania. Dzisiaj daje się im miano ćwierćinteligentów lub półinteligentów, lecz ta pejoratywna terminologia nieprecyzyjnie identyfikuje stan, o którym mówię. Chodzi o kulturowych aspirantów, o swoisty półprodukt ewolucji kulturowej, o czeladników kulturowego szlachectwa”.

Sumując: Michnika nie interesują (i słusznie) półgłówki wertujące wyłącznie „*tabloidy*” — to nie jego klientela. Obchodzi go inteligent, półinteligent i ewentualnie ćwierćinteligent, których inteligencja jest podszyta bezmyślnością i lewicowością, czyli bezoporną podatnością na salonową indoktrynację. Ergo: dla stworzenia własnego stada nie jest mu potrzebny ani zupełny (genetyczny czy środowiskowy) prymityw, ani człowiek samodzielnie myślący (taki jest niebezpieczny, gdyż zazwyczaj jest wrogiem różowego „*Salonu*”), tylko „*lewak z poprawnie polityczną wydmuszką zamiast mózgu*” (jak to ładnie ujął pisarz-satyryk M. Wolski) — taki człowiek, który bezkrytycznie uzna, że „*jedynie Michnik wie na czym polega demokracja i tolerancja, on jest tutaj alfą i omegą*” (jak to celnie ujął „*Kisiel*”).

Wajda zrobił kiedyś marny film pt. „**Piłat i inni**”, ale ten film miał genialną metaforyczną scenę wprowadzającą. Ona mi się zawsze przypomina, gdy myślę o A. Michniku i o hordzie jego klientów. Dla tych, którzy filmu nie mieli okazji widzieć, cytuję streszczenie wzmiankowanej sceny dokonane przez L. Antonowicza: „*Rzecz dzieje się w rzeźni. Stado baranów tłoczy się, popycha, jest bałagan, dezorientacja. W pewnej chwili pojawia się, wepchnięty przez rzeźników, dorodny tryk z pięknie zakręconymi rogami. Urodzony przywódca. Staje na czele stada i prowadzi je. Barany biegną za nim, robi się wreszcie jakiś porządek. Barany o nic nie pytają. Po prostu ufają swojemu przywódcy. Wszak ma takie piękne rogi. W ostatniej zagrodzie jest mała, niepozorna furka w ogrodzeniu, przez którą wódz zostaje wyprowadzony. Pozostałym baranom podrzynają gardła. Wódz udziela wywiadu. Mówi do mikrofonu, że przecież lepiej, aby stado szło porządnie, niż by się mieli tratować. Poza tym, gdyby nie zrobił tego on, zrobiłby to ktoś inny, gorszy”.*

Metafora nie byłaby metaforą, gdyby niosła treści dosłowne. Nie chodzi mi więc o podrzynanie gardeł ludziom. W przypadku, jaki diagnozuję, chodzi o podrzynanie im mózgow. O mentalne ubezwłasnowolnianie ludzi pajęczyną kłamstw, która tworzy system myślenia (postrzegania, wartościowania, funkcjonowania) — do taktu. Każdy wielki totalizm zaczynał się właśnie od tego — od zglajszachtowania przez kuglarstwo informacyjno-interpretacyjne i

opiniotwórcze ludzkich poglądów, od dezindywidualizacji umysłów, od umiejętnego zdegradowania wszystkiego co święte i zaszczepienia powszechnej wiary w dobroć oraz prawdomówność Zła — a rozwijał się do wtóru werbli, których twarde pałki wybijają takt wegetacji niewolniczej. Mefistofeles Goethe'ego mówi:

„Potem przykażą wam surowo,
Że co czynicie odruchowo,
Jedzenia, picia prosty akt
Na raz! dwa! trzy! ma dziać się w takt”*

* —Tłum. F. Konopka.

Jest to orwellowska wizja ubezwłasnowolnienia — w danym przypadku: ubezwłasnowolnienia mózgów (vel: wykastrowania intelektu) — a Mefistofeles Michnik to orwellowski „*Wielki Brat*”, który narzuca swej klienteli diabelską transakcję. O niej za chwilę, dygresyjnie bowiem warto wspomnieć, że do miana Mefistofelesa III Rzeczypospolitej Michnik ma konkurenta — swego biesiadnego kumpla, J. Urbana. W połowie lat 80-ych wieku XX ci dwaj wykoncypowali razem różowo-czerwoną post-peerelowską elitę nowej władzy, odnieśli triumf, i teraz każdy dysponuje potężnym prasowym medium, z tym, że „Nie” Urbana ma inną klientelę, głównie postaparaczykowską, postmilicyjną, postesbecką, kołtuńską, prymitywnie (nie zaś „*postępowo*”) antykościelną — wszystkich tych ćwierćinteligenckich i półinteligenckich chamusiów, których rajcuje pornografia i językowe „*mięso*”, a którzy nie wykazują chęci, by ewoluować od ćwierć-inteligenckości-półinteligenckości ku inteligenckości salonowej. J. Urban może mieć jednak o tyle bardziej uzasadnione pretensje do grania roli Mefistofelesa, że fizycznie przypomina go nieomal sobowtórzo. Znamy wyłącznie jeden „autentyczny” konterfekt tego diabła uchodzącego za symbol kusicielstwa i deprawacji, wizerunek pierwszy (wczesnorennesansowy) — wszystkie późniejsze (zwłaszcza XVIII-wieczne i XIX-wieczne) to nonsensowne wytwory fantazji preromantycznych i romantycznych grafików (nie znali pierwowzoru, alias oryginału). Został on narysowany przez niemieckiego czarnoksiężnika, doktora J. Fausta (1480-1540), który rzekomo kontaktował się z Mefistofeilesem. Faust zamieścił ów konterfekt „*en pied*” (całopostaciowy) w swym dziele „**Hollenzwang**”, ukazując jowialnego, wielkouchego, łysego grubasa o nikczemnym wzroście. Proszę spojrzeć na reprodukcję — wypisz wymaluj J. Urban! Ale tu koniec żartów — wróćmy do diabelskiej transakcji Michnika z jego klientelą.

Kilkadziesiąt lat temu miała miejsce — między czerwonym „*Wielkim Bratem*” (Stalinem) a „*postępową inteligencją*” — sławna „*faustowska*

transakcja z komunizmem". „*Wielki Brat*” Michnik narzucił „*postępowej inteligencji*” faustowska transakcję z różowym „*Salonem*”, który powie jak żyć, jak myśleć, jak widzieć świat i jego przemiany, jak reagować na wszystko. Wypisze ci każdą receptę, skomentuje po swojemu każde wydarzenie, rozwieje każdą wątpliwość. Ty nie musisz się męczyć — ta pralka „*sama pierze*”. Wskaże ci bezbłędną-bezstresową drogę przez życie i właściwe towarzystwo („*dobre towarzystwo*”) o mózgach czystych (równie solidnie wypranych), da ściągawkę do głoszenia inteligenckich sądów i poglądów, uświadomi z czego można się śmiać, czym trzeba gardzić (np. dekomunizacją i nietolerancją wobec żądań gejów), nad czym wolno biadolić i kogo winno się kochać. Nie przemęczaj się i wyluzuj!

Proszek, który został wrzucony do tej pralki, zwie się „*polityczna poprawność*”. Grzechy różowego „*Salonu*” są rozliczne (kolejno je omówię), lecz bazowym jest lewacka tyrania „*politycznej poprawności*”, która przyszła do nas z „*postępowych*” kręgów Zachodu. R. Legutko: „*To właśnie ta ideologia tworzy dzisiaj najbardziej wpływowe stereotypy i z niej biorą się najpopularniejsze schematy, banały, półfałszy i pozorne oczywistości*”. Pytanie zasadnicze brzmi: czym grożą? W przypadku zwyczajnym: ogłupieniem tudzież zdemoralizowaniem społeczeństwa i sterroryzowaniem tych inteligentów oraz intelektualistów, którzy wyznają, miast „*postępowych*”, wartości dekalogowe, czyli tradycyjną moralność i uczciwość myślową wykluczającą sztuczki relatywistyczne. W przypadku najdrastyczniejszym: anihilacją państwa i jego tysiącletniej kultury. Pierwszą europejską owcą kandydującą do zarznięcia jest Francja.

Francja to z salonowego (czyli „*poprawnościowo-politycznego*”) punktu widzenia przypadek osobliwy. Funkcjonują tam bowiem dzisiaj dwa wrogi sobie „*Salony*” — filosemicki (wspomnę o nim w rozdziale 3 tej części książki) i dużo silniejszy (!) „*Salon*” filomuzułmański. Oba są umyślowo zboczone, ale to nie może dziwić, bo mózgowo zboczony jest każdy na świecie lewicowy „*Salon*”, wszelako francuskie elity inteligenckie starają się pod względem głupoty i wredności bić światowe rekordy par force. W wielu przypadkach, gdy chodzi o „*political correctness*”, oba te nadsekwańskie „*Salony*” działają zgodnie, jak choćby w przypadku ekstradycji do Włoch (lato 2004) włoskiego terrorysty-mordercy, lewaka C. Battistiego. Cała francuska elita umysłowa gromko zaprotestowała przeciwko wydaniu zbrodniarza, co tak rozwścieczyło Włochów, że nawet lewicowa włoska „*Unita*” zbeształa francuskie „*Salony*” za — cytuję — „*głęboką degradację moralną i mentalną francuskich lewicowych intelektualistów*”. Dla Francji jako państwa groźniejszy jest rodzimy „*Salon*” filomuzułmański, absurdalnie

dopieszczający huraganowo rosnącą, wielomilionową islamską „mniejszość narodową „ tego kraju. Jak obliczono — już w 2050 roku we Francji liczba muzułmanów zrówna się z liczbą niemuzułmanów, a później muzułmanie zdominują białą ludność bez reszty, vulgo: Francja (ciekawe pod jaką nazwą?) stanie się krajem muzułmańskim tout court. Latem 2004 odważył się wskazać tę konsekwencję „politycznej poprawności” (na łamach „Le Figaro”) znany etnolog i pisarz, J. Raspail, mówiąc:

„Los Francuzów jest przypieczętowany (...) Cała starzejąca się (gasnący przyrost demograficzny), intensywnie muzułmanizowana Europa zmierza ku śmierci, lecz Francja pierwsza zawali się pod presją niewyczerpywalnego rezerwuaru imigracyjno-demograficznego islamu o charakterze zaborczym i fundamentalistycznym (...) Rdzenni Francuzi nie zdają sobie sprawy z tej groźby, gdyż są od dziecka nieustannie poddawani praniu mózgow — terrorystycznej propagandzie «praw człowieka», «otwarcia się na innych», «solidarności ogólnoludzkiej», «pluralizmu», «tolerancji» i wypaczonej idei chrześcijańskiego miłosierdzia, czyli sztampowych chwytów z arsenału «politycznej poprawności», wspieranych przez «ustawy antyrasistowskie» (...) Jednego nie mogę pojąć — jak i dlaczego tylu niegłupich przecież Francuzów i tylu francuskich polityków (również prezydent J. Chirac, bredzący, iż «korzenie Europy są w równej mierze muzułmańskie co chrześcijańskie») świadomie i metodycznie, by nie powiedzieć — cynicznie, przykładą rękę do poświęcania Francji na ołtarzu utopijnego humanizmu, posuniętego blisko granic absurdu. Zadaję sobie to samo pytanie a propos tych wszystkich wszechobecnych [salonowych — W. Ł.] i hałaśliwych organizacji na rzecz praw takich czy owakich, stowarzyszeń intelektualistów, subsydiowanych oficyn propagandowych, siatek manipulatorów, którzy zinfiltrowali wszystkie mechanizmy państwa, zawodowych sygnatariuszy przeróżnych apeli, «poprawnych politycznie» mediów, i wszystkich tych «ludzi inteligentnych» [klientela — W. Ł.], którzy dzień po dniu systematycznie i bezkarnie wstrzykują substancję paraliżującą do wciąż jeszcze żywego organizmu francuskiego. Wszyscy ci ludzie aż do mdłości odmieniają na wszelkie sposoby określenie «wartości republikańskie», lecz ani słowem nie wspominają przy tym o Francji. Tymczasem Francja to przede wszystkim namacalna, fizyczna ojczyzna. Republika to tylko określona forma rządów, będąca dla tych ludzi symbolem pewnej ideologii. I w imię tej ostatniej gotowi są poświęcić tę pierwszą — Francję”.

We Włoszech analogiczną Kasandrą jest najgłośniejsza dziennikarka Italii, niegdyś lewicująca, dziś konserwatywna O. Fallaci, która dwiema swymi książkami („**Wściekłość i duma**” tudzież „**Siła rozumu**”) wypowiedziała

wojnę islamizacji Europy, konkludując: „*Europa staje się Eurarabią. Wkrótce będzie kolonią islamu, muzułmańską prowincją. Nie lubię wieszczyć, że Troja zapłonie, lecz takie są fakty*”. Fallaci jasno wskazuje winowajcę: „postępowy” lewicowy „*Salon*” filomuzułmański tudzież klientelę wyborczą tego gangu: inteligencję, półinteligencję i ćwierćinteligencję otumanianą hasłami „*poprawności politycznej*” na rzecz „*tolerancji dla kolorowych*”.

Właśnie współczucie — współczucie skądinąd humanitarnie jak najbardziej słuszne — dla ludzi mających niebiałą barwę skóry wyprodukowało „*political correctness*”, o czym mówi kolejny rozdział.

2. „Polityczna poprawność”

„*Political correctness*” — „*polityczna poprawność*”. Co to jest? Jest to lewicowa (lewacka), obyczajowo-kulturowa i semantyczna vel leksykalna (tycząca słownictwa), dzuma naszych czasów. Ale o co tu chodzi? Jednym zdaniem mówiąc: chodzi o nazywanie białego czarnym i vice versa. Atoli za jedno tylko zdanie wydawca dałby mi nie więcej niż jedną tylko złotówkę, tedy muszę się trochę rozpisać na temat „*politycznej poprawności*”.

Słowa „*czarny*” użyłem automatycznie, metaforyzując. Lecz tym samym trafiłem przez przypadek celnie w samo prąźródło dzumy, gdyż „*political correctness*” zaczęła kiełkować w USA, wiele lat temu jako forma walki z dyskryminacją czarnych (Murzynów), a precyzyjniej rzecz biorąc: jako forma kampanii o dowartościowanie czarnoskórych obywateli Stanów Zjednoczonych. Później włączyły się feministki, lesbijki, męskie mniejszości homoseksualne i wszelakie inne, ekolodzy, anarchiści, nihiliści, antyglobaliści, różni „*postępowcy*”, kulty, sekty, zboczenia, wynaturzenia, itp., itd. — i poooszło! Ale zaczęło się od Murzynów.

Historyk-maniak, czyli upierdliwy detalista, wskazałby już XVI wiek jako początek walki „*białasów*” o prawa kolorowych, zaś jako niefortunnego pioniera — hiszpańskiego mnicha Las Casasa. Ów misjonarz tak się ciskał, że w roku 1555 cesarz Karol V urządził na swym dworze publiczną dyskusję między nim a elokwentnym humanistą Sepulveda, który bronił starożytnej tezy Arystotelesa o prawie narodów wyższych do sprawowania zwierzchności nad ludami niższymi. Las Casasowi chodziło wtedy o Indian, którzy nie nadawali się do ciężkich niewolniczych robót na plantacjach (padali jak muchy). Chciał im ulżyć, wymyślił metodę i rozgłosił swój pomysł. Pomysł był prosty: zastępować Indian dużo wytrzymalszymi Murzynami z Afryki! Pomysł się spodobał, więc realizowano go (co mi przypomina równie humanitarny późniejszy pomysł „*dobrych ludzi*”, który upowszechnił straszliwy narkotyk — pomysł leczenia morfinistów heroiną).

Gdy już Ameryka pełna była przywleczonych z Afryki czarnych niewolników — w Stanach wykuł się (wiek XIX) Ruch Abolicjonistów, toczący walkę o wyzwolenie ludności murzyńskiej. Dla „ludzi postępu” całego świata i całego XX stulecia idolem tej walki był amerykański prezydent A. Lincoln (często określano go jako największego ze wszystkich prezydentów USA), który zniósł w Stanach niewolnictwo (sławna proklamacja wyzwolenia Murzynów) i stoczył ciężką Wojnę Domową ze stanami Południa gwoli przeforsowania tej szlachetnej idei. Od dawna jego gigantyczny monument flankuje wejście do waszyngtońskiego Kapitolu. Tymczasem u schyłku XX wieku czarnoskóry amerykański pisarz, L. Bennett, dorwał się do „Archiwum Lincolna” i znalazł papiery, które bezlitośnie kruszą świetlaną legendę. Bennett wydał dwie książki ze swymi ustaleniami, określając Lincolna jako „maskującego się rasistę” i oskarżając go o to, że wyzwolenie przezeń czarnych było tylko częściowe, lokalne, i generalnie było tylko chwytem taktycznym dla osłabienia południowców, oraz — co najważniejsze — wstępem do... wyrzucenia całej „czarnej hołoty” ze Stanów! Realizacji tego planu przeszkodziła nagła śmierć prezydenta. Komentator pracy Bennetta „**Biażę marzenie Abrahama Lincolna**”, J. Borger, tak streścił jej zawartość:

„Jest więc pewnym szokiem, kiedy się czyta, że człowiek znany jako Wielki Wyzwoliciel, był w istocie rasistą (...) Wysławiana proklamacja wyzwolenia Murzynów posłużyła Lincolnowi nie do uwolnienia niewolników, lecz do osłabienia Południa, aby można było wygrać Wojnę Domową i wszystkich czarnych deportować do Afryki (...) Bennett rzuca snop światła na wczesny okres działalności Lincolna, kiedy był on stanowym politykiem w Illinois; zwykł wtedy nazywać czarną ludność pogardliwie «czarnuchami», zarówno rozmawiając prywatnie, jak i przemawiając. Bez końca opowiadał «murzyńskie» dowcipy o czarnej służbie, i gwałtownie sprzeciwiał się zniesieniu niewolnictwa, popierając stanowe ustawy, które wzbraniały czarnej ludności głosowania oraz zajmowania urzędowych stanowisk (...) Bennett przekonuje, że do opublikowania w 1863 roku proklamacji znoszącej niewolnictwo zmusiła Lincolna konieczność dania satysfakcji rozeźlonemu skrzydłu abolicjonistycznemu jego partii, lecz skrupulatnie manipulował sformułowaniami, by proklamacja miała zastosowanie tylko wobec wrogich stanów, pozostających poza kontrolą Unii. W rezultacie ów dekret nie uwolnił ani jednego niewolnika. Bennett cytuje m.in. sekretarza stanu Lincolna, Williama Henry'ego Sewarda, który bez żenady określił proklamację jako iluzję, mówiąc: «Przejawiamy w niej sympatię dla niewolników, uwalniając ich tam, gdzie nie mamy nad nimi władzy, i utrzymując ich w niewoli tam, gdzie moglibyśmy ich uwolnić». Aprobując niewolnictwo na terenie południowych

enklaw kontrolowanych przez Unię (jak Nowy Orlean, gdzie już wcześniej wojsko Unii wyzwoliło niewolników) — proklamacja z 1863 roku w istocie przywróciła niewolnictwo, oddając Murzynów ponownie dawnym panom, czyli reaktywując sytuację sprzed wojny: «antebellum status quo». Bliski przyjaciel Lincolna, Henry Clay Whitney, otwarcie stwierdził, że proklamacja Lincoln «nie była celem, lecz jedynie środkiem do celu, zaś celem była deportacja niewolników». Lincoln przed i w trakcie swej prezydentury stawiał wielokrotnie sprawę wywiezienia niewolników okrętami do Afryki, chcąc stworzyć coś, co Bennett określa jako «białą niczym lilia Amerykę, bez Amerykanów pochodzenia afrykańskiego i Martinów Lutherów Kingów» (...) Jeśli zaś idzie o mit Wielkiego Wyzwoliciele, pisze on: «Historia żadnego innego Amerykanina nie została równie zafalszowana». Język Bennetta pełen jest gniewu, ale na razie nikomu nie udało się zakwestionować autentyczności wykorzystanych przezeń dokumentów i sumienności jego badań”.

Dlaczego tyle miejsca poświęcam Lincolnowi i jego ukochanemu pomysłowi, by odesłać Murzynów tam skąd ich przywieziono? Dlatego, że „rewizjonistyczna historiografia” Bennetta wywołała gromki skandal, który miał symptomatyczny efekt: dzięki niej ujawniono kompromitujące absurdy „politycznej poprawności”, obnażając przy tym pułapki, w które wpadają jej heroldowie, krusząc szerzone przez nich mity, demaskując ich pokrętną lewacką mentalność. Cóż się bowiem stało w efekcie obrażenia Lincolna piórem Bennetta? Zrazu lewacy zgłupieli, lecz wkrótce rozpętała się dyskusja o słuszności-niesłuszności planów „powracania do kraju korzeni” (czyli do Afryki) przez ludność murzyńską. Przypomniano, że już od roku 1822 biali amerykańscy „dobrzy ludzie” („abolicjoniści”) hurtowo odsyłali wyzwolonych Murzynów na Czarny Ląd, i że tam owi „reemigranci” założyli sobie państwo pt. Liberia (Wolność, Wolny Kraj), które błyskawicznie stało się prawdziwym koszmarem i jest typowo afrykańskim piekłem do dzisiaj. Ale czymś dużo gorszym — istnym nokautem — stała się dla wyznawców „political correctness” deklaracja znanego amerykańskiego dziennikarza, czarnoskórego K. Richburga:

Richburg był w latach 1991-1994 szefem biura „The Washington Post” na Afrykę i później zmajstrował głośną książkę pt. „**Out of America: A Black Man Confronts**” (co można tłumaczyć: „Przybysz z Ameryki; czarna doświadcza Afryki”), pełną bezpardonowego wstępu do Czarnego Kontynentu. Richburg błogosławi w niej niewolnictwo, dzięki któremu stał się Amerykaninem, a nie Afrykaninem: „Różni politycznie poprawni mędrkowie twierdzą, że biała Ameryka ma wobec nas, czarnych, dług, bo nasi przodkowie byli tu niewolnikami. Zaś Afrykę reklamują jako rodzaj murzyńskiej Walhalli,

czyli raju, do którego winni wracać potomkowie niewolników pragnący odzyskać swą ludzką godność. Przepraszam, ale ja tam pojechałem, i doświadczyłem Afryki... Błogosławię fakt, iż moich przodków, zakutych w łańcuchy, przewieziono przez ocean. Dzięki Bogu Jestem Amerykaninem". W pewnym momencie Richburg (komentując sadystyczne rzezie międzyplemienne) mówi wprost o czarnych mieszkańcach Afryki: „*To nie są ludzie. To bydłota*". Czytając takie rzeczy, ludzie „*politycznie poprawni*” dostawali szału. Lecz gnojenie Richburga utrudniały im dwa szlabany: fakt, iż jest on Murzynem, i świadomość, że każdy amerykański Murzyn, którego by deportowano do Afryki — uznałby to za krzywdę niewyobrażalną.

Każda taka „zdrada” ze strony „*Afroamerykanina*” boli „*Salon*”. Ból najświeższy (lato 2004) to kilka publicznych wystąpień sławnego czarnoskórego aktora, B. Cosby'ego, który bezlitośnie zrugął swych czarnoskórych „*braci*” z murzyńskich gett za ich lenistwo, chamstwo, głupotę, narkomanie, alkoholizm, bandytyzm i antyfamilijność, mówiąc, że „*tych ludzi nic nie usprawiedliwia*”, gdyż Ameryka daje im szczerze wszelkie szanse nauki i awansu społecznego, lecz oni nie chcą tego wykorzystywać, preferując wulgarny „*tumiwizizm*” bądź działalność kryminalną. „ — *To są głąby same sobie winne, a swoje frustracje odreagowują brutalnością. Przestańcie bić swoje kobiety tylko dlatego, że wskutek niechęci do nauki nie nadajecie się do żadnej sensownej pracy. Trzeba było nie uciekać ze szkół! Przestańcie chrzanić o niewolnictwie — to było bardzo dawno temu. Biedni Azjaci przybywają tu i błyskawicznie robią karierę, bo chce im się uczyć, a wy nie umiecie się nawet wystawiać po ludzku angielskim językiem!*”. Itd. Duży dla „*Salonu*” kłopot!

Równy kłopot mają amerykańscy „*politycznie poprawni*” ze swym największym „*czarnym sukcesem*” — z tak zwaną „*akcją afirmacyjną*”, czyli z preferencjami dla Murzynów przy przyjmowaniu do pracy i zwłaszcza przy rekrutowaniu na studia (coś w rodzaju peerelowskich „*punktów za pochodzenie robotnicze i chłopskie*”, tylko w skali dużo większej). Władze amerykańskie wprowadziły takie przywileje ćwierć wieku temu pod naciskiem lobby „*postępowców*” (amerykańskich wojujących „*liberałów*”, ergo: lewaków). Dzisiaj wiele stanów się z tego wycofuje (identycznie jak z niefrasobliwego zniesienia kary śmierci), m.in. pod naciskiem... Murzynów, gdyż „*akcja afirmacyjną*” sprawiła, że każdy czarny absolwent, choćby bardzo zdolny, jest postrzegany jako głup, który dostał się na studia i ukończył je wyłącznie dzięki realizowaniu przez państwo zasady politycznej, czyli dzięki sztucznym przywilejom, a nie wskutek własnego ilorazu inteligencji (IQ). I tu, nim pociągnę wątek dalej, trzeba rzec kilka słów o amerykańskich burzach wokół IQ.

Pierwsza gigantyczna awantura gruchnęła roku 1969, kiedy W. Schockley (laureat Nobla) i A. Jensen (psycholog z Uniwersytetu Berkeley) publicznie zażądali, by nie mieszać dzieci czarnych i dzieci białych w jednych klasach szkolnych, gdyż taki koktajl drastycznie obniża poziom nauczania (ze względu na genetycznie determinowany, dużo niższy iloraz inteligencji Murzynów), wskutek czego dzieciaki białe ponoszą szkodę. Buchnęło wówczas chóralne oskarżenie dwóch uczonych o rasizm i ruszyły antyrasistowskie demonstracje, m.in. w Berkeley (nadwiślańskie echa tego skandalu streścił R. Legutko: „*Testy na inteligencję, pokazujące statystyczne różnice między wynikami szkolnymi, są piętnowane jako wyraz pogardy białej kultury wobec czarnej*”). Ale było to „*małe piwo*” przy burzy, która się rozpętała A. D. 1994, kiedy Ch. Murray (socjolog) i R. Herrnstein (psycholog z Harvardu) opublikowali pracę pt. „**The Bell Curve**”. Prawie 900 stron tabel, wykresów i pomiarów, będących efektem wieloletnich badań naukowych, dowodziło tam, że IQ Murzynów jest dużo niższe od IQ białych, oraz że ta „*intelektualna dysfunkcyjność*” jest dziedziczna, a więc nie wynika z warunków środowiskowych (życie wewnątrz murzyńskich gett, nędza etc.), tylko ma źródło genetyczne. Książka wprowadziła „*politycznie poprawnych*” w stan białej gorączki. Ówczesny amerykański korespondent „**Gazety Wyborczej**”, J. Kalabiński, donosił: „*Burza, jaka rozszalała się w amerykańskich środkach przekazu, nie ma precedensu. Przy lekturze większości komentarzy odnosi się wrażenie, że podczas ich pisania autorzy byli bliscy furii. Od dwóch tygodni w prasie, radiu i telewizji króluje temat «krzywej inteligencji»*„. Trwało to długo. Lewicowy „**The New Republic**” poświęcił sprawie cały numer, „*liberalny*” „**Newsweek**” dał książkę na okładkę, inne czasopisma tygodniami wałkowały IQ. Gazety europejskie określiły dzieło Murraya i Herrnsteina jako „*książkę, która wstrząsnęła Ameryką*”. Chociaż żadne kontrbadania nie zdołały obalić wyników badań dwójki autorów (co nie znaczy, że ich wnioski nie są kontrowersyjne — potrzebne byłyby tu żmudne badania genetyczne), obaj naukowcy zostali zlinczowani przez „*politycznie poprawną*” opinię lewicową — za rasizm. Ale dzięki temu tamtejszy antyrasistowski „*Salon*” wpadł w pułapkę — w wilczy dół wykopany przez siebie samego. Okazało się, że antyrasizm to kij, który ma dwa końce.

Drugi koniec kija zaczął spadać na „*politycznie poprawnych*”, kiedy do sądów poszli ze skargą biali kandydaci, którzy świetnie zdali uczelniane egzaminy wstępne i nie zostali przyjęci wskutek „*braku miejsc*”, bo te miejsca zajęli czarnoskórzy, którzy zdali dużo gorzej. Najpierw jeden biały odważył się zaskarżyć uczelnię, potem drugi zaskarżył „*akcję afirmacyjną*” jako taką (czyli państwo), i wreszcie przerodziło się to w masówkę procesów. Jedni sędziowie

oddalali skargi, lecz inni, odważniejsi, przyznawali rację powodom, a te drugie werdykty bazowały na dwóch oczywistościach trudnych do obalenia: matematycznej i socjologicznej. O ile bowiem ciężko jest udowodnić, że szef firmy, mając dwóch kandydatów na swego zastępcę czy na jakiegokolwiek inne stanowisko, wybrał Murzyna a nie białego, gdyż uległ terrorowi „*politycznej poprawności*” zamiast kierować się względami merytorycznymi — o tyle w przypadku akademickich egzaminów dowód jest bezsporny, ponieważ tam się odnotowuje punkty. Bez trudu więc wykazano, że gdyby nie „*akcja afirmacyjna*” — na tysiąc studentów przypadałoby nie 120 Murzynów (dane z roku 1994), lecz tylko jeden (sic!). Bez trudu również dowiedziono, że wyłączną bazą „*akcji afirmacyjnej*” jest kryterium rasowe, a więc rasistowskie par excellence! Wunderwaffe „*politycznej poprawności*” — kij antyrasizmu — walnął „*politycznie poprawnych*” w łeb. „*Kto mieczem wojuje...*”.

Odbili to sobie za pomocą Hollywoodu. Już w latach 80-ych filmowa „*polityczna poprawność*” made in USA była smaczna. Przypomnijcie sobie sławnego „**Terminatora**” ze Schwarzeneggerem: biega tam na ekranie wielu białych zabijaków, przeciętniaków i głabów, lecz jest również pewien supernaukowiec, wielki mózg, genialny wynalazca, Einstein nowych czasów — i jest nim Murzyn. Wtedy to jeszcze raczkowało, ale dekadę później stało się rutyną: w zdecydowanej większości amerykańskich filmów kinowych i telewizyjnych lat 90-ych i dzisiaj szefami (czyli tymi od myślenia) są czarni, a biali to ich podwładni („*fizyczni*”) — w „*thrillerach*” czy w „*cop movies*” (filmach policyjnych) czarny szef i biała załoga to już rytualny standard, wyjątki są rzadkie. Trzeba arcymózgu (exemplum Morfeusz w „**Matrixie**”), filozofa, pisarza, poetę, profesora akademickiego, mądrego sędziego lub admirała (exemplum szef CIA w serii głośnych „*Ryanowskich*” filmów według prozy T. Clancy'ego) czy też chirurga-wirtuoza? — proszę bardzo, byleby miał czarną skórę, pielęgniarze mogą być biali. Ta mania to już jakaś choroba, bo w społeczeństwie amerykańskim jest niewiele ponad 10% Murzynów. Ale widocznie prawie wszyscy spośród nich to geniusze bądź przynajmniej „*jajogłowi*”, intelektualny sztab.

Równie wielkie sukcesy odnosi amerykańska „*polityczna poprawność*” w innych dziedzinach, np. w sądownictwie. Pamiętacie nie tak dawny superproces O. J. Simpsona — słabego aktora („**Koziorożec 1**”) i wybitnego mięśniaka (futbol amerykański), idola kibiców? Tego ewidentnego podwójnego mordercę (mnóstwo bezspornych dowodów, m.in. testy DNA) sąd uniewinnił, gdyż zamordowani byli biali, a nacisk na ławę przysięgłych ze strony Murzynów (gigantyczne demonstracje uliczne, groźba spalenia kilku dzielnic Los Angeles), wspieranych przez lewaków, miał ciężar kafaru

„postępowego”. W pedagogice i w propagandzie medialnej wielkim triumfem „politycznej poprawności” stało się wywyższanie rockmenów i jazzmenów, tudzież bezimiennych afrykańskich „plastyków” i gawędziarzy („griotów”) nad gorzej utalentowanych „białasów”, takich jak Mozart, Chopin, Beethoven, Bach, Rubens, Leonardo, El Greco, Platon, Kartezjusz, Kant, Szekspir, Byron, Molier czy Cervantes. Była to riposta amerykańskiego „Salonu” przeciwko głosom (m.in. przeciwko zgryźliwej opinii znanego pisarza, S. Bellowa), iż nie pojawił się nigdy żaden wielki literat, rzeźbiarz, malarz, uczonec bądź wynalazca rasy murzyńskiej. Ta riposta szybko przybrała charakter kampanii dużego kalibru. Mówię o mocno nagłaśnianej akcji „Down with DWEMs!” („Precz z DWEMsami.’,). DWEM to „Dead White European Men” („Martwi Biali Europejczycy”). Vulgo: mówię o niższości białego, który wynalazł telefon lub kolej, wobec Murzyna, który wynalazł bambus. Przepraszam: wobec „Afroamerykanina”, bo tylko tak wolno teraz nazywać amerykańskich Murzynów, podobnie jak debila wolno zwać tylko „inteligentnym inaczej”, kalekę — „sprawnym inaczej” (Europa przyjęła wersję łagodniejszą: „niepełnosprawni”), złodzieja — „uczciwym inaczej”, itp. Najlepszy status obywatelski, jaki można sobie wyobrazić w Ameryce (i do którego trzeba dążyć), to czarna lesbijka transwestytka wyznania konfucjańskiego i pochodzenia meksykańskiego, gdyż wtedy ma się kilka premii („bonusów”): jedną za mniejszość religijną, dwie za mniejszość seksualną i dwie za mniejszości narodowe. Powodzenia!

Cały ten problem „źródłowy” dla terroru „political correctness” — problem ludzi o czarnym bądź czekoladowym kolorze skóry — nie tyczy, rzecz prosta, wyłącznie Stanów. Dzięki „Salonom” Europa przerabia go również. Vide Anglia, gdzie mamy do czynienia z dewiacją polegającą na tym, że chociaż nie można kolorowym (Afrykanom, Jamajczykom, Pakistańczykom, Cejlończykom etc.) wybielić skóry, próbuje się im sztucznie (statystycznie) wybielić erudycję, wiedzę, inteligencję, gusta, słowem „kulturalność’,. Jak? Ano choćby tak, że wyznacza się muzeom obowiązkowe procentowe „kwoty” zwiedzających o innym niż biały kolorze skóry. Procent zwiedzających o skórze kolorowej nie może zejść poniżej wyznaczonego limitu. Dyrektorzy muzeów pytają: jak to robić? Ograniczając liczbę białych zwiedzających, czy zapędzając kolorowych siłą do muzeów? Świat jest karmiony takimi aberracjami coraz częściej, a dla zamykania ust krytykom tych zbroczeń służy specjalny słownik terminów „politycznie poprawnych” — kneblujących i zastraszających. Kiedy niedawno płonęły angielskie Oldham i Bradford, podpalone i obrócone w perzynę przez społeczność kolorową, której przywódcami-prowodyrami są handlarze narkotyków, angielskie media

zgodnym chórem kłamały, iż źródłem tego dzikiego szaleństwa są prowokacje ze strony „*skrajnie prawicowych bojówek*”. Każdemu, kto chciał wtedy mówić prawdę na ten temat, zamykano usta epitetem „*rasista*” lub „*faszysta*”, bo tak nakazywała „*politycznie poprawna wyższa konieczność*”! Dopiero kilka tygodni później H. Ouseley, przewodniczący Komisji do Spraw Równości Rasowej, ujawnił, że te straszliwe zamieszki i zniszczenia miały jako jedyne źródło instynkt agresji przeciwko białym rozpierający kolorowych imigrantów, którzy nie chcą się asymilować nawet na poziomie elementarnym, i że — cytuję — „*Te problemy znane są od dawna, ale wszyscy nabierają wody do ust w obawie przed osądzeniem o rasizm*”. M. Eaton, członkini władz miejskich w Bradford, skarży się prasie, że kiedy na posiedzeniu Rady Miejskiej zwróciła uwagę, iż młodzież z dzielnicy pakistańskiej unika nawet własnych, „*etnicznych*” i objętych specjalną pomocą szkół, robiąc sobie półroczne „wakacje”, czyli bezterminowe wagary — została nazwana „*faszystką*”! Przez kogo? Przez „*tolerancjonistów-postępowców*”. Ergo: przez „*Salon*”.

Bazując na czerni, pionierskiej dla tematu, objaśniłem wyżej niuansy (fałszywe, piruety, absurdy i wpadki) dżumy zwanej „*political correctness*”. Czytelnik może tu spytać: ale co ma, do cholery, cały ten „*Murzynek Bambo*” wspólnego z Polską? Ma. Wyjaśnienie w rozdziale kolejnym.

3. „*Murzynek Bambo*” a sprawa polska

W czasach stalinowskich (i później też) dzieciom polskim czytano wierszyk J. Tuwima pt. „**Murzynek Bambo**”, który zaczynał się od słów:

„*Murzynek Bambo w Afryce mieszka,
Czarną ma skórę ten nasz koleżka*”.

Dzisiaj w licznych stanach Ameryki nie wolno policji nadmieniwać, że ścigany przestępca ma czarną skórę (sic!), bo „*politycznie poprawni*” bali się, iż precyzyjne („*rasistowskie*”) listy gończe dokumentowałyby fakt, że Murzyni, chociaż jest ich dużo mniej niż biali, popełniają dużo więcej kryminalnych czynów. Lecz w PRL-u czarna skóra była instrumentem propagandy (dekolonizacyjnej, proletariackiej itp.), zresztą według opartej na realiach anegdoty, iż każdy zarzut jankeskich polityków czy dziennikarzy dotyczący komunistycznego totalitaryzmu, propaganda sowiecka odpięta rutynowo: „— *A u was biją Murzynów!*”.

Wierszyk „**Murzynek Bambo**” miał wpajać dzieciom zrozumienie dla wysiłków „*postępowej ludzkości*” (komunizmu), by stworzyć „*braterskie więzy*” (wprowadzić na orbitę prosowiecką) z „*proletariatem krajów uciemnionych przez kolonializm*” (z czerwoną partyzantką afrykańskich krajów, finansowaną przez

Kreml), wedle marksistowsko-leninowskiego przykazania „*Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!*” (wstąpcie do „*obozu Krajów Demokracji Ludowej* „!). Jednak nie wszyscy rodzice byli przekonani, że to dobry pomysł, zaś niektórzy rodzice byli aż tak „*niepostępowi*”, że w ogóle nie lubili „*postępowych*” bliźnich, od czerwonych bliźnich zaczynając, a na czarnych kończąc. Exemplum „*Kisiel*”, który w swych intymnych „**Dziennikach**” bez przerwy chłostał piórem „*komuchów*”, lecz, nie zapominał też o chłostaniu „*czarnuchów*”. Podczas lekkoatletycznych igrzysk, zwanych Memoriałem Kusocińskiego, wkurzał się, że jest tam „*za dużo Murzynów*”. Innym razem zdenerwował go film „**Chłodnym okiem**”: „*Przerażający są Murzyni, których głupota, terrorizm i egocentryzm wychodzą w filmie jak na dłoni, wbrew pewno intencjom autorów*”. Część tej „*rasistowskiej ksenofobii*” S. Kisielewskiego przeniknęła jednak na forum publiczne, bo w 1975 roku oberwał klapsa od czerwonej „**Polityki**” („*«Polityka» zaatakowała mnie wreszcie za «zły» stosunek do narodów murzyńskich...*”). Dziś jako pierwsza zaatakowałaby go „**Gazeta Wyborcza**”, żandarm „*Salonu*”, strzegący czystości języka „*politycznie poprawnego*”.

Dużo wcześniej niż zrodził się tak popularny dzisiaj anglosaski termin „*political correctness*” — sowieckopochodny komunizm wytworzył własną „*polityczną poprawność*”, mieszając leksykalnie mocniej niż powiada **Biblia** o Wieży Babel, bo wiele propagandowych terminów znaczyło coś odwrotnego od ujmowanych nimi realiów. Mówiłem to już kilka razy w tej książce, a teraz powtarzam wyłącznie dlatego, by uprzytomnić Państwu, że komunizm był prekursorem „*pc*”. Jednym celnym zdaniem wypunktowała problem M. Miklaszewska, pisząc, iż był to wtedy „*szczególny gatunek terrorizmu intelektualnego, który nie pozwalał nazwać dobra — dobrem, a zła — złem*”. Czy coś się zmieniło? Nie — identycznie jest dzisiaj, gdy nowa (choć też lewicowa) „*polityczna poprawność*” wyznacza standardy obyczajowe i formułuje „*postępowe*” terminy pełne jawnych kłamstw. Jest to absolutnie ten sam schemat: nazywanie dobra złem, a zła dobrem. Bardzo pięknie mówił o tym, kilka lat temu, amerykański pastor J. Wright, podczas otwarcia stanowej sesji ustawodawczej w Kansas:

„ — *Ojcze Niebieski, stajemy dziś przed Tobą prosząc o przebaczenie i szukając Twego przewodnictwa. Znamy Twoje słowa, które mówią: «Biada tym, którzy zło nazywają dobrem», a właśnie to popełniliśmy. Straciliśmy równowagę duchową i obaliliśmy nasze wartości. Wyznajemy, że: ośmieszyliśmy absolutną prawdę Twojego Syna — i nazwaliśmy to pluralizmem; popieraliśmy perwersję — i nazwaliśmy to alternatywnym stylem życia; premiowaliśmy lenistwo — nazywając to opieką społeczną; mordowaliśmy*

nienarodzone dzieci — nazywając to wyborem; zaniedbaliśmy dyscyplinę naszych dzieci — i nazwaliśmy to rozwijaniem ambicji oraz poczucia własnej godności; skaziliśmy powietrze bezbożnością i pornografią — nazywając to swobodą wypowiedzi; szydzimy z uświęconych wiekami wartości przodków — i nazywamy to oświeceniem, postępem tudzież nowoczesnym stylem życia". Itd. — mówił długo. Ale już na początku duża część rozwścieczonych ustawodawców wyszła z sali!

Wielu przyzwoitych ludzi (ten gatunek jeszcze przetrwał) chętnie wyszłoby z celi „*politycznej poprawności*”, także między Tatrami a Bałtykiem. Gdyż dzuma „*pc*”, która się zaczęła od słusznej skądinąd walki na rzecz równouprawnienia czarnoskórych mieszkańców USA, dotyka wszystkich, wszędzie bowiem lewicowe „*Salony*” wdrażają dryl ten sam i „*nowomowę*” tę samą. Związek „*Murzynka Bambo*” z Polską jest więc przyczynowo-skutkowy: podsuwają nam jako panaceum tę samą truciznę. Od eufemizmów dających alibi mordercom nienarodzonych dzieci — do kłamstw propagandowych mordujących prawdę historyczną. Co się robi nie tylko przeinaczaniem faktów, lecz i nazewnictwem. Przykładów można rzucić setki, każdego roku kwitną „*kwiatki*” kolejne, lecz gdy tak się mnożą — weźmy najświeższe, sprzed kilkunastu dni, z lipca roku 2004 (piszę te słowa w sierpniu):

W lipcu 2004 kanadyjska telewizja CTV rytualnie wspomniała o „*polskich obozach koncentracyjnych, gdzie mordowano Żydów*”. Kanadyjska Polonia i nasza dyplomacja interweniowały bezzwłocznie, żądając sprostowania kalumni i przeprosin. CTV kategorycznie odmówiła, argumentując, że „*takie nazewnictwo jest stosowane na całym świecie od bardzo dawna*”. I miała rację! Takie nazewnictwo przyjęło się we wszystkich prawie krajach świata i od kilkudziesięciu już lat corocznie, comiesięcznie, cotygodniowo protesty Polaków (głównie Polonusów) są przez adresatów wyrzucane do kosza. Polacy tłumaczą, że byli najechani, zwyciężeni, okupowani i niewoleni, i że okupanci (Niemcy) budowali Auschwitz gdzie chcieli (chcieli tam, gdzie mieszkało dużo Żydów, bo transport mniej kosztował) — ale to groch miotany o ścianę. Jakie krasnoludki za tym stoją, pilnując „*interesu*”, czyli bacząc, by termin „*polskie obozy koncentracyjne*” nie wyszedł z użycia — by dalej wpajał całemu światu Żydobójczy (holocaustowy) wizerunek narodu polskiego? Czyja „*polityczna poprawność*” wymaga kultywowania aż tak wielkiego fałszu? Germańska? Nie tylko — Szkopy jedynie ubiły ten „*interes*”, sfinansowały go po kupiecku, by odium antysemityzmu przerzucić na kogoś innego, a krasnoludki powiedziały: „*gut!*”. Już sto kilkadziesiąt lat temu A. Asnyk słusznie zauważył, że:

„Antysemityzm często hodują handlarze,

*Z których każdy dla siebie pewien zysk w tym widzi;
Kiedy się interesem korzystnym ukáže,
Ujmą go w swoje ręce niezawodnie Żydzi”.*

Na przełomie lipca i sierpnia 2004 Warszawa okazała czcila 60-ą rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego. Światowe media poinformowały o tym światową opinię publiczną, głosząc, iż jest to 60-a rocznica wybuchu powstania Żydów w getcie warszawskim. Prawie wszystkie media — również te największe. Serwis globalnej telewizji CNN informował, że „*sekretarz stanu USA, generał Colin Powell, jedzie do Polski, by wziąć udział w obchodach 60-iej rocznicy powstania w getcie warszawskim*”. Europejskie media rozczuły się, iż „*niemiecki kanclerz Gerhard Schröder weźmie udział w warszawskich uroczystościach na cześć powstania Żydów z getta warszawskiego*”. Niektórzy dziennikarze zachodni są lepiej wyedukowani — wiedzą, że były aż dwa powstania. Ci nazywają Powstanie Warszawskie „*drugim powstaniem w getcie*” (sic! — vide „Le Figaro”). Et cetera, et cetera. Nie słyszałem, by i to oprotestowała nasza dyplomacja, lecz gdyby nawet protestowała — usłyszałaby znowu, że przecież tak się mówi i pisze już wiele, wiele lat. Fakt — tak się mówi wszędzie, od dawna. Nikt na świecie nie słyszał o żadnym warszawskim zrywie Polaków przeciw Niemcom — Powstanie Warszawskie to był bunt Żydów warszawskiego getta. Również według dyplomowanych historyków — N. Davies (2004):

„*Większość historyków europejskich i większość amerykańskich jest przekonana, że Powstanie Warszawskie odbyło się w getcie*”. Jedną z największych bitew II Wojny Światowej, dwumiesięczna krwawa walka całego metropolitalnego miasta przeciwko okupantom, została wymazana z historycznej świadomości globu półtora roku wcześniej, kilkudniowym buntem garstki Żydów pośród kilku ulic getta! Jakiej siły medialnej trzeba, aby wpoić światu na trwałe taki „*politycznie poprawny*” fałsz? I jakiego terminu trzeba użyć, by określić chorobę, która każe Żydom lansować ów fałsz? Pisarz-noblista V. S. Naipul mówi mądrze: „*— Masz zdrową psychikę, jeśli znasz prawdę o swej historii*”.

W Polsce, rzecz jasna, nikt nie uwierzy oszczerstwom michnikowskiego „*Salonu*”, że Powstanie Warszawskie Armii Krajowej służyło akowcom do wybicia resztek Żydów, lecz świat wierzy, gdy ogląda wystawę (ostatnio Narodowa Galeria Victorii w Melbourne) z całościennymi zdjęciami, które ukazują masakrę Żydów, i których podpisy głoszą, że oto polskie wojsko („*Polish troops*”), tłumiące Powstanie Warszawskie, wściekłymi rozstrzelaniami („*shooting rampages*”) wymordowuje ostatnich Żydów („*kills last remaining Jews*”) na terenie warszawskiego getta, dnia 19 kwietnia 1943 roku!

Powtarzam pytanie: jakie krasnoludki za tym stoją? Byłem, jestem i będę Bonapartystą, nie mogę więc być rasistą, gdyż Bonaparte uczył: *„Wszelki rasizm jest obłędem i łajdactwem”*. Lecz nóż mi się otwiera w kieszeni, gdy obserwuję wieloletni festiwal żydowskiego rasizmu antypolskiego, kreowany, napędzany i oliwiony przez *„polityczną poprawność”* światowych *„Salonów”*.

Istnieją na świecie różne lewicowe *„Salony”*. Funkcjonuje także antysemicki Salon Wpływu, formalnie uprawiający tylko anti-izraelskość. Są to kraje muzułmańskie i rozliczne państwa egzotyczne, *„Trzeci Świat”* etc. , a w Europie duszą tego *„Salonu”* jest Francja, która ma pod tym względem bogate tradycje ery Vichy, kiedy bez żalu wysyłała wielkie transporty swoich Żydów do niemieckich obozów zagłady. Dla tego *„Salonu”* mające skalę ludobójczą mordowanie Izraelczyków przez Palestyńczyków było i będzie *„politycznie poprawne”*, natomiast barbarzyńskie, czyli *„politycznie niepoprawne”*, są akcje odwetowe Izraela i w ogóle wszelkie starania, by uchronić Żydów od kolejnego Holocaustu. Ten właśnie *„Salon”* sprawił ostatnio (lipiec 2004), że Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości zdelegalizował betonową barierę, jaką Izrael odgrodził się od islamskich terrorystów, którzy regularnie masakrowali społeczeństwo Izraela (dzięki *„płotowi”* liczba tych sadystycznych zamachów zmalała radykalnie). Słusznie rzekł były premier Izraela, B. Netanjahu: *„Finansowany ze środków ONZ międzynarodowy trybunał, zamiast postawić palestyńskich terrorystów i ich mocodawców przed sądem, posadził na ławie oskarżonych państwo Izrael, zarzucając mu działanie szkodliwe dla jakości życia Palestyńczyków. Ale ratowanie życia jest ważniejsze niż ochrona jego jakości. Jakość życia zawsze można poprawić. Śmierć jest nieodwracalna. Palestyńczycy skarżą się, że ich dzieci spóźniają się do szkoły wskutek ogrodzenia. Ale zbyt wiele naszych dzieci nigdy nie dotarło do szkoły — są one rozrywane na strzępy bombami terrorystów, którzy przedostają się na teren Izraela w miejscach, gdzie ogrodzenie jeszcze nie istnieje (...) Werdykt międzynarodowego trybunału to kpina z izraelskiego prawa do samoobrony”*.

Czy jednak relatywizowanie przez ten sam Izrael ludobójczych zbrodni XX wieku nie jest kpiną ze sprawiedliwości, nie jest stosowaniem *„podwójnej miary”*, nie jest umniejszaniem *„czerwonego Zła”* dla większego zdemonizowania *„brunatnego Zła”*? Ci sami Żydzi, którym tak zależy (i mają rację), by sprawiedliwie osądzano czyny Izraelczyków i Palestyńczyków — siłą swego międzynarodowego *„Salonu”* wszczęli światu nieuprawniony sąd o dużo większym tragizmie ludobójstwa hitlerowskiego niż stalinowskiego. J. F. Revel (2000): *„Porównywanie tych dwóch czołowych totalizmów XX wieku jeszcze jakieś piętnaście lat temu było zabronione i w dużym stopniu ten zakaz*

obowiązuje nadal". To fakt — „*politycznie poprawne*” jest tylko piętnowanie nazizmu. Tymczasem, chociaż nazizm i bolszewizm wiele łączy, lecz dzieli je rażąco matematyka główna. Nazizm powstał jako zaporę ogniową przed komunizmem, i bezzwłocznie skopiował jego metody: władzę kultowego, wszechwładnego wodza, centralnie sterowaną gospodarkę, polityczny terror, prześladowania twórczości, i zwłaszcza logikę eksterminacyjną o skali masowej. Zasadnicza różnica polega na tym, że Hitler wymordował kilka milionów ludzi, a Stalin równie bestialskimi (i bardziej bestialskimi) metodami — około sto milionów ! Subtelna różnica — głupie dziewięćdziesiąt kilka milionów — lecz „*polityczna poprawność*”, już od pół wieku każe zwać niemieckie ludobójstwo głównym horrorem XX stulecia, a rosyjskie minimalizować lub przemilczać. R. Konik (2002): „*Ciągle jeszcze wielu historyków lokuje nazizm najwyżej w makabrycznej drabinie okrucieństw, ale musimy pamiętać, że nie ma różnicy między skazaniem na śmierć głodową ukraińskiego dziecka w 1932 roku (wskutek «interwencji socjalistycznej» umarło z głodu 6 milionów mieszkańców Ukrainy, najbogatszego w zboże regionu ZSRR), a żydowskim dzieckiem z warszawskiego getta*”. Tej różnicy rzeczywiście nie ma — wiadomo, iż „*jedno życie znaczy cały świat*”. Lecz trzeba widzieć oboje tych dzieci — i pamiętać, że komunizm wymordował dużo więcej dzieci aniżeli nazizm. „*Politycznie poprawny*” lewicowy „*Salon*” woli być ślepy i uprawia pół-amnezję. B. H. Levy (2000): „*Istnieje pewien «mechaniczny» sposób podtrzymywania pamięci o zbrodniach hitlerowskich, który ma opaczny skutek w postaci zamykania oczu i uszu na drugą wielką zbrodnię XX stulecia. Jest to nieznośne stosowanie «dwóch wag i dwóch miar» (...) Zbyt dużo światłych umysłów nadal relatywizuje grozę, jaką «czerwone» obozy koncentracyjne stanowiły aż do czasów Kambodży*”.

Z kolorem czarnym jest tak samo. „*Zbyt dużo światłych umysłów*” (członków lewicowego „*Salonu*”), kochając pocziwych czarnoskórych mieszkańców Afryki, równocześnie nienawidzi innych „*czarnych*” (księży i mnichów), „*relatywizując grozę*”. Pocziwy „*Murzynek Bambo*” może sobie być ludobójcą (jak Amin — to „*konflikty między plemienne*”), albo ludożercą (jak Bokassa — to folklor, „*specyfika etniczna*”), albo szefem murzyńskiego młodzieżowego gangu w Los Angeles (jak „*Mister X*” — to „*subkultura wielkomiejska*” bądź „*regionalna*”) — lecz „*klecha*” jest zły skutek samego noszenia komży i habitu czy używania krzyża misyjnego. Zwłaszcza katolicki „*klecha*”. Masowe rzezie praktykowane przez luteran w dobie Reformacji to pestka (naturalny efekt wojny religijnej), lecz każdy więzień Świętej Inkwizycji — to dowód hańby Kościoła Rzymskiego. Taką wredną propagandę Polacy mają dobrze przerobioną, słuchają jej już kilkadziesiąt lat. I tuszowanie

zbrodni stalinowskich (Katyń, Archipelag Gułag) gwoli uwypuklenia hitlerowskich, i flekowanie ojczyźnianego Kościoła przed „okrągłym stołem” tudzież po nim. Za Bieruta, Gomułki i Gierka wychodziło dużo broszur o „zbrodniach papieżstwa”, itp. Za Mazowieckiego, Suchockiej i Balcerowicza papieżstwo było w porządku, bo papieżem był rodak, więc wzięto się ostrzej do przyprawiania „gęby” Świętej Inkwizycji. Ta instytucja (Święte Oficjum) to ulubiony katolicki „chłopiec do bicia” dla wszystkich „Salonów” Europy krzewiących „polityczną poprawność”. Całą kłamliwą perfidię różowych łóż można analizować na tym jednym przykładzie:

Wbrew powszechnemu mniemaniu, trybunały Inkwizycji rozstrzygały nie tylko sprawy religijne, lecz i zwykłe, kryminalne, dla odciążenia sądów świeckich (grodzkich lub innych). Po tym stwierdzeniu można by właściwie zamknąć całą dyskusję jednym miażdżącym lewaków pytaniem: jeśli Inkwizycja była tak okrutna i śmiertcionośna jak twierdzą jej wrogowie, to dlaczego każdy schwytyany przestępca tamtych czasów marzył o tym, by oddano go trybunałowi inkwizycyjnemu? Bo sąd Inkwizycji był najłagodniejszym z sądów; różnica między nim a świeckimi sądami była w tej materii (materii wyrozumiałości) tudzież w każdej innej (warunki więzienne, tortury itp.) kolosalna — miało się aż 98,5% (czyli prawie 100%) szans uniknięcia kary lub surowej kary! Skąd tak dokładne wyliczenie procentowe? Stąd, że przez 450 lat swej działalności Inkwizycja rozpatrzyła 125 tysięcy procesowych spraw, z czego tylko 1,5% zakończyło się wyrokiem śmierci (a bóstwo lewaków, Rewolucja Francuska, która przy udziale Oświecenia stworzyła inkwizycyjną „czarną legendę”, skazała na śmierć trzydzieści razy więcej ludzi!), zaś ogromną większość wyroków stanowiły pokuty i napomnienia. M. Skowron: *„Pomimo późniejszych mód, Inkwizycja znalazła także uznanie w oczach współczesnych historyków prawa. Dokonała bowiem rewolucji, wprowadzając obowiązkowe prawo do obrony i do zapoznania oskarżonych z materiałem dowodowym. Procesy inkwizycyjne przypominały sposób, w jaki odbywają się rozprawy w dzisiejszych sądach. Inkwizycja stanowiła więc pod względem ustrojowym milowy krok naprzód. Do dziś przetrwały zresztą liczne jej wynalazki, jak areszt tymczasowy bądź przedterminowe zwolnienie (...) Inkwizycja była wręcz ostoją praworządności. Problem w tym, że przeciwnicy i krytycy Kościoła są niewolnikami dogmatów. Potok bzdur wypowiedzianych na temat Świętej Inkwizycji będzie więc trudno przerwać”*.

To oczywiste — dogmaty „politycznej poprawności” mają zbyt wielu wpływowych mecenasów. Szary człowiek nie będzie studiował takich dzieł jak praca R. Konika „**W obronie Świętej Inkwizycji**” (2002), tylko będzie dalej

czepał swą wiedzę o Inkwizycji z głośnego francuskiego filmu „**Imię róży**” (według prozy lewaka U. Eco), gdzie wstrętny inkwizytor chce spalić na stosie biedną dziewczynę (palenie czarownic na stosie było specjalnością trybunałów protestanckich, a nie katolickich!), i będzie pewien prawdziwości tej wiedzy równie mocno jak większość ludzi Zachodu jest pewna, że Polacy trudnią się głównie prześladowaniem Żydów.

Kończąc ten rozdział uświadomiłem sobie coś mimowolnie dowcipnego — iż lewicowe „*Salony*” właściwie mało się różnią od Świętej Inkwizycji. Albowiem jej główną praktyką procesową było okazywanie tolerancji wobec grzeszników, a praktyką werdyktową — wybaczenie. „*Polityczna poprawność*” uczyniła z tego samego — z tolerancji i wybaczenia — swoje credo, godło i szyld. Czego dowiodę w kolejnym rozdziale części V mego dzieła o cnotach „*Salonu*”.

4. „Salon” ci wszystko wybaczy...

Wszystko, z wyjątkiem dwóch grzechów („*Wyjątki potwierdzają regułę*”): „*Salon*” nie wybacza wrogości wobec „*Salonu*” i lekceważenia (a tym bardziej zwalczania) dogmatów „*politycznej poprawności*”. Reszta może być wybaczona, i jest wybaczana (zgodnie z dewizą śpiewaną przez „*Ordonkę*”), co — mimo programowego laicyzmu, „*antyklerykalizmu*” itp. — czyni „*politycznie poprawnych*” salonowców istną elitą chrześcijańską, bo czyż Chrystus nie rzekł (w „*Kazaniu na Górze*”): „ — *Błogosławieni miłosierni*”? To dlatego „*zionący miłosierdziem*” Michnik ma rację, kiedy mówi: „ — *Chrystus mnie umiłował*”. Lewicowy „*Salon*” nie wybaczy wrogowi „*Salonu*” za żadną cholere, ale sojusznikowi „*Salonu*” ci „*dobrzy ludzie*” wybaczą każdą cholere, czego papierkami lakmusowymi — by dać przykład — są dwaj znani ludzie: superprezydent Reagan (wróg, a do tego goj) i superspekulant Soros (przyjaciół, a do tego Żyd).

Prezydent R. Reagan właśnie zmarł (latem 2004 roku), więc wszyscy jeszcze pamiętamy, że podczas ceremonii przedfuneralnych i funeralnych, z całej Ameryki i z całego świata płynął chór sugestii (antysalonowych — „*Salon*” wtedy milczał bądź krzywił się kwaśno), iż Reagan to największy amerykański przywódca minionego wieku, lub może największy w ogóle prezydent USA. Ja twierdziłem tak samo (drukiem) już piętnaście lat temu, i liczni prawicowcy, konserwatyści, antykomuniści podzielali ów werdykt, gdyż Reagan rozwalił uchodzące za niezwyciężone „*Imperium Zła*” (to jego neologizm), czyli ZSRR, i swą genialną „*reaganomiką*” wydzwignął gospodarkę Ameryki z głębokiego kryzysu ery Cartera, czyniąc USA bezkonkurencyjnym światowym numerem 1. Był to człowiek niezwykle prawy (jak rzadko u polityków), a także wybitnie inteligentny, błyskotliwy, mający

fenomenalne poczucie humoru (jego cudowne bon-moty są wciąż przytaczane), wielki erudyta (cytujący na wrywki dzieła konserwatywnych ekonomistów stulecia XIX oraz XX), znawca literatury pięknej, słowem „mózg”. Ale komuniści i lewacy całego globu, z typowym dla siebie szacunkiem wobec realiów i prawdy, permanentnie prezentowali go jako prymitywa, „drugorzędnego amerykańskiego kowboja” (rytualny epitet kontrreaganowski), gdyż w młodości występował w westernach klasy B. Szczególną nienawiść „Salonu” wobec Reagana budziła jego wrogość wobec „Salonu”, ergo: bezkompromisowe odrzucanie przezeń salonowej relatywizacji dobra i zła. R. Legutko:

„Ronalda Reagana nienawidzono, ponieważ kierował się jasnym podziałem na zło i dobro, jego podział zaś nie dawał się pogodzić z tym, jaki akceptowali intelektualiści (...) Współcześni intelektualiści wytworzyli sobie coś w rodzaju świeckiej religii, która ma swojego boga, swoich aniołów, swoje świętości, swoje dogmaty, a nawet sakramenty. Wiedzą oni doskonale co jest słuszne, a co nie; wiedzą jaki język jest dopuszczalny, a jaki nie; wiedzą kto jest niebezpieczny, a kto nie. Reagan nie tylko tej religii nie przyjmował, ale wydawał się nią pogardzać. W jej świetle był więc nie tylko głupcem, lecz nadto człowiekiem szalonym i niebezpiecznym. Był kimś, kto odrzuca to, co dla wyznawców tej religii wydawać się musiało szczytem rozwoju moralnego i najszlachetniejszym wykwitem ludzkiego ducha. I nie ma znaczenia, że jako polityk Reagan odniósł spektakularny sukces (...) W przyjętej religii grzechy Reagana są znacznie ważniejsze i nigdy nie mogą zostać odpuszczone”.

Zwróćmy uwagę na ten fragment powyższego cytatu, gdzie mowa o pedagogice „Salonu”, który wie lepiej niż inni jak żyć, kogo i co lubić, etc. Wcześniej już analizowałem szczegółowo tę misjonarską pasję „politycznie poprawnych” elit, teraz więc tylko dodam, iż system pedagogiczno-totalistyczny (treserski) „Salonu” został mocno napiętnowany przez Reagana, który tłumaczył ludziom: „ — Żaden dyktatorski system nie może nam mówić co mamy robić, w co wierzyć, jak wydawać nasze pieniądze i jak troszczyć się o nasze rodziny”. Dla lewicowego „Salonu” było to wyzwanie — krytyka nie do przebaczenia.

Natomiast G. Sorosowi „Salon” wybaczył wszystkie grzechy, bo chociaż były ciężkie — nie były antysalonowe. G. Soros jest „geniuszem spekulacji finansowych”, prawdziwym ich wirtuozem, „królem spekulantów” — tego nie kwestionuje nikt. Przeżywa się go również „wielkim destruktozem, obalaczem skarbów państwa, rządów i walut”. W dobie, gdy globalny ruch pieniądza ma głównie motywację i bazę spekulacyjną — człowiek ten rzeczywiście stał się Leonardem i Mozartem spekulacji. Żadnemu innemu „finansście” nie udało

się ani razu równie mocno potrząsnąć światową gospodarką, jak jemu udało się kilkakrotnie. Roku 1992, w ciągu jednej doby wściekłego giełdowego hazardu, tak „zadłował” kurs funta szterlinga, że Anglia z najwyższym trudem uniknęła bankructwa — skończyło się ciężkim kryzysem ekonomicznym. Indonezja nie uniknęła — Soros premedytacyjnie rzucił ją na kolana serią wyrafinowanych spekulacji finansowych, i cały świat ze zdumienia otworzył gębę: jeden cudzoziemiec może powalić duże państwo! Gdy go zapytano: jak mu się udają takie „cuda”? — odparł, że sprawia to „boska siła” (sic!) jego „żydowskiego geniuszu”. Teza o „istnieniu żydowskiego geniuszu” należy do ulubionych mantr Sorosa. Czyż więc „Salon” mógł nie wybaczyć panu S. grzechu mega-spekulacji i grzechu pauperyzowania społeczeństw obalaniem gospodarczych systemów? Wybaczyłby mu zresztą dużo więcej, gdyż cała filozofia Sorosa jest właściwie bliźniacza z dogmatyką lewicowych Salonów Wpływu.

W encyklopediach nie piszą, że Soros to lewak i mason, lecz można tam przeczytać, iż Soros to „propagator idei społeczeństwa otwartego”. Ki diabeł? Otóż „społeczeństwo otwarte” to takie społeczeństwo, które otwiera się na wszystko co propagują lewicowe „Salony”. K. Murasiewicz: *„Chęć budowania «społeczeństw otwartych» poprzez uwolnienie od cywilizacyjnych i religijnych norm, uwolnienie od narodowych i państwowych korzeni, przy jednoczesnej dbałości o naród żydowski — wydają się wystarczająco obnażać autora tych pomysłów (...) George'a Sorosa «społeczeństwo otwarte» ma być wolne od wszystkich obowiązujących sposobów zachowania. Cechować je ma tolerancja (czyli obojętność wobec postępów bliźnich) i relatywizm moralny, zezwalający przyjąć, że nie istnieją dobro oraz prawda. Za to człowiek tak «uwolniony» jawiłby się jako istota najwyższa. Przyjęcie takich zasad, odrzucających normy cywilizacyjne i religijne, mogłoby się wydawać jedynie rojeniami jeszcze jednego masona. Mogłoby, gdyby nie próby ich wdrażania podejmowane przez Sorosa poprzez zakładane przez niego fundacje, jak np. Fundacja Batorego. Na użytek maluczkich Soros stroi się w piórka bezinteresownego filantropa”*.

Filantrop Soros założył swe fundacje typu „jacjejka” w kilkadziesiąt krajach globu (od RPA po Rosję). U nas jest to Fundacja Batorego — chluba filialna polskiego różowego „Salonu”, z którą związani są liczni bonzowie Unii Wolności, m.in. były przewodniczący UW, L. Balcerowicz (do dziś realizuje monetarystyczny „plan Sorosa”; W. Kuczyński: „Soros przyjechał z planem reformy gospodarki polskiej, zwanym planem Sorosa”) i wieczny honorowy gensek UW, B. Geremek. J. R. Nowak: „Geremek uważany jest dziś za kluczową w Polsce postać w kontaktach z czołowymi zagranicznymi lobby

kosmopolitycznymi i globalistycznymi, począwszy od osławionego George'a Sorosa. Pełnił funkcję prezesa klubu Europa, stanowiącego integralną część sponsorowanej przez Sorosa Fundacji im. Stefana Batorego, jest też, wpływowym członkiem Rady tej Fundacji. Często nagłaśniał różne inicjatywy Sorosa”.

„*Unforgiven*” (niewybaczone) i „*forgiven*” (wybaczone) pokazałem za pomocą duetu politycznego. Równie dobrze można się w tym celu posłużyć duetem filmowym (reżyserskim), biorąc dwa casusy gorące jak świeże bułeczki, bo oba z roku bieżącego (2004): casus Gibsona i casus Moore'a. Ich filmy wywołały rekordowe burze, pełne piorunów bez precedensu:

M. Gibson stworzył najwspanialszy film, jaki kiedykolwiek nakręcono o Chrystusie — „**Pasję**”. J. D. Telejko: „*We współczesnym świecie niezmiernie rzadko możemy zobaczyć tak jasne i jednoznaczne świadectwo wiary. Okrutna scena biczowania Chrystusa może bulwersować i przerażać — ale tak było! (...) Mel Gibson w mistrzowski sposób odstonił nam historię, która w naszej wyobraźni już się tak splaszczyla i spowszedniała, że w zasadzie nie robi na nas żadnego wrażenia, kiedy słyszymy ją po raz kolejny czytana w kościele*”. Wybuchowe wrażenie historia owa, ukazana gibsonowską kamerą, zrobiła na wszystkich lewicowych „*Salonach*” globu. Środowiska żydowskie (wszelkie — ortodoksyjne i liberalne) dostały szału i przez kilka miesięcy w setkach mediów krzyżowano reżysera gwoździami brutalnych i niesprawiedliwych słów, zarzucając mu wojujący antysemityzm. Żydzi wszystkich krajów — wzorem proletariuszy Marksa — połączyli się, by dalszą wędrówkę M. Gibsona przez świat uczynić drogą krzyżową. Nie wybaczą mu nigdy, bo według nich kłamał. Kiedy o tym myślę, przypomina mi się jak M. Niemcewicz (ojciec wielkiego historyka, J. U. Niemcewicza) próbował działalności misjonarskiej wobec dwóch Żydów na popasie w karczmie blisko Janówka. Nie mógł przekonać rozmówców.

— Toż to jest wyraźnie zapisane w Ewangelii! — krzyczał.

— Uś, potrzebujemy wierzyć co jakieś kłamcy napisały! Lecz gdy jakiś kłamca, amerykański wojujący goszysta, długoletni harcownik „*Salonu*”, M. Moore, spreparował pseudodo-kumentalny, kontrbushowski film „**Fahrenheit 9/11**” — „*Salony*” świata oszalały wskutek podziwu, mimo że nawet „**New York Times**” (dziennik uchodzący za główne lewicowo-żydowskie medium Stanów) wykazał z masochistyczną precyzją (punkt po punkcie), że Moore nieustannie przeinacza w tym filmie fakty, dokonuje oszczerczych manipulacji i kłamie jak z nut. Ale kłamie broniąc dobrej sprawy, atakując wroga! Dlatego trzeba mu wybaczyć! I nagrodzić! Więc francuski „*Salon*” (korzystając ze wsparcia drugiego amerykańskiego lewaka, Q. Tarantino) bezzwłocznie

przyznaje filmowi Złotą Palmę w Cannes, a lewicowe i lewicujące media globu przez cały czerwiec i lipiec 2004 pieją z zachwytu, bijąc brawo. I tak jak Żydzi krzyżujący Gibsona znaleźli również nad Wisłą „pożytecznych idiotów”, wspierających krytykę „Pasji” kąśliwościami tudzież pseudomerytorycznymi zarzutami (wielu znanych ludzi, aktorzy Hanuszkiewicz, Nowicki etc.) — tak i w przypadku „**Fahrenheit 9/11**” nie brakowało u nas lizusowsko prosalonowych głosów, pełnych poparcia dla Moore'a. M. Skowron: „*Co ciekawe, w Polsce zachwycają się tymi bredniami Moore'a te same media, które wcześniej czuły jednak opór przed wmawianiem ludziom, że talibowie łądownali w Klewkach*”. M. Rybiński: „*Gdzieś w dalekiej Ameryce twórca Michael Moore wypełnia dyrektywy Anatolija Łunaczarskiego, robi film zaangażowany, propagitkę, za którą jeszcze niedawno dostałby nie tylko Złotą Palmę, ale i Nagrodę Leninowską*”. Wykpiwając głędzenie rodzimych entuzjastów filmu, że produkt Moore'a jest „*dziełem kinematografii niezależnej*” — Rybiński parsknął: „*Najlepsza jest niezależna od rozumu i przyzwoitości*”. A swojemu felietonowi dał pyszny tytuł: „**Celsjusz 39,9**”.

Takie są wszystkie lewicowe „Salony” globu, i nasz „Salon” również — niezależne od rozumu i przyzwoitości. Wróćmy jednak do wybaczenia. Wybaczenie panu M. (Moore'owi) jawnych kłamstw dla dobrej sprawy to syndrom, który przerabiamy w Polsce od piętnastu lat — fani pana M. (Michnika) notorycznie wybaczą mu wszystkie łgarstwa, na których został przyłapany, bo czynił je dla wyższego celu. Ten rodzaj „*politycznej poprawności*” zezwala wybaczać nawet branie dużych łapówek gwoli szczytnego farmazonu — exemplum tzw. „*ekoterroryzm*”. Dawne idealistyczne organizacje ekologów (mające spore zasługi wobec przyrody i całego ekosystemu planety) przerodziły się w cyniczne maszynki do korupcyjnego wyłudzenia dużej forsy, odkąd się zorientowały jak bardzo intratny może to być biznes. Dzisiaj ruch ekologiczny (pseudoeologiczny wszędzie, również w Polsce) to gigantyczny, niezwykle dochodowy przemysł szantażu — wymuszania od inwestorów wielkich łapówek za cofnięcie sprzeciwu przeciwko budowom śródmiejskim i rustykalnym. Ułatwia ten proceder masa luk prawnych, zezwalających dowolnie interpretować budowlane i lokalizacyjne prawo. Najświeższy przykład: lipiec 2004. Warszawskie stowarzyszenie ekologiczne „Przyjazne miasto” blokuje budowę megakompleksu w samym centrum stolicy i bez żenady deklaruje chęć cofnięcia sprzeciwu za sumkę mającą kilka zer. Dlatego padają już głosy polityków i przedsiębiorców, że tylko specjalna ustawa sejmowa może wyhamować „*ekoterror*”. Ale jak tu ustawowo bruździć szlachetnym obrońcom ptaszków, zwierzątek i roślinek? „*Dobrym ludziom*” wybacza się drobne

grzeszki z kilkoma zerami. Wszystkim „dobrym”, nie tylko ekologom. Sportowcom także:

Ponieważ nagminnie rzucam przykłady z lipca bieżącego roku, niech i ten (siła przyzwyczajenia) będzie lipcowy. W lipcu 2004 głośny piłkarz, G. Lato, ujawnił, że trzydzieści lat wcześniej, podczas mistrzostw świata roku 1974, Argentyńczycy wręczyli pewnemu reprezentantowi Polski łapówkę dla polskiej drużyny, 18 tysięcy dolarów (to były wtedy wielkie pieniądze), lecz on nie podzielił się z kolegami, tylko całą tę forszę schował dla siebie. „Miasto” zaczęło szeptać, że ów skąpiec to R. Gadocha. Wąskie grupy wtajemniczonych ze środowisk futbolu i dziennikarstwa wiedziały o tym już dawno temu. Znano rozliczne paskudne grzechy „orłów Górskiego”: nocne pijackie wyczyny A. Iwana i A. Musiała, brutalne napastowanie pasażerek pociągu przez J. Gorgonia i A. Szarmacha (od gwałtu uchroniła te dwie damy interwencja kierownictwa ekipy), itp. Gadocha nie był jedynym „orłem”, który wykolegował kolegów finansowo. Argentyńska Polonia cichcem wręczyła dużą sumę gratyfikacyjną dla zespołu (pono 25 tysięcy dolarów) kapitanowi zespołu, K. Deynie, a ten również pragnął „skasować” to tylko dla siebie, lecz rzecz się wydała i na pokładzie samolotu, którym „orły” wracały do ojczyzny, reszta kolegów o mało nie zlinczowała „Kaki” (przed ciężkim pobiciem uchronili go trenerzy, zastawiając własnymi ciałami! — dowiedziałem się o tym od uczestnika lotu). Ale wszystkie te obrzydliwości wybaczano i tuszowano — by nie brukać świetlanej legendy „orłów Górskiego”, którzy w czerwonym tunelu PRL dawali społeczeństwu światelko. Teraz również — gdy Lato odważył się puścić trochę farby — buchnął chór głosów, że taki rewizjonizm to szarganie świętości. Środowisko futbolowe murem stanęło za legendą. „Miłość ci wszystko wybaczy...”.

W roku 2004 środowiskowe „stawanie murem” gwoli wybaczenia przybrało już rozmiary surrealistyczno-tragikomiczne. Jest to patologiczna wręcz solidarność towarzyska ze środowiskowymi idolami. Gdy szef chóru Poznańskich Słowików, dyrygent W. Krolopp, zostaje aresztowany za wieloletnią pedofilię (za seksualne wykorzystywanie powierzonych mu dzieciaków) — rodzice tych dzieci pikietują więzienie, machając transparentami: „Uwolnić Wojtka!”, i skandując: „ — Wojtek, jesteśmy z tobą!” (Kroloppa skazano na 8 lat). Gdy guru psychologii polskiej, A. Samson, zostaje aresztowany za równie ewidentne pedofilstwo (za seksualne wykorzystywanie swych dziecięcych pacjentów) — utytułowani psycholodzy organizują natychmiast głośny medialnie, środowiskowy protest (ucichł, jak tylko zboczenie przyznał się do winy). Gdy producent L. Rywin zostaje taśmą magnetofonową oskarżony o uprawianie mega-korupcji, znani reżyserzy

bezzwłocznie publikują gremialny protest przeciwko oskarżeniu. Gdy wysokiej rangi sędzia Wielkanowski zostaje dowodowo oskarżony o interesowne kontakty z gangsterami — prawie całe środowisko sędziowskie wrzeszczy w jego obronie. *„Miłość ci wszystko wybaczy”*, bo tak każe środowiskowa *„polityczna poprawność”*. Finansowa zresztą też. I czyż ktoś inny, jak nie mocarstwowe opiniotwórczy mentor, różowy *„Salon”*, był pramatką wszystkich tych, wybaczanym później grzechów, szerząc dewizę: *„Róbta co chceta!”*?

Salonowym, *„politycznie poprawnym”* wybaczeniem numer 1 było wszakże coś innego. Numer 1, gdyż to wybaczenie obejmuje nie indywidualne figury bądź grupki figur, tylko (hurtem) wielotysięczną armię esbeków i kapusiów:

5. *„Caritas maior iustitia”*

Przez minione kilkanaście lat wielokrotnie (vide moja publicystyka i kolejne tomy książkowego cyklu *„Łysiak na łamach”*) piętnowałem politykę zbiorowego wybaczenia peerelowskim, skrytobójczym *„służbom”*, i peerelowskim donosicielom, którzy dzięki temu wybaczeniu zawładnęli dużymi obszarami III RP. A. Karst: *„Ta armia konfidentów sprawiła, iż termin «Rzeczpospolita kapusiów», lansowany przez Waldemara Łysiaka, jest najzupełniej zasadny”*. Nie chcąc się powtarzać, będę w niniejszym tekście mało mówił własnym słowem — oddam głos innym patriotom. Zaczniemy (tradycyjnie już) od głosów najświeższych, z lata 2004 — głosów podsumowujących piętnastolatkę i przeczących zdaniu J. F. Revela (2000), że rezygnacja z rozliczeń *„miała na celu oszczędzenie skruchy komunistom, czerwonym zbrodniarzom”*. Ta rezygnacja miała cel dużo bardziej pragmatyczny niż skrucha łotrów. W *„Gazecie Polskiej”* (czerwiec 2004) R. A. Ziemkiewicz podsumowuje tak: *„Pięknoduchostwo, moralizowanie o «przebaczeniu» czy powstrzymaniu się od zemsty, i wszystkie te świętoszkowate miny, były od samego początku zasłoną dla politycznego wyrachowania, dla posunięć i sojuszy, które miały jedynie słusznemu towarzystwu dać monopol władzy”*. Czyli różowemu *„Salonowi”* Michnika, Kuronia, Geremka i Mazowieckiego.

Z kolei K. Gottesman (*„Rzeczpospolita”*, lipiec 2004) argumentuje następująco: *„Wciąż nie potrafimy z przeszłością sobie poradzić. Nawet bardzo łagodna obowiązująca dziś ustawa lustracyjna, która miała rozwiązać problem obecności w życiu publicznym byłych współpracowników komunistycznych służb specjalnych, nie jest w pełni respektowana (...) To bardzo niebezpieczna sytuacja dla państwa. Wiadomo, jak bardzo polskie służby specjalne związane były ze Związkiem Radzieckim. Ewentualne przenoszenie tych zależności na*

dzisiejsze czasy — a taka może być konsekwencja ułomnej lustracji — związki te będzie konserwować. Ciągąca się od lat niemożność przeprowadzenia lustracji przynosi wielkie szkody. Moralne przede wszystkim. Zło nienazwane i nierozliczone przestaje być traktowane jak zło i staje się częścią normalnego życia. Przynosi też szkody konkretne. Powoduje udział w życiu politycznym, gospodarczym i społecznym sił niepodlegających konstytucyjnej kontroli”.

Właśnie o to chodziło, tak wobec dekomunizacji, jak i wobec lustracji. Jednym ze smaczniejszych (bo aż nadto ewidentnych) dowodów uprawianego przez różowy „Salon” relatywizowania Zła jest fakt, iż według „Salonu” Michnika denazyfikacja była bardzo „cacy”, a dekomunizacja byłaby bardzo „be”. Kilka postkomunistycznych państw nie przejęło się takim faryzeuszostwem i wykonało dekomunizację bez pardonu. Choćby Czechy. Co uniemożliwiło czeskim „postkomunistom” ogłupianie narodu (bo nie zgarnęli licznych mediów), kontrolowanie narodu (bo nie zachowali policji tudzież „służb”) i trzymanie sznurków finansowych (bo nie capnęli banków). Krótko mówiąc: uniemożliwiło im to odzyskanie władzy. W Polsce odzyskali szybko, dzięki współpracy „czterech jeźdźców” i całego różowego „Salonu”. A. D. 1991 R. Kostro pisał: „*Działacze Unii Demokratycznej prezentują się jako partia ludzi świątłych, Europejczyków, którzy bronią kraju przed żadną rewanż na komunistach ciemną i antysemitką tłuszczą*”.

Nie chodziło o żaden niski rewanż (a już zwłaszcza antysemitki) — chodziło o retoryczne napiętnowanie Zła i o sprawiedliwe ukaranie głównych złoczyńców (zwłaszcza konkretnych morderców). Wszyscy wielcy zbrodniarze z PZPR (rozkazodawcy strzelania do manifestujących robotników), z UB i SB (torturujący i zabijający kaci), z peerelowskiego MSW (szefowie krwawej maszynerii) i z sądownictwa (skazujący ofiary terroru) — uniknęli kar dzięki nikczemnym abolicjonistom, dowodzonym przez Kuronia, Geremka, Michnika i Mazowieckiego, którzy już na samym początku III RP karcili wszelkie próby upodmiotowienia sprawiedliwości, zwać je „*polowaniami na czarownice*”. T. Mazowiecki zadeklarował „*grubą kreskę*” kontrdekomunizacyjną. B. Geremek apelował: „ — *Nie dajmy się porwać nienawiści i głupocie! (...) Polityka dekomunizacji powoduje krzywdę ludzką!*” (a krzywdę ludzi nękanych, torturowanych i mordowanych przez komunistyczny reżim miał w nosie). J. Kuroń ogłaszał: „ — *Rozliczeń nie będzie! Nie bardzo jest ich za co rozliczać*” (słuchający tego robotnik spytał wówczas Kuronia: „ — *To portret Lenina mordował i grabił?...*”). A. Michnik rzekł: „ — *Jestem generalnie za abolicją. Bez warunków. Uważam, że okres historycznych rozliczeń, rozumianych jako rozliczenia sądowe, karne, trzeba zamknąć (...)* Nie można w kółko żyć obsesją wymierzania sprawiedliwości”.

„Obsesja wymierzania sprawiedliwości”... Gdyby wcześniej ludzkość wyleczyła się z tej choroby — można byłoby nie tylko kraść, lecz i zabijać „skolko ugodno”, aż ostatni zabójca zostałby Robinsonem i zszedłby bezpotomnie z tego świata, co rozwiązałoby wszelkie problemy ludzkości w radykalny sposób. Światły humanitaryzm „Salonu” sięgnął tu szczytu, lansując humanistyczną łacińską tezę „*caritas maior iustitia*” (miłosierdzie większe od sprawiedliwości). Michnikowi i jego kompanom odpowiedzieli na ten sofizmat nie tylko ludzie prześladowani za PRL-u, tudzież rozgniewani myśliciele polscy, lecz i humaniści cudzoziemscy; cytuję dwóch. Rumuński pisarz P. Goma: „*Jeżeli ktoś ma na rękach krew, nie można mu tak po prostu przebaczyć. Inaczej naprawdę uwierzy, że sprawiedliwość nie istnieje*”. Francuski filozof, A. Besancon: „ — *To jednak niesprawiedliwe, że ludzie, którzy utrzymywali wielki kraj w stanie niewolniczym przez czterdzieści pięć lat, i którzy są odpowiedzialni za jego dogłębną ruinę, podlegają amnestii. Że sam komunizm został amnestionowany w waszym kraju*”.

Spośród rodzimych krytyków tego upokarzania sprawiedliwości cytuję historyka, prof. T. Strzembosza: „*Nie dokonano aktu sprawiedliwości, nie potępiono zbrodni. Poczucie sprawiedliwości jest zgwałcone (...) Wszystko wskazuje na to, że pozostanie nierozliczone całe pięćdziesięciolecie, okres życia dwóch pokoleń Polaków. Jakże to niszczy tkankę społeczną, zmienia hierarchię wartości! Cwaniactwo, hasło «śmierć frajerom!», koniec z praniem brudów, koniec «polowań na czarownice» — trzeba budować przyszłość. Zapomina się jednak, że nie można budować gmachu przyszłości na bagnie przeszłości*”. Tę samą niemożność prorokowała w tym samym czasie (1992) działaczka podziemnych struktur „Solidarności”, K. Nowińska: „*Ze zgrozą obserwujemy jak «nieustraszeni działacze podziemia» w rządzie boją się dekomunizacji i lustracji. Jak wielki jest ich humanitaryzm w stosunku do byłych gnębieli i morderców, a jak mało przyzwoitości w zatroszczeniu się o tych bitych, gnębionych, a dziś pozostawionych na środku drogi z ich «dziwnymi» problemami. Lustracji się nie boją, ale boją się jutra i tego, że nigdy nie wydostaniemy się z szamba*”.

Być może ta Kasandra nie miała racji mówiąc: „*nigdy*”, lecz póki co, wszystko się zgadza — szambo jest, trudno zaprzeczyć (P. Chmielowski: „*Koń jaki jest, każdy widzi*”). Jest lustracja, a jakby lustracji nie było. Gdyż „Salon” robi wszystko, by przetrącić jej, i tak wąty, kręgosłup. P. Semka (lipiec 2004): „*Proces lustracyjny wszedł w życie po wielu latach od upadku PRL i przez cały czas jest obiektem wścieklej kampanii obozu postkomunistów i środowiska «Gazety Wyborczej». Wielokrotnie próbowano lustrację zdeptać lub wręcz wyrwać z korzeniami. Pod podobnym ostrzałem medialnym znajduje się od*

dnia swego powołania rzecznik interesu publicznego, sędzia Bogusław Nizieński. Pod jego adresem wysuwano wulgarne inwektywy i wyrafinowane kłamstwa. Najbardziej haniebnym przykładem tej kampanii była karykatura w «Gazecie Wyborczej», która przedstawiała sędziego Nizieńskiego jako kata ze stryczkiem w kształcie paragrafu”.

Gdyby ktoś chciał narysować wymierzoną w antyustratorów karykaturę samej lustracji, ergo: stworzyć graficzny wizerunek lustracji będący metaforą — winien narysować nożyce. Lustracja bowiem przecina linki, dzięki którym manipulatorzy (rodzimi i zagraniczni, choćby kremlowscy) mogą poruszać zza kulis marionetkami piastującymi stanowiska. Polityczne zabawy minionych piętnastu lat III RP to ciągła (pytanie: jak rozległa i jak niebezpieczna dla interesów kraju?) gra w „haki” — gdy się ma na kogoś dobrego „haka” (sekretną wiedzę o jego agenturalnej współpracy z esbecją lub z obcym wywiadem, np. z gospodinem Ałganowem), ma się kukielkę, którą można sterować lub klinczować, szantażując groźbą upublicznienia sekretu. Będąca upublicznianiem lustracja przecina te linki i czyni marionetkę bezużyteczną w politycznych (dyplomatycznych, rządowych, administracyjnych, medialnych) gierkach. Jeżeli ktoś woli inną metaforę, użyję karcianej: „teczki” to karty do pokera. Szuler jest przy stole gry panem, gdyż zna nieodkryte karty. Lustracja je odkrywa, psując mu skuteczność. Stąd tak zajadłe (maskowane miłosierdziem) zwalczanie regulaminowej procedury odkrywania „teczek” przez Rzecznika Interesu Publicznego. Natomiast nie będące upublicznianiem, indywidualne udostępnianie „teczek” przez IPN (Instytut Pamięci Narodowej) osobom prywatnym — budzi mniejsze resentymenty szulerów, bo psuje tylko związki prywatne (przyjacielskie, rodzinne, miłosne), góra środowiskowe (towarzyskie), nie ma więc znaczenia politycznego.

Indywidualny dostęp zainteresowanych do ich „teczek” został w Polsce wprowadzony dużo później niż w innych postkomunistycznych krajach — trzy lata temu. „Nowe Państwo” (czerwiec 2004): „Już od trzech lat możemy przeglądać akta gromadzone na nasz temat przez służby specjalne PRL. Ale zainteresowanie «teczkami» jest niewielkie, dlatego, że sporo dokumentów zniknęło”. Nie tylko dlatego. Również dlatego, że od krachu PRL do udostępnienia «teczek» minęło aż dwanaście lat. Celowo opóźniano tę zdawałoby się oczywistą w demokratycznym kraju inicjatywę i procedurę, by problem się zakurzył, spatynował, stał prehistorią, nie budząc już emocji i ciekawości nawet u tych, którzy walczyli z komuną, a jeszcze żyją. Podania o udostępnienie złożyło ledwie 15 tysięcy ludzi (w byłej NRD prawie 2 miliony, ale już w Czechach, gdzie wystartowano dużo później niż w Niemczech — choć dużo wcześniej niż w Polsce — tylko 40 tysięcy). Faktem jest wszelako,

iż swoje zrobiła również propaganda kontrteczkowa, szermująca tu nie „wybaczeniem”, lecz argumentem likwidacyjnym: ludzie, przecież owe „teczki” to lipa, tam już nic nie ma, nie dowiedzie się kto spośród bliskich na was donosił, wszystko co ważne zostało zniszczone! Rzeczywiście, w latach 1989-1991 MSW masowo niszczyło „teczki”. Robiono to mądrze, a więc nie tak, jak pokazał film „Psy” — nie niszczone „teczki” na ślepo, kompletnie, lecz fragmentarycznie (selekcyjnie). Exemplum „teczka” mego przyjaciela, działacza podziemnej „Solidarności”, W. Kochlewskiego, który znalazł w niej tylko akta sprzed 1980 roku — wszystkie późniejsze wyparowały. Lecz kontrteczkowy argument o możliwości całkowitego zatarcia śladów współpracy agenturalnej jest kolejną salonową nieprawdą. Bardzo boleśnie przekonali się czym grozi zbytnia ufność w takie brechty eks-kapusie ze Śląska, którzy chcieli zyskać pewność: wiedzą o mnie, czy nie wiedzą? Vulgo: został jakiś ślad mojej konfidenckiej działalności, czy nie został? Ich trik był prosty, ale nie da się wyjaśnić prosto, jednym tylko zdaniem, więc muszę rozpisać się trochę, by Czytelnik zrozumiał na czym to polegało:

O udostępnienie mu jego esbeckiej „teczki” może się starać każdy obywatel, którego SB inwigilowała bądź represjonowała. Lecz żeby uzyskać wgląd do „teczki”, trzeba najpierw otrzymać od IPN-u status „osoby pokrzywdzonej” przez reżim PRL-u („osoba pokrzywdzona” to formuła prawna, zawarta w artykule

6 Ustawy o IPN-ie z 1998 roku). J. Kostrzewa: „Za takiego nie może być uznany ktoś, kto w jakiegokolwiek formie współpracował ze służbami specjalnymi PRL”. Jeśli więc nie byłeś „osobą pokrzywdzoną” (czyli prześladowaną) — niczego nie zobaczysz. Wspomniani eks-kapusie rozumowali następująco: złożę prośbę o udostępnienie mi moich akt, i albo mnie opieprzą, że złożyłem, chociaż sam byłem TW („tajnym współpracownikiem” SB), czyli prześladowcą, nie zaś prześladowanym, albo wyjaśnią, że są bezradni, bo wszystkie dotyczące mnie dane zniknęły, i wtedy będę miał po kres życia święty spokój, gdyż będę miał pewność, że MSW wszystkie dowody mojej hańby zniszczyło. Błąd! Sprytni chłopcy okazali się za mało sprytni: ufając głęboko, że masowe niszczenie „teczek” przez MSW uniemożliwia wykrycie większej części „tajnych współpracowników”, nie przeczytali solidnie i Ustawy, i treści druku, który się wypełnia w biurze IPN-u, gdy się składa na tym formularzu podanie. Nie zauważyli, że są tam paragrafy grożące karą sądową każdemu es-bekowi lub TW, który podszywając się pod osobę prześladowaną składa do IPN-u prośbę o udostępnienie akt. Na mocy tego paragrafu IPN skierował przeciwko śląskim cwaniakom sprawy do sądów; będą ukarani. Ich pech miał dwie przyczyny.

Pierwsza — to wspomniana nieznajomość grożącego karą paragrafu. Ale druga — to fakt, że nawet niszcząc całą „teczkę” konfidenta nie można całkowicie wytrzeć śladów jego działalności, bo zachowały się one w dziesiątkach miejsc (nie tylko w centralnych archiwach MSW, SB, WSW etc., lecz także w różnych kartotekach prowincjonalnych i obocznie w aktach osób inwigilowanych bądź innych osób inwigilujących, w aktach i kartotekach funkcjonariuszy „prowadzących”, itd.), więc IPN, prowadząc żmudne śledztwo, zawsze może namierzyć cwaniaka. Każdy oficer SB czy UOP-u potwierdzi (kilkakrotnie już potwierdzali wywiadami prasowymi), iż zupełne, stuprocentowe wyczyszczenie życiorysu metodą niszczenia akt jest fizycznie niewykonalne.

Sam z tego skorzystałem, gdy uzyskawszy status „osoby pokrzywdzonej” (czyli pisemne „świadcstwo dziewictwa”, jak kpię z kumplami), zgłosiłem się w wyznaczonym terminie do **IPN-u**, by przejrzeć akta Łysiaka. Zobaczyłem śmiecie. J. Kostrzewa : „ *Kiedy już autor wniosku zostanie uznany za pokrzywdzonego i zasiądzie do przeglądania swoich akt, srogo się może zawieść. Nic jednak dziwnego: wiele materiałów peerelowskich służb zaginęło (...) Dlatego wiele osób jest zawiedzionych tym, co znalazły w swoich «teczkach»*„. Byłem zawiedziony bardzo. Dlaczego? Dlatego, że jak tłumaczyła „ **Newsweekowi**” A. Lasek, naczelnik Wydziału Udostępniania Akt IPN: „ — *Ludzie występują o akta SB, bo chcą poznać nazwiska donosicieli*”. Vulgo: nazwiska osób, które na nich donosiły. Poznałem kilka kryptonimów („*Ikar*”, „*Cedyk*”), lecz były to kryptonimy pracujących przeciwko mnie esbeków, nie zaś kapusiów. Poza tym trochę bezwartościowych z mojego punktu widzenia dokumentów (kartotekowych, paszportowych itp.). Wściekłem się i zapytałem: dlaczego widzę tylko drugorzędne śmiecie? Odpowiedziano mi, że nie jestem jedyną ze znanych osób, które są bardzo zawiedzione. Jako przykład drastyczny wskazano mi casus głośnego polityka, R. Bugaja, który skarżył się w „**Rzeczypospolitej**”, iż trzy lata czekał na wezwanie do IPN-u i zobaczył swoją „teczkę”... pustą („*Tylko cztery nic nie warte świstki!*”). Poinformowano mnie wszakże, iż mogę pisemnie zażądać rozszerzenia tyczącego mojej osoby śledztwa i pomocą IPN-owi przez wskazanie dwóch rodzajów osób: tych, których podejrzewam, iż na mnie donosili, oraz tych, którzy byli mi bliscy, a wobec których przypuszczam, że ich również inwigilowano, więc być może ich akta obocznie ujawnią jakichś inwigilujących mnie TW. Do pierwszej grupy włożyłem m.in. M. Pawlaka, niegdyś mojego znajomego, którego przed upadkiem PRL-u szwedzkie Seapo aresztowało za współpracę z KGB (opisałem to w „**Lepszym**”, 1990). Do drugiej — historyka A. Korynia, z

którym za czasów prześladowań „Solidarności” (lata 80-e) utrzymywałem codzienny kontakt, a który jako działacz Związku musiał być inwigilowany przez SB, więc w jego aktach mogą być wymienieni kapusie, którzy zajmowali się także moją osobą.

Kto nam zafundował cały ten cyrk? Różowy „Salon”. W rządzie T. Mazowieckiego (pierwszym rządzie III RP) pierwszym ministrem Spraw Wewnętrznych (i wicepremierem) był szef peerelowskiej bezpieki, generał Cz. Kiszczak, i to za jego urzędowania MSW niszczyło „teczki” wręcz przemysłowo. Kontynuowano ów proces za jego następcy, salonowca K. Kozłowskiego, a pan premier nie przeszkadzał w tym zbożnym dziele, bo taki był wymóg „okrągłostołowego” kontraktu. Czerwoni i różowi pojednali się dla wspólnego konsumowania władzy, i rozgrzeszyli „grubą kreską” zbrodniarzy oraz kapusiów, konsumując „teczki”, żeby trudniej było dojść prawdy. Jak pisała M. Miklaszewska: *„Rozgrzeszenie bez skruchy. Wina bez kary. Wybaczenie bez zadośćuczynienia. Pojednanie z kłamstwem, aferą, zbrodnią”*. Bez skruchy, bez kary, bez zadośćuczynienia — czyli bez sprawiedliwości. Ale za to z „tolerancją”: pod względem tolerancji dla wszelkich przejawów Zła, „Salon” nie ma równych sobie.

6. Elegancja tolerancja

Rok 1995 został mianowany przez „postępowe” światowe gremia (czyli przez lewicowe „Salony”) Rokiem Tolerancji. Ów Rok to najdłuższy rok w dziejach — trwa do dzisiaj (a zaczął się długo przed 1995) i nic nie wróży, by miał się skończyć rychło.

Właśnie w owym 1995 roku dostałem kuszącą propozycję wznowienia mojej powieści „Najlepszy”, bo chociaż stutysięczny nakład pierwszego wydania (1992) rozszedł się już dawno, książka wciąż budziła gorące spory mediów. Figuruje tam dialog między sławnym szefem enerdowskiej bezpieki, M. Wolfem, a pracownikiem izraelskiego Mossadu, Y. Aaronehem. Cytuję fragment ich rozmowy:

„ — *Ten świat jest kompletnie pojebany!* — westchnął Yehuda Aaroneh.

— *Zgadzam się, Herr Aaroneh, to właściwe określenie, jest kompletnie pojebany — przytaknął Wolf. — Z każdym rokiem coraz bardziej, ciekawe dokąd to wszystko zmierza? Nasi sąsiedzi hodują kwiaty z plastiku, nasze dzieci noszą w piórnikach prezerwatywy, nasze kobiety traktują swoje usta jako swój główny organ płciowy i otwarcie ścigają się między sobą w wymyślaniu lub akceptowaniu najdzikszych bezwstydnów, a mężczyźni próbują dorównać kobietom w tępcie absolutnej. Masowy eksodus, ekshibicjonizm, perwersjonizm, terroryzm, dyletantyzm, despotyzm, rasizm, upadek rodziny, głód, fanatyzm religijny, klęski ekologiczne, AIDS et consortes — oto obraz*

naszego stulecia. Nie istnieje już żadna świętość, w niczym nie mamy umiaru, dlatego właśnie jestem ciekaw, czym się ten leseferyzm skończy?”-

Skończył się supertolerancją, wedle egzegezy parafrazującej stare porzekadło, iż nie ma tego złego, co by nie wyszło na gorsze.

Za PRL-u Polacy mieli (prócz porzekadeł) takie powiedzonko: „*elegancja Francja*”. A Francuzi mieli za II Cesarstwa i XIX-wiecznego „*fin de siecle'u*” najfikuśniejsze burdele globu. Zwano je: „*maisons de tolerance*” — domami tolerancji. Prócz usług cielesnych każdego rodzaju (od pedofilii po sodomie) serwowano tam również spektakle mające rozochocić klienta. Były to scenki z gimnastykującymi się lesbijkami, z gwałconymi uczennicami i mniszkami, z erotycznym aerobikiem grupowym, z maszyną chędożącą (już elektryczną!), z torturą sado-masochistyczną, i z zoofilią kobiet (przy wykorzystaniu niemieckich dogów tudzież nowofundlandów). Świat dzisiejszy jest wykapanym „*maison de tolerance*”. Cała wzmiankowana wyżej „*manière de vivre*” czmychnęła z domu publicznego i rozpełzła się po całym globie, by królować w domach prywatnych, w aulach uniwersyteckich, w kinach, w teatrach i w parkach, oraz na ulicach, na placach i na salonach — wszędzie. Nie rozpełzła się sama — rozkolportowali ją członkowie lewicowych „*Salonów*”, komiwojażerowie „*europelizmu*”, administratorzy „*humanizmu*”, heroldowie „*postępu*”, vulgo: kapłani leseferyzmu typu „*róbta co chceta i z kim chceta*”. Nie ogranicza się ów trąd do wyzwalań genitaliów. Wszelka moralność ma być całkowicie relatywna, wszelki grzech darowany prawem „*carte blanche*”, wszelki zdrowy rozsądek eksterminowany przez „*political correctness*”. Rajem Ery Wodnika będzie złoty wiek absolutnej „*tolerancji*”. czyli stan swobody pozbawionej jakichkolwiek hamulców kępujących istotę biologiczną. Dzieci (wyłącznie z próbówki) będą karać rodziców i reedukować dziadków; rodzice będą duetami pederastów (związki heteroseksualne zostaną obłożone rujnąjącym VAT-em); Murzyni będą dostawać dyplomy Yale lub Cambridge wraz ze świadectwem urodzenia, zaś Nagrody Nobla wraz ze świadectwem dojrzałości; akcje przemysłu kosmetycznego (krem do czernienia skóry) i koszerne (aparacik „*Obrzezaj się sam!*”) zdominują giełdy; muzea i biblioteki zostaną wyczyszczone z twórczości tradycyjnej, żeby dać miejsce „*awangardowej*”, zaś więzienia z kryminalistów, żeby dać miejsce „*faszystom*” (prawicowcom-konserwatystom); Chrystianizm będzie można uprawiać tylko w pasach bezpieczeństwa (nieletni) i w pasach psychiatrycznych (pełnoletni); samce będą pozbawione prawa przewodzenia stada — zarówno wśród zwierząt, jak i wśród hominidów; itd., itp.

Prof. R. Legutko machnął swego czasu felieton „**Nie lubię tolerancji**” (później dał ten tytuł na okładkę książkowego zbioru szkiców

publicystycznych). Pisał m.in.: „*Im dłuższa lista, tym sytuacja człowieka tolerancyjnego staje się bardziej nieznośna. Okaze się szybko, że nie może on wypowiedzieć żadnego sądu wartościującego nie narażając na szwank «życzliwej otwartości» w stosunku do jakiejś grupy. Żart o «pedałach» doszczętnie go skompromituje (...); gdy popełni w towarzystwie tę gafę, że przedstawi się jako katolik, powinien natychmiast dodać, iż jest życzliwie nastawiony do religii Wschodu*”, etc. Lista terroryzujących człowieka wymogów „tolerancji” lansowanej przez „Salon” narzuca tyle knebli i rygorów, że normalni ludzie zaczynają marzyć o jakiejś barierze dla tego szaleństwa, czego dowód to historia z pewnym filmem:

Roku 1980 reżyser K. Kieślowski nakręcił film dokumentalny pt. „**Gadające głowy**”. Ludzie mówili tam przed kamerą o czym marzą. Głównym asystentem Kieślowskiego był przy kręceniu tego filmu reżyser K. Wierzbicki. Dwadzieścia cztery lata później (w roku 2004) Wierzbicki zaczął kręcić własny film dokumentalny o takim samym temacie. I zrelacjonował G. Eberhardtowi dialogiem pewną anegdotę, którą Eberhardt zrelacjonował zaraz piórem na łamach „**Tygodnika Solidarność**”. Otóż w filmie Kieślowskiego występował (dziś już nieżyjący) mecenas G., a w filmie Wierzbickiego wystąpił syn mecenasa G. Marzeniem mecenasa G. (rok 1980) były demokracja i tolerancja. Marzeniem jego syna (rok 2004) jest ustalenie... granic tolerancji! Czyli bariery dla gangrenującego świat fetysza lewicowych „Salonów”.

Bariery wciąż nie ma, bo chociaż istnieją jeszcze przyzwoici ludzie, ale nie odważają się stawiać tej bariery antysalonową rewolucją. Głośny konserwatywny polityk angielski, wróg jakobinizmu, E. Burke, pisał: „*Dla triumfu Zła potrzeba tylko, żeby przyzwoici ludzie nic nie robili*”. Wcześniej Moliere nauczał tego samego przy pomocy aforyzmu: „*Jesteśmy odpowiedzialni nie tylko za to, co robimy, lecz i za to, czego nie robimy*”. Przyzwoici ludzie ukazują plecy gębie Zła, klną w duchu Zło, modlą się na pohybel Złu, ale nie robią niczego, kiedy brudna fala bezgranicznej tolerancji dla Zła podtapia ich dom.

Kiedy to się zaczęło? W jaskini. Myślę o grzechu — nie o hagiografowaniu grzechu. Wszystkie epoki były przeniknięte ekspansją grzechu, lecz nie wszystkie były korodowane ekspansją agresywnej promocji grzechu, czyli leseferyzmem jako doktryną. Weźmy choćby rozwiązłość. Przymusu biologicznego (genetyczno-hormonalnego) nie da się powszechnie stłumić (może się to udać jednostkom) — istota ludzka została zaprogramowana do rozwiązłości przez naturę mającą na celu tylko prokreację. Lecz można chociaż zrezygnować z reklamy lubieżności, wyuzdania i zbrodni.

Pod tym względem bywało różnie. Średniowiecze lansowało umiar, Rokoko głośno proklamowało erotyczny hedonizm. Starczy poczytać pamiętniki zachodnioeuropejskie tamtego czasu. Rozwiążność ówczesnych elit (zwłaszcza chowu francuskiego) bulwersuje nawet dzisiaj, chociaż „*wolna miłość*” — prawem postępu i demokracji — zrównała już wszystkie warstwy społeczne. Wtedy gloryfikowały ją tylko „*stany wyższe*”, bo tylko one parały się każdą erotyczną perwersją, tudzież seksualną rekordomanią i kopulacją zbiorową jako normą zaspokojenia miast zdziczenia. Bazą tej mega-orgii była laicyzacja moralności — wyzwolenie umysłów (przez Woltera i spółkę) od wszelkich hamulców (narzuconych przez religię chrześcijańską), co reklamowano jako „*antyklerykalizm Oświecenia*” (zwalczanie „*klerykalizmu*”, tak dzisiaj modne, miało więc swą źródłową podniechęć między nogami, niczym anglikanizm, którym król Henryk VIII zastąpił religię katolicką). Pamiętnikarz, baron P. V. de Besenval: „*Największą śmiesznością okrywało współżycie małżeńskie, a nawet towarzystwo współmałżonka gdziekolwiek, choćby w powozie czy w westybulu. Obyczajność dzięki temu traciła, lecz rozwiążność nieskończenie zyskiwała. Swoboda dam, uwolnionych od krępującej obecności mężów, przekraczała wszelkie granice...*”. Hołubiono zasadę: „*nic świętego*” — gdyż zasady etyczne były „*dobre dla gminu*”. Tradycyjna moralność budziła taką pogardę, że każda innowacja w „*dziele Priapa*” — każda inwencja w wyuzdaniu — dawała laur olimpijski. „*Aprés nous la déluge!*”.

Credo ówczesnych hedonistów-erotomanów — „*Po nas choćby potop!*” — było (jak dziś wiemy) samospełniającym się proroctwem, lecz tylko w sferze polityczno-cmentarnej (gilotyny Robespierre'a ucięły im głowy), gdyż w sferze obyczajowej Napoleon przywrócił moralność tradycyjną, a później przez cały XIX wiek panowała moralność Romantyzmu i „*moralność wiktoriańska*”, czyli surowa (choć indywidualnie cichcem ją gwałcono, jak to się zawsze dzieje, ale bez robienia z tego doktryny). Pierwsza połowa XX wieku przyniosła już lekką reklamę wyuzdania („*szalone lata 20-te*”), jednak dopiero druga, od goszystowskiej „*rewolucji obyczajowej 68*”, zadała „*mieszczańskiej moralności*” definitywny cios, reaktywując nieskrępowaną rozwiążność rokokowych buduarów deklaratywnie, choć z dwiema różnicami: z upowszechnieniem na wszystkie „*stany*” społeczeństwa (vulgo: ze zdemokratyzowaniem „*wolnego seksu*”) i z oficjalną, publiczną deprawacją nieletnich. Każdy przedszkolak może dziś codziennie oglądać duże telewizyjne lub internetowe dawki „*ostrego seksu*”. „*Obsusiaj mi młode cycuszki*”, „*Spuść mi się do mokrego pyszczka*”, „*Polizę ci pupcię!*”, „*Niedoświadczona gotowa obciągnąć ci druta!*”, itp. — takie inseraty biznesowe zamieszczają dzisiaj nie tylko gazety dla dorosłych, lecz i pisemka dla dziewcząt. Gdy

noblista I. B. Singer piętnował „*makabryczną rozwiązłość kobiet dzisiejszych*” — wskazywał również „*wyzwolone* „ nastolatki bieżących czasów.

Wszystko to jest zasługą „*postępowych*” lewicowych „*Salonów*”. J. Waliszewska: „*W drugiej połowie XX wieku «postępowa» elita towarzyska ostatecznie odrzuciła zasady «obyczajowości mieszczańskiej», poddając się bez reszty atrakcyjnym wzorom swobodnego życia*”. Nigdy wszakże nie padło z ich ust słowo „*rozwiązłość*”. Głoszą wyłącznie „*tolerancję*” — sartrowskie „*Zakazuje się zakazywać!*”, owsiakowskie „*Róbtą co chceta!*”. Nieustanna salonowa mantra o tolerancji dla „*wolności wyboru*” służy szlachetnemu celowi: uprzyjemnieniu, uatrakcyjnieniu życia ludzkiego. Życie ma być gładkie, słodkie i podniecające jak czarowny erotyczny sen. Mówisz przyzwoitości: dobranoc, kochanie! — i zanurzasz się w świat tolerancji wobec wszelkich wynaturzeń i wyuzdań. Zyskujesz tym i cielesną satysfakcję — i ekscytujący status partnera „*Salonu*” budującego „*otwarte społeczeństwo*”. Otwarte szeroko, niczym wagina prostytutki lub odbyt pederasty.

Sukcesy „*tolerancjonistów*” są coraz znaczniejsze, czego przykładem choćby fakt, że kolejne kraje (Belgia, Holandia, Kanada, Szwecja, Hiszpania, Niemcy itd.) padają pod naporem homoseksualistów jak kostki domina, uprawniając pedalskie i lesbijskie śluby. Będzie tych złamanych państw więcej, być może i Polska zalegalizuje takie „*małżeństwa*”, gdyż geje i feministki głośno deklarują, iż zmuszą całą Unię Europejską do tego samego (Y. Contassot: „*— Zmusimy wszystkich, by respektowali europejskiego ducha, który zakłada, że wszystko, co jest dozwolone w jednym kraju, winno zostać dozwolone w pozostałych!*”). Nasz rodzimy „*Salon*” ma zawsze gotowe swoje wielkie ikony, które żądania zboczeńców publicznie wesprą — jak ostatnio w Krakowie nobliści Miłosz i Szymborska, kochający różową tolerancję. Montrealski lekarz, A. Divaio, słusznie mówi:

„*— To już nie jest walka o tolerancję. To krucjata zmierzająca do zniewolenia świata i narzucenia mu homoseksualnego stylu życia. A ci, którzy się temu sprzeciwiają, zyskują etykietkę homofobów*”.

Dla „*homofobów* „ vel „*pedałobójców*” jedyną zdrową formą tolerancji wobec homoseksualizmu jest niestrzelanie pederastom w łeb. Tę, tak brutalnie przeze mnie sformułowaną, niekaralność homoseksualizmu, jako pierwszy monarcha wprowadził swym „**Kodeksem**” cesarz Napoleon Wielki, który uważał, że pederastia jest chorobą, a zatem sprawą medyków miast sędziów lub katów. Lecz owa niekaralność winna być stosowana tylko wobec nieagresywnej pederastii, czyli wobec erotycznych związków intymnych (kameralnych, zamkniętych w czterech ścianach) i wyzbytych pedalskiego łowiectwa. Tymczasem pederasci praktykują intensywne myślistwo

pedofilskie, degenerujące zastępy maluchów. Terror progejowskiej „tolerancji” skutkuje również katastrofą epidemiczną (m.in. szerzenie się AIDS) i zapaścią kulturową. Legalizacji „małżeństw” homoseksualnych towarzyszy przyznawanie tym związkom praw do adopcji szkrabów. Dzieci wychowywane w rodzinach, gdzie „mamusia” to facet (vel „tatus” to kobieta) będą psychicznie okaleczone wręcz morderczo. Winę za tę kastrację duchową — za tę produkcję czwartej płci — dźwigać będzie ekspansywna „tolerancja” lewicowych „Salonów”. Jako środek broniący społeczeństwa przed tym szambem warto chyba polecić nietolerancję dla „tolerancji”. Wiem, że to oksymoron, lecz innej broni defensywnej nie widzę.

Problem pt. dzieci to zresztą osobna karta triumfów „Salonu”. Elity „postępowe”, szermując tolerancją, najpierw unicestwiły etos rodziny tradycyjnej, a następnie wyemancypowały dzieciarnię do stanu bezhołowania, ucząc superliberalnego (leseferycznego) wychowania maluchów. Znany amerykański psychiatra, R. Shaw, ogłosił właśnie alarmującą pracę na ten temat — **„The Epidemie” („Epidemia”)** — pisząc m.in.: *„Z rodzicami źle się dzieje. Nie chodzi o jakiś błahy problem — coś jest naprawdę mocno nie tak. Rujnujemy życie naszych dzieci, a przez to i nasze własne. Lekceważąc ostrzegawcze sygnały — pędzimy ku katastrofie o straszliwych skutkach (...) Dwa główne błędy: nie zaszczepiamy dzieciom moralności i rezygnujemy z jakiegokolwiek dyscypliny wychowawczej (...) Dzieci to dziś emocjonalnie upośledzone istoty, których wszelki kaprys jest zaspokajany, one zaś utraciły zdolność rozumienia uczuć i potrzeb innych ludzi. Wszędzie wokół słychać tylko piszczące, marudzące, narzekające i tyranizujące dzieci, chowane w dostatku i luksusie, ale nieukierunkowane moralnie przez rodziców, albo zbyt pobłażliwych, albo po prostu nieobecnych w domu. Nasze dzieci to egocentryczne ponuraki, które pójdą przez życie bez empatii i bez jakiegokolwiek poczucia obowiązku. Jest to tragedia nie tylko dla samych rodzin, ale także — ze względu na wagę problemu — dla całego społeczeństwa”*.

„Tolerancjoniści” starają się zmniejszyć wagę tego problemu wyłącznie jedną metodą (zmniejszaniem liczby dzieci przez propagandę aborcyjną), szerząc tolerancję dla mordowania nienarodzonych maluchów. Koroną legalizacyjną sukcesu „sił postępowych” stał się ostatnio (lipiec 2004) werdykt Europejskiego Trybunału Praw Człowieka (Strasburg), iż *„ochrona płodu nie musi być uznawana za część prawa do życia, które mają obowiązek chronić kraje Europy”*. Dominikanin, ojciec J. Salij, skomentował to następująco: *„ — Chyba i legalizacja ludożerstwa będzie kiedyś możliwa w naszej Europie”*. Jasne, że możliwe będzie wszystko — lewicowy „Salon” działa pod hasłem:

tolerancja bez granic. Kapitałnie, w swoim stylu, wypunktował problem prezydent R. Reagan: „ — *Zauważyłem, że ci wszyscy, którzy są za aborcją, zdążyli się urodzić*”.

Apostołowie wszech tolerancji mają na takie, kłujące ich, złośliwości swój bat: demokrację. Mówią: urządzmy głosowanie kobiet, pytając, czy są za skrobankami. Wygraliby dużą przewagą głosów. Lecz jak diabeł święconej wody boją się ogłaszać referendum a propos kary śmierci, gdyż dzięki sondażom wiadomo, iż 90% społeczeństwa chce karać śmiercią bestialców. Jest to więc demokracja selektywna, czyli wybiórcza. W ogóle z demokracją zrobiło się tak, że jest ona dobra tylko wtedy, gdy służy „postępowym” elitom, a zła wtedy, gdy im bruździ. Ci sami ludzie, którzy uważają, że społeczeństwo jest zbyt tępe i zacofane, by prawidłowo się wypowiedzieć wobec „głównej kary”, nie widzą nic nagannego w tym, że to samo durne społeczeństwo wybiera rządzących państwem. Czyż nie śmierdzi tu bezwstydną, relatywistyczną sprzecznością, typową dla lewicowych Salonów Wpływu?

Paryż — lato 2004. Tuż po wielkiej paradzie homosów (700 tysięcy!) demonstrujących na rzecz „gejów dyskryminowanych w Polsce”, odbywa się druga (mniejsza) demonstracja — marsz lewicowych pisarzy, dziennikarzy, intelektualistów i artystów, którzy protestują przeciwko planom ekstradycji do Włoch wielokrotnego mordercy, lewackiego terrorysty, C. Battistiego, bo tam może spotkać go kara za morderstwa. Szczególną wściekłość tolerastów budzą kary surowe — wyroki długoletniego więzienia i „czapy”. Propaganda „Salonu”, potępiając je, chwytą się szulerskiej żonglerki statystyką — surowa kara rzekomo wcale nie odstrasza, nie zmniejsza liczby ciężkich przestępstw. Realia (jak w USA, gdzie stany, które przywróciły karę śmierci, odnotowały radykalny spadek morderstw) — nie mają znaczenia. Wyniki badań naukowych również. „**Nowe Państwo**” (luty 2003): „*Wyniki wieloletnich badań prowadzonych w USA przez zespół kryminologów i psychologów pod kierownictwem profesora Ernesta Von De Haaga, potwierdzają to, co podpowiada zdrowy rozsądek: za każdym razem, gdy maleje ryzyko poniesienia kary i jej surowość — przestępczość wzrasta*”. Polski profesor, Łysiak, bez badań dostrzegł i drugą zbieżność: za każdym razem, gdy społeczeństwo chce zwiększenia karalności i surowości — maleje wstrzemięźliwość „Salonu”, by lansować dominację praw bandytów nad prawami ofiar. „Postępowcom” nie zezwala bowiem rezygnować z tego „humanitaryzmu” doktryna „tolerancji”. Dlatego wyroki śmierci są w Polsce (i nie tylko w Polsce) egzekwowane regularnie, przez bandytów. Jak mówią Niemcy: „*Das ist eure Toleranz!*” („*To jest wasza tolerancja!*”).

7. Rozdźwięki wśród tolerastów

Elegancja tolerancja jest przywilejem ludzi kulturalnych, czyli intelektualnie eleganckich — ludzi zionących dobrym wychowaniem tout court. A jednak zdarzają się w tym dobranym towarzystwie konflikty, gdyż nie zawsze oraz nie wszędzie lewicowe „Salony” są solidarne. Występują tam i grymasy między salonowe, i wewnętrzne rozdarcia (walki frakcyjne wewnątrz jednego „Salonu”), tyżące właśnie tolerancji. Najpierw przykład międzysalonowych zadrażnień:

Muzyka marszowa tolerastów wtóruje ich mantralnym hymnom, które — chociaż nie stronią od brzydkich wyrazów (exemplum warszawskie stowarzyszenie feministek, które nosi dumną nazwę: Koedukacyjna Unia Rewolucyjno-Wyzwoleńczo-Anarchistyczna — KURWA) — głoszą czystą, idealistyczną „*political correctness*”. Chodzi po prostu o tolerancję dla innych lub „*alternatywnych*” ras, kultur, ludów, obyczajów, religii i działań, które trzeba szanować (za wyjątkiem religii chrześcijańskiej, bo ta lansuje restrykcyjny, kontrsalonowy, a więc z gruntu „*faszystowski*” Dekalog). Między lewicowymi „Salonami” istnieją tu wszakże różnice względem wektorów. Na przykład dominujący „Salon” francuski i frankofoński, wbrew „Salonowi” filosemickiemu (choćby amerykańskiemu, polskiemu czy drugiemu francuskiemu) upodobał sobie islam. Głosi więc, że muzułmanie, nawet jeśli masowo mordują dzieci, wysadzając je i bez zmrżenia oka strzelając im w plecy (jak w Osetii) — to nasi mili bracia (tym bardziej, iż liczne kraje muzułmańskie represjonują chrześcijaństwo), zatem trzeba ich kochać i trzeba im dawać wszystko czego chcą. Nie wolno nawet relegować islamskich terrorystów (kiedy minister D. Villepin chciał wyrzucić z kraju mułłę podburzającego „*wiernych*” przeciwko „*niewiernym*”, francuski sąd eksmisję zablokował!). We Francji mieszka już ponad 6 milionów muzułmanów (!), którzy zupełnie nie identyfikują się z tym państwem, nie asymilują, gardzą goszczącym i pieszczącym ich krajem, wyczekując chwili, gdy minaret Eiffla zawiśnie nad meczetem Luwru. Prof. N. Ferguson (kwiecień 2004): „*Młode społeczeństwa islamskie z terenów na południe i wschód od Morza Śródziemnego już się szykują do kolonizacji starzejącej się Europy (...) Trwa pełzająca islamizacja dekadentckiego świata chrześcijańskiego. W miarę dalszego starzenia się społeczeństw europejskich i postępującego osłabienia ich religijności, muzułmańskie kolonie w europejskich miastach będą się rozrastać i coraz jawniej kierować zasadami religii (...) Amerykańscy komentatorzy [amerykański „Salon” — W. Ł.] podejrzewają Europejczyków o zamiar pójscia na ugodę z radykalnym islamem*”.

„*Pełzająca islamizacja*” to już nie tylko problem Francji, Hiszpanii, Niemiec (Turcy) czy Beneluxu — również Anglii. W jednej z

najsławniejszych książek historycznych wszechczasów — w „**Zmierzchu cesarstwa rzymskiego**” E. Gibbona (1788) — padło pytanie: czy Europa zostałaby całkowicie zislamizowana, gdyby król Karol Młot nie zwyciężył Arabów pod Poitiers (732)? Rzuciwszy to pytanie, Gibbon zażartował, że gdyby tak się stało, to „w szkołach Oxfordu nauczanooby teraz interpretacji Koranu i głoszono z ambony świętość i prawdę objawienia Mahometa”. Wówczas był to kiepski dowcip, gdyż wizja zmuzułmanizowanego Oxfordu wydawała się czystym nonsensem. Minęło 216 lat i w Uniwersytecie Oxford powstaje właśnie meczet, minaret i Ośrodek Studiów Islamskich! Filosemickiemu „*Salonowi*” to się bardzo nie podoba. Ale chrześcijanom taka „*tolerancja*” również się nie podoba, bo w wielu krajach islamskich wznoszenie kościołów jest zakazane.

Dużo gorzej, patrząc od strony „*Salonu*”, ma się sprawa z gejami i faszystami. Dla „*postępowych*” elit — vulgo: dla lewicy inteligenckiej — świat był pod tym względem prosty do niedawna. „*Geje*” to byli ci „*dobrzy ludzie*”, których trzeba wspierać, a wszelka prawica, konserwa, kler, narodowcy, antykomuniści, antysemita itp., wszelki „*ciemnogród*” i „*oszołomstwo*” — to byli „*faszyści*”, marszałka Piłsudskiego nie wyłączając. Jasne i proste jak drut. Ale ten drut stanął „*Salonowi*” kością w gardle, gdy holenderski „*faszysta*”, „*rasista*” i „*antysemita*”, do tego zdeklarowany, jawny gej, P. Fortuyn, słysząc zarzut, iż nienawidzi muzułmanów, publicznie parsknął: „ — *Ja miałbym ich nienawidzić?! Przecież wczoraj wieczorem obciągnąłem jednemu druta!*”. Fortuyna dało się uciszyć kulą strzeloną mu w łeb przez „*ekologa*”, lecz nie dało się wyciszyć wewnątrzsalonowej kontuzji. Wszystko zaczęło się biedakom terminologicznie mieszać: „*faszysta*” + „*rasista*” + „*gej*” + wielbiciel Arabów — trochę tego było za dużo. Owszem, są terminy nieprecyzyjne, choćby słowa „*liberał*” czy „*liberalizm*”, które w ustach różnych ideologów w różnych miejscach świata znaczą coś zupełnie innego (wręcz przeciwstawnego), albo słowo „*różowi*”, którym wschodnioeuropejczycy nazywają niezupełnie czerwoną, lewicowo-liberalną, salonową orientację, gdy Zachód zwie tak pedałów. Ale słowo „*geje*” i słowo „*faszyści*” były wszędzie klarownie jasne — dla każdego „*Salonu*” to były ekstrema, dwa bieguny. Jednak przestały być — „*geje*” okazali się „*faszystami*” i vice versa:

Przypadek Fortuyna można dziś określić jako drobiazg, pestkę. Wydarzyły się ważniejsze rzeczy. Choćby takie, jak powstanie silnych antysemitycznych organizacji pederastów: Geje Przeciwko Semityzmowi, Korpus Aryjskiego Oporu, Gejowska Rasa Białych Panów, etc., lejące Żydów czym popadnie. Internet pęka dziś od takich stron. Kosmopolityczny „*Salon*” zgłupiał, zaczęły

go rozdzierać spory i pytania bardzo „niepoprawne politycznie”: dlaczego, u diabła, bronimy pedałów?! Koniec z poparciem dla tych świń, które walą swoim dobroczyńcom nóż w plecy! Rytualny „*coup de grace*” (dobijający „*cios miłosierdzia*” sztyletem — aż się prosi, by rzecz: cios „*tolerancji*”) wymierzyło „*Salonowi*” sztandarowe pismo anglosaskich homoseksualistów, „**Attitude**” (lipiec 2004), piórem czołowej figury „*ruchów gejowskich*”, J. Hariego, który wielostronicowym artykułem udowodnił, że prawie wszystkie (z wyjątkiem jednej) organizacje faszystowskie globu (partie, stowarzyszenia, grupy neohitlerowskie, grupy skinheadów, itp.) są dowodzone przez gejów i w dużym stopniu składają się z gejów! Pedryle uwielbiają faszyzm! Dla „*Salonu*” to jest niewyobrażalny szok. „*Ręka w nocniku*” par excellence!

Hari zaczął od przypomnienia rzeczy dobrze znanych historykom. Mianowicie od przypomnienia faktu, iż ruch nazistowski w III Rzeszy był bardzo mocno przesiąknięty homoseksualizmem. Faraon tego nurtu pedalskiego, szef SA, E. Röhm, polecał starogrecki zwyczaj wysyłania do boju par homoseksualistów, gdyż uważano w Antyku, że pedalskie tandemy najzacieklej walczą (głośnych Termopili broniło 300 Spartan, czyli 150 par pederastów) i — co przedkłada historyk L. Snyder — „*marzył o porządku społecznym z homoseksualizmem traktowanym jako chlubny wzorzec ludzkich zachowań*”. Hitler później wykończył Röhma i mordował homoseksualistów, by uciszyć ciągle pogłoski i spekulacje na temat własnego homoseksualizmu (miał być „*chłoptasiem Röhma*”, a znaleźli się też świadkowie jego młodzieńczych stosunków z płcią własną). Hari detalicznie przypomniał całe to nazistowskie „*gejstapo*”, zacytował wypowiedzi różnych znanych gejów (m.in. Szefa Korpusu Aryjskiego Oporu, W. Powersa: „*— Zawsze wiedziałem, że faszyzm i homoseksualizm są tożsame. Nie widzę żadnego konfliktu między jednym a drugim. To opanowana przez Żydów światowa prasa próbuje nam wmówić, że jest inaczej*” i podsumował krótko: „*Paradoksalnie prawda jest taka, że homoseksualiści znajdowali się w centrum wszelkich ruchów faszystowskich, jakie narodziły się kiedykolwiek, nie wyłączając Trzeciej Rzeszy i nazistów. Z wyjątkiem Jean-Marie Le Pena — wszyscy najbardziej znani faszyci europejscy ostatnich trzydziestu lat (Edouard Pfeiffer, Neil Griffin, Jörg Heider, Pim Fortuyn i in.), neonaziści (Michael Kuhnen i in.), skini (Nicky Crane i in.) byli i są gejami!*”.

„*Salon*” światowy wciąż nie może otrząsnąć się z tego szoku. Tymczasem „*Salon*” polski „*rźnie głupa*” i siedzi cicho. Kiedy latem tego roku (2004) organizowano w Krakowie szumną paradę homosów, nasz „*Salon*” nie znał jeszcze tekstu Hariego, więc salonowe ikony, mistrz Cz. Miłosz oraz mistrzyni

W. Szymborska, mogły głośno poprzeć zбочeńców, co mi przypomniało Goethe'owskie słowa Mefistofelesa:

*„I wiedzę swoją opierają mistrze
Na obracaniu niskiego w najwyższe”**.

* — Tłum. F. Konopka.

Wiadomo wszakże, iż to obracanie pedalstwa w górnolotność przez noblistów nie wzbudziło aplauzu u wszystkich koryfeuszy (faryzeuszy) „Salonu” nadwiślańskiego — „Salon” się podzielił wobec pedalstwa na dwie frakcje. Pytanie, co teraz zrobi: będzie popierał tylko „żeńską” frakcję pedałów (tzw. „cioty”), a zwalczał „męską” (gejowskich faszystów i skinów)?

Wobec „sztuki alternatywnej” vel „awangardowej” dzisiejsze „Salony” również jednomyślne nie są. Fakt, że to lewicowy „Salon” jako całość („ludzie postępu”, „ludzie światli”, etc.) wypromował w całym obszarze zachodniej kultury zdegenerowaną karykaturę sztuki, patologię sztuki — pseudosztukę. J. Waliszewska: „Dziś to właśnie z tzw. salonów płynie inspiracja do nieustannego festiwalu skandali, bluźnierstw, «obalania tabu» i wszelakiego typu wygłupów”. Bogaci pseudointeligenci, pragnący należeć do salonowej elity, płacą za te „wygłupy” bajońskie sumy, i są dumni, że kupują ultranowoczesną „antysztukę”. Kupują, bo tak każe „polityczna poprawność”. Nie rozumieją, że — jak słusznie mówi reżyser A. Konczałowski — „Przyzwoliciej byłoby odbijać się lewą nogą do skoku wzwyż, niż malować coś lewą nogą na płótnie i później to drogo sprzedawać „.

W książce o kłamcach ten temat ma prawo zaistnieć pośród koronnych dowodów, gdyż estetyczne grafomaństwo, któremu lewicowe „Salony” przyznały miano sztuki, dowodzi naocznie, że nie jest to twórczość autentyczna, lecz szarlataneria będąca intelektualnym-wizualnym-plastycznym humbugiem — czyli oszustwem tout court. Francuski filozof, J. Baudrillard, wydał kilka lat temu książkę pt. „**Le complot de l'art**” („**Spisek sztuki**”), której główna teza i konkluzja brzmi tak: „Sztuka współczesna jest niczym innym jak wielkim oszustwem — oszustwem praktykowanym na skalę masową”. Bazą nakręcającą i alibijną tego oszustwa stała się pupilka „Salonu”, wszechcierancja, co zresztą prorokował już kilkadziesiąt lat temu sam Picasso, mówiąc:

„ — Sztukę współczesną zepchnie do kresu przyzwolenie absolutne. Będzie to sztuka wyzbyta smaku i sensu, zero”. Jest to rzeczywiście zero. G. Sello (znany krytyk niemiecki): „W galeriach i muzeach walają się przedmioty zwane sztuką wyłącznie dlatego, że znajdują się tutaj, a nie gdzie indziej”. A znajdują się tam dlatego, że to „Salon” jest rozprawdającym — on obsadza swoimi członkami stanowiska szefów galerii i muzeów (jak choćby w

warszawskiej Zachęcie osławioną panią A. Rottenberg, której miłość do „*anty sztuki*” spowodowała parę publicznych skandali) lub terroryzuje szefów kastetem „*tolerancji*” i pałką „*poprawności politycznej*”.

Przemianę sztuki w „*anty sztukę*” F. Illies wykpił jako przemianę czystej wody w kiepskie wino, dając za przykład twórczość bożka pop-artu, A. Warhola: „*Warhol przemienił wodę w wino. Dobrze, nie był pierwszy, lecz drugie miejsce to też coś. Namalować puszkę zupy czterdzieści lat po Duchampie nie było żadną rewolucją, znaczyło tylko: stosować mechanizm produkcji zupy do produkcji obrazów. Tak więc zupę przemienił w malowidło, malowidło w dolary, a dolary w wino kalifornijskie, sprzedawane dziś z jego etykietką*”. Lecz Warhol — cokolwiek o nim sądzić — był artystą wobec późniejszych producentów bohomasów, „*instalacji*”, „*performances*” i wszelakich happeningowych dezynwoltur, mianowanych sztuką przez „*Salon*”. J. Clair (dyrektor dwóch francuskich muzeów sztuki współczesnej): „*Dzisiejsza awangarda jest destrukcją, a świat jest pełen pseudoartystów, dla których wszystko jest sztuką*”. A. Romano (brazylijski poeta i krytyk): „*Dzisiaj sztuką jest wszystko, co się komuś zechce za sztukę uznać. Polityka rozliczyła się już z szarlatanerią marksizmu, czas więc, by sztuka zrobiła to samo w stosunku do królującej dziś pseudoawangardy. Ale nikt nie chce tego robić serio. Ze strachu*”.

Ja przełamałem swój strach trzydzieści dwa lata temu (1976), publikując duży (tłumaczony na kilkanaście języków, od USA po Japonię) esej „**Quo vadis ars?**” („**Dokąd zmierzasz sztuko?**”), w którym wydrwiłem i wychłostałem pseudotwórczość, zwąc ją (na bazie mnóstwa przykładów) „*patologią sztuki*”. Ale mnie było łatwo, ponieważ nigdy nie należałem do żadnego „*Salonu*”, żadnej koterii środowiskowej, żadnego twórczego stowarzyszenia — wyłącznie do siebie i do paru kobiet (też nieśrodowiskowych), c'est tout. Członkom inteligenckiego „*Salonu*” było trudniej się buntować, bo tam panuje restrykcyjna dyscyplina towarzyska, która nie wybacza niezależności, nielojalności, wątpliwości. A poza tym wstyd okazać się człowiekiem niekulturalnym — nierozumiejącym „*sztuki współczesnej*” (G. Herling-Grudziński:

„ — *Dzisiaj jest już taki terror nowoczesnej sztuki, iż bardzo wiele osób wstydy się powiedzieć, że «król jest nagi», że to, na co patrzą, to jest bzdura*”).

Ale wszystko ma swoje granice — nawet skurwienie czy też strach. Członek „*Salonu*” nowojorskiego idzie do Centrum Sztuki Współczesnej (gdzie widzi „**Szczynowego Chrystusa**” mistrza A. Serrano, tudzież „**NMPanne**” ulepioną z ekskrementów) lub do Sonnabend Gallery (gdzie widzi głośnego „*artystę*”, V. Acconiego, stojącego na pudle i masturbującego

się; Acconi masturbował się tak trzy miesiące, po czym zszedł z pudła, więc „dzieło” funkcjonować przestało) — i trafia go szlag. Belgijski członek „Salonu” idzie (obowiązkowo) na brukselską inscenizację „Tannhausera” Wagnera (gdzie widzi masturbującą się gołą damę w ciąży); szwajcarski na zurychską wersję spektaklu „Attambi” (gdzie widzi reżysera kąpiącego się w wannie pełnej ekskrementów); niemiecki na berlińskie operowe przedstawienie „Urowadzenia z seraju” Mozarta w Komische Oper (gdzie widzi aktorkę obsikującą śpiewaków, sadomasochizm, gwałt, orgię seksualną tudzież scenę ucinania brodawek sutkowych, które tryskają juchą) — i trafia ich szlag. Polski członek „Salonu” idzie (obowiązkowo) do nadbałtyckiej galerii (gdzie widzi penis przybity przez „artystkę” D. Nieznalską do krzyża, a la Golgota) — i trafia go szlag. Et cetera, et cetera — można dać setki przykładów. Wspomniany szlag niektórych wrażliwców sprawia, że „Salon” zaczyna pękać od środka, jeśli chodzi o oceny głośnych „dzieł sztuki” — sztuki „politycznie poprawnej” (błuznierczej itp.). Wszystko ma swoje granice, nawet programowa „tolerancja” — gdy człowieka „zalewa krew” przez taką tfurczość, vulgo: gdy się on (choćby po gojowsku) wkurza. Salonowa sztama doznaje wtedy uszczerbku.

Jeszcze skuteczniej kruszą sztamę lewicowych „Salonów” głośne publiczne kompromitacje salonowych autorytetów od „awangardowej sztuki”. Gdy w Niemczech krytycy, historycy sztuki, koneserzy, słowem: eksperci, przez prawie miesiąc wynoszą pod niebiosa ekspozycję „dzieł nowoodkrytej, genialnej Japonki”, a później organizator ekspozycji (marszand B. H. Feddersen) ujawnia, że wszystkie te obrazy namalowała szympansica Berbelchen z frankfurckiego ZOO — to opiniotwórcza renoma „Salonu” się wali. Lub inny casus: gdy podczas otwarcia bostońskiego Muzeum Sztuki Współczesnej gromada ekspertów stała wianuszkciem wokół dużej „instalacji” z rur i desek, licytując się peanami gloryfikującymi „wspaniałe dzieło” — nadbiegł dyrektor i przeprosił, że robotnicy nie zdążyli usunąć murarskiego rusztowania. Za każdym takim razem „Salon” cierpi męki wstydu. I wówczas pojawiają się odszczepieńcy — członkowie „Salonu”, którzy mają tego farmazoństwa dość.

Takie, jak wyżej przytoczone, kompromitacje salonowych autorytetów, nie tyczą zresztą jedynie sztuki, lecz wszystkich dziedzin kultury oraz sfery filozoficznej, socjologicznej, astrofizycznej itp. — każdej. Symbolem może tu być artykuł głośnego fizyka, A. Sokala, „**Transgresja granic; ku transformatywnej hermeneutyce kwantowej grawitacji**”. Opublikowany w prestiżowym periodyku „**Social Text**” (1996), elitarnym piśmie salonowych intelektualistów — wywołał uczone polemiki i (przede wszystkim) grad

zachwyty ze strony koryfeusza „Salonu”. Wówczas Sokal ujawnił, że zrobił sobie żart, i że cały tekst jest jedną wielką bzdurą, pozbawioną jakiegokolwiek sensu, a pełną mętnych, głupich, „*politycznie poprawnych*”, na chybił trafił sklejonych cytatów z bredni wypisywanych przez współczesnych francuskich i anglosaskich filozofów, intelektualistów, przedstawicieli nauk ścisłych i humanistycznych, słowem: mędrców „Salonu” światowego. Później Sokal i J. Bricmont wydali książkę szyderczo rozliczającą „*mętniactwo*” współczesnej salonowej myśli intelektualnej. Komentując ten casus, M. Iłowiecki wykpił (sierpień 2004) „*cmokanie opiniotwórczych salonów*” nad pseudointelektualnym lub pseudonaukowym „*mętniactwem*”, i dodał:

„*Mętniactwo to nie tylko żargon pseudonaukowy czy pseudointelektualny w ogóle, to nie tylko nadużywanie pojęć i przeróżnych chwytów, ale przede wszystkim przykrywanie zasłoną słów rzeczywistych dylematów i sprzeczności. Po to, byśmy nie wiedzieli co wybrać, co wspierać, co potępiać, i byśmy słuchali w tym zakresie tych, którzy wiedzą lepiej — i byli od nich uzależnieni*”. Niejednego salonowca skandale w rodzaju „*numeru*” Sokala zmuszają do zastanowienia się, czy czasem nie jest uzależniony od farmazonów.

Również feministki, kiedy zbyt często „*przeginają pałę*” (jak choćby „*siostrzyca*” K. Dunin i jej koleżanki na łamach „**Wysokich Obcasów**”, dodatku „**Gazety Wyborczej**”) — budzą złość lub strach niejednego członka „Salonu”. Chociaż taki członek całym sercem jest za „*tolerancją*” i za „*polityczną poprawnością*” — to jednak wolałby, żeby jego żona, córka bądź wnuczka nie prowadziły się kiej te prostytutki, czyli jak nauczała prababcia dzisiejszego feminizmu, bolszewiczka z ferajny leninowskiej, towarzysza A. Kołontaj, autorka pysznej „**Autobiografii seksualnie wyzwolonej komunistki**”, gdzie czytamy, że tradycyjną moralność i małżeństwo wymyślili mężczyźni, by zrobić kobietę niewolnicą, a wyzwolenie kobiety to wyzwolenie damskiego ciała z wszelkich zakazów i rżnięcie się („*zgodnie z własną naturą*” — sic!) gdzie popadnie, tudzież jak popadnie, z każdym. Ergo: „*Róbta co chceta i z kim chceta!*” nie jest ulubioną dewizą każdego członka „Salonu”.

* * *

Oczywiście, wśród „Salonu”grzechów głównych — grzechem najgłówniejszym jest wielopalczasty (promocyjny, dyskryminacyjny, cenzuralny, opiniotwórczy, modotwórczy, również Noblotwórczy) terror kulturowy stosowany bezwzględnie i umiejętnie przez „Salon”. Lecz to zbyt rozległy „*temat sam w sobie*”, więc trzeba dać mu własną, kolejną (ostatnią już) część książki.

Część VI

DYKTAT KULTUROWY „SALONU”

1. „Terroryzm intelektualny”

W roku 1992 prof. T. Strzembosz pisał: „*Dzieje się wiele rzeczy gorszących, lecz najbardziej alarmujące są procesy zachodzące w środowiskach opiniotwórczych (...) Zatrucie niesprawiedliwością, kłamstwem, tajeniem prawdy o ludziach, dziełach i sprawach...*”. Miał na myśli ówczesną kulturową dyktaturę różowego „Salonu”, czyli terror „rodzimych intelektualnych mullów od politycznej poprawności” (jak ich określa pisarz-publicysta-satyryk M. Wolski — palce lizać!), tych „warszawkowo-krakówkowych”macherów, co autorytarnie narzucają kryteria smaku literackiego, filmowego, scenicznego, muzycznego bądź estetycznego, sterują opinią publiczną w zakresie wartości hierarchicznych, lansują sezonowe mody i wzorce, promują wedle reguły „*sami swoi — samym swoim*”, negują wedle „*wrogom precz!*”, etc. Jest to zresztą repertuar wszystkich lewicowych „Salonów” globu, i tam, na Zachodzie, krytycy tej mafijności zwa ją „*lewicowym terroryzmem intelektualnym*”, ale ja wolę słowo: dyktat.

J. F. Revel („**Le Figaro Litteraire**”, 2000): „*Lewicowy terroryzm intelektualny to sposoby, jakimi posługują się ludzie, którzy bardzo dobrze wiedzą, że nie mają racji. Posługują się tymi sposobami dla własnych korzyści, dla obrony swoich interesów i dla blokowania zarzutów pod swoim adresem. Ich metody są brudne, ale oni innych metod nie znają. Te metody wypracował przed laty bolszewizm, za sprawą Lenina, który był wielkim terrorystą intelektualnym*”.

Owe metody służą gnojeniu przeciwników „Salonu”. Co prawda bolszewizm — Lenin i Stalin — preferowali „*terroryzm intelektualny*” polegający na eliminacji fizycznej, lecz później ta metoda przeszła do lamusa. W książce „**Pajęczyna**” (1992) były oficer SB, Adam G., zwierza się jej autorom (B. Stanisławczyk i D. Wilczak): „— *Zgnoić przeciwnika było lepiej niż go zabić. Zamordowany mógł się stać męczennikiem. Zgnojony był już nieszkodliwy*”. Identycznie rozumuje „Salon”, lecz salonowe metody terroru służą nie tylko gnojeniu przeciwników — służą również łamaniu „*wolnych strzelców*”, by zechcieli się oni zaprząć do rydwanu salonowego, gdzie będzie można ich głąskać, dając cukier. Wybitny peruwiański pisarz, M. Vargas Llosa, ujął to chłodno, bez piany (2004): „— *Na autora, który nie myśli kolektywnie — socjalistycznie, kosmopolitycznie lub przynajmniej «postępowo» — szybko zaczyna się kręcić nosem. Taki pisarz bardzo szkodzi swojej karierze, gdyż kulturowy establishment ma poglądy lewicowe, więc tych, którzy ich nie podzielają, czeka kara. Stąd wielu moich kolegów opowiada się po stronie salonowej lewicy, jedni ze strachu, inni z oportunisty, dla wygody*”.

Cztery lata temu (1999/2000) ukazało się we Francji dzieło J. Sévillii „**Le terrorisme intellectuel**” („**Terroryzm intelektualny**”), analizujące i komentujące historię francuskiego lewicowego Salonu Wpływu. Na pierwszej stronie autor zapowiada temat wersami, które idealnie pasują do polskiego lewicowego Salonu Wpływu, jeśli tylko Paryż będziemy rozumieli jako Kraków i Warszawę (zwłaszcza Warszawę). A więc zapowiada, że powie *„wszystko co trzeba powiedzieć o tych kilkudziesięciu figurach, które w Paryżu nadają opiniotwórczy kierunek plus ton, i narzucają swoją własną prawdę metodą odbierania przeciwnikom wiarygodności, często przy użyciu oszczerstw typu «rasista» albo «faszysta», będących ulubionym słownictwem intelektualnego terroru. Ci ludzie panują nad mediami, nad opinią publiczną, nad całym życiem kulturalnym, mimo że fakty niejednokrotnie zadawały im kłam, a rzeczywistość nie chciała przyznać racji ich werdyktom tudzież ich obelgom (...) Doprowadzili oni do perfekcji metodę diabolicznego wykręcania kota ogonem, jak choćby wtedy, gdy świętoszkowato przeciwstawiają się usuwaniu ludzi poza nawias, a sami rzucają klątwy na myślących inaczej, i wtedy, gdy reklamują tolerancję, mimo że sami przejawiają skrajną nietolerancyjność „. Z tym (jakże celnym) oskarżeniem „Salonu” idealnie współbrzmia słowa Jana Pawła II: „ — Wbrew pozorom, praw sumienia trzeba bronić także i dzisiaj. Pod hasłami tolerancji, w życiu publicznym i w środkach masowego przekazu szerzy się bowiem coraz większa nietolerancja”.*

Stawiano już nad Wisłą pytanie: czy można skutecznie się przeciwstawić salonowemu dyktatowi nietolerancji noszącej szaty tolerancji? A. Waśko (1995) uzależniał możliwość *„w głównej mierze od tego, czy ludzie myślący w Polsce przejrzą na oczy i uzmysłowią sobie przerażającą po prostu nicosć podwianego do mafijnych układów ekonomicznych świata polityki, kultury i mediów. Świata urabiającego nasz język, sposób myślenia i normy «politycznie poprawnych» zachowań, tak abyśmy ani przez chwilę nie mieli szansy przetrzeć oczu i zobaczyć, że wszystko jest inaczej (...) Tak jak od dwustu lat za granicą legiony Diderotów (opłacanych przez ambasadę Jej Cesarskiej Wysokości) opowiadają światu o tym, jacy to my Polacy jesteśmy prymitywni, anarchiczni i nietolerancyjni — tak i na rynku wewnętrznym utworzyła się już klasa mówców i słuchaczy rozdierających wspólnie szaty nad naszym oplakany charakterem narodowym. Ci wspaniali arystokraci ducha (któżby nie chciał do nich należeć!) heroicznie niosą na sobie ciężkie brzemie wychowania polskiego ludu w duchu wiary, że wartości są względne, chrześcijaństwo to klerykalizm, rzeczywistość jest niczym, a liczą się tylko fantomy rozumu”.*

Krytykując rodzimy „Salon”, Waśko słusznie podkreślił, że ta grająca „*duchową arystokrację*” zandarmeria kulturowo-opiniotwórcza to „*elita wychowana na tygodniku «Polityka» i na «Tygodniku Powszechnym»*„. Co jest konstatacją oczywistą, dokonywaną wielokrotnie. R. W. Matuszak piętnował „Salon” jako klasyczny gang, posiadający korzenie w PRL-u i typowo mafijną, lewicową mentalność, pisząc: „*Krzykliwa, wręcz rządząca i terroryzująca polskie życie kulturalne grupa ludzi «Gazety Wyborczej» i Unii Wolności (...) Grupa «lewicowych demokratów», którzy już, w drugim i trzecim pokoleniu sprawują rząd dusz w mediach i w sferze kultury*”. Ten sam aspekt wielopokoleniowości (spuścizny pokoleniowej) uwypuklała L. Wójcik:

„*Robią to dzieci, a może już wnuki autorów hymnów do Stalina, dzieci stalinowskich oficerów. Mają własne gazety, wydawnictwa, a więc własne narzędzia kształtujące opinię publiczną*”. P. Skórzyński: „*Wielu byłych inżynierów dusz zabiera głos i w pełni korzysta ze społecznej pozycji, którą uzyskali dzięki «władzy ludowej». Zapelniają oni łamy wysokonakładowej prasy, są stałymi gośćmi programów telewizyjnych, pełnią rolę kulturalno-ideowego establishmentu* „.

Ta salonowa wielopokoleniowość terrorystów i reaktywowanie żywych upiórów komunizmu jako „*inżynierów dusz*” — to problem nie tylko nasz. „Salony” zachodnie (włoski, francuski etc.) przerabiają gry identyczne. J. F. Revel, gdy go zapytano o „*terroryzm intelektualny*” we Francji, powiedział: „*Nie jestem zwolennikiem określenia «terroryzm intelektualny»*. Czymś ważniejszym niż ów salonowy terror jest zrozumienie z jakich powodów ludzie, którzy go uprawiają, mają takie, a nie inne przekonania. Czy wyciągnęli nauczkę z doświadczenia? Nie. Jesteśmy świadkami odmowy przyjęcia do świadomości tego, co wykazała historia (...) Jeśli się dyskredytuje Stephane'a Courtois i obrzuca błotem jego **«Czarną księgę komunizmu»**, to dlatego, że on tam podkreśla, iż mnóstwo autorów podręczników szkolnych, intelektualistów, artystów, dzisiejszych *«moralnych autorytetów»* — popierało zbrodniczy reżim. Im nie jest miło to słyszeć. Inaczej zareagowano na książkę Francois Fureta **«Le passe d'une illusion»** (**«Przeszłość pewnej iluzji»**) Mówienie o komunizmie jako o iluzji, zwłaszcza jeśli uchodzi ona za szlachetną, dużo łatwiej znieść niż wytykanie zbrodniczości komunizmu”.

Wkraczamy tu znowu na niezwykle istotne (analizowane już przeze mnie w rozdziałach wcześniejszych) pole semantyczne „*poprawności politycznej*” lansowanej przez „Salon”. Ów językowy terroryzm żongluje terminami. „*Iluzja*” brzmi lepiej niż „*dyktatura proletariatu*” czyli aparaczkowska zbrodnia, podobnie jak choćby „*społeczeństwo otwarte*” brzmi lepiej niż „*internacjonalizm*”, który promowano za komunizmu, bądź salonowy

„kosmopolityzm”, oparty nie tylko na wrodzonym kosmopolityzmie Żydów, lecz i na takich gojowskich heroldach kosmopolityzmu jak Miłosz czy Gombrowicz (patrz rozdział 3 części III — „**Pieski przydrożne**”). Miłosz był mniej poręczną ikoną apatriotyzmu, bo chociaż nieustannie opluwał Polskę i polskość, lecz deklarował patriotyczne przywiązanie do litewskości i do Litwy. Tymczasem Gombrowicz był kosmopolitycznie nienaganny, więc stał się biblią dla koryfeuszy „*Salonu*” — tak pod względem apatriotyczności, jak i pod względem estetyki formalnej, czysto literackiej. Nawet dla tych, którzy ze znajomością literatury polskiej i światowej byli bardzo na bakier i pletli o niej czyste bzdury, nieodmiennie wypowiedane autorytatywnym tonem superznawców, gdyż terror kulturalny pewności osądu wymaga. Exemplum J. Kuroń. Pisarz W. Woroszyński, eks-stalinista, a późniejszy prydupas „*lewicy laickiej*” (czyli michnikowskiego „*Salonu*”), wyznał dekadę temu (1995): „ — *Ja się boję Jacka Kuronia... Przebywałem jak inni w obrębie Jackowego magnetyzmu, ale raz po raz zdarzało mi się zżymać na prymitywizm jego wypowiedzi o czymś, na czym się nie znał, na przykład o książkach i filmach, połączony z lekceważeniem okazywanym upodobaniom odmiennym od własnych i z demagogicznym ustawianiem sobie mniemających inaczej do łatwego wyśmiania*”.

Do łatwego wyśmiania jest każdy przeciwnik, który uwiera, czego smacznym przykładem rozpisana przez komuszą „**Politykę**” ankieta „*Zdobywamy szczyty chamstwa*” (1993). Wyniki „sondażu” opublikowano triumfalnie — we wszystkich kategoriach parlamentarnego chamstwa zwyciężył prawicowiec J. Kaczyński: „*Walkę o tytuł najbardziej brutalnego polityka Trzeciej RP wygrał w naszej ankiecie bezapelacyjnie Jarosław Kaczyński*”; „*Wśród najgorzej wychowanych polityków («złota spluwaczka») zwyciężył Jarosław Kaczyński*”, itd. Przy okazji „**Polityka**” zaprezentowała również ludzi godnych szacunku, ludzi fair: „*Dość już jednak czarnej listy, pora na najlepiej wychowanych, dżentelmenów Sejmu i Senatu (...) Oto LISTA DŻENTELMENÓW parlamentu: złoty medal Bronisław Geremek; srebrny — Krzysztof Skubiszewski; brązowy — Ryszard Bugaj i Józef Oleksy ex aequo; a następnie pp. Frasyniuk, Bujak, Kozłowski, Kuratowska, Kwaśniewski, Kuroń, Suchocka, Pawlak, Mazowiecki i Ziółkowska*”. Ergo: „*sami swoi*”. Jako zwieńczenie elity dżentelmenów (i dżentelmenek) redakcja wymieniła „*osoby z klasą, które w Sejmie i Senacie nie zasiadają: Ewa Łętowska, ksiądz Tischner, Leszek Balcerowicz i Adam Michnik*”, solidarnie nie bacząc na neurotyczne michnikowskie napady szału i bluzgi (zaś J. Tischner nie był tu żadnym listkiem figowym ankiety, gdyż tak jak T. Mazowiecki za PRL-u — tak w III RP Tischner grał rolę głównego katolickiego sprzymierzeńca „*lewicy*”).

laickiej”, będąc pupilkiem, agentem i apologetą „Salonu”, czyli okołosalonowym kościelnym „pożytecznym idiotą”, lansowanym przez różowe i czerwone media nieustannie; już w 1995 A. Waśko pytał a propos terroryzmu salonowego: „*Jak długo jeszcze ksiądz Tischner będzie występował w publicznej dyskusji tych elit w roli ultimatywnego autorytetu?*”).

Współpraca pism „postkomunistycznych” (na czele z „**Polityką**”) i różowych (na czele z „**Gazetą Wyborczą**”) to od piętnastu lat sojusz stanowiący medialną bazę polskiego „intelektualnego terroryzmu” (do czego dochodzi siła telewizji, której wszystkie stacje mają czerwono-różową salonową proveniencję tudzież obsadę, i to się nie zmieni nawet wówczas, jeśli przyszłe wybory parlamentarne wygra PO, gdyż duża część członków Platformy Obywatelskiej wywodzi się z Unii Wolności, partii geremkowsko-michnikowskiej). Antysalonowy i wskutek tego gnębiony ostro przez „Salon” pisarz K. Kąkolewski: „*Potężny jest sojusz pism takich jak «Polityka», «Wiadomości Kulturalne», «Przegląd Tygodniowy», «Gazeta Wyborcza», «Wprost», «Nie», które nagonkami starają się usunąć z rynku pisarzy nie myślących według nakazów lewicowych stereotypów*”.

Królową prasy prywiślińskiej od piętnastu lat pozostaje „GW” Michnika — ambona, estrada, tuba i „bejsbol” (kij) różowego „Salonu”. Choć może „bejsbol” brzmi zbyt anglosasko — lepiej metaforyzować jej siłę represyjną jakimiś innymi dragami: mega-marchwią lub mega-ogórkiem. Gdyż „**Gazeta Wyborcza**” posiada wszystkie cechy warzyw i owoców wyhodowanych przez I. W. Miczurina, wśród których była i metrowej długości marchew, i ogórek, na którym dało się nosić, niczym na koromyśle, dwa wiadra z ciecżą. Jedno wiadro z ciecżą różową, drugie z ciecżą czerwoną (exemplum głośny „*plan Michnika-Cimoszewicza*” — projekt zawiązania formalnej różowo-czerwonej spółki do sprawowania rządów). Można to, rzecz jasna, obśmiewać, opluwać, krytykować, płakać, jęczeć i zrzedzić, można wylewać wiadra słów przeciwko temu konszachtowi terrorystów-tolerastów i sierpomłotów — a różowo-czerwona karawana triumfalnie jedzie dalej. Niech cię nie zmylą, szanowny Czytelniku, rozliczne kontrsalonowe piski. Fakt, że cytuję tak wiele głosów demaskujących „*terroryzm intelektualny*” gangu michnikowskiego — owej prawdziwej „*grupy trzymającej władzę*” — wcale, niestety, nie oznacza, że medialne sztuczki „Salonu”, zmierzające do eliminowania adwersarzy i do wybielania jego reputacji, są tylko łataniem dziur w tamie, która już została przerwana. Jest na odwrót, wszystkie te głosy bowiem (jak też i większość kontrsalonowych głosów, które cytuję pisząc niniejszą książkę) pochodzą z antykomunistycznych gazet lub czasopism tzw. „*niszowych*” (ergo: niskonakładowych, mających wąskie grona odbiorców — konserwatystów,

prawicowców itp.), a nadto siłę „Salonu” coraz to wzmacniają dezenterzy z obozu przeciwnego!

„Kolaboracja” jest brzydkim słowem. Formalnie oznacza współpracę, lecz słowo „współpraca” nie ma automatycznej konotacji ze znaczeniem pejoratywnym, gdy słowo „kolaboracja” samo przez się pachnie brzydko. Dlaczego nawet ludzie niechętni „Salonowi” zasilają jego szeregi? Tak jak mówił Vargas Llosa — intelektualści (twórcy) tudzież inteligenci (wykształceni), którzy stali się kolaborantami lewicowego „Salonu”, uczynili to wskutek oportunistycznego (by dobrze zarabiać) lub wskutek strachu (by nie dostać się pod obuch „terroru intelektualnego”), bądź wskutek tych dwóch przyczyn razem. Niektórzy próbują przechytryć „Salon” markowaniem kolaboracji. J. Sévillia („Le **terrorisme intellectuel**”): *„Tchórzostwo sprawia, że drżą z obawy,*

iz nie będą się podobać salonowym dyktatorom-opiniotwórcom. Wyobrażają sobie, że przyjmując z lekkimi, łagodzącymi modyfikacjami, język «Salonu», wygrają swoją grę dzięki mimikrze parakolaboranckiej”. Ale różowy „Salon” jest na to zbyt mądry — żąda hołdów i pełnego wtórowania, lub przynajmniej postawy „morda w kubel”, czyli milczenia grobowego.

Hołdy bywają pisemne (drukowane), ale mogą też być widowiskowo publiczne (spektakularne). Wzór takiego hołdu klasy super dał wieloletni szef dziennika „**Życie**”, uchodzący za prawicowca (według jednych) bądź centroprawicowego liberała (według drugich) — T. Wołek. Panu Wołkowi, jako lizydupowi michnikowszczyzny, wystawił swego czasu miażdżącą opinię S. Remuszko, pisząc, iż Wołek to człowiek „*solidarnie kryjący kłamstwa «Gazety Wyborczej»*”, (chodziło o solidarność między Wołkiem a „Salonem”). Notabene — Remuszko oddał przeciw Wołkowi sprawę do sądu i proces wygrał. Lecz Wołek wygrał dużo więcej, swym hiperspektakularnym hołdem przed dużo większą niż sądowa widownią — gdy w telewizyjnym studiu wyborczym (lata 90-e), na oczach milionów widzów, zawiesił się Michnikowi u szyi, krzycząc jakim to on jest przyjacielem i wielbicielem „*Adasia*”. Powiedzieć, że było to niesmaczne, bliskie ekshibicjonizmu i pełne serwilizmu — znaczy powiedzieć mało.

A cóż można rzec o szefie antykomunistycznego tygodnika „**Gazeta Polska**”, P. Wierzbickim? „**GP**” przez prawie całą ostatnią dekadę stulecia XX walczyła z „**GW**” na noże, chłuszcząc bezpardonowo Unię Demokratyczną, Unię Wolności, J. Kuronia, B. Geremka i inne gwiazdy „Salonu” (zwłaszcza zaś ostro A. Michnika), by raptownie zmięknąć i ku osłupieniu swoich czytelników zacząć kadzić Michnikowi, a „**Gazecie Wyborczej**” wchodzić, jak to mówią, bez wazeliny do odbytu. Cóż spowodowało tak radykalną (o 180

stopni!) zmianę stanowiska? Szepcze się, że spowodowały to „haki” (wcześniej wykryto w zarządzie „GP” faceta, który był TW), ale szepcze się również, że nie żadne „haki”, tylko Wierzbicki zrozumiał, iż „Salon” jest siłą nie do pokonania, więc lepiej być z nią niż przeciwko. Zaczął wychwalać Michnika („śmiały polityczny wizjoner” itp.), i dzisiaj nie uświadczysz w „GP” jednego, już nie złego, lecz choćby dwuznacznego słowa o Michniku, a sam Wierzbicki publikuje także w „GW” (!), gdzie został łaskawie przyjęty jako skruszony-wybaczony. Wielu dziennikarzy nie musi się tak upadlać, bo już dawno zrozumieli kto tu tasuje i rozdaje karty, wskutek czego nigdy nie zadzierali z „Salonem” i z Michnikiem. Boją się nawet tego, czego sami nie drukują. Gdy R. A. Ziemkiewicz wydał książkę „Polactwo” (2004), gdzie Michnik trochę obrywa — przerażony „Newsweek” (przerażony, bo Ziemkiewicz jest tam publicystą) bezzwłocznie odciął się od swego pracownika tekstem broniącym świętego (nietykalnego) guru, tekstem spod pióra P. Bratkowskiego, który w „Newsweeku” pilnie strzeże „poprawności politycznej” jako recenzent. Vulgo: jako jeden ze współdziałowców strachu i prosalonowego serwilizmu, którzy ułatwiają „Salonowi” to, co Sevilla zwie „intelektualnym terroryzmem”, a Łysiak dyktatem kulturowym.

Dyktat jest realizowany za pomocą różnych narzędzi i metod; o nich dalej:

2. „No pasaran!”

D. Barry przedstawił tego roku (2004) na łamach prasy zachodniej swoją teorię „Paliatywu Ukrytych Pośladków” (PUP), wywiedzioną w oparciu o „służbowe badania tłumy plażowego”, i tak konkludował: „Stwierdzam, że statystycznie od 100% do 115% pań mających wiek średni lub bardziej niż średni stosuje systemy osłony brzydkich pośladków takie jak ręcznik, sarong czy niewychodzenie z plażowego kosza”. „Paliatyw” to środek uśmierzający ból, nie usuwający wszelako przyczyny dolegliwości. Otóż „Salon” nie może usunąć (zupełnie wygłuszyć) krytyki pod swoim adresem, gdyż nie może fizycznie zlikwidować ani krytyków („krytykantów”, wedle nowomowy PRL-u), ani niezależnych wydawnictw (choćby i „niszowych”), które tę krytykę drukują. Pozostaje stosowanie tarczy ochronnej, która amortyzuje kopniaki wymierzane w pupę „Salonu”. Tarcza to różne środki (od recenzyjnych i kalumnijnych, po dymisyjne i cenzuralne), których efektem ma być taka degradacja wrogów, by ich kopiające nogi stały się zupełnie cherlawe, niezdolne do wymierzenia kopa powalającego. Tarcza, póki co, skutecznie pełni swą rolę (już piętnaście lat), ergo: środki ją zapewniające maskują co trzeba. Nie likwidują wszakże choroby, przyczyny ataków — gangreny, którą jest „Salon”.

Taktyka defensywna lewicowego „Salonu” mogłaby dzisiaj zostać nazwana taktyką piłkarską („atak z kontry”, czyli kontratak), lecz jej autentycznym wzorcem od początku była zasada realizowana kilkadziesiąt lat temu przez hiszpańskich komunistów, których wspierało sowieckie NKWD i „towarzysze”, z innych krajów. Czerwoni przechwycili wówczas władzę w Hiszpanii i masowo mordowali hiszpańskich antykomunistów tudzież hiszpański kler. Walczyły z tymi ludobójcami oddziały generała Franco. Taktyka komunistów była prosta: „No pasaran!” — nie przejdą! Różowy „Salon” robi to samo: zwalcza antysalonowców i kler, a wobec twórców krytykujących jego działalność mówi: nie przejdą! Żaden antysalonowy intelektualista czy artysta nie ma prawa przebić się do dużych laurów! Trzeba stosować wszelkie środki, by go umniejszyć! „No pasaran!”.

Zacznijmy przegląd tych środków od końca listy:

- „**Antysemityzm**”. Gdy inne środki zawodzą (rzadko zawodzą zupełnie), lub gdy nie ma pomysłu jaki środek stosować (bo brak mocnych punktów zaczepienia), lub z rozpędu, rutynowo (gdy krytykowana przez antysalonowców osoba jest pochodzenia żydowskiego) — „Salon” strzela epitetem typu „ultima ratio regum” (ostateczny argument królestwa): zarzutem antysemityzmu. Zresztą sama antysalonowość, jakakolwiek, bez żadnego innego dowodu, już może usprawiedliwiać taki chwyt. „Kisiel” pisał o tym: „*Głupie Żydy, aby się ratować, napiszą z patosem każdą bujdę*”. Amerykanie zwą tę bujdę „pocałunkiem śmierci”. W. Wierzewski (przewodniczący Komisji Polskiej Kongresu Polonii Amerykańskiej): „— *Zawsze ten sam obuch, straszak antysemityzmu, czyli «pocałunek śmierci», a więc skreślenie delikwenta spośród figur, które się liczą. Po czymś takim jesteś skończony. To zrozumiale, że i w Polsce ta technika odstrzału jest dla określonych kręgów bardzo na rękę (...)* Jak bezsensowne jest to rozwiązanie, dyktowane li tylko przez pokrętną strategię «politycznej poprawności» i cele jej ideologów — *pozostawiam inteligencji krajowych Czytelników*”.

Salonowa „grupa trzymająca władzę” opiniotwórczą składa „pocałunek śmierci” na niejednym polskim czole, lecz w Polsce nie ma on mocy śmiertelnej, gdyż społeczeństwo zbyt już jest przyzwyczajone do tych taktyczno-strategicznych wybryków „Salonu” i wie co o nich sądzić. Dla porządku dam kilka przykładów.

Publiczna krytyka prawicowa wobec dyrektorki Zachęty, pani A. Rottenberg (wielbicielki postmodernistycznej tandety i plastycznych, czasami bluźnierczych ekscesów), została bezzwłocznie skontrowana przez „Salon” jako ofensywa antysemityzmu, lecz rozsądni ludzie czytający te bzdury pukali się wymownie w czoło. Gdy J. Siedlecka, książką „**Czarny ptasior**”,

skompromitowała „**Malowanego ptaka**” J. Kosińskiego (dziełko rzekomo autobiograficzne), wytykając autorowi mnóstwo kłamstw, szkalowanie Polaków, krzywdzenie nawet jego dobroczyńców (rodzina Kosińskiego uniknęła Holocaustu dzięki polskim chłopom) — salonowe media („**Gazeta Wyborcza**”, „**Polityka**”, „**Wiadomości Kulturalne**” i in.) rozszarpały Siedlecką, czytelnie sugerując antysemityzm. Sprawa odbiła się głośnym echem w USA i przyjechał stamtąd J. P. Sloan, by sprawdzić kto ma rację. Sprawdził (później wyłuszczył to na łamach „**The New Yorkera**”). Okazało się, że prawdę mówi Siedlecka, a „*Salon*” łże sugerując jej motywację antysemicką. Takie usilne „sugestie” są równie częste jak kalumnie rzucane *expressis verbis*. Przykład najświeższy: P. Bratkowski zakończył swą kontrziemkiewiczowską obronę Michnika („*Newsweek*”, sierpień 2004) sugestią jednoznaczną, pisząc a propos krytykowania szefa różowego „*Salonu*” i „**GW**”, że te ataki „*słyszysz w różnych wariantach od dzieciństwa*” (vulgo: od dziecka słyszysz jak polscy goje czepiają się Żydów).

Salonowe „*ultima ratio regum*” doczekało się, ze strony właśnie R. A. Ziemkiewicza, świetnej analizy na łamach „**Rzeczypospolitej**” (luty 2004). Jest to duży artykuł pod szyderczym tytułem „**Antysemityzm postępowy**”, gdzie Ziemkiewicz pisze m.in.: „*Opiniom w kwestii antysemityzmu lewicujące elity nadają moc nieodwołalnego wyroku (...) Instrumentalizując walkę z antysemityzmem do swoich celów politycznych, lewicowo-liberalne media dokonały znacznego zafałszowania historii i istoty zjawiska, w taki sposób, aby móc jednoznacznie skojarzyć je z prawicą (...) Wedle ukutego przez lewicę i skutecznie przez nią spopularyzowanego stereotypu, antysemityzm ma być wręcz wyznacznikiem prawicowości (...) Słowem, od dawna walka z antysemityzmem stała się pozorem: przestało w niej chodzić o rzeczywiste potępienie tej groźnej i brzydkiej przypadłości, a zaczęło chodzić o «moczenie» w antysemityzmie politycznych i ideowych przeciwników. Znamy to zresztą i z Polski, gdzie zachodnioeuropejski zwyczaj wywijania oskarżeniem o antysemityzm jak pałką przyjął się już w latach «wojny na górze». Żeby nie mnożyć przykładów, sięgnijmy tylko po stosunkowo najświeższy: kuriozalne dziełko Sergiusza Kowalskiego i Magdaleny Tulli pt. «**Zamiast procesu**», z którego wynika, że antysemitami nie są bynajmniej Bubel czy Tejkowski, tylko prymas Glemp, Waldemar Łysiak czy Janusz Korwin-Mikke (wcześniej zresztą autor tej pracy pomówił publicznie o antysemityzm Cezarego Michalskiego i profesora Ryszarda Legutkę). Takie «demaskacje» są nieodmiennie przyjmowane przez tzw. środowiska opiniotwórcze cmokierskimi zachwytnymi (patrz — recenzja w «**Gazecie Wyborczej**»)*”.

Na drugiej stronie mojego pamiętnika o moich kłopotach z peerelowską cenzurą („Lepszy”, 1990) możecie przeczytać passus o posiadanej przeze mnie fotografii pewnego żydowskiego dziecka: *„Zostałem anty komunistą jak każdy, kto się dowiedział, że komuniści swym przymusowym rozmówcom kradną paznokcie podczas dialogu, a głos odbierają ludziom przestrzeliwując im język od strony potylicy, lub zamrażając go w lodówkach Gulagu, lub ucinając nożyczkami Lepszego (cenzora). Tak samo zostałem Żydem, odkąd poznałem Holocaust, i będę nienawidził Niemców tyle razy, ile razy spojrzę na zdjęcie chłopczyka numer 156, które umieściłem w moich «Wyspach bezludnych» — do końca mojego życia żadne zdjęcie nie będzie mi tak rozdzierało serca jak ono; ten maluch to mój syn”*. W rozdziale 15 „Wysp bezludnych” ukazałem koszmar Holocaustu. W „Najlepszym” (1992) mój powieściowy bohater (swoiste moje „alter ego”) bezlitośnie rozprawia się (za szmalcownictwo) ze szmalcownikiem. W „Empireum” rozstrzelałem „Protokoły mędrców Syjonu”, jako apokryf, produkt carskiej Ochrazy. Itd., itp. Ale, niestety, maskując tak biegle mój antysemityzm, nie ustrzegłem się błędu, który mnie zdemaskował. Popełniłem mianowicie dwa artykuły prasowe, kłamliwie twierdząc, że Holocaustu dokonali Niemcy, a nie Polacy, więc obwinianie nas o to przez Żydów amerykańskich, australijskich i kanadyjskich (cytowałem mnóstwo przykładów) jest bezczelnym fałszem. Żydzi się wściekli (sic!), australijscy oddali nawet sprawę do sądu (sic!), pozywając tamtejszy „Tygodnik Polski”, który moje artykuły przedrukował. Zrozumiałem wtedy, że żyję w świecie purenonsensu (jeśli nie obłędu), gdy oszczercy mogą stawiać szkalowanych przed sądem za bronienie się prawdą, i spytany jak zdefiniowałbym antysemityzm, warknąłem: *„Antysemityzm to postrzeganie Żydów takimi, jakimi są, miast takimi, jakimi chcą być postrzegani”*. Wystarczyło. To dlatego znalazłem się (obok kardynała Glempa i kilku innych figur) jako antysemita w „kuriozalnym” (co słusznie rzecze Ziemkiewicz) dziełku, sponsorowanym przez „GW”. Lecz i bez tych artykułów, i bez tego warknięcia, nie zdjąłbym z siebie odium antysemityzmu, choćby jako „wróg numer 1 Adama Michnika” (tak mnie mianował pewien dziennikarz) i wróg całego „Salonu” różowego.

Zacząłem wyliczankę od końca (od „obucha antysemityzmu”); teraz czas przedstawić i przeanalizować resztę salonowych chwytów dyscyplinarnych. Ciekawostką tu jest, że ja sam mogę starczyć za personalny przykład wszystkich możliwych restrykcji różowego „Salonu” wobec wroga „Salonu”, ergo: gdyby chciało się upersonifikować metody represyjne stosowane przez „Salon” — W. Łysiak wypełnia całą ich listę, wszystkie punkty, bez wyjątku. Oto one:

• „**Kontrowersyjność**”. Ten paraepitetowy termin służy „ustawianiu” ludzi dla „Salonu” nieprzyjemnych, niegrzecznych, niezblatowanych, niepotrafiących zachować się salonowo czyli „*comme il faut*”. Mówi się: „człowiek kontrowersyjny”, krzywiąc usta lub dając wzrokiem do zrozumienia, że to typ nieprzyjemny, „osobnik” nie zaś osoba, ktoś raczej odpychający niż sympatyczny, półcham. W sumie — to najdelikatniejsza forma represji stosowana przez „Salon”. Grzechem głównym „kontrowersyjnych” jest szczerłość i bezpośredniość formułowanych sądów, czyli brak ogłady uczenie zwany weredyzmem (słownikowo „weredyzm” to „*Mówienie prawdy bez względu na konsekwencje*”, jak rzeczce „**Słownik wyrazów obcych**” PWN-u). Wyrazami swojskimi ujmujemy to per: „*nieowijanie w bawełnę*”.

Pierwszy raz usłyszałem, że jestem „kontrowersyjny”, dawno temu, będąc studentem, gdy przyjechał do Warszawy gensek Breżniew i na moim wydziale radio robiło sondę hagiograficzną. Zadawano „braci studenckiej” m.in. takie pytanie: „ — *Który aspekt braterskich stosunków polsko-radzieckich chciałbyś poruszyć jako najważniejszy, mogąc rozmawiać z towarzyszem Breżniewem?* „. Moja wypowiedź do mikrofonu była krótka:

„ — *Powiedziałbym: oddaj Lwów!*”, co rozśmieszyło świadków i spowodowało gniew radiowców, którzy poskarżyli się władzom uczelni, że ten student jest „kontrowersyjny”. Później często słyszałem o sobie to samo. Podobno również w kontaktach towarzyskich (dyskusyjnych etc.) jestem „kontrowersyjny”, ale tam chodzi o moją „apodyktyczność”, czyli o ten typ grzechu, którego przeciwieństwo to bezkrytyczne wyznawanie poglądów aktualnego rozmówcy, vulgo: cnota potakiwania.

By nie wskazywać tylko własnego przykładu, daję niżej casus G. Herlinga-Grudzińskiego. Ten wielki pisarz nienawidził „Salonu”, czyli „krakówka” i „warszawki”. Brzydził go twórcy wysługujący się „Salonowi”; ich działalność nazwał „*atrofią zwykłej ludzkiej godności i odwagi cywilnej wśród polskich intelektualnych karmazynów*”. Byłby za to został zgnojony, lecz o ile tak samo mówiącego Z. Herberta jeszcze zdążono przed śmiercią zgnoić, o tyle Herlinga nie zdążono, bo tylko to powiedział, już umarł. Nie wypadało pluć na świeży grób, więc została jedynie „kontrowersyjność”. Zacytuję kilka głosów pośmiertnych. B. Geremek ubolewa, że Herling „*w swoich pasjach bywał niesprawiedliwy, zarówno w pochwałach, jak i w naganach*”. A. Michnik martwi się, że Herling oceniał ludzi „*niesprawiedliwie*” (zwłaszcza Michnika, któremu wytykał m.in. hańbę bruderszaftowego bratania się z gronem komunistycznych oprawców, radząc: „ — *Adam Michnik winien pójść do dobrego psychiatry*”). Włoski lewak, L. Marinelli, puentuje: „*Był człowiekiem apodyktycznym i kontrowersyjnym. Często niesprawiedliwym*”. Wykorzystano

tu więc i „*apodyktyczność*”, i „*kontrowersyjność*”. Obie są uniwersalnymi kluczami, których fałszywe moralne autorytety chwytają się dla sugerowania publice, iż człowiek przyzwoity, człowiek będący prawdziwym moralnym autorytetem — nie był kryształowy, nie był ideałem, miał swoje ciemne, brzydkie strony, ergo: wicie, rozumiecie, ino udawał świętka! Człowieka sprawiedliwego (rzadkość na tej Ziemi) mienią „*niesprawiedliwym*”, ku radości diabła. Za to Pan Bóg daje takiemu dobre towarzystwo. „*Kontrowersyjni*” byli również L. Tyrmand, M. Hemar, J. Mackiewicz, S. Kisielewski („*Kisiel*”) i Z. Herbert (póki mu „*kontrowersyjności*” nie zamieniono na zupełne „*oszołomstwo*”). „*Kontrowersyjny*” jest R. A. Ziemkiewicz, R. Legutko i cała dzisiejsza gromadka niewielbicieli „*Salonu*”. Ale dla tych ludzi — „*kontrowersyjny*” to (jak u Gorkiego) brzmi dumnie.

- „**Oszolomstwo**” **mentalne**. W gradacji ujemnych cech osobowych wytykanych oponentom przez „*Salon*” — „*kontrowersyjność*” to dół skali, zaś „*oszołomstwo*” typu pomieszanie zmysłów to jej szczyt. Zwykłym „*oszołomem*” jest każdy, kto podważa dogmaty lewaków — antykomunista, konserwatysta, tradycjonalista, zwolennik lustracji itp. Obłąkańcami są wybrańcy. Salonowe „**Wprost**” (piórem niejakiego W. Rzehaka) stwierdziło, że Waldemara Łysiaka „*zaatakowała choroba*” wskutek patologicznej nienawiści do A. Michnika. To było w 1992 roku. Kilka lat później „**Gazeta Wyborcza**” wlepiała tę samą umysłową chorobę Z. Herbertowi, bo źle się wyrażał o ludziach dobrych (m.in. Michnika nazwał „*manipulatorem*”, „*człowiekiem złej woli*”, „*kłamcą*” tudzież „*oszustem intelektualnym*”), a dobrze o złych (m.in. ośmielił się uznać Łysiaka za „*wcielenie honoru*”, mówiąc w wywiadzie, iż „**Tygodnik Solidarność**” słusznie zwie Łysiaka „*Sumieniem Polaków*”, i że gdyby się pojedykował, to chciałby mieć Łysiaka za swego sekundanta). Niewybaczalne. Odpowiedziano mu gradem bezprecedensowych epitetów. Skomentował to wieszczo fragmentem swej „**Potęgi smaku**”:

„Zaiste ich retoryka była aż nazbyt parciana

Łańcuchy tautologii parę pojęć jak cepy

Dialektyka oprawców żadnej dystynkcji w rozumowaniu”.

„**Gaduła Wyrodna**” istotnie użyła „*pojęć jak cepy*”, równając Z. Herberta ze stevensonowskim wampirem Hyde'em, zwać zgrzybiałym alkoholikiem („... *uważaliśmy, że mówił to po alkoholu*”), i wreszcie „*potworem Minotaurem*” expressis verbis. Gdy się myśli o obrzucanym tak ciężkimi kamieniami Herbercie, przypominają się słowa, które napisał J. Swift (autor „**Guliwera**”): „*Łotry i głupcy bywają dla siebie wzajemnie pobłażliwi, ale kiedy zjawi się człowiek o rzeczywistym talencie, rozumie, odwadze i prawości — natychmiast*

powstają przeciwko niemu, i jeśli nie mogą ściągnąć go w dół, to przynajmniej próbują oczernić jego charakter, zamordować reputację". Reputację Herberta mordowali znani literaci z psiarni różowego „Salonu”, między innymi pisarz J. Bocheński (eks-stalinista), który na łamach „**Gazety Wyborczej**” użył właśnie Minotaura jako cepu: „*Mityczny Minotaur żywił się młodzieżą ateńską; ten, który siedział w gasnącym Herbercie, też niestety pożerał ludzi... Jak to było możliwe? Choroba?...*”. Sugestia czytelna stuprocentowo.

Ale sugestia to zbyt mało — prymus „Salonu”, wierny wyznawca Michnika, T. Jastrun (syn żydowskiego poety ze stajni PRL-u), przywdział kitel lekarski i na łamach „**Polityki**” zdiagnozował „chorobę „Z. Herberta jako „cyklofrenię „: „*W każdym człowieku mieszka kilku ludzi, są też upiory, mieli je nawet święci, mocowali się z nimi. I są choroby, które powodują, że jesteśmy słabsi od swoich demonów. W Polsce osoby publiczne nie cierpią na psychiczne schorzenia. Czy nie czas zerwać z tą tradycją? Herbert był chory na cyklofrenię (depresja, z fazami obniżonego nastroju i pobudzenia). To zapewne w tej ostatniej fazie szokująco brutalnie zaatakował wielu, jakoś nisko, niemądrze*”. S. Remuszko celnie skomentował tę nikczemność Jastruna: „*Dzięki Bogu, że Herbert nie żył w kraju osławionych «psychuszek»*... Istotnie — gdyby żył w ZSRR, doktor Jastrun mógłby go wsadzić za kraty represyjnej „psychuski” ordynatora Michnika. Mielibyśmy łóżka w tym samym

pawilonie przybytku, bo kilka lat później podręczny Michnika, A. Pawlak, mnie też zdiagnozował i skierował (via „GW”) na terapię tworkową: „*Przykro mi bardzo, panie Łysiak — powinien pan jak najszybciej rozejrzeć się za jakimś kompetentnym lekarzem. Zarówno dla swojego dobra, jak i dla bezpieczeństwa najbliższego otoczenia*”.

Słowem: anty„Salon” to dom wariatów — Herling, Herbert, Łysiak, e tutti quanti. Dzięki Bogu, są jednak i zdrowi wśród Polaków — to nasz swojski, różowy „Salon”. Gdyby nie ona, elitarna, postępową, tolerancyjna, politycznie poprawna „*lewica laicka*” — trzeba byłoby wsadzić w kaftan całe to maniakalne społeczeństwo, które wskutek swej schizofrenii i cyklofrenii bez przerwy, wzorem AK, gnębi Żydów !

• „**Zoologizm**”. Ludzi klasycznie wykształconych kołysało w Orient-Expressie lewantyńskie staccato rytmicznych sylab: Kon-stan-ty-no-pol, albowiem człowiek tak wykształcony brzydził się mianem Stambuł, czyli prostackim zredukowaniem melodii tradycyjnej. „Salon”, wykształcony nieklasycznie (nie po łacińsku, tylko po lewacku, czyli „*postępowo*” — vide „*paraliż postępowy*”), również redukuje swe militarne słownictwo do wspomnianych „*pojęć jak cepy*”. Exemplum ulubiony przymiotnik salonowców: zo-o-lo-gicz-ny. „*Zoologiczny antykomunizm*” (lub „*zoologiczny*

antykomunista”), „zoologiczny antysemityzm” (idem), „zoologiczny rasizm” (idem), „zoologiczny szowinizm” (idem), „zoologiczna ksenofobia” (idem), etc. (z zamiennikiem: „jaskiniowy”) — to ulubione grudy błota, którymi „Salon” strzela do wrogów. Przykładów personalnych nie ma co dawać, ponieważ salonowe media są ich pełne dnia każdego. Znosimy to dzielnie i miłosiernie, bo przepelnia nas duch zoologicznej tolerancji.

- „**Grafomaństwo**”. Zarzut grafomaństwa wobec niepokornych (a już zwłaszcza wobec bojowo antysalonowych) ludzi pióra to łatwy cios, gdyż samo wybranie się przed takim zarzutem ośmiesza delikwentów. Tych, którzy jeszcze mogą się bronić. G. Herling-Grudziński nie mógłby, nawet gdyby bronić się chciał, bo dopiero dzień po jego śmierci kolaborant „Salonu”, włoski lewak L. Marinelli, zaczął publicznie truć, że teraz przyjdzie „czas weryfikacji” dla Herlinga-pisarza („Czy był wielkim pisarzem?...”). Mówiłem już — dyskretny urok sugestii to „*bejsbolowo*” finezyjna broń „Salonu”.

Ale kiedy trzeba — przywała się bez ogródek. Cytowany wyżej A. Pawlak, hajduk Michnika do „mokrej roboty”, na łamach „GW” (artykuł pt. „**Łysiak zbawiciel**”) zrecenzował pisarstwo Łysiaka jako „*kompletne brednie, których skomplikowanie intelektualne nie jest wyższe niż poziom froterki*”, zwąc mnie „*Lepperem polskiej literatury i publicystyki*”, nie ukrywając, że to z powodu mojej wrogości wobec „Salonu” oraz A. Michnika, i ubolewając, że „*książki Łysiaka szturmem zdobyły rynek*”. Nie zastosował jednak wyrazu „*grafomaństwo*” — ten przywilej zostawił swemu patronowi, i sam święty guru „Salonu” był łaskaw nazwać mnie „*trzeciorzędnym grafomanem*” (wywiad dla tygodnika „**Wprost**”). Bardzo mnie to ucieszyło, gdyż różnimy się tu z panem Adamem w poglądach na moje pisarstwo („*de gustibus*”) — ja uważam się za czwartorzędnego. Ale ponieważ robię wszystko, by się wydobyć na poziom grafomana drugorzędnego, więc jako średnia między moimi osiągnięciami (czwartorzędny) a moimi aspiracjami (drugorzędny) wychodzi trójka (trzeciorzędny), w sumie zatem pan Adam ma słuszość. Od czasów „*wielkiego literaturoznawcy*”, gruzińskiego nikt inny nie stawiał not równie trafnych. „*Grafomaństwo*” to jedyny punkt z listy ofensywnej „Salonu”, co do którego zachodzi między nami pełna zgodność.

- „**Plagiat**”. Marzenie „Salonu” — przydybać na plagiacie! Oczywiście tylko wroga; swój może plagiatować „*skolko ugodno*”, i będzie nawet za to chwalony. Tę rasistowską „*filozofię Kalego*” „**Gazeta Wyborcza**” przejawiała wobec swego pupila, J. Kosińskiego, wyrażając podziw dla jego notorycznych plagiatów: „... *stał się autentycznym mistrzem sklejanek*” (sic!).

Łysiakowi „GW” wytknęła plagiat dziesięć lat temu. Tym razem nie powodowało nią umiłowanie kłamstwa, lecz kiepska forma jakiegoś

redaktorka, który zbyt pobieżnie przeczytał mój inkryminowany tekst i przeoczył miejsce, gdzie Łysiak wymienia źródło celowego pastiszu. Dlatego bez trudu — wskazując ów przeoczony „copyright” — ośmieszyłem zarzut, ergo: dowiodłem, iż jest on strzałem w płot. Co jednak niewiele mi dało. Falszywe oskarżenie wydrukowała bowiem gazeta mająca ponad 600 tysięcy egzemplarzy nakładu, zaś obalenie fałszu wydrukował „Tygodnik Solidarność” mający kilkanaście tysięcy egzemplarzy nakładu (do czego trzeba dodać przedruk tego obalenia w mojej książce publicystycznej — 45 tysięcy egzemplarzy nakładu), a więc ledwie jedna dziesiąta czytelników „GW” (lub dużo mniej, bo chyba niewielu fanów „GW” czyta „Tysola” i moje książki) dowiedziało się, iż jestem niewinny stuprocentowo. Te cyferki to Wunderwaffe „Salonu”. Wobec nich prawda nie ma większego znaczenia.

Prócz już wymienionych metod, salonowe „No pasaran!” obejmuje także represje typu administracyjnego (urzędowego), egzekwowane przez instytucje znajdujące się pod wpływem „Salonu” (jak np. telewizje) lub reagujące w obawie przed „Salonem”. Są to wszelkie formy cenzury i biurokratycznych „szlabanów”, utrudnianie promocji antysalonowych twórców, blokowanie nagród dla tych twórców, a wreszcie i etatowe dymisje wrogów. Tę sferę dyktatu salonowego omawiają kolejne rozdziały:

3. Cenzura

Brak cenzury prewencyjnej to podręcznikowy wprost fundament wolności słowa, a tam, gdzie cenzura taka istniała — jej zniesienie uchodzi (razem z wolną elekcją) za papierek lakmusowy przywróconej (bądź nowowprowadzonej) demokracji. Wszelako, wbrew pozorom, cenzura jest nieśmiertelna, zawsze i wszędzie, przybiera tylko różne maski i różne formy (np. środowiskowe, które bywają bardziej restrykcyjne od urzędowo-administracyjnych). Głędą, że są takie państwa, w których nie ma choćby śladu cenzury (np. państwa anglosaskie, gdzie można dowolnie krytykować, wręcz „flekować”, głowę państwa) — to czysty mit. W USA rzeczywiście można jeździć po prezydencie jak po łysej kobyle czy burej suce, lecz nawet astrofizycy miewają tam duże kłopoty cenzuralne, jeśli np. nie wyznają „jedynie słusznej prawdy” o Wielkim Wybuchu jako genezie wszechświata (P. Waldman, „The Wall Street Journal Europe”, rok 2000:

„Chłuba Uniwersytetu Kalifornijskiego, znany astronom Geoffrey Burbidge, tudzież inni dysydenci z obozu Wielkiego Wybuchu, doświadczają silnej cenzury, można rzec: kosmicznej, w mafijnie powiązonym środowisku zawodowym astrofizyków. Utrudnia się im publikacje i nawet dostęp do wielkich teleskopów”!. Sfera polityczna jest równie zabagniona — wszystkie brytyjskie telewizje odmówiły wyemitowania dokumentalnego filmu reżyserki

Y. Wright, którego tematem są brutalne, masowe deportacje polskich Kresowian przez ZSRR w latach 1939-1940 (A. Donde: „*Tymczasem te same stacje nieustannie pokazują różnorakie materiały o żydowskim Holocaustie*”), gdyż Anglia nie chce drażnić putinowskiej Rosji przypomnianiem męczeństwa Polaków. Identyczne casusy mógłbym mnożyć długo, lecz nie temu jest poświęcona ta książka.

Mnóstwo ludzi marzy o cenzurze lub tęskni za cenzurą typu peerelowskiego. Nawet pisarze, których tamten reżim zmuszał do wymyślania antycenzuralnych trików (vide szeroki ich przegląd w moim „**Lepszym**”), co czasami bardzo sprzyjało jakości tej literatury. Aż się prosi, by sparafrazować słynne kennedy'owskie „ — *Nie pytaj, co Ameryka może zrobić dla ciebie. Spytaj, co ty możesz dla niej zrobić*” — nie pytaj, czy Cervantes, Molier bądź Szekspir mogliby stworzyć więcej, gdyby w tamtych czasach nie było królewskiej cenzury; zapytaj: czy zrobiliby to, co zrobili, gdyby jej nie było? Dzisiaj dużo ludzi pyta: czy nie możnaby przywrócić urzędu cenzorskiego, choćby gwoli wyhamowania szerzącej się agresji pornobezwstydu? Nie rozumieją, że gdyby go hamowano, gorzej rozpoznawalibyśmy bliźnich, tajemnice płci, biologię, naturę i tak dalej. Gdyby od ćwierćwiecza (od „**Historii O**” pani D. Aury) nie mnożyły się książki, w których pisarki dumnie relacjonują swoje seksualne rekordy i perwersyjne sekrety płci pięknej tak, jak nigdy nie odważył się żaden pisarz, nawet markiz de Sade, o żadnej płci (aktualne hity światowe to „**Sto pociągnięć szczotką**” Melissy P., piętnastoletniej Sycylijki, która lubi uprawiać seks z kilkoma obcymi mężczyznami równocześnie, i dziełko pani C. Millet, która kocha zbiorowe orgie i codzienne zmiany partnerów — czytelniczki zachodnioeuropejskie, i tylko czytelniczki, kupują te książki milionami) — nie mielibyśmy pojęcia, że nimfomania to norma, żaden wyjątek. Czy bez naszej M. Gretkowskiej wiedzielibyśmy, że są dwulechtaczkowe damy? W życiu! Ale mimo tego (wielce użytecznego) triumfu „*postępu*”, „*politycznej poprawności*” i salonowej „*tolerancji*” — coraz więcej ludzi marzy o cenzurze. Nawet patrioti, których wkurza, że godność Chopina, Kopernika i Sobieskiego jest hańbiona etykietkami butelek z rodzimą wódką (protesty przeciwko temu mają już charakter zbiorowych petycji do władz).

Tymczasem nikt nie protestuje przeciwko lewackiej cenzurze, która trwa w mediach pod patronatem i z inspiracji „*Salonu*”. „*Salon*” zagraniczny skupił się na cenzurowaniu tekstów łamiących „*polityczną poprawność*”, vulgo: obrażających rasy, narody, kultury i kultury (wyłączone są spod restrykcji tylko paszkwile antykatolickie i antypolskie, exemplum tzw. „*polskie żarty*” — „*Polish jokes*”). „*Salon*” rodzimy więcej uwagi przykłada do kwestii

historycznych, politycznych, biograficznych i personalnych aktualnościowo. Gdy dyrektor Instytutu Historycznego na Uniwersytecie Warszawskim nie zezwolił (1995) wyemitować filmu „**Hiszpania 1936**” — to dlatego, że film pokazuje jak prawicowy generał F. Franco uniemożliwia zniszczenie Kościoła w Hiszpanii i stalinizację Hiszpanii. Kiedy TVP zdjęła (2000) planowaną emisję filmu J. Zalewskiego „**Poeta obywatel**” — to dlatego, że tam Z. Herbert określa Michnika jako główną kanalię III Rzeczypospolitej. Kiedy dzienniki TVP nie pokazały jak pijany w sztok prezydent Kwaśniewski (kumpel Michnika, przez tegoż wypromowany do urzędu) chwieje się, bełkocze i wiesza na ramionach cudzoziemców podczas obchodów przy charkowskich grobach męczenników (cmentarz ofiar NKWD) — to dlatego, że telewizja publiczna ma zakaz propagowania alkoholizmu. Kiedy TVN zdjęła z wizji audycję, w której wyraziłem protest przeciwko twierdzeniu australijskich muzealników, iż „*polskie wojsko wściekłymi rozstrzelowaniami stłumiło powstanie Żydów getta warszawskiego*” — to dlatego, że kangury są objęte ochroną. Wielu prasowych i telewizyjnych dziennikarzy III RP, gdyby tylko przemogło strach lub utraciło instynkt samozachowawczy — rzucaloby Wam garściami anegdoty na temat cenzury wewnątrzredakcyjnej, która nie dopuszcza do emisji lub do druku materiałów mogących rozsierdzić różowy „Salon”. R. Legutko stwierdził kilka lat temu, że „*feminizm jest ruchem neobarbarzyńskim*”. Dokładnie takim samym ruchem jest michnikowski Salon Wpływu.

Przeciętnemu obywatelowi, słabo zorientowanemu w niuansach szulerni medialnej, wydaje się, że TVP to domena „*postkomunistów*”, a telewizje prywatne są niezależne lub przynajmniej bardziej niezależne (bardziej prawdopodobne i mniej cenzurogenne). Błąd. Telewizją Publiczną rządziła podczas minionych piętnastu lat cicha koalicja czerwono-różowa (SLD—UW), a TVN i Polsat bardzo mocno liczyły się z „*Salonem*”, chociaż Polsat (trzeba mu to przyznać) czasami wyróżniał się większą odwagą w łamaniu tabu prosalonowego, póki nie zrodziła się koncepcja kupna Polsatu przez A. Michnika, zakłócona „*afery Rywina*” i działaniem sejmowej Komisji Śledczej. Lecz o ile „*afery Rywina*” ujawniła różne smaczne i bardzo brzydkie detale na stykach SLD—”Agora” (koncern „*Salonu*”) — Polsat, o tyle wcześniejsza „*afery szkalowania braci Kaczyńskich*” ujawniła równie ciekawe zbieżności między TVP a TVN, dotyczące proveniencji ludzi, którzy władają telewizjami z błogosławiństwem „*Salonu*”.

J. Kaczyński oraz L. Kaczyński to para bliźniaków, którzy w dzieciństwie filmowo „*ukradli księżyc*”, ale wyrosli na dwie gapy — w dorosłym życiu nie kradną. Ergo: jedni z nielicznych ucziwych polityków III RP (osobliwość

etyczna par excellence). Jako konsekwentni prawnicy, ludzie honoru i autentyczni mężowie stanu (znowu rzadkość) — są od piętnastu lat ulubionym duetem „*chłopców do bicia*” dla czerwonych i różowych elit.

Na nikim „*Salon*” nie powiesił tyłu psów, co na tych czołowych „*oszołomach*”. Gdyby nienawiść mogła sama zabijać — leżeliby już w grobach dziesięć lat z okładem. Kulminacyjny punkt permanentnej kampanii szcucia przeciwko nim to spreparowany łapami TVP film, którym kłamliwie chciano wmanewrować Kaczyńskich w „*afere FOZZ*” (wcześniej urbanowskie „**NIE**” opublikowało fałszywkę esbecką, mającą skompromitować jednego z braci, i dopiero sąd stwierdził, że to prowokatorska lipa). Po emisji tego filmu (kilkuodcinkowej emisji zrobiono dużą reklamę) ściągnięto z Ameryki Płd. do kraju jako świadka byłego es-beka, który tam uciekł, bo nad Wisłą groziła mu kara za pospolite przestępstwa. Zgodził się przyjechać, gdyż dostał tzw. „*list żelazny*”. I kiedy przyjechał, na konferencji prasowej mówił m.in., że boss telewizji TVN, M. Walter, to były kadrowy oficer któregoś tam wydziału MSW. W każdym normalnym kraju taki „*news*” o głośnej figurze spowodowałby medialny huk, tymczasem w Polsce sprawę całkowicie wyciszono. W środowiskach dziennikarskich szeptano, że ów esbek z Wenezueli czy Peru nie mógł kłamać a propos tej akurat sprawy, bo jego „*list żelazny*” chronił go na czas wizyty w Polsce tylko wobec przestępstw popełnionych wcześniej, lecz nie wobec innych, nowych, gdyby więc jego oświadczenie dotyczące Waltera było nieprawdą, Walter mógłby oddać sprawę do prokuratury czy do sądu, i oszczercę można byłoby aresztować. Jednak M. Walter tego nie uczynił, milczał jak grób, a sprawie ukrecono łeb ciszą medialną. Głębszą nawet niż dużo wcześniejsza sprawa rozlicznych paszportów (o ile dobrze pamiętam — sześć!) bossa Polsatu, Z. Solorza — wtedy mały huczek prasowy jednak był. Cenzura widać okrzepła, chociaż pono nie istnieje w III Rzeczypospolitej.

Inna jeszcze ciekawostka, świeża (lipiec 2004): lubiany aktor i satyryk, J. Rewiński, gdy jego i K. Piaseckiego program „*Ale plama!*” został skasowany przez TVN, bo denerwował polityków (od prezydenta Kwaśniewskiego, zdenerwowanego wyśmiewaniem „*Joli*” w roli potencjalnej pani prezydent, po bossów partyjnych) — opowiedział „**Kulisom**” jak w III RP wariuje cenzura. M.in. opowiedział o serialu „**Tygrysy Europy**”, który przeleżał prawie trzy lata na półce, bo się nie podobał wpływowemu biznesmenowi, A. Gudzowatemu (serial puszczono, gdy już satyryczne aluzje filmu przestały być aktualne) — Gudzowaty uważał, że to o nim. J. Rewiński: „ — *Biznesmena toczyło pod skórą, ze ten Edek, bohater serialu, to on. No, to już jest poziom straszego barchanu!*”.

Wśród dziennikarzy III RP głośna jest metoda represyjna stacji telewizyjnych zwana „*paragrafem 22*”. Audycję (program), która denerwuje polityków lub członków „*Salonu*”, władze danej stacji telewizyjnej przesuwają w „*nowej ramówce*” z czasu dużej oglądalności na godziny późnowieczorne (po godzinie 22⁰⁰). Spada wówczas drastycznie oglądalność audycji, można ją więc znowu przesunąć, na godziny jeszcze gorsze, nocne. J. Rewiński: „ — *A potem mówi się: no, sama pani widzi, musimy panią puszczać o trzeciej w nocy!*”.

Najlepiej wcale nie puszczać — kompletne „*No pasaran!*”. Faworyzowanym przez „*Salon*” bękartem cenzury jest cisza medialna wokół wrogów. Schłostanie dzieła adwersarza na łamach „*GW*”, „*Polityki*”, „*Wprost*” czy innych mediów okołosalonowych ma bowiem feler niweczący zamiar — przynosi smaganemu dziełu rozgłos, wedle amerykańskiego „*Źle czy dobrze, byle po nazwisku*”. Śmiertelna cisza jest lepsza, gdyż jest śmiertelna właśnie. To stary sposób. Jedną z najstraszliwszych kar stosowanych przez Żydów (zdaniem niektórych uczonych, jak śp. profesor T. Zieliński — karą główną według żydowskiego obyczaju) było zapomnienie. Egzekucja taka miała zawsze nieskomplikowaną formę, którą A. Libera (mówiąc o kasowaniu nimbu Herberta przez kręgi komunistyczne i michnikowskie) określił jako „*metodę wyciszania nazwiska, unikania nazwiska*”. a pani profesor J. Staniszkis jako „*przeróżający mechanizm*”. „ *Chodzi głównie o treści niepasujące do zasad «poprawności politycznej». Poprawność polega na tym, aby ważne rzeczy mówili tylko swoi. Albo żeby wyglądało, iż tylko swoi mają coś do powiedzenia. To jest przerażający mechanizm*”. Zwie się on — zamilczeniem. A skuteczność tego mechanizmu bierze się stąd, że wyrzuca on karanego nim delikwenta poza nawias rzeczywistości (świadomości publicznej), gdyż, jak słusznie mówi aktualny premier Czech, S. Gross: „ — *Jedyną rzeczywistością jest to, co relacjonują media*”.

Mechanizm ów stosuje się nie tylko wobec żywych; exemplum regulaminowo przemilczani w kręgach „*Salonu*” pisarze, „*zoologiczni antykomuniści*”, F. A. Ossendowski, J. Mackiewicz (dodatkowo „*faszysta*”), S. Piasecki i in. O Mackiewiczu rzecze G. Eberhardt: „*Z Mackiewiczem jego przeciwnikom nie sposób polemizować, jest zbyt konkretny. Za duży ma talent! Jego można zniszczyć tylko jednym — przemilczeniem*”. O Piaseckim mówi M. Klecel: „*Głos Piaseckiego jest ostry i bezkompromisowy, ale potrzebny jak haust świeżego powietrza w zatęchłym od poprawności i układności salonie, który dorobił się już własnej nowomowy, języka szantażujących eufemizmów, dyskretnej cenzury, przemilczeń i wykluczeń*”.

Przemilczenia i wykluczenia realizuje się rutynowo, bez ustanku. Exemplum casus gniewającej „Salon” książki W. Kieżuna „**Niezapomniane twarze**” — Z. Herbert: „*Książka znakomita i całkowicie zignorowana przez krytykę. Sto kilkadziesiąt stron olśniewająco czystej polskiej prozy nie znalazło uznania w oczach aptekarzy i trucicieli naszej literatury*”. Czasami jednak ukaże się recenzja (wbrew zakazom „Salonu”), lub ktoś udzieli głosu antysalonowcom. Taki błąd popełniła L. Wójcik, szefowa „**Nowych Książek**”, dając miejsce dwóm pisarzom „zoologicznym anty komunistom”, K. Kąkolewskiemu i B. Urbankowskiemu. To kosztuje. T. Kuczyńska: „**«Gazeta Wyborcza» i «Polityka» urządziły nagonkę na Lidzię Wójcik, nową naczelną miesięcznika «Nowe Książki», za to, że udostępniła jego łamy autorom książek opisujących peerelowską przeszłość naszych literatów (...)** Najwięcej nienawiści warszawskiego salonu ściągnęło wprowadzenie na łamy miesięcznika nazwisk Krzysztofa Kąkolewskiego i Bohdana Urbankowskiego”.

Kapturowy wyrok cenzury „Salonu” dźwigam już dość długo, i jakoś mnie specjalnie nie uwiera. „Niszowe” (prawicowe) tudzież emigracyjne (polonijne) pisma piszą o tym bardzo często. B. T. Parol: „*To jak taki większy brydż — licytują tylko ci, którzy rozdawali karty przy «okrągłym stole».* Proszę spojrzeć jak skutecznie zostały wykluczone z obiegu i świadomości społecznej osoby, które nie chciały się bratać wzorem Michnika z Kiszczakiem i Jaruzelskim. W polityce choćby Gwiazda, Morawiecki czy pani Walentynowicz. W literaturze gracze lansują Gretkowską, Tokarczuk czy literaturę dresiarzką Masłowskiej, lecz ani się zająkną o wybitnej prozie Waldemara Łysiaka”. A. Zięba: „*Łysiak raczył zezować w inną stronę niż lewica, więc musiał za to oberwać. Póki pisał pasjonujące książki o przeszłości — póty był nazywany pisarzem wybitnym. Ale odkąd zabrał się za czasy bliższe naszemu sercu i ciału, w dodatku zabrał się nie tym tramwajem co trzeba — znikł z pola widzenia krytyki*”. J. Dudkiewicz: „*Łysiaka czytają tysiące, a jego książki biją wszelkie rekordy nakładów, lecz nie reklamuje się go w popularnych czasopismach i nie nagradza. Samo przyznanie, że jego poglądy trafnie oddają rzeczywistość społeczną i polityczną, uchodzi za nietakt i budzi niesmak w pewnych kręgach. Ponieważ Łysiak upiera się przy tradycyjnych wartościach moralnych i cywilizacyjnych, wyraźnie rozdzielając dobro od zła — cichcem urabia się mu opinię «oszołoma», zaś oficjalnie przemilcza jego nazwisko*”. B. Zaremba: „*Wokół osoby Łysiaka panuje zmowa milczenia, głównie w mediach lewicowo-liberalnych. Czy przyczyn tego stanu rzeczy należy szukać w jego jednoznacznej postawie politycznej? (...) Można odnieść wrażenie, że Łysiakowi wcale nie zależy na poprawnych stosunkach z otoczeniem*”. Itp. — mógłbym takie frazy cytować długo.

Kuriozalną areną salonowej strategii przemilczania wrogów są naukowe i popularnonaukowe kompendia, dotyczące rodzimej literatury współczesnej. W jednych W. Łysiak robi za primadonę, w drugich jest chłodno (rzeczowo) lecz obszernie uwzględniany, a w trzecich jest... zupełnie nieobecny. Zajrzyjmy do słownika autorstwa L. M. Bartelskiego „**Polscy pisarze współcześni 1939-1991**” (1995). Kogo tu mamy? J. Łysakowski, P. Łysek, M. Łyskanowski, i jeszcze ponad półtora tysiąca polskich pisarzy współczesnych, często autorów jednej książeczki o przyjaźni polsko-radzieckiej lub o wielkości Kraju Rad. A Łysiaka ni śladu; według Bartelskiego polski pisarz współczesny o takim nazwisku nie istnieje. Lub weźmy wolumin R. Matuszewskiego (zasłużony komuch, jeszcze z naboru PPR) „**Literatura polska 1939-1991**” — 520 stron dużego formatu, tysiące nazwisk pisarzy, o Łysiaku nawet jednej sylaby, nul, zero. Albo „**Słownik literatury polskiej XX wieku**” (1992), autorstwa pań Brodzkiej, Puchalskiej, Semczuk, Sobolewskiej i Szary-Matywieckiej — 1500 stron dużego formatu, znowu tysiące ludzi pióra, są wszyscy debiutanci, twórcy jednego rymu lub dwóch artykułów prasowych, jest kilku panów o nazwisku Łysek — tylko Łysiaka nie ma. Nie było i nie ma takiego pisarza w kraju nad Wisłą! Rumienić się ze wstydu musi prof. J. Kołodziejska, która ogłosiła (1997), że pisarzami najwyżej cenionymi przez Polaków są Dostojewski, Vonnegut, Marquez, Tołstoj, Szekspir, Wharton i Łysiak.

Cenzuralnie wysługują się „*Salonowi*” również układacze prasowych „*list bestsellerów*”. Te listy są notorycznie fałszowane prosalonowo, a fałszerzy wielokrotnie przyłapywano już na „*przekrętach*”. Powodzenie moich książek (200 tysięcy sprzedanych w ciągu roku egzemplarzy „**Konkwisty**”, 175 tysięcy egzemplarzy „**Dobrego**”, itd.) uniemożliwia całkowite rugowanie ich z list bestsellerów, ale można nie dopuszczać Łysiaka na pierwsze miejsca tych list. Już w roku 1992 skrytykował to publicznie znany edytor i księgoznawca, P. Szwajcer, piętnując machlojki rankingowe, którymi umniejszano sukces rynkowy mojego „**Najlepszego**”: „*Na cytowanej liście nie znalazła się doskonale się sprzedająca ostatnia książka Łysiaka, «Najlepszy» (nakład większy niż co najmniej trzy tytuły z pierwszej dziesiątki literatury polskiej!)*”. Rytualne dyskryminowanie Łysiaka przez rankingowców „**Gazety Wyborczej**” oraz przez innych układaczy książkowych list bestsellerów zgromił wtedy również R. A. Ziemkiewicz, obszernym, dwukolumnowym tekstem analitycznym (1993), lecz takich niezależnych (nieskorumpowanych przez „*warszawkę*” i „*krakówkę*”) piór jest tyle, ile niezapominajek na syberyjskich stepach. Sam również poświęciłem rankingowemu procederowi cały artykuł, w roku 2000, gdy ubódł mnie fakt, że moją książkę „**Stulecie kłamców**” (wtedy 60 tysięcy egzemplarzy; do dzisiaj 185 tysięcy) zepchnięto na drugie miejsce, za książkę

S. Lema (20 tysięcy), bo moja była bardzo antysalonowa, a tamta była „*politycznie poprawna*”. Hurtownicy książkowi, czytając takie rankingi, ryczą ze śmiechu (sic!).

Trochę mniej do śmiechu jest tym, których się wywała z roboty za antysalonowość. Dymisje tudzież żonglerka nagrodami stanowią wyższy, stricte urzędowy szczebel represji w wykonaniu „*Salonu*”.

4. „ — *Panu już dziękujemy!*”

„ — *Panu (pani) już dziękujemy!*” to kulturalna wersja rosyjskiego „ — *Paszol won!*” i anglosaskiego „ — *You're fired!*”. Iluż ludzi doświadczyło w III RP takiej decyzji tylko za niepokorność wobec różowo-czerwonego „*Salonu*” lub za przeciwsalonowy bunt! Rzesza. Mogliby coś o tym powiedzieć choćby pracownicy mediów, a już zwłaszcza dziennikarze telewizyjni. W TVP masowe „*czystki*” niepokornych (bądź ludzi jawnie nie-salonowych) były przez ostatnie piętnaście lat czkawką. To wytwarzało i wytwarza permanentny klimat terroru, atmosferę strachu, która gnie karki i każe dusić wewnątrz sumień obrzydzenie do michnikowszczyzny, tak jak pół wieku temu mnóstwo ludzi mimikrowało swój wstręt do „*bermanowszczyzny*”. Łódź ściska usta, zamarzają długopisy, tężeją kamery, byle nie palnąć czegoś, co się nie spodoba opiniotwórczym hegemonom kulturalnej i medialnej sfery demokratycznego cyrku. Wiadomo, że „*Salon*” potrafił nawet całkowicie zlikwidować (prostym odcięciem od reklam) takie antysalonowe firmy, jak krakowski dziennik „*Czas*”, warszawski tygodnik „**Spotkania**” czy telewizję RTL-7.

Rzadko dymisje są gromkie — to się załatwia cicho i wszystko pokrywa milczenie publiczne, gdyż trudno wejść z protestem na łamy prasy, która robi w portki ze strachu przed sforą Michnika. Dużych huczków pamiętam ledwie trzy lub cztery. Głośne było usunięcie z telewizji W. Cejrowskiego, który manierą kowbojską wykpiwał „*political correctness*”. Huczek „*niszowy*” (na łamach prawicowych mediów) spowodowało relegowanie dziennikarki łódzkiej, E. Więclawskiej, bo zuchwale zrobiła program o korupcji w TVP. Za zbytnią antysalonową zuchwałość można błyskawicznie dać łeb nawet wtedy, gdy się jest szefem rządu. „*Przećwiczył*” to premier J. Olszewski — zrobił (rękami A. Macierewicza) listę agentów-renegatów wśród dużych figur, i nie minęło kilka nocnych godzin, a usłyszał: „ — *Panu już dziękujemy!*”.

Ja usłyszałem to samo w tym samym miesiącu (czerwiec) tego samego, 1992 roku. I równie szybko po anty salonowym przestępstwie. Tylko wydałem „**Najlepszego**” (gdzie źle się mówi o wredności „*Salonu*” tudzież o Michniku), a natychmiast, równocześnie z wściekłym atakiem salonowych mediów (rozpoczętym przez „**Wprost**”, gdzie szefem jest M. Król, były

sekretarz KC PZPR, TW „Rycerz”), zostałem wyrzucony na bruk „wskutek przyczyn ekonomicznych” (sic! — jako szef katedry Historii Kultury i Cywilizacji Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej zarabiałem normalne akademickie grosze). Studenci dostali szału — grozili, że ogłoszą strajk. Również kilka prawicowych partii i stowarzyszeń opublikowało protesty przeciwko relegowaniu Łysiaka. Wszystkie one wskazywały ewidentny motyw polityczny, mściwowski tout court. Cytuję fragment protestu Stowarzyszenia Patriotycznego „Viritim”: „*To zwolnienie — zwolnienie mimo sprzeciwu studentów — jest przejawem stosowanej za rządów H. Suchockiej czystki wobec osób inaczej myślących (...) Widzimy w tym zastępowanie dawnego modelu «siły przewodniej», PZPR, przez Unię Demokratyczną*”.

Także prasa („niszowa” i katolicka) podniosła raban przeciwko zwolnieniu. Cytuję fragment tekstu Z. Lipińskiego („**Dziennik Katolicki SŁOWO**”): „*«Operację Łysiak» przeprowadzono finezyjnie. Studenci protestowali, ale «różowi» okazali się sprytniejsi (...) Protestujących studentów uspokojono, że za kilka miesięcy Łysiak znowu przystąpi do wykładów, bowiem nowy system nauczania i zatrudniania polega m.in. na zablokowaniu wykładów z jednego przedmiotu w krótkim czasie. System zafunkcjonował, ale bez Łysiaka (...) Wiele środowisk podejrzewa, iż nie tylko prezentowane podczas wykładów poglądy oraz wykrywanie afer dziejących się na wydziale (związanych z zaliczeniami, egzaminami itp.) przyczyniło się do jego usunięcia. Ich zdaniem zadecydowały dwie książki Łysiaka — «Lepszy» i zwłaszcza «Najlepszy» — w których autor nie zostawił suchej nitki na lewicy solidarnościowej, a szczególnie na jej guru, Adamie Michniku (...) Uruchomiono mechanizm vendetty, twierdzą ci, którzy podejrzewają polityczne motywy zwolnienia Łysiaka*”.

Motyw „**Najlepszego**” wskazał również R. A. Ziemkiewicz, dużym tekstem pt. „**Niebezpiecznie, panie Łysiak!**” (tygodnik „**Spotkania**”, 1993); „*Żadna w Polsce książka nie spotkała się w minionym roku z tak zmasowanym atakiem jak «Najlepszy» Waldemara Łysiaka. Żadnej nie potraktowano równie pretekstowo, pod pozorem oceny dzieła rozprawiając się z jej autorem (...) Fala ataków prasowych i Łysiak, po dwudziestu latach pracy na Wydziale Architektury PW, znalazł się na bruku. Wymówienie nastąpiło «z przyczyn ekonomicznych» i zapewne tylko zbiegowi okoliczności należy przypisać fakt, że niemal jednocześnie z usunięciem Łysiaka rektor Politechniki wydał także polecenie niewpuszczenia zwolenników Jana Olszewskiego do auli Politechniki, mimo że za jej wynajęcie wniesiono już wcześniej uzgodnioną opłatę*”. Tekst ów narobił równie dużo szumu co sama dymisja, i sprawił, że nawet czerwona „**Polityka**” uznała, iż warto poinformować swoich czytel-

ników o karze dla wroga „Salonu” i komuny: „Waldemar Łysiak, autor wielu bestsellerów, po 20 latach pracy na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej (gdzie był kierownikiem katedry Historii Kultury i Cywilizacji) został usunięty z pracy. Wymówienie uzasadniono przyczynami ekonomicznymi — informują «Spotkania». Tygodnik sugeruje, że wyrzucenie Łysiaka z pracy ma związek z jego ostatnią książką pt. «Najlepszy», w której autor — zdaniem krytyków — szkaluje bohaterów dawnej opozycji demokratycznej”.

Tak więc „bohater” A. Michnik, pewnie nawet nie brudząc sobie rąk (samoistnie zadziałała moc różowego dyktatu?...), wykopał mnie na zbitą twarz. Ale jako człowiek przeniknięty duchem zoologicznej tolerancji, dawno mu już wybaczyłem, i nawet mam tego dowód. Gdy ostatnio (2004) miesięcznik „**Opcja na prawo**” robił sondę wśród znanych osób, zadając m. in. pytanie: „Gdyby mógł pan kupić liczne billboardy, co by na nich było?”, pisemnie odpowiedziałem (vide numer lutowy): „**Hasło: «Redaktor Michnik na prezydenta! Posłanka Beger na pierwsza damę!**»„. Rzecz jasna — mielibyśmy wówczas dwóch prezydentów (co wzmocniłoby polską mocarstwowość), bo moi fani noszą koszulki z dwubarwnym (biało-czerwonym) nadrukiem: „**Waldemar Łysiak na prezydenta!**” (ostatnio jeden dopadł mnie w bydgoskiej Bibliotece Głównej i wyblagał wspólną fotkę — vide reprodukcja). Tylko że sobie to ja na pierwszą damę wybrałbym kogoś innego, bez „owsa” i „kurwików”. „Pionowe korytarze” też mi nie pasują — wolę układy poziome.

Od kpin wróćmy do dymisyjnego wątku. Siebie nie zdołałem uchronić, lecz uchroniłem przed relegowaniem pewną damę ze stajni świętego guru „*lewicy laickiej*”. Był październik roku 2003 (zanotowałem, bo anegdota palce lizać). Telefon. Dzwoni młode dziewczę — ten typ („*ten typ tak ma*”), jaki znam świetnie, gdyż identyczne panienki dzwoniące z różnych instytucji, które reklamują (z banków, z towarzystw ubezpieczeniowych, z agencji badania opinii publicznej, et cetera — kto im daje mój telefon?!), zawsze (zawsze!) rozpoczynają od łamania polszczyzny:

„ — *Przepraszam, czy ja rozmawiam z panem Waldemarem Łysiak?*” (kiedy, do cholery, ktoś je nauczy, że polskie nazwiska odmienia się również?). Panienska przedstawia się jako dziennikarka gazety „**Metro**” („*Metro*” wydaje michnikowska „*Agora*”!). Pyta, czy zechcę udzielić wywiadu. Osłupiałem, więc odpowiadam pytaniem (ergo: manierą, której nie lubię):

- Czy pani wie, na co się pani naraża? To ją wyraźnie skonfundowało:
- Ja?... A na co się narażam?...
- Czy pan Michnik wie, że pani chce zrobić ze mną wywiad?
- Nie... A dlaczego?

Tłumaczę tedy dziewczęciu, które najwyraźniej „urwało się z choinki”, że jeśli da taki wywiad do druku — straci pracę w dwadzieścia cztery godziny, lub prędzej, w dwadzieścia cztery minuty, bo jej pryncypał i ja miłujemy się niczym pies i kot. Chwila ciszy, westchnienie, panienka dziękuje mi za uratowanie etatu, i odkładamy słuchawki. Czyż nie powinienem zostać nagrodzony za ten dobry uczynek?

Ponieważ, wedle starej maksymy (którą bardzo szanuję, bo wielokrotnie w życiu doświadczyłem tego efektu): „*Za każdy dobry uczynek spotka cię zasłużona kara*” — nagrody (za książki) mnie omijają. Chciałbym rzec: dzięki Bogu! (mam awersję wobec nagród), lecz nie mogę, gdyż to dzięki „*niewidzialnej ręce rynku*”, przepraszam: dzięki różowej ręce „*Salonu*”. By nie zanudzać Czytelników przykładami, weźmy jeden tylko (choć dubeltowy) — moje „**Stulecie kłamców**”. „*Salon*” chciał rzecz karnie (i rytualnie) przemilczeć, ale pospieszyła się „*Nowa Res Publica*” (periodyk Smolara, Króla, Jastruna-juniora i podobnych salonowców), piórem pewnego mydłka opluwając książkę jako produkt — cytuję — „*anty liberała*”, „*anty komunisty*”, „*ciemnogrodzianina*”, „*wroga grubej kreski*” itp. Autor „*recenzji*” nie krył, że swym tekstem broni A. Michnika, A. Małachowskiego, T. Mazowieckiego oraz innych tuzów „*Salonu*”, i przepraszał (sic!) „*samych swoich*”, iż w ogóle pisze o Łysiaku. Zakończył „*w nadziei, że to już ostatni tekst, jaki ukazał się o twórczości Waldemara Łysiaka*” (sic!). Cisza medialna nie została wszelako zbyt zakłócona tym paszkwilem, ergo:

wszystko szło dobrze, „*comme il faut*”. Póki nie zagroziły „*Salonowi*” inicjatywy nagrodzenia „**Stulecia kłamców**”:

Pierwsza chciała tej książce przyznać swą roczną nagrodę Fundacja Polsko-Amerykańska. Szefowa Fundacji, pani M. Ginter, zadzwoniła do mnie i poinformowała, że „**Stulecie kłamców**” jest więcej niż faworytem — jest absolutnym „*pewniakiem*”. Nie doceniła siły „*Salonu*”. Jego nacisk na jury sprawił, że „*pewniak*” padł (czołową rolę dywersyjną wewnątrz jury odegrał tu J. Odrowąż-Pieniążek, nieusuwalny i za PRL-u, i za III RP dygnitarz, którego jako „*literata popieranego przez władze*” lansował dawniej nieświętej pamięci Wydział Kultury KC PZPR). Wobec tego kolejne „*prawicowe*” gremium chciało przyznać „**Stuleciu kłamców**” laur w swym pierwszym, inauguracyjnym rozdaniu Nagrody Literackiej im. J. Mackiewicza (prawicowa przeciwwaga dla salonowej, mającej za patrona „**Gazetę Wyborczą**”, Literackiej Nagrody „*Nike*”). Dwa tygodnie przed ogłoszeniem wyników zostałem poinformowany (zadzwoił sponsor nagrody), że zwyciężyłem. Historia się powtórzyła — „*Salon*” przycisnął i „*zwycięzca*” przegrał. Kilku znajdujących się w kilkunastoosobowym jury literatów (grających

prawicowców, lecz merdających ogonami przed „Salonem”) łatwo poddało się dyktatowi, a rozprowadzającym kontrfysiakowego sprzeciwu był K. Orłoś, który oświadczył (tak mi relacjonowano): „ — *Po moim trupie!*”. Ja ich rozumiem (zazdrość — rzecz ludzka), i „Salon” rozumiem (w „**Stuleciu kłamców**” „Salon” obrywa jako arcykłamca), i Orłosia też rozumiem. Prócz prosalonowych, miał również własne powody sprzeciwu:

A. D. 1994 K. Orłoś opublikował tekst pt. „**Antysemityzm**”, gdzie można przeczytać, że Polacy (exemplum W. Łysiak) są nieuleczalnymi antysemitami („*W Polsce jakby wciąż kielkował antysemityzm*”, itp.), bo złością się na rabina Weissa, który jest dobrym człowiekiem. Przypomnę: amerykański rabin Weiss urządzał wtedy dzikie burdy przeciwko stawianiu krzyży blisko obozów zagłady, lekceważąc fakt, że fabryki śmierci mordowały i Żydów, i chrześcijan. Żydzi nie uznają krzyża Chrystusowego, więcej: nienawidzą, zatem krzyże precz! Ponieważ Orłoś swoim artykułem proponował (w sposób szkalujący Polaków) zrozumienie dla żądań Weissa, wydrukowałem („**Tygodnik Solidarność**”) tekst krytyczny wobec „tolerancyjnej” argumentacji Orłosia. Cytuję fragment: „*Orłoś demonstruje brawurowy «odlot rozumu», gdy twierdzi, że «porozumienie z rabinem Weissem jest konieczne». Uzasadnia te «konieczne» swaty drogocennym argumentem ze skarbca humanizmu, tłumacząc polskim rasistom, że «kultura i cywilizacja oparte są na porozumieniu między ludźmi, wzajemnym zaufaniu i przyjaźni». Czarnosecińców, których nie nęci przyjaźń do rabina Weissa, tudzież zaufanie doń i porozumienie, Orłoś upomina pryncypialnie, znowu tłumacząc jak głupiemu, iż przeciwieństwem wymienionych cnót są «związane z nacjonalizmem agresja i wrogość». Wszyscy winniśmy dać braterskiej buzi bezczelnemu bojówkarzowi, którego furię wywołują katolickie krzyże stawiane w miejscach gdzie mordowano Polaków. Krzyże won! — i wtedy rabin Weiss zastanowi się, czy wybaczyć krzyżofilom ich chrześcijański tupet”.*

Mój artykuł był długi. Puenta polemiki brzmiała tak: „*Tekst Orłosia karygodnie doprawdy (przycaczaniem incydentalnych ekscesów skinów, lumpów i prowokatorów) broni kłamliwej tezy o polskim wszechobecnym antysemityzmie, a mnie plasuje wewnątrz tej całkowicie marginalnej u nas dewiacji, i to metodą fałszowania cytatów oraz wyrwania ich z kontekstu tak, że słowa całkowicie zmieniają swoje znaczenie (...) Dawniej oszczerców pokroju Orłosia biło się zwyczajnie kandelabrem w mordę i wyrzucało za drzwi bez dyskusji; gdzie te dobre czasy! Dziś człowiek musi się tłumaczyć, że nie jest wielbłądem (...) Panie Orłoś! Przerobienie Łysiaka na antysemitę (bądź jakiegokolwiek rasistę — zbyt lubię Mulatki i Kreolki) jest rzeczą absolutnie niemożliwą, to się nie uda nikomu. Dlatego panu się nie udało, mimo że bardzo*

się pan starał. Identycznie myślę o wmawianiu przez pana rodakom ciąży antysemityzmu. Pańskimi elukubracjami, które uważam za więcej niż naganne — za rzecz odrażającą — przerobił mnie pan nie na antysemitę, tylko na antyortosia. Gdy tacy ludzie, jak pan, próbują mnie kompromitować fałszywką, czuję niesmak, ale nie czuję bólu. Ból czułbym, gdyby tacy ludzie chwalili mnie, albowiem — wedle celnego japońskiego przysłowia — «Nie ma gorszego wstydu, niż kiedy głupcy nas chwalą». Czymś żenującym jest także pańskie filosemickie lizusostwo, którym brzydzą się równie mocno co antysemityzmem, gdyż czuć tam ten sam zapaszek rasizmu”.

Trudno się dziwić, że literacką nagrodę można mi przyznać wyłącznie „po jego trupie” (jak i „po trupie” Michnika), gdy w jury zasiada pan Orłoś.

„Salon” zresztą mierzy dużo wyżej — lubi rozgrywać samego Nobla. Nie chodzi nawet o blokowanie zgłaszania kandydatur do literackiej Nagrody Nobla (co mnie spotkało dwukrotnie), lecz o „ustawianie gonitwy”. Międzynarodowy „Salon” sprawił, że od końca lat 80-ych XX wieku nagrodę tę dostają wyłącznie lewicowcy (m.in. stalinowcy i ekstremalni goszyści, jak Włoch D. Fo). Polski „Salon” załatwił Nobla dla W. Szymborskiej tylko w tym celu, by nie dostał owych laurów genialny poeta, zawzięty antysalonowiec-antymichnikowiec, Z. Herbert.

5. Laur Nobla daj mi luby!...

W. Szymborska jest dobrą poetką. Nawet bardzo dobrą (że Z. Herbert był poetą lepszym, nie jej wina — nie każdy zostaje przez Boga tknięty iskrą geniuszu). Ta kobieta ma wszakże wieczną skazę charakteru — lubi służyć silniejszym. Dlatego typowo salonowe kłamstwo stanowi opinia A. Międzyrzeckiego, iż Szymborska jest „wzorem moralnym”, bo „jej zachowanie było zawsze bez zarzutu”. Odwrotnie — Szymborska jest antywzorem etycznym, a jej zachowanie było zawsze pełne nikczemnego serwilizmu wobec ludzi terroryzujących kraj. W erze stalinowskiej chwaliła swym piórem wszystko, co Stalin kazał apologetyzować, i piętnowała wszystko, co było antybolszewickie i patriotyczne. Lenina wprost deifikowała, zwąc go „Adamem nowego człowieczeństwa”; Stalina hagiografowała, twierdząc, że „nic nie pójdzie z jego życia w zapomnienie”; partię mordującą akowców opiewała jako „to najpiękniejsze co może się zdarzyć”; religię katolicką opluwała jako „cichą truciznę” i „nieczystą wodę „; rewolucję bolszewicką sławiła jako „wodę źródlaną, z miłością podaną pragnącemu”, etc., etc., etc. Notabene — te prostalinowskie wierszydła Szymborskiej są (gdy się patrzy na ich stronę formalną) ekspozycją dobrej poezji, ujawniającą duży talent, zupełnie tak samo jak bolszewickie rymy W. Broniewskiego. Marni

ludzie często tworzyli arcydzieła; sztuka nie musi brać ślubu z przyzwoitością, żeby wykuwać jakość klasy olimpijskiej.

Skandynawskie gremium, które daje literackie Noble, lubi polityczne przełomy. Gdy w 1980 roku triumfalnie zaistniała „Solidarność” — jasne było, że nagrodzony zostanie Polak, i tak się stało, od ręki uhonorowano Cz. Miłosza (twórcę miłego międzynarodowemu „*Salonowi*” choćby dlatego, że był filokomunistą, że był kosmopolitą, że się nauczył hebrajskiego języka, i że — jak pisze „**The Jewish Journal**” — „*Od wczesnych lat swego życia był ściśle związany z Żydami i sprawami Żydów*”), Kiedy dekadę później Polacy skasowali PRL — mówiono, że znowu literacki Nobel przypadnie Polakowi. Za „*pewniaka*” uchodził Z. Herbert. Tymczasem w 1989 uhonorowano Hiszpana C. J. Celę. Wywołało to zdziwienie, ale tłumaczono werdykt faktem, że noblowskie jury kocha lewicowców, a ów Cela to salonowy lewak pełną gębą. Zobaczycie — w przyszłym roku Polak murowany! W roku 1990 Nobla dostał Meksykanin O. Paz; w 1991 bardzo „*poprawna politycznie*” królowa „*antyrasizmu*”, Afrykanka N. Gordimer; w 1992 taki sam „*etniczny pc-boy*”, D. Walcott z Karaibów; w 1993 amerykańska feministka T. Morrison, itd., itp., słowem drugorzędne miernoty (prócz Paza), których dziś nie pamięta nikt, nawet wśród literaturoznawców. Wtedy już coraz głośniej szeptano o dziwnej dywersji. Sztokholm tłumaczył się za kulisami (1991), że owszem, chce dać Polakowi nagrodę, lecz sami Polacy to utrudniają — z Polski płyną fluidy szlabanujące Herberta. Wówczas Szymborska zwietrzyła swą szansę i zagrała numer będący klasyczną recydywą.

Początek czerwca 1992 roku. Chwilowy (niespełna półroczny) rząd premiera J. Olszewskiego ujawnia listę agentów (samych VIP-ów) i zostaje za to zlikwidowany przez tychże gagatków w trybie pożarowym. „**Gazeta Wyborcza**” drukuje na pierwszej stronie antyteczkowy wrzask „*Salonu*”. Obok tytułu „**Prezydent: teczki są sfabrykowane**” Michnik pisze: „*Wisława Szymborska, Wielka Dama polskiej literatury, przysłała nam swój nowy wiersz. Niechaj jego przesłanie będzie i naszym głosem w sporze z nikczemnością i nienawiścią*”. Obok tekstu Michnika duży (52 wersy), wymierzony w Olszewskiego i w jego ekipę, wiersz Szymborskiej pt. „**Nienawiść**”. Że niby „*olszewiki*” zrobiły to, co zrobiły, bo przepelnia ich karygodna antylewicowa nienawiść. Słowo bardzo lubiane przez Szymborska. Za komunizmu pisała chętnie jak to nienawidzą Polaków (nawet niemowląt) „*imperialiści*” (Amerykanie itp.); exemplum:

„*Nienawidzą naszego węgla.*

Nienawidzą naszych cegieł i przędzy.

Nienawidzą tego, co już jest.

Nienawidzą wszystkiego, co będzie.

Naszych okien i kwiatów w oknach.

Naszych lasów i ciszy leśnej.

Nawet wiosny, bo to nasza wiosna.

Nawet szkoły z wesołymi dziećmi.

Rozpruli atom jak pancerną kasę,

lecz nic prócz strachu nie znaleźli w kasie.

O, gdyby mogli, gdyby mogli tym strachem

uderzyć w domy i fabryki nasze „.

Minęło trochę lat i „*Wielka Dama polskiej literatury* „, znowu wlepia nienawiść antyczerwonym ludobójcom, tym razem na użytek безпеki, sfory TW i „*Salonu*”. Cytuję fragment:

„Religia nie religia —

byle przykleknąć na starcie.

Ojczyzna nie ojczyzna —

byle się zerwać do biegu.

Niezła i sprawiedliwość na początek.

Potem już pędzi sama.

Nienawiść. Nienawiść.

Twarz jej wykrzywia grymas

ekstazy miłosnej”.

Robiąc szkolną tak zwaną „*analizę wiersza*”, zwróciłbym w tym fragmencie uwagę żaków na arcysmaczne wykpiwanie sprawiedliwości (wersy piąty i szósty), lecz wróćmy do Nobla. Zasłużyła się. Jeszcze przez cztery lata można się było łudzić, że Herbert weźmie laur. Ciekawiło mnie jaką mowę (obowiązkową) wygłosi przy wręczaniu mu Nagrody. Roilo mi się, że jako pierwszy laureat Nobla palnie mowę antysalonową, chłuszczącą dostojne grono uczestników ceremonii. Później taką mowę zamieściłem w onirycznym fragmencie powieści „**Kielich**”, gdzie poeta, laureat Nobla, smaga szamerowaną sztokholmską salę. Oto ów fragment „**Kielicha**”:

„Bohorowi wręczono literackiego Nobla! Potem wygłosił rytualną mowę:

— Drogie panie, panowie, tudzież obojnaki! Daliście mi tę nagrodę nie z chęci, lecz z konieczności — z musu! Od wielu lat przyznając literackiego Nobla samym lewacom, komunistom, «postępowym» nihilistom i goszystowskim pajacom — doczekaliście się krytyki tak szyderczej, tak już was uwierającej, że postanowiliście zrobić wyjątek, ergo: zaprzeczyć, iż lewactwo to główne kryterium waszych werdyktów. Miło, że pamiętacie jeszcze kulturę

klasyczną, czego dowodem pamięć o łacińskim «si fecisti, nega!» —jeśli zrobiłeś, zaprzecz! Zaprzeczyliście laurem dla «wstecznika», dla «anty postępowca», dla «zoologicznego konserwatysty». To dobry wybór. Dzięki temu werdyktowi piekło otrzyma dzisiaj publiczną chłostę, a widownią będą miliardy ludzi, bo towarzyszy nam telewizja.

Upił kilka łyków lemoniady ze szklanki stojącej na mównicy, i kontynuował tym samym imperialnym tonem:

— Panie i panowie jurorzy — wam przysoliłem już; teraz czas waszych gości. Elitarna zebrana tu publiko! Delegaturo globalnej opiniotwórczej masonerii musztrującej świat!... Tak, do was się zwracam, szanowni instruktorzy opinii publicznej!

Po sali przeszedł wrogi mu szmer, lecz nie wytrącił Bohora z konceptu:

— Kim wy jesteście ? Przyznaliście sobie prawa bogów, gdy tymczasem jesteście delegatami Lucyfera i mordujecie duszę człowieka, hamujecie jego lot ku celom wyższym! Wskutek złej woli, lecz częściej wskutek głupoty, plagiatowości intelektualnej tych, którzy małpują Mefistofelesów «w dobrej wierze», chcąc «wyzwalać ludzi» — unicestwiacie «Logos»! Robicie to nachalnie, bezlitośnie i wszechstronnie. Wtedy, gdy czyściec braku swobody zastępujecie piekłem braku jej ograniczania. Wtedy, gdy kulturę tłumicie kontrkulturą, a moralność — globalnym stręczycielstwem. Wtedy, gdy Dekalog odsyłacie do lamusa, a Boga do bajkopisarstwa dla prostaczków. Wtedy, gdy jako wzorce powszechne lansujecie zasady przynależne wcześniej ludziom marginesu, analfabetom i dewiantom. Wtedy, gdy telewizję czynicie bronią masowego rażenia. Transcendencję wymieniliście na dialektykę. Tęsknotę za niedościgłym — na pogoń za trywialnym byle zyskownym. Branie wzoru z Chrystusa i Bayarda — na małpowanie komedianta ekranowego. Wertykalizm sprowadziliście do horyzontalizmu — Gotyka do asfaltu, a wodospad Szekspira do poziomej kałuży sitcomów. Desakralizujecie świat, czyniąc go płaskim korytem pomyj reklamowanych jako wyzwolenie. Wyzwalacie istotę ludzką z godności, prawości, rozsądku i honoru! Daliście człowiekowi zatrute jabłko węża! Jesteście dziwką grającą boginię! Szerzycie kłamstwo i brud! Szczury ze średniowiecznych statków przynosiły dżumę mniej zabójczą od gangreny, którą stanowi wasze dzieło zniszczenia!...”.

Z. Herbert nie mógłby wygłosić takiej mowy, nawet gdyby chciał, gdyż Nobla wręczono nie jemu, tylko W. Szymborskiej (1996). Nobel zaś nie mógł być przyznany Z. Herbertowi, gdyż nie można tak nagradzać człowieka, który publicznie demaskuje Michnika jako łotra i cały różowy „Salon” jako pandemię. Plotkowano wewnątrzśrodowiskowo, że ambasadorem-pełnomocnikiem zagranicznym „Salonu” był w tej grze wcześniejszy noblista,

wpływowy u międzynarodowych kół Cz. Miłosz, który — sam syty już lauru — nie miał nic przeciwko Szymborskiej, i nie mierzyła go wcale jej stalinowska przeszłość („Miłosz ci wszystko wybaczy...”), bo i on też wówczas „*uprawiał prostytutkę*” (jego własne słowa). Miał za to dużo przeciwko Z. Herbertowi, z dwóch powodów: bo twórczość Herberta jest lepsza niż twórczość Miłosza, oraz dlatego, że Herbert toczył z nim (jako z salonowcem i niepoprawnym lewakiem) wojnę śmiertelną. Również rymami. Charakterystycznym przykładem są ich wiersze o moczu. Miłosz w wierszu „**Toast**” gdał następująco:

*„Nie cierpię ludzi,
którym uderza do głowy
ten moczopędny środek narodowy,
czyli nadmierny patriotyzm”.*

Rozwścieczony taką ostentacyjnie antypatriotyczną apologią kosmopolityzmu, tudzież „*moczopędną*” metaforą — Herbert (jak ustaliła J. Salamon) ripostował cudownym, przejmującym wierszem „**Wilki**”, który jest hołdem dla wszystkich antykomunistycznych „*wyklętych żołnierzy*”, owych „*zaplutych karłów reakcji*”, członków „*band leśnych*” Armii Krajowej, co jeszcze za PRL-u zwalczali sowieckie jarzmo. Użył tam „*moczowego*” akordu, gwoli obsikania Miłosza:

WILKI

*„Ponieważ żyli prawem wilka,
historia o nich głucho milczy.
Pozostał po nich w kopnym śniegu
Żółtawy mocz i ten ślad wilczy.*

*Nie oplakała ich Elektra,
nie pogrzebała Antygona,
i będą tak przez całą wieczność
w głębokim śniegu wiecznie konać.*

*Przegrali dom swój w białym borze,
kędy zawiewa sypki śnieg.
Nie nam żałować, gryzipiórkom,
i gładzić ich zmierzwioną sierść.*

*Ponieważ żyli prawem wilka,
historia o nich głucho milczy.
Został na zawsze w dobrym śniegu*

żółtawy mocz i ten trop wilczy”.

Oni przegrali, i on przegrał. Oni ze złem, i on ze złem. Lecz oni stracili życie, gdy on, Boży „gryziórek”, tylko hiperlaur. Prawicowe polskie media sugerowały bez patyczkowania się, że ów antyherbertowski Nobel 96 to medal dla poetyckiej formalnej zręczności, którą wyniesiono nad poetycki geniusz dzięki wpływom „Salonu” rodzimego. J. Biernacki: *„Literacka Nagroda Nobla dla Wisławy Szymborskiej jest wyraźnie wymierzona przeciwko Zbigniewowi Herbertowi i powoduje, że ten bezwzględnie największy polski poeta współczesny nigdy zapewne noblistą nie zostanie”*. Różowi salonowcy wyśmiali takie gadki.

Sam Herbert prorokował sobie wcześniej w „Przesłaniu pana Cogito”:

*„A nagrodzą cię za to tym co mają pod ręką
chłostą śmiechu zabójstwem na śmietniku”.*

Zabili. „ — Panu już dziękujemy!”.

6. Literacki geniusz, „Mirek”

Wspomniałem przed chwilą, iż nawet literaturoznawcy nie pamiętają już wszystkich tych salonowych lewaków, których taśmowo, rok w rok, „politycznie poprawny” Sztokholm nagradza Noblem od wielu lat. A czy państwo pamiętają jeszcze „wielkiego pisarza”, mistrza Szczypiorskiego? Pewnie tak, gdyż lata 90-e dopiero minęły. Lecz jeśli ktoś nie pamięta, lub jeśli nie będą pamiętały nasze dzieci i wnuki, to będzie dziwne, bo przecież A. Szczypiorski to najwybitniejszy rodzimy prozaik współczesny! Wpajał nam ten werdykt michnikowski „Salon” po 1989 roku, i nie wiadomo czemu zaprzestał wpajać dzisiaj — może uznał, że werdykt jest wpojony wystarczająco solidnie, by trzeba go było dalej głosić.

Szczypiorski to najbardziej symptomatyczno-syndromatyczny przykład forowania „samych swoich” przez różowy „Salon”. Poświęcam temu grafomanowi (klinicznemu grafomanowi) cały 6 rozdział VI części książki, bo w życiorysie i w twórczości Szczypiorskiego skupiają się wszechstronnie i wprost drastycznie wszystkie charakterystyczne cechy polskiego intelektualisty-twórcy na usługach komunizmu tudzież „Salonu”, oraz wszystkie aspekty promocyjnych manipulacji opiniotwórczych „Salonu”. Dzisiaj (mimo terroru salonowego) mogę już pisać o tym. Za PRL-u nie mogłem, bo Szczypiorski był nietykalny. Kopnąć go mógł tylko emigrant, i M. Hemar uczynił to w oddaleniu swego Londynu:

*„ Wezmę z kąta jakiegoś
Pokątnego autorka,
Jakiegoś Szczypiorskiego,
Szczypiórka, czy Szczypiórka.*

*I dobrodusznie — bo choćbym
Złośliwie chciał, to nie mogę —
Zamiotę nim parę razy
Emigracyjną podłogę”.*

Szczypiorski rozpoczynał typowo, pracą „na czerwonym froncie ideologicznym”, vulgo: jako agitator wygłaszający regularne pogadanki radiowe i piszący artykuły o spełnieniu się ziemskiego raju dzięki dobroczynnej interwencji Kremla, sierpa i młota. Później (1990) ujmie tę swoją „prostytucję” tłumaczeniem łagodzącym alibizująco: „*Olbrzymia większość środowisk intelektualnych zblaźniła się, mówiąc najłagodniej, współpracą ze stalinizmem (...) Myśmy się wszyscy upaprali cokolwiek w tym śmietniku. Ja tutaj także bez winy nie jestem*”. Równocześnie „*upaprał się cokolwiek*” współpracą agenturalną, sformalizowaną ubecko-esbecko, a kontynuowaną przez prawie ćwierć wieku. Ponieważ jednak sam nigdy nie pisał słowa o tym, muszę posłużyć się słowami oficera UOP-u, M. Greckiego:

„S., znany i ceniony polski pisarz i publicysta, został pozyskany na tajnego współpracownika w latach pięćdziesiątych. Przyjął kryptonim «Mirek». Niemal cała jego bliższa i dalsza rodzina miała od dawna silne związki z U B. Wyjątkiem był tu jego ojciec. Ale już wszyscy bracia i siostry ojca pracowali dla bezpieczeństwa w randze kapitanów i majorów. Wszyscy należeli do Polskiej Partii Robotniczej i później do PZPR. Wśród najbliższej rodziny S. było około siedmiu takich osób (...) On sam w młodości był aktywistą ZMP, potem PZPR. W 1954 roku wszedł w kontakt z jednym z wydziałów Departamentu I Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Dwukrotnie wyjeżdżał do Anglii, pomagając bezpiece w sprowadzeniu do kraju własnego ojca. Jako współpracownik wywiadu wyjechał do Danii na placówkę dyplomatyczną. Został przeszkolony w zakresie służby wywiadowczej. Zobowiązanie i pisemnie postawione zadania podpisywał własnoręcznie nazwiskiem i pseudonimem. W Danii przebywał stosunkowo krótko. Został stamtąd wyrzucony za malwersacje. Udowodniono mu prowadzenie nielegalnych kombinacji o charakterze finansowym. W 1963 roku oficer wywiadu przeprowadził z nim dwie rozmowy operacyjne, w czasie których S. potwierdził swą wolę współpracy z SB. Jeszcze wielokrotnie, przy okazji wyjazdów zagranicznych, był «zadaniowany» przez wywiad. Podpisywał wyznaczane mu zadania i kolejne zobowiązania. Nigdy nie odnaleziono dokumentów, które świadczyłyby o zaprzestaniu współpracy. W latach sześćdziesiątych S. był aktywnym publicystą głoszącym ideały PZPR. Dopiero w latach siedemdziesiątych zaczął odgrywać rolę jednego ze sztandarowych opozycjonistów”.

„Opozycjonistą” (bezwzględnie przy użyciu cudzysłowu, albowiem mówimy o „opozycji koncesjonowanej” vel „licencjonowanej”; jako „opozycjonista” Szczypiorski regularnie wizytuje... szefa bezpieczeństwa, generała Kiszczaka!) — TW „Mirek” został widząc, iż różowy „Salon” (finansowany przez międzynarodowy „Salon”) zaczyna dawać lepszy żłób niż reżim (koniecznie muszę tu jeszcze raz przypomnieć słowa świętej pamięci L. Tyrmanda, iż tacy jak A. Szczypiorski przeszli na antyreżimowość „kiedy nieszkodliwym krzykiem i niezgadaniem się można już było w Polsce wybornie zarobkować, lepiej niż dotychczasowym służalstwem”). Mimo że cała ta „opozycja” to była swoista „*commedia dell'arte*” — SB postanowiła inwigilować „opozycjonistę” A. Szczypiorskiego („*sicher ist sicher*”). Skaptowała więc jego syna, który jako TW „Gaweł” donosił na tatusia, lecz nie ideowo, tylko: dla grosza, panie, dla grosza (M. Grocki: „*Zażądał wówczas tak wielkiej sumy za swe usługi, że w pierwszej chwili nawet SB miała trudności ze zgromadzeniem pieniędzy*”). Ot, siła tradycji rodzinnej — „Mirek” i „Gaweł” w jednym stali domku, i młodszy kontrolował starszego jak najbardziej intymnie, co stara dobra SB ceniła bardzo.

Po dogoworce okragłostołowej „*dano mu skrzydła*” (tatusiowi). J. R. Nowak: „*Wystawiany jako «wielki pisarz-moralista», Szczypiorski zyskał sobie niebywałą klakę w «czerwono-różowych» mediach po 1989 roku. Jakiś chwalcza posunął się nawet do nazwania «Początku» Szczypiorskiego nowym «Quo vadis» (!). Do rangi niebywałego autorytetu wywindowano jednego z dawnych peerelowskich «inżynierów dusz», przez wiele lat operującego najbardziej wyświechtanymi kłamstwami propagandowymi. Po czerwcu 1989 zdobył sobie jednak szczególne zasługi w oczach różnych postkomunistycznych dziennikarzy i polityków — za konsekwentne wybielanie PRL-u, za zaciętą obronę szanów «grubej kreski», za pełne nieukrywanej furii ataki na wszelkich prawicowych «oszołomów» i «frustratów» ,,*

Nie oszczędzał nikogo komu „Salon” niemiły. Różaniec modlitewny porównywał z harapem (sic!), a cały Kościół z terrorem („*Nigdzie na świecie nie ma takiego zagrożenia klerykalnego jak u nas*”). Terrorem więc nie mógł być antykościelny system PRL-u — był to, wedle Szczypiorskiego, „*system operetkowy*”, a czyż operetka może być opresyjna? Ćwierć wieku wcześniej ten sam człowiek głosił z emfazą: „*Polska Ludowa jest ukoronowaniem tysiąca lat narodowej historii*” (sic!). Dlatego już w PRL-u robił za dużą figurę. W III RP robił za giganta. Transakcja między literatami-renegatami a UD i całą michnikowszczyzną wypromowała ku szczytom kilkanaście nazwisk, lecz sam wierzchołek zajął TW „Mirek” jako literacki król. Co mocno degustowało niezależnych. R. A. Ziemkiewicz: „*Najbardziej udanej z*

takich transakcji dokonał oczywiście Putrament Unii Demokratycznej, Andrzej Szczypiorski (...) Gdy kolaboracja i małość stają się postawami godnymi pochwały, gdy autorytetem moralnym czyni się człowieka, który strawił życie na podlizywaniu się władzy — to, doprawdy, lepiej od razu zamknąć sklepik. W takiej sytuacji pozostaje jedynie nurzać się w gorzale i szukać u Urbana potwierdzenia, że przecież na świecie są same świnię, więc kto się świnię, nie robi nic złego”.

Wątpliwości pod adresem „*Szczypiora*” jako „*moralnego autorytetu*” mieli również Niemcy. Szczypiorski przypodchlebiał się ze wszystkich sił naszym zachodnim sąsiadom. Wygłaszał tam liczne odczyty, którymi opluwał Polskę i Polaków; exemplum:

„ — *Cechy charakterystyczne społeczeństwa polskiego to: alkoholizm, nieuczciwość, brak tolerancji względem inaczej myślących, nieposzanowanie pracy zarówno cudzej, jak i własnej. Wypadałoby zapytać, czy takiemu społeczeństwu przysługuje miano chrześcijańskiego*”. Równocześnie chwalił „*elitę*” (różową inteligencję) jako światłą i nieskorumpowaną, a PRL bagatelizował po swojemu jako „*system operetkowy*”. To pierwsze zdumiało warszawskiego korespondenta prasy niemieckiej, K. Bachmanna, który wyśmiał tezę o niekolaborującej inteligencji polskiej; to drugie zdenerwowało byłego enerdowskiego dysydenta, J. Reicha: „*Szczypiorski przedstawia nam polski operetkowy komunizm, ze skorumpowanymi i gotowymi do kapitulacji władzami i leniwą tajną policją. Jednak nie bardzo pasuje mi do tego obrazu zabójstwo ks. Jerzego Popiełuszki, internowanie tysięcy przeciwników systemu po wprowadzeniu «stanu wojennego», setki ofiar: zabitych i rannych, w Gdańsku, Radomiu, Nowej Hucie, czy wreszcie morderstwa zlecone przez sądy kapturowe, a popełnione na działaczach «Solidarności»,,*

Dlaczego akurat Niemcy byli tak zainteresowani wszystkim, co A. Szczypiorski pisze i gada? Dlatego, że o ile „*Salonowi*” michnikowskiemu nie udało się wypromować Szczypiorskiego na całym świecie jako geniusza współczesnej literatury (przeszkodziła temu rażąco licha jakość tej pisaniny), o tyle w Austrii i w Niemczech się udało. Dlaczego akurat w Austrii i w Niemczech? Z dwóch powodów. Pierwszy (lub drugi, kolejność jest tu bez znaczenia) to fakt, że o tym, kogo spośród cudzoziemskich autorów tłumaczyło się, wydawało i reklamowało w Austrii i w Niemczech decydował przez kilkadziesiąt lat tamtejszy „*papież krytyki*” vel „*papież literatury niemieckiej*”, legendarny M. Reich-Ranicki. Człowiek-instytucja. Świat XX wieku nie znał drugiego tytana, który niczym M-R-R — jednoosobowo — decydowałby o karierach literackich w całym obszarze jednego spośród czterech głównych języków globu. U schyłku XX stulecia wyszło na jaw, że od 1945 roku ten

polско-niemiecki Żyd był oficerem bezpieki komunistycznej (najpierw NKWD, później UB, wreszcie Stasi). To on wprowadził kolegę, TW „Mirka”, na niemieckojęzyczne (niemieckie i austriackie) salony literackie, to on wmówił Niemcom i Austriakom, że Szczypiorski jest wirtuozem współczesnej literatury, i to on uczynił tam pewną kiepską literacko książkę Szczypiorskiego (o niej za chwilę) arcydziełem prozatorskim XX wieku (funkcjonowało tu zresztą pikne „*sprzężenie zwrotne*”. Ranicki wskazywał nadwiślańską chwałę swego pupila, a im bardziej w Niemczech i w Austrii sławiono Szczypiorskiego, tym łatwiej było go lansować nad Wisłą polskiemu „Salonowi”, wskazującemu i cytującemu „*zagranicę*”).

Lecz był i drugi powód niemieckojęzycznego sukcesu grafomana. Niemcy uwielbiają czytać, że Polacy są wredni, kołtuńscy i antysemitcy. Bez takich treści nawet Ranickiemu promocja A. Szczypiorskiego nie udałaby się tam bez kłopotów. We wspomnianej książce „**Początek**” (Niemcy dali jej tytuł: „**Piękna pani Seidenmann**”) czytamy o Polsce: „*Święta Polska, cierpiąca i mężna. Polskość święta, zapita, skurwiona, sprzedajna, z gębą wypchaną frazesem, antysemitcka, antyniemiecka, antyrosyjska, anty ludzka. Pod obrazkiem Najświętszej Paniienki*”. Wokół tej kalumni (ze szczególnym uwzględnieniem polskiego antysemityzmu) została osnuta cała treść: Polacy wydają Żydówkę Niemcom, ale hitlerowski oficer i drugi Niemiec (również przyzwoity człowiek, jak to Niemcy) wypuszczają kobietę na wolność i ratują jej życie, tyle że cały ten ich wysiłek jest długodystansowo bezowocny, bo ćwierć wieku później (1968) Polacy i tak ją załatwią we właściwy im sposób. Wszystko. To nie my — to Polacy gnębili i mordowali Żydów! Czytelnicy za Odrą szaleli ze szczęścia. Superbestseller. Do dzisiaj Szczypiorski jest dla Niemców chlubą literatury XX-wiecznej. Oczyszczył Zygfydów, ujawnił swym genialnym piórem prawdziwych antysemitów !

Antysemitcy winni zależeć Szczypiorskiemu za skórę już w 1968 roku, gdy komunistyczny reżim, będący według Szczypiorskiego „*ukoronowaniem tysiąca lat narodowej historii*”, wszczął kampanię „*antysyjonistyczną*”. Lecz tak się nie stało — Żyd Szczypiorski jeszcze parę lat politrukował dla tego reżimu przez radio, bo jako TW „Mirek” był pod czułym protektoratem SB. Antysemitcki rok 1968 jakoś mu nie wadził. I już zawsze tak się będzie działo z jego awersją do rasizmu. Swoim niemieckim idolem uczynił pułkownika von Stauffenberga, nie bacząc, że ten głośny zamachowiec był równie zoologicznym antysemitą co Hitler — postulował wyżenięcie Żydów z prasy, teatru, muzyki, z całej kultury, a wreszcie i z całego obszaru Niemiec. Stauffenberg osobiście Żydów nie mordował, podobnie jak Hitler, który nie zamordował własnoręcznie ani jednego Żyda. Szczypiorski do końca życia

hagiografuje pułkownika, zwać go (takie było zapotrzebowanie Niemców) „człowiekiem honoru”, czyli identycznymi słowy jak Michnik generała, który też osobiście nie eksterminował żadnego Żyda, mimo że „aryzował” wojsko. Obaj — i Michnik, i Szczypiorski — mieli w tym swój interes. U Szczypiorskiego był to interes wydawniczy na niemieckojęzycznym rynku. „*Gescheft ist Gescheft*”.

J. Stoła opublikował w roku 1997 artykuł pt. „**Ci straszni Polacy, ta straszna Polska. Dlaczego Andrzej Szczypiorski jest promowany w Niemczech**”. Cytuję fragment: „*Salon, w których odbywają się spotkania autorskie Szczypiorskiego, czy też zwykle dyskusje, są zawsze wypełnione po brzegi. Przychodzą na nie nie tylko Niemcy, ale w dużym procencie Żydzi, aby nasłuchać się o polskim antysemityzmie*”. Były to o antysemityzmie wieści kluczowe i dla Żydów, i dla Niemców. Dla Żydów, ponieważ Herr Szczypiorski przytakiwał Żydom, że ich głównym wrogiem — motorem i mocodawcą antysemityzmu — jest Kościół katolicki. A dla Niemców — bo im tłumaczył, że do Holocaustu popchnęło ich chrześcijaństwo. Teza Szczypiorskiego (pierwszy raz wyłożona w 1990 roku) brzmiała tak: „*Kościół rzymski nie był bez ciężkiej winy. Jeśli istnieje w ogóle jakaś dialektyka historii, to w jej świetle można by zaryzykować pogląd, że naród niemiecki wziął na siebie wykonanie tej zbrodni, która się przewijała przez stulecia w brudnych, złych snach chrześcijańskiej Europy*”.

Patriotów polskich to bolało (prof. T. Strzembosz nazwał Szczypiorskiego „człowiekiem bez czoła”). Krytyków literackich niepodporządkowanych „*Salonowi*” śmieszył zaś diadem chwały ofiarowany grafomanowi przez „*Salon*”. Niezależni komentatorzy literatury pewnie by zresztą w ogóle nie ruszali pisaniny Szczypiorskiego, ale rozsierdziła ich ciągła salonowa wrzawa wokół jego rzekomej pisarskiej maestrii, prasowe raporty o jego niemieckich tudzież austriackich nagrodach, wreszcie bezczelność samego laureata owych splendorów, któremu tak uderzyła do łba woda sodowa, iż publicznie równał się z Witkacym, Gombrowiczem i Mrożkiem. Wtedy się posypało. R. A. Ziemkiewicz zgrzytnął: „*Pisarz Szczypiorski z ledwością szyje drętwe produkcyjniaki bez krzty oryginalności i talentu*”. L. Dymarski orzekł: „*Andrzej Szczypiorski dowiódł, że nie umie pisać, a literatura jest dla niego żywiołem całkowicie obcym*”. T. Łubieński i K. Mętrak uznali mistrza A. Szczypiorskiego za „*literata, który zrobił karierę szczególnie niewspółmierną do swego talentu*”. Itd., itp. —jakość pisarstwa Szczypiorskiego analogicznie ocenili R. Tekieli, T. Burek, K. Koehler; A. Nowak i J. Sławiński. Wcześniej krakowski konserwatywny dwumiesięcznik „**Arka**” przyznał Szczypiorskiemu laur „*Amnezji 45-lecia*”, oraz nagrodę „*Intelektualnego Knota Sezonu*”

salonowym hagiografom — „wszystkim (a imię ich legion) polskim apologetom literackiego mistrzostwa, intelektualnej wrażliwości i moralnej bezkompromisowości Andrzeja Szczypiorskiego”. Szczypiorski odrzekł na to, iż jego książek nienawidzi „polski Ciemnogród”.

Trzeba dyktatorskiego tupetu, żeby tak promować miernotę, i trzeba antyterrorystycznej śmiałości, by tak tę promocję zwalczać. Owemu tupetowi macherów i owej śmiałości ludzi suwerennych poświęcam dwa rozdziały kończące moją książkę.

7. Promocja, czyli „przemysł kreowania polskich Kunder”

Promowanie przez „Salon” tandety, zberezeństw, bluźnierstw i klinicznych głupot nie ma żadnej miary. Miarą jest „róbta co chceta”, i beztalentowi „twórcy”, rozmaici pseudoartyści, kochają tę dewizę tak samo, jak ją kochają wyemancypowane feministycznie „towary” (vel „laseczki”, „dupęńki”, „rury”) oraz „ćpuny”, „kibole”, „menele”, „blokery” czy wszelka żulia. „Hulaj dusza, piekła nie ma!”. Mimo że artykuł 196 Kodeksu Karnego rzece: „Kto obraza uczucia religijne innych osób, znieważając przedmiot czci religijnej lub miejsce przeznaczone do publicznego wykonywania obrzędów religijnych, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat dwóch” — wandale bezkarnie profanują świątynie, a „kontrkulturowi” grafomani estetyki spokojnie plugawią krzyż, wieszając na nim penisa jako Chrystusa (exemplum D. Nieznalska), lub pławiąc symbole religijne w słoikach pełnych moczu. „Salon” nazywa to „kulturą”. Ale to nie jest kultura. Dramaturg E. Bond: „Żyjemy w epoce postkultury. Wszyscy mówią co prawda o «postmodernizmie», lecz właściwym słowem jest postkultura”. Czyli: wtórne barbarzyństwo.

Historia udowodniła nam ciekawą rzecz: od ery Średniowiecza polityczne totalitaryzmy, których tak dużo przeżyły społeczeństwa szeroko rozumianego Zachodu, ani trochę nie zachwiały kulturą — jej ciągły rozwój nie ulegał załamaniu. Tymczasem dzisiaj, w erze rządzącej światem Zachodu demokracji, kultura ciężko choruje. Jak mówi J. Wocial (socjolog): „Jesteśmy świadkami procesu znikania ciągłości kultury, obserwujemy przerwanie tej ciągłości. Kultura zdaje się wygasać”. Słowem: coś pięknego i mocnego, coś, czego nie potrafiły zniszczyć żadne totalitaryzmy polityczne, pada pod ciosami totalitaryzmu duchowego vel „terroru intelektualnego” (pseudointelektualnego) szerzonego przez współczesny lewicowy „Salon”. Jest to terror pseudopostępu, pseudotolerancji, pseudonowoczesności, czyli „kontrkulturowa” propaganda lewaków i libertynów, którzy mianowali się skutecznie „arbitrami elegancji” współczesnego świata. Mają tytuły

„autorytetów” i klientelę dwojakiego rodzaju. Pierwszym jest charakterystyczny dla drugiej połowy XX wieku półinteligent (bezrefleksyjny niedouczek, który uważa się za inteligenta, bo czyta, ogląda i „dyskutuje” przy kawiarnianym stoliku lub przy imieninowym drinku w kręgu takich samych jak on, zlewicowanych mentalnie ludzi; wszystko, co „autorytet” wkłada mu do głowy — „inteligent” traktuje jako prawdę objawioną). Drugim

zaś rodzajem baraniej klienteli „Salonu” jest ciut niżej stojący tzw. „szary odbiorca”, który ulega syrenim śpiewom modotwórczej łoży farmazonów budujących w mediach drogowskazy smaku artystycznego, lansujących werdykty katechetyczne dla publiki, kształtujących nie autentyczny zbiorowy gust, lecz gust regulaminowy, „politycznie poprawny”, czyli kulturowe prawo.

Istnieje, oczywiście, jeszcze trzecia strefa, radykalnie niższa i najrozleglejsza — gigantyczna masa pełnych prymitywów, dla których jedyną wyrocznią jest telewizor. Nie chodzi tu nawet o to, że — jak pisał (1997) „Le Figaro” (tzw. „artykuł redakcyjny „) — „*Wśród czynników determinujących dzisiejsze życie intelektualne, pierwsze miejsce przypada straszliwej machinie telewizji, która likwiduje odstęp między myśleniem a propagandą*”. Chodzi o coś innego — o ten większościowy elektorat telewizora, który V. Zucconi dotyka frazą: „*Dzisiejsze czasy to czasy telewizji dla idiotów o zdolności koncentracji na miarę chomika*”. U znacznej bowiem większości mieszkańców globu „życie intelektualne” sprowadza się do codziennego absorbowania — prócz wodnistej papki publicystycznej (tu kran i ekran niewiele się różnią) — krwawych jatek, erotycznych macanek, sercowych bajek „dla kucharek” (vulgo: ckliwych tasiemców zwanych „operami mydlanymi”) i pseudokomediiowych „sitcomów” dla pełnych kretynów, gdzie bohaterami są również kliniczni debile, a producenci tego gówna wskazują telewizzom, w którym miejscu trzeba się śmiać. „Sitcomy” — z ich humorem na poziomie „wiców” piłkarskiego kibica, bywalca pijackich melin lub bazarowego handlarza „disco-polo”; z żarcikami niezbyt się różniącymi od dialogu koszarowego i od graffiti klozetowego — stanowią międzynarodowy symbol poziomu kultury u jej przeciętnego zjadacza na progu XXI wieku. Do tego dojechaliśmy po stu latach obowiązkowej szkoły.

Papierowe media mają swój odpowiednik „sitcomowej” telewizji — to tzw. „tabloidy” (dawniej mówiło się: brukowce). Raz zaproponowano mi publikację w „tabloidzie”, rok temu. Zadzwonił redaktor J. Borkowski z „tabloidu” „Fakt”. Już długo nie mam ochoty uprawiać publicystyki prasowej, a w „tabloidzie” bym się nie produkował nawet wtedy, gdy taką publicystykę uprawiałem, więc nie byłoby dialogu, lecz pan Borkowski zaproponował coś niezwykłego, temat wzruszający: artykuł o historycznych

malarskich wyobrażeniach Dzieciątka Jezus, do świątecznego (wigilijnego 2003) „Magazynu” brukowego dziennika „Fakt”. Dla Dzieciątka Jezus zrobiłbym wszystko, więc się zgodziłem. Mój rozmówca prosił tylko (i to kilkakrotnie, z dużym naciskiem), by tekst był pisany bardzo prostym, szalenie prostym językiem, z unikaniem jakichkolwiek wyrazów obcych czy scjencyznych, a treść żeby była przedstawiona w uproszczeniu nieomal dziecięcym, gdyż czytelnicy „Faktu” innych form prezentacji nie akceptują. Napisałem ów tekst tak jak chciał, łopatologicznie i anegdotycznie, upraszczając treść do wykładu nieomal prymitywnego, który — myślę — spowodowałby złość niejednego historyka sztuki. Kilka dni później red. Borkowski poinformował mnie, że tekst się nie ukaże, gdyż szefowie „Faktu” orzekli, iż „*jest to tekst zbyt inteligentny*” (sic! — cytuję ów werdykt dosłownie; nie: zbyt intelektualny, zbyt skomplikowany, zbyt naukowy czy zbyt akademicki, lecz właśnie: „*zbyt inteligentny*”). Osłupiałem i jęknąłem w słuchawkę:

— Ludzie, czy wy naprawdę uważacie swoich czytelników za zupełnych kretynów?!

Odpowiedź była bardzo cicha:

— Wie pan... to nie moja decyzja, nie ja tu decyduję. Ponieważ nigdy nie miałem w dłoni „*tabloidu*”, dopiero wtedy bez reszty zrozumiałem, iż są gazety dla półgłówków, tak jak są rozliczne programy telewizyjne dla widzów o inteligencji chomika.

Formalnie „*Salon*” nie trafia i nie chce trafiać do tych ludzi; mówiłem już o tym szeroko w rozdziale I części V. Lecz fakt, że ta horda „*rozumnych inaczej*” tabloidogłupków i teległupków jest poza obrębem formalnej („*inteligentkiej*”) klienteli „*Salonu*”, nie zmienia faktu innego — że mnóstwo elementów, którymi „*Salon*” deprawuje świat (zwłaszcza rozbuchany permissywizm i libertynizm), trafia rykoszetem do każdego kręgu społeczeństwa. Od antytradycjonalizmu i dzisiejszego rozluźnienia więzów rodzinnych tudzież międzypokoleniowych, po „*wolny seks*”, zboczenia, narkotyki i ośmielające przestępczość łagodzenie kar dla kryminalistów — „*Salon*” ma pierwszorzędny udział w gangrenowaniu całej ludzkości. „*Maleficus maximus*”. Natomiast do swojej formalnej klienteli — do inteligentów, tudzież do półinteligentów i ćwierćinteligentów uważających się za inteligentów — „*Salon*” kieruje ofertę „*elitarną*”. To dla nich lansuje się „*politycznie poprawne*” normy kultury i języka, oraz dla nich kreuje się „*postępowych*” geniuszów, ergo: modnych „*wybitnych*” twórców.

Potrzebne są do tego — rzecz prosta — duże pieniądze. Lewica dysponuje gigantycznymi funduszami różowych sponsorów (miliarderzy Soros, Turner

itp.) tudzież socjalistycznych bądź kryptosocjalistycznych (ergo: socliberalnych) rządów wielu bogatych państw. Media świata zachodniego są w większości lewicowe. Dlatego tak łatwo jest ogłupiać i deprawować ludzkość subkulturą totalnego permissywizmu, i jednocześnie promować nawet szumowiny na idoli, na ulubieńców elit, na gwiazdy współczesnych czasów. Vide „genialny Pasolini”. Zwyródniałego pedała o „*inteligencji i talencie rozlepiacza afiszów*” (jak słusznie zawyrokował A. Rinaldini) lewicowi iluzjoniści wylansowali na geniusza, bo był równocześnie marksistą i homoseksualistą. Jego filmów nijak nie da się oglądać, jego literatury nie można czytać (exemplum powieść „**Nafta**”, której bohater, Carlo, cały czas zajmuje się świadczeniem usług oralnych swym męskim partnerom) — wszystko to były produkcje obleśne, skatologiczne, w najlepszym razie tandetne, nigdy artystyczne. Lecz europejscy dyrygenci snobistycznego gustu wzniecili kult „*wielkiego Pasoliniego*”.

Byłoby im trudniej dokonywać takich promocji, gdyby dziennikarze w swej masie odznaczyli się większą inteligencją, uczciwością, wrażliwością i niezależnością. Wszelako właśnie pracownicy mediów, uważający się za „*crème*” inteligencji, za subprofesorskich mentorów (a nie za listonoszów, którymi na ogół są) — to duża barania grupa klienteli salonowej. Jedni wyznają salonowość z głupoty, wierząc każdemu słowu koryfeuszy „*Salonu*”; drudzy ze strachu; trzecich przeżera faryzeuszostwo. Ta ostatnia przypadłość jest zazwyczaj wadą cichą, skrywaną, maskowaną, lecz zdarza się, że mimowolnie eksploduje, jak choćby tego lata (2004), gdy zginął w Iraku reporter W. Milewicz i fotografię jego zwłok wyeksponowano na pierwszej stronie pewnej gazety. Paczka dziennikarzy ogłosiła wówczas gromki protest, piętnujący szefa owej gazety i mówiący, że pokazywanie takich zdjęć to właściwie bezczeszczenie zwłok. Protest upubliczniły, nie bez emfazy, sieci telewizyjne, które codziennie epatują swoich widzów jatkami z Iraku, z Czeczenii tudzież z innych wojennych miejsc globu.

Słabość charakterologiczną tej profesji znały świetnie już peerelowskie służby specjalne — na początku lat 90-ych kilku oficerów MSW ujawniło, że dziennikarze byli grupą zawodową, w której zwerbowało największą liczbę konfidentów („ — *Jak się znalazł któryś jeszcze czysty, to biliśmy się między sobą o to, kto ma go werbować*’„). Stąd właśnie wtedy (1992 rok) KPN żądała na forum Sejmu, by lustracją objąć również środowisko dziennikarskie. I właśnie dlatego, gdy w owym roku ukazał się „**Najlepszy**”, a tygodnik „**Wprost**” (gdzie szefem jest TW „*Rycerz*”, M. Król) rozpoczął piekielną salonową nagonkę przeciw Łysiakowi — było dla mnie jasne, że oni wcale nie muszą czytać tej książki, starcza motto, które jej dałem (był nim fragment

mojego „podziemnego” tekstu z 1985 roku): *„Bezpieka to mafia alfonsów, której dziwki to konfidenci (...) Nawet w wewnętrznej terminologii KGB konfident bezpieki jest obiektem seksualnym: kagiebowcy określają swoich szpicli terminem «seksot». Ów termin stanowi skrót od «sekrietnyj sotrudnik» — tajny współpracownik”*. Czytając samo motto dostawali piany. R. A. Ziemkiewicz tytułem swego felietonu (**„Wścieklizna”**) przewał wówczas „wścieklizną” tę nagonkę na „jednego z najwybitniejszych pisarzy polskich”.

Bóg zapłać!, ale Ziemkiewicz się mylił. W III RP wybitnym pisarzem nie jest się za pióro, tylko za szczebel na drabinie hierarchicznej „Salonu” lub za zasługi dla „Salonu”. Chcąc wiedzieć kto jest „pisarzem wybitnym”, starczy sięgnąć do encyklopedii, zwłaszcza jednotomowej, bo tam oczywista kondensacja haseł wymusza selekcję drastyczną — zostają sami arcymistrzowie literatury. Otwieramy **„Małą Encyklopedię PWN”** z 1995 roku. Dział *„Polska literatura 1976-1989”*. Tylko sześciu „pisarzy”, wśród nich A. Michnik. Czego nie wymyśliliby Ionesco razem z Mrożkiem nawet po pijanemu. Takie mamy kompendia w III Rzeczypospolitej, funkcjonującej pod dyktatem „Salonu”; przykładów można dawać bez liku. Choćby PWN-owski wolumin **„Literatura polska XX wieku — przewodnik encyklopedyczny”** (2000), pełen biogramów grafomanów i pękający od hagiografii czerwonych literatów, którzy swój sterowany centralnie wzlot przeżywali za PRL-u, a całość pisana marksistowską frazeologią godną **„Trybuny Ludu”**. G. Filip, recenzujący tę cegłę na łamach **„Nowego Państwa”**, słusznie zapytał: *„Jak długo jeszcze będziemy musieli czytać takie brednie? Przecież to kompromitacja naszej polonistyki w dziesięć lat po komunizmie (...) Trzeba po prostu napisać od nowa całą tę encyklopedię”*.

Tak więc „Salon” wskazuje „wybitnych”, i „Salon” mianuje „arcydziela”. Co roku kilka, zawsze produkty autorów „politycznie poprawnych”, trafiające później na listę kandydatów do salonowej nagrody „Nike”. Są to z reguły książki nieszkodliwe, wystarczy ich nie kartkować. Wielki poeta, T. S. Eliot, rzekł: *„Czy w ogóle istnieją nieszkodliwe książki, tego nie jestem pewien, ale spotyka się książki zdecydowanie nieczytelne — tak nieczytelne, iż chyba nie mogą zaszkodzić nikomu”*. O takich lansowanych przez „Salon” pierdołach „Kisiel” mówił: *„Wymizdrzone, wypożowane, zawartość intelektualna żadna, problemy nieistotne. Wyciągnięte za uszy — świat głupstwa”*. Jednak gdy „Salon” orzeka, iż jest to świat Pegaza literackiego — dziennikarze wszystkich nieprawicowych mediów pieją fetujące hymny, święcie (szczerze) przekonani, iż sławią perły, bo przecież autorytety nie mogą się mylić. T. S. Eliot: *„Zachodzi tu zjawisko podboju osobowości niedojrzalej przez silniejszą osobowość”*. Zupełnie jak w

przypadku głośnej „Kolekcji Porczyńskich”, której rzekomą światową klasę dekretowali rodzimi eksperci od sztuki (w tym uznane profesorskie autorytety z kręgów „Salonu”), a biedni żurnaliści, którzy również na sztuce się nie znają — niczym „za panią matką” całymi miesiącami sławili ów „polski Luwr”, mimo że jest to śmietnik trzeciorzędnych replik, kopii, pastiszów, „warsztatów”, „kręgów” i lichych podróbek. Tak promuje „Salon”, używając swych „autorytetów” do indoktrynowania dziennikarzy, których rolą jest indoktrynowanie szerokich mas. P. Sarzyński: „*To nieprawda, że prasa, radio i telewizja zajmują się jedynie rejestrowaniem artystycznych sukcesów i informowaniem o tym ludzi. Środki masowego przekazu w znacznym stopniu same te kariery kreują. Największy sukces można przemilczeć, najdrobniejszemu głupstwu zaś nadać wymiar wydarzenia epoki*”. Lecz nie według widzimisię własnego — to „Salon” wskazuje kogo do odstrzału, kogo do piedestału.

Casus „Kolekcji Porczyńskich” (jego szerszą analizę dają wewnątrz tomów I i VIII mojej pracy „**Malarstwo białego człowieka**”) przytoczyłem, bo jest on spektakularnym dowodem ignorancji vel dyletantyzmu salonowych „autorytetów”. Bezsensownie reklamowały tę „drogocenną kolekcję” (wyśmianą przez zachodnich ekspertów jako „muzeum osobliwości” tudzież „panoptikum z magazynowych piwnic galerii prowincjonalnej”), a później broniły jej (gdy dr M. Morka i dr W. Łysiak publicznie zaczęli na nią pluć) — profesorskie tuzy „elity intelektualnej” (M. Rzepińska, J. Białostocki, M. M. Drozdowski, M. Janion, A. Krawczuk, A. Wyczański, M. Kwiatkowski, W. Fijałkowski i in.); tylko prof. Rzepińska zaczęła się w końcu wycofywać ze swych pierwszych „ochów i achów”, głosząc, iż została przez Z. Porczyńskiego zmanipulowana. Pupil „warszawki”, J. Waldorff, przyrównał „Kolekcję Porczyńskich” do kolekcji Zygmunto-wskich Arrasów i do zbiorów Luwru, a jeden z najcenniejszych gmachów zabytkowych Warszawy (dużo cenniejszy niż cała ta nędzna zbieranina), dawny Bank Polski A. Corazziego, dała Porczyńskim gwiazda geremkowskiej „partii ludzi światłych”, faworytka różowego „Salonu”, pani minister kultury, I. Cywińska, która (cytuje opinię B. Piaseckiej-Johnson) „nie potrafi odróżnić Rembrandta od Picassa, a stylu gotyckiego od barokowego „.

I dokładnie tak samo jest w literaturze — wiele salonowych „autorytetów” nie umie odróżnić Masłowskiej od Twaina, Gretkowskiej od Flauberta, a Huellego od Kafki. Działania reklamowo-promocyjne „Salonu” wobec faworyzowanych ludzi pióra przypominają nadmuchiwanie gumowych baloników, aby unosiły się pod niebo. Gdy francuski „Salon” zwariował na punkcie Czecha M. Kundery — K. Rutkowski (obserwator życia kulturalnego

Francuzów) rzekł o tamtejszych „*autorytetach*”, iż są to salonowi farmazoni, tumaniący czytelników reklamowaniem grafomaństwa, a ich działalność nazwał „*mechanizmem dmuchania wielkości literackich*”. Po czym dodał: „*Drukowane w polskiej prasie serie artykułów w tak zwanej nowej literaturze czytam ze starczym chichotem, choć czasami wyrwie mi się z piersi i jęk (...) Moje opinie mogą się przydać kandydatom do pisarskiej sławy oraz ich dmuchaczom nad Wisłą (...), ponieważ polskim przemysłowym promotorom gwiazd i bestsellerów brak jeszcze odpowiedniego zahartowania i cynizmu. Mylą oni byt i powinność, interes i wartości duchowe*”. Z dalekiej perspektywy (znad Sekwany) tak to wyglądało, ale Rutkowski pisał te słowa dekadę temu (w maju roku 1995) — później salonowi „*dmuchacze*” zahartowali się cynicznie jeszcze bardziej, „*comme il faut*”.

To, co K. Rutkowski zwał „*przemysłem kreowania polskich Kunder*” (czyli literacką opiniotwórczą lewatywę, aplikowaną „*inteligentom*” werdyktami „*autorytetów*” różowego Salonu Wpływu) — L. Tyrmand zwał (trochę wcześniej) „*przepisem na robienie kogoś z nikogo za państwowe pieniądze*”. Dziś uprawia się takie hagiografie nie tylko za gotówkę państwową, choć dalej są to pieniądze durniów dystrybuowane przez farmazonów. Dzięki temu — chociaż zdecydowana większość rodzimej twórczości demaskuje impotencję artystyczną, bo ma grafomański styl i plagiatowy (wtórny) charakter — codziennie słyszymy o arcydziełach szybujących (chwilowo) z błogosławieństwem lewicującej michnikowskiej psiarni, wszystkich tych jurorów „*politycznie poprawnych*”, „*postmodernistycznych*”, „*postępowych*”, „*europskich*”, a postkulturowych par excellence. Lecz dlaczego ma być inaczej? Państwo, którego dyplomaci nie znają języków, którego moralisci nie mają wstydu, i którego intelektualiści cierpią na brak inteligencji — nie urodzi prawdziwych arcydzieł kręceniem biczów z piasku i lepieniem buław z łajna.

8. Desperados

Brak właściwych słów uznania — słów oddających im pełną sprawiedliwość — dla tych nielicznych desperatów (śmiałków), którzy w dobie „*Salonu*” peerelowskiego i w dobie „*Salonu*” III RP odważali się krytykować, piętnować lub ośmieszać „*święte krowy*”. Trzeba na to nie tylko prawdziwej inteligencji tudzież prawdziwego estetycznego smaku — lecz i serca wielkiego jak Mount Everest. Czapką zamiatam u ich stóp.

Gdy w sierpniu 2004 roku zmarł Miłosz — pewien pracownik Instytutu Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, dr hab. J. Majda, odważył się publicznie zaprotestować (był to wywiad, pytania zadawał red. M. Żelazny) przeciwko złożeniu na Skałce jako „*wielkiego Polaka*” człowieka

„obsesyjnie” (wyznaniowe słowo Miłosza) nienawidzącego Polski i niemieniącego się Polakiem. Protestowali też inni, lecz gdy ksiądz prof. J. Bajda drukuje w „**Naszym Dzienniku**” antymiłoszowski tekst zatytułowany „**Pogrzebanie Skalki**” — to robi to na bezpiecznej platformie kościelnej. Tymczasem dr J. Majda zaprotestował na platformie „*krakówka*” salonowego, co jest aktem swoiście samobójczym. Jego protest był niczym innym jak rejestrem cytatów — Majda cytował tylko antypolskie teksty Cz. Miłosza („*polskie świnie*”, „*katolickie małpy*” itp.). „Salon” zareagował szybko — grupa polonistów UJ (trzyście osób, same profesory) opublikowała list piętnujący Majdę bez żadnych (ani jednego!) rzeczowych kontrargumentów (jeśli nie liczyć sofistycznego wiersza), zarzucający mu wrogość wobec „*tolerancji i otwartości*”, „*ksenofobiczny nacjonalizm*” tudzież podobne brednie z represyjnego słownika „*politycznej poprawności*” (superciekawostka: gdy dwa lata wcześniej J. Majda dużo bardziej szczegółowo atakował kontrpolskość Miłosza w swej książce, żaden jego kolega-polonista, żaden sygnatariusz listu, nie tylko przeciwko tej książce nie protestował, lecz onże Instytut Polonistyki UJ sfinansował wydanie książki!!!). W całym Krakowie znalazł się jeden uczony, prof. R. Broda (Instytut Fizyki Jądrowej), który publicznie, na łamach „**Dziennika Polskiego**”, zbeształ wspomnianą trzynastkę, krytykując jej „*kompromitujące i nieetyczne opinie*”, „*dominującą w dzisiejszej Polsce atmosferę zakłamania*” i „*niszczące procesy relatywizacji wszystkiego co stanowi fundament świadomości Narodu*”. O samym liście trzynastki rzekł: „*Jestem przekonany, że podpisy pod tym listem będą w przyszłości powodem do wstydu, zarówno w związku z jego przesłaniem, z jego treścią, jak i z formą właściwą dla zgoła innych czasów*”. Dr Majda i prof. Broda to rzadcy ludzie wielkiego ducha, mitologiczni sprawiedliwi w Sodomie.

Nim wszakże oddam takim ludziom głos a propos kwestii estetycznych — trzeba rozróżnić „*odbrązowianie*” i krytykę artystyczną. Terminy „*brązownictwo*” i „*odbrązowianie*” (stąd „*brązownicy*” i „*odbrązowiacze*”) narodziły się przed II Wojną Światową, gdy T. Boy-Żeleński, w eseju „**Brązownicy**”, upublicznił alkowiane sekrety „*świętej krowy narodowej*”, Mickiewicza, oraz jego demoniczną żydowską metresę, X. Deybel. Atakowany Boy bronił się, że chciał ukazać „*Mickiewicza żywego*”, wbrew tym, którzy sprzedają „*Mickiewicza z brązu*” vel „*Mickiewicza jako brązowy posąg*”. „*Odbrazowanie*” zazwyczaj sprowadza się rzeczywiście do przyłapywania tytanów na normalnych ludzkich świństewkach, kłamstewkach i nikczemnostkach bądź niekonsekwencjach, a szczególnie chętnie na brudach politycznych tudzież na higienie seksualnej. Nie ma to nic wspólnego z kulturą

wyższą, twórczą. Kiedy w Rosji wybuchły spory o A. Puszkina, tamtejszą „świętą krowę narodową” ćwierćkwi (Mickiewicz był ćwierćkwi Żydem, Puszkina ćwierćkwi Murzynem) — reżyser A. Konczałowski dał taki głos: „ — Zaczynijmy od tego, że kultura to nie Puszkina. Kultura polega na tym, że chodźcie państwo do toalety. Puszkina, wielki poeta, pisywał takie oto listy: «Posyłam ci dziewczkę, zaopiekuj się dzieckiem». Co to znaczy? To znaczy, że Puszkina był normalnym właścicielem niewolników. Pisał cudowne wiersze o wolności i miłości, i jednocześnie posyłał przyjacielowi «dziewczkę» jak jakąś rzecz. Co więcej, uważał to za sprawę całkiem normalną i nie hamletyzował, nie rozdierał z tego powodu szat. To też kultura. Puszkina chodził do czystej toalety, a cały prosty lud chodził do brudnej, i nie ma w tym nic złego. Po prostu inna kultura”.

„Odbrażowanie” to coś innego niżli demaskowanie bądź wskazywanie mizerności artystycznej „świętych krow” — po prostu inna kultura. Exemplum wspomniane już przed chwilą krytykowanie największej „świętej krowy” różowego „Salonu” — noblisty Cz. Miłosza. „Odbrażowano” go politycznie, a było co „odbrzązować”. Gdy zmarł, wszystkie telewizje lały nonsensowną wodę o chwalebnym „patriotyzmie wielkiego poety” — nie wiedząc (lub udając nieświadomość), iż Miłosz przez całe życie głosił poglądy będące całkowitym zaprzeczeniem patriotyzmu. Uważał, że jest Litwinem, więc nie musi stać w chórze Lachów. Autorzy dytyrambów epitafijnych rozumieli, że zupełnie ukryć się tego nie da, dlatego od ręki formułowali różne zgrabne alibi tej postawy; cytuję J. Surdykowskiego: „Tacy jak on — urodzeni na dawnych litewskich Kresach — najlepiej wiedzą, co miał na myśli ich krajan, Adam Mickiewicz, zaczynając «**Pana Tadeusza**» słowami: «Litwo, ojczyzna moja». Inny wilniuk, Józef Piłsudski, powiadał, że Polska jest jak obwarzanek: wszystko, co najwartościowsze, pochodzi z Kresów, obojętnie — wschodnich czy zachodnich, środek jest pusty. Ci, którzy potem czepiali się Miłoszowego patriotyzmu, zarzucając mu, że jest Litwinem, nie mają pojęcia ani o Mickiewiczu, ani o Piłsudskim”. Mają, mają, proszę pana. Gorzej jest u nich — jak to u „polskich świń” i „katolickich małp” — z pojmowaniem relatywizmu, pojmowaniem zgrywania przysłowiowego „Greka” (czyli pojmowaniem tzw. „rżnięcia głupa”) i pojmowaniem ahistorycznej zonglerki faktami. A. Mickiewicz był polskim patriotą (póki nie namieszał mu we łbie „słowianobraterską” rusofilią carski agent, A. Towiański), zaś J. Piłsudski był zawsze wielkim (wedle salonowej nowomowy „zoologicznym”, wedle A. Michnika wręcz „faszystowskim”) polskim patriotą.

Problem antypolskiej litewskości i antypolskiego kosmopolityzmu Miłosza wyłuszczyłem dokładnie w rozdziale 3 („Pieski przydrożne”) części III, a gdy

teraz mówię o „*udawaniu Greka*” przez „*brązowników*” Miłosza — mam raczej na myśli coś innego: udawanie przez nich amnezji. Oni, zwyczajnie, nie pamiętają, że był dyplomata za granicą (USA i Francja) w dobie stalinowskiej (czyli w dobie najkoszmarniejszego terroru bolszewickiego), co wówczas absolutnie nie mogło mieć miejsca bez poparcia UB i NKWD. Ta agenturalna „*prostytucja*” Miłosza wyleciała im z salonowych głów. Umknęło również z ich pamięci, że jeszcze w 1969 roku (a może i później, lecz ostatnie świadectwo pochodzi z 1969 roku) — Miłosz marzył o przyłączeniu Polski do ZSRR! Wyłuszczył owo marzenie (zupełnie serio) Herbertowi, co osłupiło Herberta. Herbert próbował wtedy wymusić na Miłoszu przyznanie, że to tylko głupi żart, lecz Miłosz upierał się, iż tego sobie serdecznie życzy. Więc Herbert zerwał stosunki, bo zerwano mu bielmo z oczu.

Tyle „*odbrązowiania*”. Krytyka literacka poezji Miłosza — to materia inna zupełnie. Jego hagiografowie i tu „*rzną głupa*” amnezyjnego. Z lubością przywołują (prócz Nagrody Nobla) opinię bratniego autorytetu, rosyjskiego poety J. Brodskiego, który mienił Miłosza największym poetą XX wieku. Zapominają, że L. Navrozow (wybitny amerykański krytyk literacki rosyjskiego pochodzenia), usłyszawszy tę opinię, parsknął (a później dał parsknięcie do druku), iż Miłosz to miernota — „*poeta gorszy nawet od Brodskiego*”. Egzegeza Brodskiego identycznie rozśmieszyła innych znawców; przeważały głosy, że poziom Cz. Miłosza wobec poziomu takich geniuszy jak J. M. Rilke, D. M. Thomas, W. H. Auden, T. S. Eliot, E. Pound czy W. B. Yeats plasuje ją w kręgu mądrości z zakładu dla chorych umysłowo. Analogiczne głosy rodzimych komentatorów twórczości poetyckiej Miłosza są również zupełnie przemilczane (nie tylko zresztą poetyckiej — Miłosza prokomunistyczną epistologafię J. Narbutt słusznie określił jako „*przykład belkotu i demagogii*”), „*Święta krowa*” różowego „*Salonu*” ma być nietykalna !

Już w 1953 roku świetny poeta, J. Lechoń, pisząc na emigracji swój „**Dziennik**”, zanotował: „*W «Kulturze» znowu wypociny dziesięciorzędnych poetów na temat rzekomo nowej poezji (...) Ani mi wypada z tym polemizować, ani nie chcę. Ale uważam naprawdę, że Miłosz jest talentem trzeciej klasy*”. Ciekawa konstatacja, zważywszy, że ówczesne poezje Miłosza były i tak lepsze niż późniejsze. Dokładnie czterdzieści lat później (1993) poeta Z. Bieńkowski wyraził uznanie dla eseistyki Miłosza, lecz zanegował jego poetycki talent: „*— Miłosz wtedy był poetą, kiedy jeszcze jak najmniej sięgał do półfabrykatów (...) Nie cenię poezji Miłosza. Ona mnie nie grzeje*”. Nie grzeje wielu, chociaż „*Salon*” rozgrzewał kocioł jej chwały niczym palacz tender lokomotywy. Oto czemu niewielu zdobyło się na odwagę mówienia, że

król jest golasem. Sam, chociaż nie przepadam za poezją Miłosza (poststalinowskie wiersze W. Szymborskiej lubię), nigdy jej nie krytykowałem własnymi słowy — uważam, że do tego trzeba kompetencji, więc ja, nie będąc poetą, nie mam prawa. Lecz gdy w 1996 roku dziennikarze „**Expressu Poznańskiego**” prosili, bym wymienił dziesiątkę najlepszych według mnie poetów rodzimych XX stulecia, Miłoz się tam nie załapał, nie mógł.

Poezja nowoczesna — rzeknie ktoś — jest materią tak skomplikowaną, iż normalne muszą być nawet drastyczne różnice ocen, którymi będzie sterował naturalny subiektywizm jurorów. Czy materia przekładów literackich też jest taka obiektywnie nieuchwytna? Miłoszowe tłumaczenia „**Starego Testamentu**” były potrzebne tylko Miłoszowi, a jednak „*Salon*” słał je jako robotę „*non plus ultra*” — przekłady bez konkurencji. W tej dziedzinie można wszelako pokazać lepszy przykład salonowego terroru i bezsensu — barańczakowe tłumaczenia Szekspira. Eks-pezetpeerowiec S. Barańczak stał się od roku 1989 jednym z czołowych pupilów różowego „*Salonu*” III RP (i jako poeta, i jako tłumacz poezji), stąd niewielu krytyków ośmielało się mu przyłożyć. Barańczaka to salonowe „*dmuchanie*” nadeło, co ośmielił się wyśmiać poeta Z. Bieńkowski: „ — *Barańczak czasem bywa kompromitujący. Te wierszyki o zwierzętach... Kiedy się patrzy, jak się wyteża, napina, wysila, by dowcip sklecić! Przecież tylko on się śmieje (...)* *Małostkowość Barańczaka jest śmieszna po prostu, śmieszniejsza niż jego zwierzaki*”. Ale że w III RP „*głupstwu można nadać wymiar wydarzenia epoki*” (P. Sarzyński) — S. Barańczaka lansowano jako mistrza. Kolejny śmiałek, K. Mętrak, spytany o twórców, którzy „*zrobili kariery szczególnie niewspółmierne w stosunku do ich talentu*” — tuż za Szczypiorskim wymienił Barańczaka.

Ugruntować i uhistorycznić swą salonową chwałę postanowił Barańczak przełożeniem dzieł geniusza ze Stratfordu. Były to tłumaczenia absolutnie niepotrzebne (kongenialne dawne przekłady L. Ulricha i J. E. Paszkowskiego wryły się już w świadomość kultury rodzimej niczym „*Pater noster*”, a gdyby ktoś chciał nowszych — miał do dyspozycji subtelnie uwspółcześnione przekłady M. Słomczyńskiego). I były to — co gorsza — tłumaczenia kiepskie, pełne szukania na siłę nowych sformułowań i nowych wyrazów. Alibi: miał to być przekład dokładniejszy (ściślejszy) językowo. Barańczak nie rozumiał tej oczywistej prawdy, że przekład jest dobry nie wtedy, kiedy jest precyzyjny leksykograficznie, lecz wtedy, kiedy jest dobry — kiedy oddaje (prócz treści) melodię, klimat, ducha i sens frazy oryginalnej. Znowu Z. Bieńkowski: „ — *Barańczak założył fabrykę przekładu i ma się za monopolistę, a przecież nie przeskoczy Paszkowskiego, choćby nie wiem co zrobił. Po co on z «Hamleta» zabrał «łosia» i wsadził «jelenia», a jeszcze rymem go przyszpilił, żeby nie*

uciekł? Być może ten «jелеń» jest nawet bliższy angielszczyźnie, ale «łoś» jest bliższy polszczyźnie. Powinien być chyba trochę skromniejszy... Dzisiaj Barańczaka jest wszędzie tak wiele...” (1993). Rzeczywiście było wiele. Tego samego roku (1993) L. Wójcik pisała: „*Od jakiegoś czasu teatry, z uporem zupełnie niezrozumiałym, wystawiają Szekspira według Barańczaka, rezygnując z pięknych starych przekładów, czy choćby z nowych, dobrych tłumaczeń Słomczyńskiego*”. Błędem w tej słusznej opinii jest tylko ów „*niezrozumiały upór*”, gdyż był on zupełnie zrozumiały — promował Barańczaka dyktat „*Salonu* „. Bieńkowskiego można było ukarać przemilczaniem, lecz nie dymisją urzędową, bo nie piastował żadnego etatu — tymczasem pani Wójcik (szefowa „**Nowych Książek**”) za swój weredyzm doczekała się wściekłej nagonki salonowych mediów i „*autorytetów*”, prowadzącej do odebrania jej stanowiska.

Przypadek Barańczaka to tylko element pewnej reguły, dającej właściwie syndrom: ulubieńcami michnikowszczyzny stawali się zazwyczaj dawni sługusi reżimu PRL, czego potwierdzeniem kolejni idole „*Salonu*”: M. Brandys (którego już wytykałem), T. Konwicki (którego również cytowałem) bądź R. Kapuściński. Wszyscy oni przekonywali społeczeństwo, że największy zbrodniarz w dziejach ludzkości, Stalin, to największy geniusz i dobroczyńca ludzkości (kochany „*Soso*”), że AK była filią Gestapo, że kablowanie do UB na rodzinę i sąsiadów to obywatelska cnota, a komunizm („*socjalizm*”) to ziemski raj. Żarliwość tej propagandy budzi dzisiaj większe rozbawienie aniżeli obrzydzenie; cytuję „*mistrza reportażu*”, R. Kapuścińskiego: „*Chciałbym całym sobą, jako członek Partii, służyć nieśmiertelnej idei Stalina, który nam wszystkim pozostawił doprowadzenie swego dzieła do końca. Przyczynić się jak najwięcej na ile potrafię do wykonania tego testamentu — to moje najświętsze pragnienie*”. Pragnienia Kapuścińskiego obejmowały również działalność bezpieki, stąd wysmażył rymowany hymn na cześć UB, pt. „**Brygada Dzierżyńskiego**”. T. Konwicki poszedł jeszcze dalej, gdyż etatowo sprawował cenzuralno-nakazowy urząd w brygadzie żandarmerii kulturowej reżimu.

Lecz takie przypominanie-wypominanie to jest znowu „*odbrązowianie*”, a co z krytyką literacką? I tym razem niewielu odważyło się dać choćby klapsa. Znowu więc cytować muszę niezawodnego desperado, Z. Bieńkowskiego: „*— Filmy Konwickiego — wszystkie straszne. W książkach też pokazał siebie od najgorszej strony — wszystkie okropne, sentymentalne, czułościowe, ploty, życie towarzyskie, łażenie po znajomych, to pisarstwo bez dyscypliny. To nie jest literatura. Pokazał się także jako lichy poeta. To geniusz bez talentu. Drugą taką osobowością, którą uważam za bardzo wybitną, a która nie*

zrealizowała się w sztuce, jest Kantor. To także geniusz bez talentu. «Umarła klasa» — w porządku. On tylko to powinien zrobić, reszta, także malarstwo, to śmietnik”.

Drugą (obok czerwonej proveniencji, a różowej afiliacji) kategorią kryteriumiczną, jaką posługuje się „Salon” w wyborze swych faworytów, jest pochodzenie rasowe — rasizm par excellence. Nie ma tu lepszych przykładów niż w telewizji wojująca Żydówka (regularnie gnojąca swym „*Kabarecikiem*” Kościół i prawicowców) O. Lipińska, a w literaturze zaciekły gojobójca A. Szczypiorski (ten casus już omawiałem), czy J. Kosiński, również wojujący Żyd i również grafoman, z którego „Salon” bombastyczną klaką uczynił kolejnego geniusza współczesnej literatury. A. Libera (światny pisarz i krytyk) był tym odważnym, co pierwszy powiedział wprost, iż Kosiński to „*zwykły hochsztapler, farmazon i grafoman*”, którego „*cieleca otwartość szerokiej polskiej publiczności na bałamuctwo* „uczyniła gwiazdorem, mimo że „*wartości literackie i myślowe jego twórczości są bliskie zeru*”.

Trzeba istotnie dużej odwagi, by tak chłostać „*święte krowy*” dyktatury różowego „Salonu”. Analogiczną odwagę wykazał R. A. Ziemkiewicz, gdy wskazywał nędzę pisarską Szczypiorskiego, lub gdy negliżował kościelnopochodną „*świętą krowę*” klakierującą michnikowszczyźnie, i mediami michnikowszczyzny usilnie lansowaną — księdza J. Tischnera: „*Wielki pono filozof, ksiądz Tischner, to w istocie lokalna sława «warszawki» i «krakówka», którą tylko bełkotliwy i śmiertelnie nudny styl broni przed zdemaskowaniem umysłowej płycizny*”. Identycznie przyłożył dwóm literackim beniaminkom „Salonu”, J. Andermanowi i J. Pilchowi: „*Pisze o nich «literaci», choć «GW» i lewicowe media obu panów nazywają pisarzami (i to wybitnymi), gdyż osobiście nie zetknąłem się z niczym, co by opinię tych mediów potwierdzało. Przeciwnie*”. Anderman Andermanem (to już wyliniały kotek „Salonu”) — lecz demaskować najnowsze salonowe pieścidełko, rodzimą gwiazdę literacką pierwszych lat XXI wieku, J. Pilcha, którego hołdują zwarte eszelony cmokierów Michnika — to już trzeba być Koziatulskim! Ziemkiewicz bez pardonu sumuje twórczość Pilcha jako „*biegunkę słowną*” i „*postawangardowe badziewie*”, a jego sztandarowe dzieła (nagroda „Nike” — stempel prymusowski „Salonu”) jako „*bardzo mierne*”, „*zwyczajnie głupie*”, „*równie głębokie co serial «Na dobre i na złe»*”, „*a do tego pisane «krańcowo złą polszczyzną*”.

Ci nieliczni „*los desperados*”, ratujący przed Historią honor krytyki polskiej, są godni szacunku najwyższego. Stawiają czoło opiniotwórczej potędze imperium Zła, niczym sprawiedliwi w Sodomie i Gomorze. Pokazują „*gest Kozakiewicza*” terrorystom. „*Grupie trzymającej władzę*” rzucają

rękawicę bez strachu. Gdybym musiał (choć to pewnie głupi ranking) wskazać wśród nich numer 1 — wskazałbym właśnie R. A. Ziemkiewicza, prawdziwego arystokratę nadwiślańskiej publicystyki (przynajmniej dotąd; oby jego współpraca ze „*ssącym dwie matki*” „**Newsweekiem**” i z usalonowioną „**Gazetą Polską**” nie stepiła zbyt radykalnie jego pióra!). Klnę się, iż bez znaczenia dla tej oceny jest fakt, że Ziemkiewicz zwie Łysiaka „*jednym z najwybitniejszych pisarzy polskich*”, bo to mówią także inni, od pisarki W. Czapińskiej, publicysty A. Zięby, dziennikarki A. Poppek czy poety S. Listosza, po literaturoznawcę, prof. S. Mikołajczaka (edytora Serii Językoznawczej Poznańskich Studiów Polonistycznych). Przyczyna wręczenia Ziemkiewiczowi tego berła jest inna. Któż celniej niż Ziemkiewicz, który już piętnaście lat zwalcza różowy „*Salon*” III RP (zwać go „*salonem warszawo-krakowskim*” oraz „*Familią Michnika, Geremka i Kuronia*”) potrafiłby scharakteryzować michnikowszczyznę przy pomocy zaledwie paru zdań? Ja potrzebowałem kilkuset stron; Ziemkiewicz kilkaset razy mniej i zawarł wszystko:

*„Salonowe bractwo, śmietanka polskich elit, ludzie rozumni, najlepsze towarzystwo z możliwych, i tak dalej (...) Towarzystwo, w którym często opowieści o strasznym, endeckim ciemnogrodzie służyć mają wybielaniu rodziców, odznaczanych za wyrywanie paznokci «polskim nacjonalistom», i rozgrzeszaniu własnej wieloletniej kolaboracji z komuną. Towarzystwo, w którym oddaje się nabożną cześć różnym szemranym «autorytetom moralnym», na które niejednokrotnie wylansowano zwykle stare dziwki z grubo zacerowaną cnotą. Towarzystwo, gdzie gromki rechot nad dowcipami z kabarecików Lipińskiej stanowi legitymację, że się jest prawdziwym inteligentem, Europejczykiem, człowiekiem rozumnym i postępowym. Jeśli jesteś z Familii, jesteś inteligentem; jeśli przeciwko — nie jesteś inteligentem. Proste jak konstrukcja cepa (...) Intelktualne wygibasy publicystów «**Gazety Wyborczej**», udowadniających, że sprawiedliwość jest zemstą, donoszenie za pieniądze nieszczęściem dla donosiciela, czerń bielą, religijność fanatyzmem, uczciwość świństwem, a świństwo cnotą (...) Boże mój, przecież michnikowszczyzna była w stanie zrobić wariata i hunwejbina nawet ze Zbigniewa Herberta, i nie miała w tym żadnych skrupułów”.*

Rzadko różnimy się opiniami, ale to się zdarza (choćby wobec L. Balcerowicza, którego R. A. Ziemkiewicz ceni, a którym ja gardzę jako niszczącym naszą ekonomię podwykonawcą G. Sorosa tudzież innych międzynarodowych spekulantów). Różnimy się i a propos Michnika. Ziemkiewicz rzecze: „*Niebawem nadęta wielkość Michnika pęknie jak balon*” (2004). Sądzę, Rafale, że niestety się mylisz. Zwłaszcza gdy chodzi o

proroctwo: „*niebawem*”. Bo na razie przegrywamy (rządzi „*Salon*”), i obawiam się (chciałbym się mylić), że to długo potrwa, a nam zostanie „*Gloria victis*”.

Iżby wszystko było jasne: nie twierdzę, że „*Salon*” wygra definitywnie tudzież bezterminowo. Być może w przyszłości jego ideologia dozna powszechnej klęski, tak jak doznał jej „*materializm dialektyczny*”, wiodąca ideologia komunizmu. Lecz uważam to za mało prawdopodobne. Prawdopodobniejszy wydaje mi się czarny scenariusz. Czarny bardziej niż mógłby sądzić niejeden pesymista. Demoralizująca siła „*Salonu*” polskiego forsownie bowiem gangrenuje Polskę, a „*Salonu*” europejskiego — Europę. Jeżeli nie wydarzy się cud, który tę degrengoladę cywilizacyjną wstrzyma — nasz kontynent zostanie osłabiony w sposób tak silny propagandą apatriotyzmu, szerzeniem laicyzmu i tolerancją dla obcokulturowego barbarzyństwa, że jeszcze przed upływem tego wieku cała Europa padnie łupem islamu. Muzułmanie planują to zimno i nie kryją tego. Strona internetowa dyplomacji Arabii Saudyjskiej oznajmia: „*Muzułmanie mają nieść chorągiew świętej wojny, by słowo Allaha zapanowało na całym świecie*”. Przywódca Bractwa Muzułmańskiego, M. M. Otoman Akef, twierdzi: „ — *Jestem przekonany, że islam dokona inwazji na Europę, bo taka jest islamska misja do spełnienia*”. Imam al-Karadawi (przyjmowany z honorami przez burmistrza Londynu, komunistę K. Livingstone'a) głosi: „*Islam powróci do Europy. Niekoniecznie dzięki użyciu mieczów. Być może opanujemy te ziemie bez wojsk*”. Et cetera, et cetera. Francja będzie państwem muzulmańskim za kilkadziesiąt lat. W Anglii już dzisiaj więcej ludzi modli się wewnątrz meczetów niż wewnątrz kościołów...

Kraczę? Gdy podobnie krakałem piętnaście lat temu — wzruszano z politowaniem ramionami: Łysiak bredzi! Dziesięć lat temu (patrz „**Łysiak na łamach** 4”, str. 223) skomentowałem to wzruszanie-politowanie, mówiąc: „ — *Ktoś, kto nie rozumie, że siła islamu, siła fanatycznego «dżihadu», to największe ze wszystkich zagrożeń, jakim cywilizacja chrześcijańska będzie musiała stawić czoło w wieku XXI — ten nic nie rozumie!*”. Wtedy również uważano, że przesadzam, bo nie było jeszcze ben Ladena, al-Sadra, al-Zarkawiego, Al-Kaidy i całej jawnej antyzachodniej wścieklizny islamu. Dzisiaj — po ataku na World Trade Center i po rzezi w osetyjskim Biesłanie — wszyscy się trzęsą ze strachu i nikt mi już w czoło nie puka. Miałem słuszość. Oby Bóg sprawił, żebym nie miał jej i tym razem, gdy prorokuję islamizację Europy katastrofalnie osłabionej przez terrorystyczną doktrynę antypatriotyczno-antychrześcijańskiej „*tolerancji*”, którą szerzy lewicowy „*Salon*”. To dzuma. Szykujemy naszym wnukom straszny los.

Zakończenie

Nikt nie jest tylko dobry, i nikt nie jest tylko zły — to wiadomo. Niewiele natomiast wiadomo o przyczynach zła u ludzi, u których zło dominuje silnie nad dobrem. Trzeba by znać cały życiorys takiego człowieka, wszystkie szczegóły, i wyłowić ten jeden kluczowy szczegół. Wtedy nawet zbrodnie takiego człowieka ocenia się — nolens volens — inaczej.

Horst D., „*dusiciel z Ratyzbony*”, był statecznym małżonkiem, dobrym ojcem dwojga dzieci, solidnym pracownikiem zakładu malarskiego, szanowanym członkiem związku strzeleckiego, klubu kręglarskiego, klubu piłkarskiego, etc., etc., a w latach 1981-1993 udusił pięć starszych kobiet. Nie umiał wytłumaczyć dlaczego, mówił tylko: „— *Wtedy znowu przestałem nad sobą panować...*”, lub: „— *I wtedy to się znowu stało...*”. Powiecie: „*psychol!*”. Tymczasem Horsta D. przebadano wielu psychiatrów (bo sąd tudzież obrona wciąż były niezadowolone z werdyktów), i wszyscy rozkładali bezradnie ręce — „*dusicielowi*” w żaden sposób nie można było wlepić choroby psychicznej. Psychiatra Paul H. tłumaczył tę klęskę mówiąc, że „*psychiatria nie umie takich spraw wyjaśnić*”. Horst D. był więc zdrowym człowiekiem, który nie wiadomo czemu czasami doznawał zaćmienia vel dostawał ataku, i mordował obcą kobietę, to wszystko. Ktoś jednak wreszcie zauważył (pewien policjant) dziwną zbieżność: wszystkie kobiety duszone przez Horsta D. były w momencie swej śmierci dużo starsze niż morderca. Pierwsza ofiara miała lat 59 (on wtedy 45); ostatnia 85 lat (on wówczas 57). Nigdy nie próbował zabić kobiety, która by wyglądała jak jego rówieśnica lub jak osoba tylko trochę starsza od niego. Jeszcze raz (tym razem bardziej wnikliwie) zbadano jego życiorys. I co się okazało? Gdy miał pięć lat, jego matka uciekła ze Śląska (była Wojna, Śląsk zajmowali Rosjanie). Na dworcu w Hof porzuciła dziecko. Zwyczajnie — zostawiła w tłumie ludzi, z kartką wiszącą u szyi (imię, nazwisko, data urodzenia). Czy ktoś spośród Państwa może sobie wyobrazić traumę pięcioletniego, bezradnego szkraba, porzuconego przez matkę w obcym miejscu, które wojna zrobiła akurat piekłem? Sądźmy, że możemy to sobie wyobrazić — ten ogrom bólu, strachu, paniki, łez i cierpienia — ale tylko się nam tak wydaje. Nie możemy — nie może nikt, prócz niego. Psychiatrzy, kiedy im o tym doniesiono, zawyrokowali: „*Pamięć dziecka musi kiedyś skasować tak bolesne przeżycie, bo inaczej to dziecko nie mogłoby w ogóle żyć jako dorosły. Ale w jego dorosłym życiu mogą się zdarzyć sytuacje, że wytłumione wspomnienia powodują spontaniczny atak szału i prowadzą do czynienia zła, a sprawca nie umie później objaśnić przyczyn*”.

Ile razy zastanawiam się nad fenomenem dusiciela z Warszawy, Adama M. — człowieka, co skrzywdził mój kraj jak nikt inny po 1989 roku, i który dalej krzywdzi mnóstwo inteligenckich, półintelligenckich i ćwierćintelligenckich kobiet i mężczyzn, robiąc im z mózgow brudnoróżową wodę lewactwa, „tolerancji”, „politycznej poprawności”, „postępu”, filosemityzmu, apatriotyzmu, leseferyzmu, relatywizmu moralnego itp. — zawsze sobie myślę: kto tego człowieka zostawił we wczesnym dzieciństwie samiuteńkiego na dworcu Szeol?

Mój ulubiony pisarz, A. de Saint-Exupery, rzekł przed laty kilkadziesiąt lat: „*Jeśli pozwolisz, by robactwo się rozmnożyło — rodzą się prawa robactwa. I rodzą się piewcy, którzy będą je wystawiać*”. Tak się stało, dlatego znany brytyjski filozof, R. Scruton, powiedział przed dziesięciu laty: „*Żyjemy w warunkach «totalitarnego liberalizmu», w których prawo zabrania nam zabraniać. Nasze prawo, skrajnie pobłażliwe dla czyniących zło, jest bezlitosne dla ludzi próbujących zapobiegać złu lub przeciwstawiać się złu (...) To my sami jesteśmy temu winni. Ilekroć zezwalasz, by przestępstwo nie zostało właściwie ukarane, stajesz po stronie zła (...) Musimy znowu odkryć elementarny pogląd na moralność*”.

Temu służy moja książka. Służy odkrywaniu, a nie leczeniu. Nie będzie miała siły terapeutycznej, a tym bardziej siły rewolucyjnej. W latach 90-ych socjolog K. Prendecki swoistym apelem przekonywał członków i sympatyków różowego „Salonu”, że „*winni obowiązkowo trzy razy dziennie brać jako lek Łysiaka, wraz z informacją, iż nieprzystąpienie do tej kuracji grozi trwałym odmóżdżeniem*”. Powątpiewam w aż tak radykalną moc terapeutyczną książkowych kuracji. Już lord Byron, znając nieskuteczność walki piórem przeciwko Złu i Kłamstwu, pytał:

*„Had not Cervantes, in that too true tale
Of Quixote, shown how all such efforts fail?”*

[*„ Czyż Cervantes, w tej swojej nazbyt prawdziwej opowieści
O don Kichocie, nie pokazał, że wszelkie takie wysiłki zawodzą?”*]

Czemuż więc, będąc pesymistą, podjąłem wysiłek pisania? Gdyż utożsamiam się z pewną tezą M. Buonarrotiego. Zapytany, dlaczego o rzeczy nie do wygrania trzeba bić się z największą choćby potęgą, z najsilniejszym wrogiem, ów mistrz Renesansu odparł: „— *Ze względu na godność człowieka, choćby nie było szans sukcesu*”.

Warszawa, 9 września 2004.